

BIBLIOTEKA BOY'A. T. 18

JAN JAKÓB ROUSSEAU

WYZNANIA

PRZEŁOŻYŁ BOY

TOM I

WYDANIE DRUGIE
PRZEJRZANE PRZEZ TŁOMACZA

WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA

WYZNANIA

Boy: Słówka, wydanie czwarte, Biblioteka Polska.
— Studja i szkice z literatury francuskiej, G. Gebethner i Sp.
— Flirt z Melpomeną, wieczór pierwszy, wyd. II, tamże.
— Flirt z Melpomeną, wieczór drugi, tamże.

Dzieje Tristana i Izoldy, G. Gebethner i Sp.

WIEK XV-ty.

Franciszek Villon: Wielki testament, G. Gebethner i Sp.

WIEK XVI-ty.

Rabelais: Dzieła (Gargantua i Pantagruel). Tomów 5, Kraków, J. Czernecki.

Montaigne: Pisma, Tomów 5, G. Gebethner i Sp.

Brantôme: Żywoty pań swobodnych. Biblioteka Polska.

WIEK XVII-ty.

Descartes: Rozprawa o metodzie, G. Gebethner i Sp.

Molière: Dzieła, Tomów 6 (wydanie zbiorowe wyczerpane).

Racine: Fedra, G. Gebethner i Sp.

Pascal: Myśli, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań.

WIEK XVIII-ty.

Lesage: Djabel kulawy, G. Gebethner i Sp.

Marivaux: Komedje, Tomów 2, Kraków, J. Czernecki.

Montesquieu: Listy perskie, G. Gebethner i Sp.

Montesquieu: Duch praw (w przygotowaniu).

Wolter: Powiastki filozoficzne, G. Gebethner i Sp.

Crebillon: (syn) Noc i chwila, Kraków, J. Czernecki.

Jan Jakób Rousseau: Wyznania, Biblioteka Polska.

Diderot: Kubuś fatalista i jego pan, Biblioteka Polska.

Diderot: To nie bajka... Kraków, J. Czernecki.

Laclos: Niebezpieczne związki, Biblioteka Polska.

Beaumarchais: Komedje, Kraków, G. Gebethner i Sp.

X. Prévost: Manon Lescaut, drugie wydanie, Biblioteka Polska.

B. de Saint-Pierre: Paweł i Wierginia, Kraków, J. Czernecki.

Listy panny de Lespinasse: G. Gebethner i Sp.

WIEK XIX-ty.

Chateaubriand: Atala-René, Poznań, Księg. św. Wojciecha.

Benjamin Constant: Adolf, G. Gebethner i Sp.

Stendhal: Czerwone i czarne, Biblioteka Polska, Warszawa.

Balzac: Fizjologia małżeństwa, Biblioteka Polska.

Balzac: Małe niedole pożycia małż., Biblioteka Polska.

Balzac: Dwaj poeci, G. Gebethner i Sp.

Balzac: Stracone złudzenia, Biblioteka Polska.

Balzac: Cierpienia wynalazcy, G. Gebethner i Sp.

Balzac: Ojciec Goriot, G. Gebethner i Sp.

Balzac: Kawalerskie gospodarstwo, Kraków, J. Czernecki.

Balzac: Cóрка Ewy, Kraków, J. Czernecki.

Balzac: Muza z zaścianka, G. Gebethner i Sp.

Balzac: Wielkość i upadek Cezara Birotteau, tamże.

Balzac: Blaski i nędze życia kurtyzany, tamże.

Balzac: Ostatnie wcielenie Vautrina, Biblioteka Polska.

Gautier: Panna de Maupin, Kraków, J. Czernecki.

Musset: Spowiedź dziecięcia wieku, Biblioteka Polska.

Musset: Komedje, Tomów 2, Biblioteka Polska.

Merimee: Kolomba, Kraków, J. Czernecki.

Murger: Cyganerka, tamże.

Verlaine: Elegie, G. Gebethner i Sp.

JAN JAKÓB ROUSSEAU

WYZNANIA

PRZEŁOŻYŁ, WSTĘPEM

I PRZYPISAMI OPATRZYŁ

BOY

TOM I

WYDANIE DRUGIE

PRZEJRZANE PRZEZ TŁOMACZA



II-14

WARSZAWA 1921

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«



CZYTELNIĄ KSIĄŻEK

1(44): 82X.133.1(081) 17: 928-051(44)

OD TŁÓMACZA.

„Osobliwe zjawisko! Jedyne wprost w naszej literaturze, a nawet, jak sędzę, we wszystkich literaturach świata. Ten włóczęga, próżniak, samouk, który, po trzydziestu latach majaczenia na jawie, wpada, jednego dnia, w najświetniejsze społeczeństwo Paryża XVIII-go stulecia i sprawia w niem wrażenie Hurona, ale Hurona prawdziwego i brzemiennejszego w konsekwencje niż ów Wolterowski; występuje pierwszy raz jako autor mając pod czterdziestkę; pisze, w ciągu dziesięciu lat i wśród cierpień fizycznych prawie nieustannych, trzy czy cztery książki, ani zbyt tęgie ani zbyt bogate w myśli, ale przynoszące z sobą nowy sposób czucia i jakby jakiś dreszcz dotychczas nieznan; który później zanurza się w powolne szaleństwo — i który, dzięki tym kilku książkom, mocen jest przekształcić po śmierci literaturę, historję i zmienić koryto całego życia narodu do którego sam nie należał: cóż za niesłychane wydarzenie!” Tym okrzykiem zdumienia rozpoczyna J. Lemaître swoje mistrzowskie studjum o Janie Jakóbie Rousseau.

Wydarzenie istotnie niesłychane! Bardziej może jeszcze, niż się na pozór wydaje. Oswoiłszy się już z brzmieniem imienia Jana Jakóba, tak że dziś wystarcza wymówić to imię, aby w nas obudzić stokrotne echa i po-

głosy. Gdyby jednak było możliwem odłączyć w sobie bezpośrednie odczucie od literackiej tradycji, *prestige'u* imion i świadomości ich wpływu, i w ten sposób odczytać *Umowę Społeczną*, *Nową Heloizę* i *Emila*, trudno byłoby zapewne odgadnąć, że jedno z tych dzieł było owym dynamitem, który, w kilkanaście lat po śmierci autora, eksplodował w Wielkiej Rewolucji, drugie stało się czaro-dziejskiem źródłem z którego miała trysnąć fala roman-tyzmu, trzecie sprawiło, iż pielgrzymki wiernych ciągnęły do asyłu „filozofa“, szukając u niego kabalistycznego słowa, kreślącego wytyczne linje wychowania nie tylko ludzi ale i całych narodów.

Wykazać, iż fundamentem myślowym tych epokowych dzieł była przeważnie nedoręczność, jest to zadaniem łatwem i nieraz podejmowanem; co dowodzi tylko, że mechanizm ludzkości, zwłaszcza w jej przełomowych momentach, czem innem się rządzi niż prawidłami rozumu i gdzieindziej szuka swoich dźwigni. „Nowy sposób *czucia* i dreszcz dotychczas nieznan“, potężne walory emocjonalne jakie wniósł w społeczeństwo w epoce gdzie na wierzchu królowała *myśl*, doprowadzona do precyzji niemal matematycznej, a pod nią, niby pod pokrywą, kipiały w dole nieświadome siebie, budzące się *sily*, oto tajemnica potęgi i wpływu Jana Jakóba, bez względu na to czy go zechcemy uważać za genjusza, za szarlatana, czy za połączenie obydwóch.

O ile istota innych pisarzy francuskich XVIII stulecia zamyka się dla nas w dziełach, samo zaś życie ich jest, dla ich zrozumienia, mniejwięcej obojętne, o tyle z Rousseau'em rzecz ma się niemal przeciwnie. Mimo całego ich rozgłosu, dzieła jego spoczywają — powiedzmy otwarcie —

w pyle zapomnienia. Można by je określić jako potężne butelki lejdejskie doszczętnie rozbijane. Tu i ówdzie zajrzy ktoś do nich z literackiej ciekawości, mało kto jednak, poza badaczami literatury, szuka w nich dzisiaj pokarmu dla myśli i wzruszeń. Ale pozostała wśród nich jedna książka, niesympatyczna, to pewna, nieraz poprostu wstrętna, ale nawskróś świeża, nawskróś czytelna i żywa: to ta, w której mówi nam o swoim *życiu*, i to w taki sposób, iż dotąd, po półtora wieku, prawdą pozostały pierwsze słowa od których zaczyna swe Wyznania: „Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy“.

Tak jest. Ani przed nim, ani po nim, odkąd istnieje literatura, nikt nie obnażył w ten sposób swojego wnętrza. Mimo iż właśnie wpływ Rousseau'a rozpętał istną orgję wystawiania na pokaz swojego ja, „objaśniania“ samego siebie, istną ekshibicję najtajniejszych drgnień swej istoty, wypełniającą znaczną część literatury XIX wieku, nikt nie dorównał mu co do tego w bezwzględności, powiedzmy w bezwstydie. Trzeba było tej chorobliwej, do ostatecznych granic wybijającej pychy, a zarazem tego jakiegoś żaru wewnętrznego, podnoszącego chwilami napięcie tonu *Wyznań* istotnie niemal do sakramentu spowiedzi, aby pisać w ten sposób o swoim życiu, z jakimś dziwnem przeświadczeniem iż szczerześć tych kart oczyszcza je z ich szpetoty, a zarazem z całą naiwnością i, można powiedzieć, samouctwem etycznym tego włóczęgi, samotnika i proroka, który wychował się i spędził młodość poza społeczeństwem, a zetknąwszy się z niem, nie wszedł w nie, ale je rozwalil.

Dziwne były koleje tego człowieka! Ojciec jego, skro-

mny zegarmistrz w Genewie, człowiek uczuciowy i lekko-myślny, karmi dzieciaka, zaledwie umiejącego czytać, romansami, w których zatapia się, wraz z nim, do białego rana, oraz *Żywotami sławnych ludzi* Plutarcha. Zmuszony opuścić miasto, zaniedbuje stopniowo syna zupełnie; Rousseau dostaje się wkońcu „do terminu“, do rytownika, gdzie staje się skończonym urwiszem, i skąd, jako szesnastoletni wyrostek, ucieka, z obawy przed plagami. W czasie pobytu u majstra, zdążył pochłonać całą sąsiednią wypożyczalnię książek. Włóczy się po okolicy, nocuje u chłopów, wkońcu, skierowany tam przez proboszcza z Confignon w Sabaudji, dostaje się w ręce agentki od „nawracai“, dwudziestoosmioletniej i ładnej pani de Warens, osoby która staje się jego opatrnością. Z jej poręki wędruje do Turynu, gdzie przyjmuje katolicyzm w nadziei świetnego losu; ale, po ceremonji kościelnej, znalazłszy się na ulicy z dwudziestoma frankami w kieszeni, widzi iż nadzieje jego były czczą złudą. Włóczy się po mieście; w braku czego lepszego, zostaje lokajem; popisując się w sposobną porę znajomością łaciny i pewnym polorem, ściąga na siebie uwagę chlebobawców; otwierają się przed nim widoki przyszłości. Ale dziecinny kaprys i popęd do włóczęgi przemaga: Rousseau, w towarzystwie drugiego wyrostka, puszcza się znowu przez Alpy, zamierzając opędzać kosza życia pokazywaniem *bani Herona*. Rozczarowawszy się rychło co do tej nadziei, Rousseau wraca do Annecy, do domu swej opiekunki, w pobliżu której walceni się aż do trzydziestego roku życia, próbując różnych zawodów, rzucając je, czytając z panią de Warens La Bruyère'a, etc., kształcąc się bezładnie, napadowo, najbardziej systematycznie stosunkowo upra-

wiając muzykę, którą zaczyna uważać za istotne powołanie swego życia. Pobyt ten przerywają zresztą nieustanne włóczęgi, stanowiące istny nalóg Rousseau'a. Rousseau w tym okresie, to natura bardzo złożona, pełna kontrastów, zmysłowa i marząca, ufna i podejrzliwa, zamknięta w sobie i wylana, zdradzająca wybitnie cechy tego co dziś się nazywa *moral insanity*, a żadnych śladów przyszłej potęgi. Z tem wszystkiem, musiał mieć dużo uroku i naogół t. zw. „szczęście do ludzi“. W tych latach Rousseau robi wrażenie jakby somnambulika, który porusza się, działa nieprzytomnie, pod wpływem jakiejś tajemniczej siły. Znamionem jest, że, gdziekolwiek opiekunka próbuje go ulokować, zawsze zwracają jej dryblasza z nadmienieniem iż jest zupełnie nie do użytku: los ten spotyka go nawet w seminarjum duchownem, mimo poparcia samego biskupa.

Ośmnastoletni Rousseau ubóstwiał oczywiście swą młodą Mamusię (takie było miano jakim ją zawsze nazywał), która, ze swej strony, obdarzała tkliwymi względami swego ogrodnika, statecznego i oddanego Klaujusza Anet. Rousseau wiedział o tym stosunku; jakież było tedy jego zdumienie, kiedy, jednego dnia, *Mamusia*, kazawszy mu się przygotować do poważnej rozmowy, oświadczyła, iż, pragnąc go uchronić od czyhających nań niebezpieczeństw, postanowiła sama wtajemniczyć go w misterja życia.

„...Ów dzień, którego więcej lękałem się niż oczekiwałem, przybył wreszcie. Znalazłem się po raz pierwszy w ramionach kobiety, i kobiety którą ubóstwiałem. Czy byłem szczęśliwy? nie; poznałem rozkosz. Jakiś nieprzewyciężony smutek zatruwał mi jej urok. Miałem uczucie, jakgdybym spełnił

kazirodztwo. Tuląc ją z uniesieniem w ramionach, skrapiałem, równocześnie, jej łono łzami. Co do niej, nie była ani smutna ani upojona; była serdeczna i spokojna..."

....Tak wytworzyła się między nami trojgiem spójnia, jakiej przykładu nie było może na ziemi. Wszystkie nasze chęci, troski, wprost nasze serca, były wspólne; nie istniało poza granicami tego małego kółka. Przyzwyczajenie życia razem i życia wyłącznie z sobą stało się tak silne, że kiedy, w godzinie posilku, brakło jednego z trojga, albo też przybył ktoś czwarty, wszystko było popsute. Mimo naszych poszczególnych związków, sam-na-sam były nam mniej słodkie niżeli wspólne zebrania...

Sielanka ta trwa jakiś czas; kres kładzie jej śmierć Klaudjusza. Następca jego w sercu i gospodarstwie pani de Warens, niejaki Wintzenried, natura gruba, czynna, energiczna, nie nadaje się do tego tercetu, mimo iż, w zasadzie, nie stawia mu opozycji: stopniowo zagarnia panią de Warens dla siebie; Rousseau zaczyna czuć, że, w tym domu, coraz bardziej zresztą rozprzegającym się finansowo, niema już dlań miejsca. Pakuje swoje książki, mając jako talizman wymyślony przez siebie nowy system pisania nut, puszcza się do Paryża.

Ta część książki, kreśląca dzieje młodzieńcych lat pisarza, jest nieoszacowanym komentarzem do jego życia i twórczości. Dopiero czytając te *Wyznania*, zaczyna się rozumieć Rousseau'a i potęgę jego wpływu. W nich znajdujemy najlepsze oświecenie, a poniekąd wytłómaczenie „osobliwego zjawiska“, nad którym tak się zdumiewa Le maître. W tych pamiętnikach, pisanych, mimo teatralnego nieraz gestu i powieściowego *arrangement*, z bezwzględną szczerością (nie prawdomównością: to rzecz inna

możemy śledzić, krok po kroku, zadziwiającą historię ducha, który, w najbardziej niesprzyjających warunkach, z niestrudżonym wysiłkiem zмага się z sobą i łamie, przeży się i draży sobie drogę ku światłu, aż wreszcie będzie mógł trysnąć wysoko kipiącym gajzerem. Rozumiemy tajemniczą potęgę oddziaływania myśli Rousseau'a — tak bardzo nieproporcjonalną nieraz do ich wartości — gdy śledzimy, etap po etapie, ich genezę i źródło: gdy widzimy jak żadna z nich nie jest produktem literackiej kombinacji i gry myślowej, lecz każda płynie z głębi jego istoty, urabia się w męce życia, żywi się krwią serdeczną i kupiona jest tą krwią i życiem.

Dawny lokaj pani de Vercellis inne akcenty znajduje mówiąc o nierównościach społecznych, niż najbardziej rewolucyjny nawet filozof paryskich salonów. Jedenastoletni kochanek małej Goton, dla którego miłość, była, przez całe życie, jedynie trawieniem się nigdy nienasyconej i smaganej chorobliwymi popędami wyobraźni, narzuci, niemal na wiek cały, Europie swą psychopatię, przekazując ją w dziedzictwie swej progeniturze romantycznej. I jeszcze jeden rys, ważniejszy może od innych. W epoce, gdy wszystkie fundamenty, na których wspierał się ład społeczeństwa i życie wewnętrzne jednostki, ryśnią się i walą, Rousseau, jedyny ze współczesnej plejady filozofów francuskich, całą niemal swą twórczość poświęca kwestji etyki; a etyka ta również nie jest dla niego teoretyczną spekulacją, lecz sprawą najintegralniej związaną z życiem. Tę etykę, te zasady moralne buduje sobie sam, kamień po kamieniu: dzięki niej dźwiga się z nizin, które jakże łatwo mogły się dlań stać szczeblami ostatecznego upadku! To *samouctwo*, jak je nazwalismy,

etyczne nadaje moralności Rousseau'a owe szczególne cechy, nad którymi nieraz przyjdzie się zdumiewać czytelnikowi *Wyznań*, i czyni tę moralność niejednokrotnie więcej niż wątpliwą: niemniej jednak kwestja etyki szukanej w samym sobie, kwestja samorzutnego odrodzenia moralnego własną mocą, jest sprawą wypełniającą nie małą całą duchową istotę pisarza i człowieka. Jakoż, nie bawem, w epoce Rewolucji, teatralna frazeologia o „eno-cie“, która zastąpi podstawy religji, wyraźnie będzie nosiła piętno autora *Nowej Heloizy*.

Wspomniałem, iż prawdomówność *Wyznań* Rousseau'a nie zawsze idzie równym krokiem z jego szczerością. Nie mogło być zresztą inaczej w pamiętniku pisanym w kilkadziesiąt lat po przeżytych wypadkach, wyłącznie ze wspomnień, i to przez człowieka obdarzonego wyobraźnią Jana Jakóba! Niezmiernie ciekawą jest rzecz, konfrontacja *Wyznań* z tem, co nam obiektywnie wiadomo o życiu pisarza i stosunkach otaczających go osób¹⁾. Ale już czytając same *Wyznania*, trudno się oprzeć w niektórych miejscach wrażeniu mistyfikacji, której uległ w pierwszym rzędzie sam autor. Do takich należy ową słynną kradzież kawalka znoszonej wstążki, z której kradzieży Rousseau czyni taką tragedję, ba, największe zbrodnię swego życia („Uniosłem z sobą niestarte wspomnienie zbrodni i nieznośny ciężar wyrzutów, które, po upływie czterdziestu lat, gniotą jeszcze moje sumienie

których gorycz nie tylko nie słabnie, ale zaostcza się w miarę jak zbliżam się ku starości...“), a która do tego stopnia, zdaje się, była drobnostką, iż jego chlebobdawca, mimo dwuznacznego rezultatu śledztwa, sam z siebie najgoręcej zajął się Rousseau'em i umieścił go w swoim domu. Słowem, *Wyznania* Rousseau'a, zwłaszcza ich część pierwsza, są przedziwnym romansem o jego życiu, kreślonym — mimo iż w późnym już wieku — z nieporównaną świeżością i kolorem. Jak każdy prawdziwy romans, mają swą bohaterkę: jest nią owa pani de Warens, której imię Rousseau unięśmiertelnił tak, jakgdyby ona sama nie istniała nigdy na ziemi, lecz była jedynie tworem fantazji pisarza. Rousseau, w swym szale spowiedzi, nie ogranicza się do własnej osoby, ale z równym zapalem spowiada się z błędów wszystkich tych, których losy postawiły na drodze jego życia. W pierwszej linji, ofiarą tych wynurzeń pada pani de Warens: Rousseau nie oszczędza jej ani jednej słabości, ani jednej tajemnicy kobiecego serca, ciągle pisząc jej najpłomienniejszą apologję; i istotnie jest to może najświetniejszym dowodem geniuszu pisarskiego Rousseau'a, że, czytając te karty, tak dalece wcielamy się w horyzont jego uczuć i pojęć, iż bodaj ani razu nie dopuszczamy wrażenia, iż życie prywatne tej wybornej osoby z punktu widzenia oficjalnej moralności przedstawia się więcej niż dwuznacznie¹⁾. Mówi-

¹⁾ Najświetniejszą taką konfrontacją są studia Fagueta *Vie de Rousseau* i *Les Amies de Rousseau*. Oprócz tych dwóch książek, ogłosił Faguet równocześnie w „roku jubileuszowym“ (1912) jeszcze trzy inne: *Rousseau artiste*, *Rousseau penseur* i *Rousseau contre Molière*.

¹⁾ Osoba i życie pani de Warens pozostały do dziś dnia w wielu szczegółach zagadkowe. Co się tyczy pozycji jej w stosunku do dworu Sardynji, być może, iż owa pensja wypłacana jej całe życie była rekompensatą jakichś usług oddawanych w ostatnich misjach politycznych. Stawiano także wprost hipotezę szpiegostwa. Być może jednak,

wię umyślnie *oficjalnej*, bo zresztą te karty książki Rousseau'a poświęcone pani de Warens aż dyszą moralnością: trudno się nieraz wstrzymać od uśmiechu, czytając opisy idyllicznych scen, jakie rozgrywały się między nim, panią de Warens i jej wiernym Klaudjuszem. „Jednym z do-
 „wodów zalet charakteru tej uroczej kobiety — wykrzy-
 „kuje Rousseau głosem apostoła — jest to, iż wszyscy,
 „którzy ją kochali, kochali się między sobą. „Zazdrość,
 „współzawodnictwo nawet, ustępowało dominującemu
 „uczuciu jakie ona budziła, i nigdy nie widziałem, aby
 „ktokolwiek z tych którzy ją otaczali odnosił się z nie-
 „przyjaźnią do drugiego. Niechaj czytelnik niniejszej
 „książki zawiesi na chwilę lekturę przy tej pochwal-
 „i jeśli, zastanowiwszy się, znajdzie w myśli drugą
 „kobietę o której mógłby powiedzieć to samo, niech
 „złoży w jej ręce spokój swego życia, choćby to była
 „zresztą najostatniejsza z ładacznic“. Prawda, że
 Rousseau był całe życie człowiekiem fizycznie chorym

obowiązki te ograniczały się do propagandy religijnej i do „nawróceń“ w rodzaju Rousseau'a. Nieubłagany skalpel wiedzy próbował również i na życiu wewnętrznym pani de Warens swego ostrza. Temperament jej, „łodowaty“ jak zapewnia Rousseau, stał się przedmiotem dociekań historyczno-literackich, nastrojonych na tym punkcie raczej sceptycznie. Poważna nauka skłania się do przypuszczenia, iż była to, przeciwnie, osoba o zmysłach nader wymagających, a skazana, z powodu swej drażliwej, nawpół „duchowej“ sytuacji, na ścisłe przestrzeganie pozorów, ograniczyła swoje życie uczuciowe do gromadki zaufanych domowników. Bądź co bądź, kwestja jest jeszcze otwarta, i pani de Warens, z ostatecznem zwierzeniem tej delikatnej tajemnicy, czeka stęskniona na swego Hössicka.

i życiowo nieodpowiedzialnym, stąd stosunek jego do ludzi, a zwłaszcza do kobiet, musiał być odmienny niż bywa zazwyczaj. Ale niech kto spróbuje prostymi słowami streścić dzieje jego współżycia z panią de Warens i przymierzyć do przeciętnych ludzkich pojęć: jak ten eksperyment wypadnie! A co czyni z tego Rousseau! Oto potęga suggestywna genjuszu.

Jest jeszcze jedno magiczne słowo, którem karmić się miały później całe pokolenia, a które jest niemal w zupełności wynalazkiem Jana Jakóba. To — *natura* Molier, pisząc, niespełna setkę lat przed nim, prolog do *Chorego z urojenia*, dodaje w scenariuszu następujące objaśnienie: *Scena przedstawia okolicę wiejską, niemniej jednak bardzo powabną*. Jakaż, przepaść dzieli tę epokę od pokolenia opętanych *naturą* romantyków! To ten włóczęga, ten łazik, gotowy zawsze rzucić chleb, karierę, spokój, dla rozkoszy przewędrowania pieszo o głodzie i chłodzie przez Alpy, zarazi ludzkość swem szaleństwem:

„...Życie włóczęgi, to najmiłsza dla mnie forma życia. Wędrować pieszo w piękną pogodę, piękną okolicą, nie spiesząc się, mając wszelako jako kres drogi przedmiot pełen uroku: oto, ze wszystkich sposobów istnienia, ten, który najbardziej przypada mi do smaku...“

„...Z rozkoszą przypominam sobie noc, spędzoną poza miastem, przy drodze ciągnącej się wzdłuż Rodanu czy Sany, nie pamiętam już tego bliżej. Ogrody, wznoszące się terasowato, opuszczały się łagodnie ku drodze. Było tego dnia bardzo gorąco. Wieczór był uroczy; rosa zwilżyła przywiedłą trawę; ani śladu wiatru, noc spokojna; powietrze świeże a nie chłodne; słońce, schowane już za horyzontem, zostawiło na niebie czerwone opary, których odbicie barwiło wodę różowym kolorem; drzewa dawały schronie-

nie mnóstwu słowików, które odpowiadały sobie wzajem. Błądziłem po alejach w jakimś upojeniu, otwierając zmysły i serce tym słodkim wrażeniem, i wzdychając jedynie z żalu iż muszę się niemi napawać samotny. Pochłonięty słodkiem marzeniem, przechadzałem się do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy iż jestem zmęczony. Wreszcie, dało mi się to uczuć. Ułożyłem się rozkosznie na płycie jakiejś niszy czy framugi wgłębionej w murze terasy. Baldachim łóżka tworzyły wierzchołki drzew; słowik śpiewał tuż nad moją głową; usnąłem kołysany śpiewem. Sen był mi słodki, obudzenie bardziej jeszcze. Był jasny dzień: oczy moje, otwierając się, ujrzały wodę, zieloność, cudowny krajobraz. Wstałem, otrząsałem się; uczulem głód: ruszyłem wesoło ku miastu...

Rousseau otwiera oczy współczesnych na przyrodę; co więcej, zadzierżguje związki między nią a sercem człowieka, każe jej współżyć z jego życiem, śmiać się z jego radością, płakać z jego smutkiem. Przyroda przemawia do tej muzycznej organizacji całą gamą tonów; dusza tego *dzikiego*, którego pierwszych trzydzieści lat było wpół-senną — mimo iż tak ruchliwą — rośliną, drga zgodnie z jej pulsem. I to zostanie mu na całe życie¹⁾. Daremnie będzie się silił przedzierżgnąć w Paryżanina, w salonowca: natura ciągnie go dosłownie, jak wilka, do lasu: „Nie umiałem nigdy — pisze w swoich wspomnieniach z Pustelni — pisać i myśleć swobodnie inaczej jak tylko *sub dio*: liczyłem na to, iż las Montmorency, dochodzący niemal do moich wrót, będzie mi odtąd gabinetem do pracy“.

¹⁾ Za negatywny ale wymowny dowód, jak bezwzględnie szczerym jest Rousseau w swoich wrażeniach, może posłużyć fakt, iż, opisując kilkunastumiesięczny pobyt w Wenecji, ani jednego słowa nie poświęca pięknościom tej „królowej mórz“. Któryż z nowoczesnych literatów pozwoliłby sobie na to zaniedbanie!

I nie wystarcza mu na to sztuczna, wystrzyżona, wyperfumowana „natura“, w jakiej jego mecenas szukał letnich wywiezowań; nie, jemu trzeba prawdziwej, chłopskiej wsi:

...Byłem tak znudzony salonami, wodotryskami, strzyżonymi trawnikami, klombami i jeszcze bardziej nudnymi gospodarzami tego wszystkiego; tak przesyceni broszurami, klawikordem, triktrakiem, *węszkami*, mizernymi dowcipkami, mdłym mizdrzeniem się, lekkimi opowiastkami i ciężkimi kolacjami, że, kiedy zerknąłem przelotnie na prosty krzak głogu, na haszcze, spichlerz, łąkę; kiedy, przejeżdżając przez jakieś sioło, zaciągnąłem się parą dobrego omlotu z trybulką; kiedy słyszałem zdaleka prostą nutę piosenki pasterskiej, ślałem do diabła i ruż i falbanki i ambreg...¹⁾

Te słowa zamykają i grzebią dwuwiekowy blisko okres kultury francuskiej; genialny cham, dopuszczony do biesiady wytwornych państwa, napluł im w ich *blanc-manger* tak solennie, że stało się niepodobnem do jedzenia. Krzykiem generacji następującej bezpośrednio po nim, niezdolnej jeszcze do stworzenia nowych form, ale do szczeru zmierzonej dawnymi, będą *Listy panny de Lespinasse*.

Z końcem pierwszej części *Wyznań*, rozstaliśmy się z Janem Jakóbem Rousseau w chwili gdy, w wieku bliskim lat 30-tu, opuszcza ostatecznie nawpół macierzyńskie objęcia pani de Warens¹⁾, aby odtąd już samoistnie szu-

¹⁾ Omawiając pierwszą część *Wyznań*, wyraziłem przekonanie, iż pani de Warens oczekuje jeszcze swego biografa. Istotnie, niemal równocześnie, pojawiła się obszerna jej monografia (Benedetto: *Madame de Warens*, Paris 1914), oparta na nowych dokumentach i przynosząca wiele światła w kwestji tej dość zagadkowej egzystencji, której — jak można już napewno orzec — podstawą był rodzaj agentury, mającej na celu połów dusz protestanckich, i nawracanie ich, przeważnie zapomocą materialnych usług i nadziei, na katolicyzm.

kać sobie drogi życia na szerokim świecie. Przybywa do Paryża (1741), aby przedstawić Akademji projekt nowego klucza muzycznego; klucz okazuje się nieszczerólny, ale, bądź co bądź, otwiera mu drzwi do wielu wpływowych domów i pomaga zadzierżnąć cenne na przyszłość stosunki. Dzięki nim, muzyk-Rousseau zostaje nagle... sekretarzem ambasadora francuskiego w Wenecji. Nieporozumienia z tym dostojnikiem, jeszcze mniej kompetentnym do wykonywania swego urzędu niż jego sekretarz, wypędzają Rousseau'a z powrotem do Paryża, gdzie dalej uprawia z coraz większym rozgłosem muzykę, sekretarzuje w znacznym domu finansisty, pisuje liche komedijki oraz artykuły dla *Encyklopedji*, z której redaktorami wchodzi w zażyłość. Zawiazuje wolne stadło z nieokrzesaną dziewczyną, Teresą Levasseur, i ma z nią pięcioro dzieci, które, bez wyjątku, oddaje do domu podrzutków. Przypadkowo, wpada mu w ręce konkursowe zagadnienie Akademji w Dijon: *Czy rozwój sztuk i nauk przyczynił się do skażenia czy oczyszczenia obyczajów?* i, pewnego ranka, budzi się najgłośniejszym człowiekiem w Paryżu. „Wróżenie niebotyczne, porywające, donosi mu Diderot po wydaniu drukiem rozprawy; nie było przykładu podobnego tryumfu“.

Rozprawa ta, pamflet przeciwko cywilizacji, rozstrzyga nietylko o dalszej twórczości ale i o życiu pisarza. Rousseau nigdy nie umiał się dostroić do tonu *dobrego towarzysztwa*; chwyta tedy tę sposobność, aby uczynić ze swoich braków cnotę, dociąga praktykę do teorii, porzuca pudera, szpadę i żaboty, staje się rodzajem paryskiego Dyogenesa.

„...Byłem, w istocie, przeobrażony; przyjaciele, znajomi nie poznawali mnie. Nie byłem już tym człowiekiem nie-

zniałym, raczej wstydliwym niż skromnym, który nie umiał ani pokazać ani odezwać; którego żartobliwe słówko zbliżało z tropu, spojrzenie kobiety przyprowadzało o rumieniec, zmiana, dumny, nieustraszony, wnosiłem wszędzie pewność, niebie tem bardziej nieugiętą, iż była prosta i mieszkająca raczej w mej duszy niż w postawie. Wzgarda, jaką głębokie przemyślanie obudziło we mnie dla obyczajów, zasad i przeobrażeń epoki, czyniła mnie nieczułym na szyderstwa tych którzy je wyznawali; dławilem ich mizerne koncepty mojami sentencjami, tak jak się gniece owada w palcach. Jaka odmazna! Cały Paryż powtarzał ostre i gryzące sarkazmy tegoż samego człowieka, który, dwa lata przedtem i dziesięć lat potem, niezdolny był znaleźć myśli którą chciał wyrazić, ani słowa którego chciał użyć...“

Na prośby gorącej wielbicielki, żony finansisty, pani d'Épinay, Rousseau, wraz ze swą towarzyszką i jej matką, przenosi się do zbudowanej dlań *Pustelni*. W pierwszym upojeniu tym rozkosznym pobytem, czuje się przepelniony miłością bez przedmiotu, która wciela się w koncepcję *Nowej Heloizy*: niebawem, pierwsza spotkana kobieta wciela się w realnej postaci, i staje się równocześnie natchnieniem poczętego dzieła. Osobą tą była hrabina d'Houdetot, kuzynka pani d'Épinay, a kochanka nieobecnego wówczas Saint-Lamberta. I znowu powtarza się w życiu Jana Jakóba tak ulubiony mu tercet, tym razem w odmiennej postaci:

„...niesłusznie mówię *miłość niepodzielana*; ukochana moja podzielała ją; miłość była równa z obu stron, mimo iż nie była wzajemna. Byliśmy pijani miłością oboje: ona dla swego kochanka, ja dla niej; westchnienia nasze, nasze rozkoszne łzy zlewały się razem. Byliśmy wzajem dla siebie parą tkliwych powierników, uczucia nasze były tak pokrewne, iż niepodobnem było aby się nie schodziły poniekąd; wszew-

w samej pełni tego niebezpiecznego pijaństwa, ona nigdy nie zapomniła się ani na chwilę: ja zaś zaklinam się, przysięgam, iż, jeżeli, oszaleniony niekiedy zmysłami, kusilem się przywieść ją do niewierności, nigdy tego naprawdę nie pragnęłam...

Miłość ta, która, dla jego partnerki, była, zdaje się, kwestją próżnотki kobiecej i zapełnienia czasu, wciągnęła Jana Jakóba w sieć intryg i nieporozumień kobiecych i literackich, w następstwie których, rozgoryczony, chory, opuszcza Pustelnię. Osiada w Montmorency, żyje tam kilka lat spokojnie (1757—1762), aż do chwili, gdy, ogłosiwszy drukiem *Umowę społeczną* i *Emila*, i uchodząc przed pościgiem władz jako nań ściągnęły te dzieła, chroni się do Szwajcarii. Opis tułaczki po ziemi helweckiej, która okazała się nader niegościnną dla swego wielkiego syna, zamyka drugą część *Wyznań*.

O ile pierwsza część, poświęcona wrażeniom i marzeniom młodości, mniej lub więcej upoetyzowanym, mogła się obejść bez szczególnego komentarza, o tyle ta druga, w której Jan Jakób wchodzi w styczność z życiem rzeczywistym, opisuje je zaś pod kątem stanowczo rozwijającej się w nim manji prześladowczej, wymaga kilku słów objaśnienia. Docieczenie prawdy w sprawach dotyczących życia Rousseau'a i ujęcie ich w trafne oświecenie nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Proces pisarza, który on sam rozpoczął swoim samooskarżeniem i apologją — razem, daleki jest od ukończenia. Mało jest artystów i myślicieli, którychby sława — za życia i po śmierci — przechodziła takie falowania i wywoływała tak jaskrawe kontrowersje. Za życia, o ile Rousseau miał, to prawda namiętnych wrogów (nie tylu i nie w tym stopniu jak sam mniema), o tyle miał i fanatycznych wielbicieli. Kul-

ten spotęgował się jeszcze w pierwszym okresie po śmierci pisarza, kiedy wiele jego idei czy szaleństw zaczęło się wcielać w czyn, a płomienna jego dialektyka stała się pierwowzorem republikańskiej wymowy. W miarę jednak, jak, z biegiem lat, aktualność ideowa Rousseau'a zaczyna przechodzić do historii, a dzieło jego trwa nadal już w dziedzinie literatury, bierze górę, odnośnie do tego autora, coraz większa reakcja, oparta przede wszystkim na łatwo dającej się wyczuć żywiołowej antypatii.

Przyczyn do tego jest wiele. Po pierwsze, jego *Wyznania*. Obnażywszy się tak bezprzykładnie za całą ludzkość, Rousseau ponosi konsekwencje tego gestu, który, mimo wszystkich zapewnień autora, powabny ani sympatyczny nie jest. Powtórę, typ jego umysłowości. Rousseau nie jest rasowym pisarzem francuskim: piśmiennictwo francuskie nie może się, mimo wszystko, powstrzymać nieraz od niechętnego zachnięcia wobec konieczności przyjęcia go w poczet swych najpierwszych luminarzy. Nie jest rasowym Francuzem nie tylko przez swe pochodzenie, przez swój szwajcarski protestantyzm, przez fanatyzm nie złagodzony owym wrodzonym sceptycyzmem którego miły uśmiech stanowi tak znamiennej cechę francuskiej kultury, ale także przez absolutny brak smaku i tego co nie da się wyrazić w innym języku a co Francuz nazywa *esprit*. Rousseau'a można było, w danym stanie dusz i umysłów, wielbić jako myśliciela, wyznawać jako proroka — niepodobna go prawie lubić jako pisarza.

Dalej, jego legenda. Istnieją, co prawda, dwie legendy Jana Jakóba, biegnące, w ciągu lat, równolegle obok siebie, lub też kolejno, naprzemian, biorące górę. Jedna, która wyposaża „obywatela genewskiego“ we wszystkie

enoty stoiczne, rzymskie i arkadyjskie: to ta, która utrzymywała się wśród „maluczkich“ i która służyła za kanwę panegirystom jego z czasów Rewolucji. Podstawę do drugiej legendy stanowią — można powiedzieć — wszystkie ujemne fakty z których spowiada się z takim zapalem w *Wyznaniach*, ale zabarwione tak, jak się mogły przedstawiać chłodnemu i nieżyczliwemu spojrzeniu jego wrogów. Gorzej jeszcze! utarło się przez długi czas w krytyce literackiej wierzyć słowom Rousseau'a wówczas gdy się oskarża, uważać je za kłamstwo tam gdzie się uniewinnia. Niemala przyczyniły się do tego t. zw. *Pamiętniki pani d'Épinay*, ogłoszone drukiem z początkiem XIX w. i przez długi czas brane w rachubę, przez wybitnych nawet krytyków — między innymi Sainte-Beuve'a — jako poważny dokument odnośnie do biografii Rousseau'a ¹⁾.

¹⁾ Nowsza krytyka coraz bardziej podkopywała autentyczność i znaczenie tych „pamiętników“; w ostatnich zaś latach cenne rewelacje panny Macdonald (*La légende de Jean-Jacques Rousseau*, Paris 1909, przekład z angielskiego) obalily doszczętnie wszelką ich wartość jako dokumentu. Panna M. znalazła rękopis tych rzekomych Pamiętników z którego niezbicie wynika, iż jestto poprostu swobodnie przez panią d'Épinay pisany romans w formie pamiętnika, i że, co więcej, po zerwaniu stosunków z Rousseau'em, pani d'Épinay, po części pod dyktandem Diderota i Grimma, przerobiła go całkowicie, obciążając, w tej nowej redakcji, Rousseau'a mnóstwem tendencyjnych rysów, sprzecznych z pierwotnym tekstem. Pamiętniki te, zanim dostały się do druku uległy jeszcze nowym przeróbkom. *Pamiętniki pani d'Épinay* miały być, w tej wersji, niewątpliwie odpowiedzią na *Wyznania*, które Rousseau oddawna zapowiadał, za życia jeszcze odczytywał w paryskich kołach, a które, po śmierci jego, obiegały w odpisach, zanim je wreszcie ogłoszono drukiem.

Wogóle, nie mogło ujść bezkarnie pamięci pośmiertnej Jana Jakóba to, iż, za życia, poróżnił się, można powiedzieć, ze wszystkim, co stanowiło elitę świata piśmienniczego i umysłowego Francji. Historia tych nieporozumień, u ich samego źródła, wypełnia znaczną część drugiej połowy *Wyznań*; akta tych zająć zbadane są przez krytykę literacką tak dokładnie chyba jak wogóle możliwe: każde słowo, każdy wiersz korespondencji przepatrzone, zestawiono i roztrząsnięto na wszystkie sposoby. Mimo to, wylaniają się wciąż nowe interpretacje; spór ten jest, pod wieloma względami, do dziś nierozjaśniony, i, jak sądzę, zawsze pozostanie ciemny, gdyż pobudki jego kryją się w nieprzeniknionych głębiach serca ludzkiego: a trudniejszym jeszcze do rozświetlenia czyni go ta okoliczność, iż, w wydarzeniach tych, spletają się czynniki doniosłe i wielkie z nieskończeniem błahymi i małymi; walki idei mających świat odrodzić, obok światowych intryzek kobiecych, lub jeszcze innych elementów, wręcz gminnych i niskich. Wogóle, cała ta dziwna sprawa ma kilka planów i przekrojów; spróbuję je w paru słowach choć zaznaczyć.

Po pierwsze, stosunek Rousseau'a do t. zw. „filozofów“. Stronnictwo *encyklopedystów*, zmuszone do walki na kilka frontów, stanowi, w ówczesnym paryskim światku, niby sektę niezmiernie solidarną, zazdrosną o swój wpływ, w najwyższym stopniu despotyczną, i — w zakresie swoich pojęć — pozbawioną tolerancji. Rousseau, w początkach luźno z nimi związany, jest dla nich zawsze człowiekiem niepewnym: instynktem czują w nim drżącą, zagadkową siłę, a nie wiedzą w którym kierunku

się obróci¹⁾. Chcieliby mieć nań wpływ (dopóki Rousseau mieszkał w Paryżu, Diderot miał nań wpływ bardzo znaczny), trzymać go pod ręką: stąd owo niezadowolenie z emigracji Rousseau'a do *Pustelni* i dość dwuznaczne zabiegi celem ściągnięcia go z powrotem. Przytem, ten obieżyświat, ten samouk, ten muzykus, ten „chłystek“ (jak stale nazywa Rousseau'a baron d'Holbach, amfitrjon *Encyklopedji*), posiada jakiś dziwny, niepojęty dar, iż wszystko co czyni, pociąga ku niemu oczy wszystkich i połączone jest stale z niebывалым rozgłosem! Jest niby muzykiem; mozoli się nad jakimś utopiynym systemem nutowym; naraz, wystrzela konkursową broszurą najeżoną paradoksami: zdobywa nagrodę Akademji, broszura jest rozchwytywana, stanowi wypadek dnia, uświetniony jeszcze szermierką dialektyczną z królem polskim. I znowuż, po tem pasowaniu na „filozofa“, zamiast użytecznie pracować w szeregach encyklopedystów, którzy gotowi są przyjąć go za swego, pisze operę: wystawiają ją na dworze, pani de Pompadour się zachwyca, król chce widzieć autora, dać mu pensję ze swej szkatuły — ten szalenie ją odrzuca. Zaledwie zdobywszy znów ostrogi w muzyce francuskiej, występuje z pamfletem odmawiającym tejże francuskiej muzyce racji istnienia: znów hałas, wrzawa nie do opisania, powódź polemik, broszur. Więcej jeszcze: nowo kreowany filozof wprowadza swoje dzikie maksymy w czyn: dziwaczne przebraniem, trybem życia i diogenicznie-gburowatemi odpowiedziami ściąga na swe pod-

¹⁾ Istotnie, obróciła się przeciwko nim: Chateaubriand, wcielający w siebie reakcję romantyczno-chrześcijańską przeciw racjonalizmowi XVIII w., jest synem duchowym Rousseau'a.

dasze cały wielki świat Paryża. Doprawdy, ten wieczny wciąż niespodziewany Jan Jakób zaczyna być niecierpliwący!

Z drugiej strony, światek kobiecy. Znanem jest zamilowanie modynych pań do oblaskawiania genjalnych „niedźwiedzi“ (*mon ours*: tytuł powtarzający się często w listach świetnych przyjaciółek Jana Jakóba): to wdzięczne zadanie wzięła na siebie pani d'Épinay, robiąc zresztą na tem, odnośnie do swoich światowych i literackich aspiracji, znakomity interes¹⁾. I otóż, ten prawdziwy niedźwiedź, ten niewdzięcznik, pomieszczony przez nią w zbudowanej dlań umyślnie *Pustelni*, ośmiela się zakochać — w kim innym! Ależ to policzek w oczach Europy! i w kim jeszcze? w znenawidzonej bratowej, w pani d'Houdetot! Wśród tego światka, operuje Grimm, przybysz niemiecki, karjerowicz, człowiek zdolny, niepospolitej wytrwałości i sprytu, chłodny i bezwzględny. Ten Grimm zna się na ludziach i wie jak ich użyć: przyjaźń Diderota starczy mu na całe życie za kopalnię myśli i sądów krytycznych; Rousseau, skoro mu raz dopomógł do brodnusznia do wejścia w „piękny świat“, nie zda mu się już na nic, mógłby go jedynie zaćmiewać na terenie na którym się wspólnie obracają. Wprowadzony przez Rousseau'a do domu pani d'Épinay, zostawszy jej kochankiem, Grimm nie ma ochoty znosić

¹⁾ Zabawnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie kiedy Rousseau, nawpół wypędzony przez nią, opuszczał „Pustelnię“, pani d'Épinay przyjmowała w Genewie deputację obywateli, składających jej hołd za opiekę i przyjaźń okazane ich wielkiemu ziomkowi. Pani d'Houdetot też doczekała się apoteozy: Rewolucja otoczyła ją nimbem, jako uwielbianą Muzę Jana Jakóba, i ten nimb pozostał jej do końca życia.

w jej pobliżu człowieka mającego prawa dawniejszej przyjaźni, a przerastającego go o ileż głów talentem i urokiem. Odtąd, programem Grimma, — świadomym czy instynktownym — będzie zatruć „pustelnikowi“ życie na dworze pani domu tak, aby musiał opuścić swą pustelnię. Wszystkie są motywy dość ludzkie i zrozumiałe, nie potrzeba szukać poza nimi „spisku“, w jaki później, z perspektywy momentu pisania *Wyznań*, Rousseau wierzył tak niezlomnie.

Istotnie, ciekawem jest, czytając *Wyznania*, patrzeć jak w tej sieci, usnutej, może bez świadomej intencji działających osób, z tylu rozmaitych nitek, miota się biedny, genialny niedźwiadek, pomiędzy dwuznaczną a wścibską przyjaźnią Diderota, chłodną zawiścią Grimma, draśniętą ambicją pani d'Épinay, głupotą Teresy, interesownością starej Levasseur, niefrasobliwą i nieodpowiedzialną zaletotnością *mondaine'y* na świeżem powietrzu, pani d'Hou detot! Jak śle na wszystkie strony epistoły, w których geniusz jego pisarski utrwala w nieśmiertelność blahostkę przeważnie niewarte wzruszenia ramion! Aby zrozumieć stan psychiczny Rousseau'a w tej całej przygodzie, trzeba pamiętać (obok momentów uwydatnionych w *Wyznaniach*), że ten, do lat trzydziestu, „mały“ pani de Warens był również — prawie od samych początków — zepsutym dzieckiem Paryża, przyzwyczajonem do bezgranicznej poślizgniętości; w ostatnich zaś czasach był bożyszczem wielkiego świata, obcałowywanem, w zamian za swe grubiaństwo, przez najwytworniejsze damy. Czytając *Wyznania*, w których Rousseau mówi aż do przesytu o różnych swoich fizycznych przypadłościach i dolegliwościach, jawi się również ciągle kładzie nacisk na swą ciężkość, niezręczność

towarzyską, itd., możnaby mieć wrażenie, jakoby stanowił zjawisko raczej odpychające. Tymczasem, zarówno świadectwa współczesne, jak i sam fakt przyciągania do siebie coraz to nowych entuzjastów i przyjaciół, zwłaszcza wśród kobiet, każą wnosić, iż osoba Jana Jakóba musiała wywierać — zwłaszcza w początkach znajomości — ten sam potężny urok, który tak czarował w jego pismach.

Przeznaczeniem Rousseau'a było stać się na każdym polu odrodzicielem swej epoki. Podobnie jak otworzył oczy ludziom na naturę, tak samo przypomniał istnienie *miłości* temu światu, który, przez nadużycie rozkoszy i dowcipu, zatracił niemal jej pojęcie. *Nowa Heloiza* stała się uderzeniem różdżki w jałową opokę tych serc przeżytych i wyschłych; z tych podkreślonych barwiczką oczu trysnął strumień łez; i piękne panie pozwoliły im płynąć swobodnie, zapomniawszy na chwilę o bruzdach, jakie znaczą w pokładzie rużu i bielidla. Znowuż odwołam się do *Listów panny de Lespinasse*, jako do wyrazu tej cudownej przemiany.

Notując to odrodzenie, które, w konsekwencjach, przerodziło się nieraz w bardzo podniosły idealizm, nie zapominajmy, iż źródłem z którego ono wyszło jest najpłomienniejsza zmysłowość jaką zna literatura, i nie tylko zmysłowość; zmysłowość człowieka którego całe życie było daremnem pragnieniem kobiety i u którego rozpędowe kółko twórczości obracało się wyłącznie poruszane tym motorem. Oto znamienne w swojej szczerości wyznanie tego apostoła „powrotu do natury“.

...Zresztą, szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusiły mnie wcale; trzeba mi było wykwinąć panien. Każdy ma swoje fantazje: moja była zawsze taka, i nie godzę się

bynajmniej z Horacym na tym punkcie. To, co mnie w tem pociąga wszelako, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu: nie, to lepiej utrzymana pleć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor wykintu i schludności w całej osobie, więcej smaku w sposobie bycia i wystawiania się, suknie z cieńszej materji i lepiej skrojone, zgrabniejsze trzewiczek, zastążki, koronki, lepiej utrefione włosy. Dalbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byleby miała to wszystko. Sam uważam to wyróżnienie za śmieszne, ale serce nie pyta mnie w tem o zdanie...

Zmysłem tego wyrafinowanego plebejusza potrzeba wielkich dam, od których dzieli go własna nieśmiałość i niezgrabstwo, dzielą zapory społeczne, towarzyskie: *ergo*, ustrój społeczeństwa jest zły, trzeba je przebudować lub zburzyć! Na razie zaś, zostawiając troskę o tę przebudowę przyszłym pokoleniom, schronić się w lesie, i zmusić wielkie damy aby przyszły go tam szukać: i to mu się udało.

A posłuchajmy tego ustępu, w którym kreśli „największą, jedyną“ miłość swego życia: w bezwzględnej swojej szczerości, Rousseau zdaje się nie przeczuwać nawet, aby miłość, poza dręczącym go wciąż problematem nasycenia zmysłów, miała jakąkolwiek inną stronę:

„...I niechaj nikt sobie nie wyobraża, że zmysły zostawiał mi nie przy niej w spokoju, jak koło Teresy i *mamusi*. Powiedziałem już, tym razem była to miłość, i to miłość w całym jej napięciu i całym szaleństwie. Nie będę opisywał ani wzruszeń, ani drżenia, ani palpacyj, ani konwulsyjnych skurczów, ani omdleń serca których doświadczałem nieustannie: można będzie sądzić o mym stanie z wrażenia, jakie sam jej obraz czynił na mnie. Wspomniałem, iż z *Pustelni* do *Eaubonne* był spory kawałek drogi: szedłem zazwyczaj przez wzgórze Andilly, które są urocze. Idąc, marzyłem o tej

którą miałem ujrzeć, o serdecznem powitaniu jakie mi zgotuje, o pocałunku który mnie czeka za przybyciem. Sam ten pocałunek, ten złowrogi pocałunek, zanim go nawet otrzymałem, rozpałał mi krew do tego stopnia, iż w głowie mi się mąciło, émiło w oczach, drżące kolana nie mogły mnie utrzymać; byłem zmuszony zatrzymać się, usiąść; cały organizm znajdował się w niepojętym bezładzie: bliski byłem omdlenia.

Czytając drugą część *Wyznań*, a zwłaszcza jej epizod z *Pustelni*, o wielu jeszcze rzeczach trzeba by pamiętać, aby w należytem świetle zrozumieć ton tych korespondencyj, tych ciągłych deklamacyj o cnocie, przyjaźni, etc. Warunki epoki, w której toczą się owe wypadki, były bardzo różne od tych w których my żyjemy. *Przyjaźń, przyjaciel*, te słowa miały w XVIII w. inną wagę, niż ta którą przyznajemy im dzisiaj, gdy nowożytny warunki istnienia zapewniają każdemu obywatelowi bodaj *minimum* uregulowanej egzystencji, opartej przedewszystkiem na sobie samym, na prawie i na instytucjach. Jeżeli, mimo wszystko, i dziś t. zw. „stosunki“ tak znaczną odgrywają rolę, cóż dopiero było w epoce, gdzie wszystko stało dowolnością i względami osobistymi? W społeczeństwie przytem tak towarzyskiem jak francuskie, paryskie raczej, człowiek ważył tylko tyle, ilu i jakich miał przyjaciół: bez tego, wszystkie drogi miał zamknięte, lub w najwyższym stopniu utrudnione; co więcej, jeśli bodaj trochę szedł na przebój lub miał sposobność się narażać, każdy go mógł pozbawić czci, mienia i wolności¹⁾

¹⁾ Jeden przykład wśród tysiąca: młody literat Clément, za *krytykę literacką* arcynudnego poematu Saint Lambert'a (tego samego, który odgrywa taką rolę w *Wyznaniach*) *Pory roku*, został, dzięki osobistym stosunkom autora, osadzony

Stąd, strata przyjaciół, osamotnienie, równało się niemal śmierci cywilnej. Dlatego może tyle i tak ustawicznie słyshi się wówczas o przyjaźni; niezależnie od pobudek sercowych, każdy, zwłaszcza wśród świata literackiego, robi przegląd swoich „przyjaciół” z takim uczuciem, z jakim dziś przegląda się w kasie ogniotrwalej pewne walory i police asekuracyjne.

Toż samo owo nieustanne moralizowanie, te deklaracje o enocie, zasadach, jakich pełne jest ówczesne piśmiennictwo, trzeba brać również z perspektywy epoki. Filozofja XVIII w. podkopywała zdecydowanie kryteria moralne religji; o ile tedy nie zamierzała zepchnąć ludzkości do poziomu bydła, poczuwała się do obowiązku stworzenia nowych, własnych kryterjów. To, świeżo na własny użytek stwarzane *świeckie sumienie*, musiało być z natury rzeczy, drażliwsze i bardziej agresywne. Podczas gdy człowiek oparty o tradycje religijne (choćby tylko formalnie) zniesie doskonale, w swoim postępowaniu, nawet nie zastanawiając się nad tem, uczynki będące w jaskrawej sprzeczności z wszelką elementarną etyką, „filozof”, będący sam dla siebie trybunałem etycznym i zmuszony samoistnie rozwiązywać każdą kwestję, ciągle znajduje się pod wysokim ciśnieniem moralnem. Jeżeli mu to nie przeszkadza czynić źle, zmusza go, co najmniej, do stworzenia, w każdym dotyczącym wypadku, odpowiedniej *ad hoc* frazeologii.

w więzieniu *Fort-l'Évêque*, a broszura jego wstrzymana w obiegu. Clement wprawdzie rychło wydostał się z więzienia jednakże z pewnością nie siłą swej niewinności, ale znowu dzięki zabiegom *przyjaciół*. Bezpośrednia przyczyna uwiezienia Diderota była niemal jeszcze blahsza.

Jako przykład w tej mierze, może służyć sposób, w jaki Rousseau odnosi się w *Wyznaniach* do sprawy niezmiernie tutaj ważnej, do postąpienia z własnymi dziećmi.

Była to paląca kwestja jego życia; kwestja stanowiąca tak namacalną sprzeczność z jego dziełem i grożąca taką plamą na jego pamięci, iż, być może, dla jej poruszenia podjął on wogóle spisanie swych zwierzeń. Nie jest bowiem prawdą, jakoby tajemnice te zdradził z własnego popędu; był to niewątpliwie fakt szeroko znany, który wrogowie wygrywali przeciw niemu (*Sentiments des citoyens*), i, jeśli pisze o nim, to dla oświecenia go na swój sposób. Kto wie, jeżeli Rousseau tak wydobywa na jaw wszystkie swoje błędy, niegodne nieraz wspomnienia, jeżeli z taką emfazą obwinia się, jako o *największą zbrodnię swego życia*, o głupią historję ze skradzionym kawalkiem wstążki (Część I-sza), kto wie, czy to wszystko, u tego pierwszorzędnego znawcy psychologii czytelników, nie ma instynktownie na celu przygotowania tła i nastroju, w którymby owo jęgo naprawdę ciężkie wyznanie dało się przemycić. Niechaj czytelnik zważy dokładnie wszystkie ustępy, gdzie Rousseau mówi o pobudkach swej decyzji: cóż za sofistyka w przedstawieniu sprawy! ile sposobów niesprawiedliwienia, z których jeden stoi w sprzeczności z drugim!

Istotnie, mimo całego mistrzostwa Jana Jakóba w szeromowaniu paradoksem, tych pięciorgo dzieci, konsekwentnie z lekkim sercem zaprzepaszczonych w domu podzatków, to fakt nielatwy do przelknięcia dla tego samogwałtowego nauczyciela „enoty”, dla autora *Emila*, w którym narzuca się światu jako prawodawca wychowania,

dla apostoła macierzyństwa, który wymową swą sprawił, iż piękne panie każą przynosić sobie niemowlęta do łoża Opery, aby je tam karmić publicznie. Ciekawy to przyzwykłość do problemu, do jakiego stopnia u Rousseau'a linja talentu pociągnęła za sobą linję życia¹⁾ i podniosła go na wyżyny, do których charakter jego i poziom moralny zupełnie był nieprzygotowany. „To karzeł na szczudłach”, powiada o nim, w chwili podrażnienia, pani d'Épinay; mimo to, w tem powiedzeniu jest tylko część prawdy, i może nie najistotniejsza; — reszta kryje się w przepastnych mrokach istoty twórczości i genjuszu...

Wydarzenia, które spowodowały rozstanie się Jana Jakóba z *Pustelnią*, wywarły niezmiernie doniosły a opłakany wpływ na dalsze życie pisarza. Postradał, od jednego zamachu, wszystko co mu było drogie; sam chory, odcięty od ludzi, przeczuwał — i wiedział zresztą z doniesień uczynnych bajczarzy — że zatarg jego, komentowany najnieprzychylniej, jest legendą całego Paryża, że krąży tam z rąk do rąk własne jego listy nieopatrznie pisane w chwili podniecenia, list Diderota do Grimma, kreślący

¹⁾ Niemniej ciekawym jest ustęp w *Wyznaniach*, opowiadający (Tom drugi) jak jego niedomaganie pęcherza stało się główną przyczyną, iż uchylił się od audjencji u króla i przyjęcia pensji królewskiej, a w następstwie pchnęło go w objęcia ideologii republikańskiej. Zważywszy olbrzymi wpływ Rousseau'a na kształtowanie się umysłowości współczesnej, a zwłaszcza jej dynamikę, można sobie, bez cienia żartu, zadać pytanie, czy, gdyby pęcherz jego był zdrowszy, czy Rewolucja francuska byłaby przyszła do skutku, a, w każdym razie, czy w tej samej formie?

w strasznych barwach wrażenia ostatniej bytności „filozofa” w *Pustelni*, etc. Można przypuszczać, że i Rousseau nie odmawiał sobie satysfakcji oświecenia po swojemu aktów sprawy; miał potemu sposobność tem bardziej, ile że niebawem osamotnienie jego zmieniło się w otoczenie świetniejsze niż kiedykolwiek mógł zamarzyć. Serdeczna przyjaźń i opieka jaką otoczyli go marszałkostwo de Luxembourg, a za ich pośrednictwem hrabina de Boufflers, księżę Conti, sam kwiat dworskiego towarzystwa, musiała być dla pani d'Épinay i jej koterji niemiłą niespodzianką. Znając drażliwość i pobudliwość wyobraźni Rousseau'a, znając jego skłonność do wynurzeń, nie mogli mieć złudzeń aby ich nadto oszczędzał. Jeszcze bardziej niepokojąco musiał podzielać zamiar spisania pamiętników, który to zamiar musiał wcześniej już dojść do ich uszu, choćby ze wzmianki w liście Rousseau'a do Duclosa. O ile tedy wypadki w *Pustelni* w których Rousseau, patrząc z późniejszej perspektywy, dopatrywał się tajemniczego „spisku”, były, jak się zdaje, poprostu szeregiem nieporozumień, których główne źródło tkwiło w pospolitych antypatjach literackich i zazdrostkach kobiecych, a przede wszystkim w stanie nerwowym samego pisarza, o tyle po zerwaniu, tak pani d'Épinay, jak i grupa „filozofów”, nieustannie, w obawie o własną skórę, obserwują Jana Jakóba, starają się wszędzie zneutralizować jego wpływ, odwrócić odeń ucho i wiarę ludzi z nim sympatyzujących, — słowem, obwarować się przed jego niebezpieczną urazą. A trzeba pamiętać, że, jak już zaznaczyłem, koterja, której Rousseau się naraził, składała się z najbardziej wybitnych, ruchliwych i solidarnie trzymających się ludzi, których wpływy sięgały daleko poza

granice Francji ¹⁾. Rousseau czuje to: czuje, że, gdziekolwiek się ruszy, niewidzialna ręka stara się odwrócić odeńsympatję, stara się go pomniejszyć i okryć śmieszością. Widzi zapewne więcej niż było w istocie: widzi celową intrygę wrogów w wypadkach, które, w znacznej

¹⁾ Niemalą siłą w rękę Grimma i jego koterji była *Correspondance littéraire*, rękopiśmienny dwutygodnik, który tenże, z współpracownictwem Diderota, pani d'Épinay, a w ostatnich latach Meistera, wydawał, przez 40 lat blisko, na użytek większości koronowanych głów i co najznamienitszych dostojników Europy. W piśmie tem, doskonale redagowanym, otrzymywali wysoko położeni abonenci przegląd najświeższych wiadomości paryskich, wolnych tu od knebla cenzury, ile że *Correspondance* była tajna, abonowana i przesyłana pod ścisłą dyskrecją. Było tam i sprawozdanie z ostatniej premiery, i plotka towarzyska, nieraz bardzo drastyczna, i wyciąg wszystkich, nawet najblahszych nowości literackich i wreszcie swobodne omówienie wypadków dnia. Łatwo zrozumieć, iż, odnośnie do kształtowania opinii, dziennik taki stanowił siłę, z którą dzisiejsza prasa, jawna, dająca możność dyskusji i polemiki i zresztą neutralizująca się wzajem, ani w przybliżeniu równać się nie może. Nie potrzeba dodawać, że *Correspondance* była oficjalnym organem koterji „filozofów, i że wszystkie hymny pochwalne — z wielką wszelako miarą i smakiem — są w niej na cześć świeczników *Encyklopedji*. Panna Macdonald, partyzantka teorii „spisku“, zestawia ustępy *Correspondance* dotyczące Rousseau'a i dopatruje się w nich konsekwentnego działania celem zgubienia pisarza w opinii Europy, oraz denuncjowania go niejako właśnie w epoce, kiedy, uchodząc z Francji, w tejże Europie musi szukać gościny. Faguet nie godzi się z tem zapatrywaniem i raczej skłonny jest dziwić się umiarkowanemu tonowi Grimma odnośnie do Jana Jakóba. Dla własnej ciekawości, przewertowałem, w kilkunastu tomach *Correspondance*, wszystko, co w niej dotyczy osoby i pism Rousseau'a: oczy-

części, były naturalnem następstwem jego śmiałych i nowatorskich wystąpień ¹⁾. Wygnanie jego po *Emilu*, tulaćka po Szwajcarii, orgja pamfletów i oszczerstw jakie mu w niej towarzyszą, wreszcie epizod „kamienowania“ w Motiers — mniej groźny zresztą, jak się zdaje, w rzeczywistości, niż go przedstawia wyważona z trybów wyobraźnia pisarza — wszystko to stanowczo mąci jego umysł, zmieniając wrodzoną podejrzliwość w kliniczną już manję prześladowczą, z szeregiem towarzyszących objawów, jak halucynacje słuchowe, etc.

W którymś z listów swoich w tej sprawie, Diderot pisze:

wiście, życzliwem stanowisko Grimma nie jest, ale jakież mogło być inne w stosunku do pisarza, który mu był antypatyczny ideowo a wrogi osobiście? Jakiegoś planowo wytyczonego działania wręcz na zgubę pisarza trudno mi się było dopatrzeć w tych ustępach, które zresztą rozprószone są na przestrzeni szeregu lat.

¹⁾ Trzeba mieć na uwadze, że Rousseau był, w swojej epoce, jedynym pisarzem, poruszającym doniosłe kwestje filozoficzne i społeczne, który p o d p i s y w a ł swoje utwory. Było utartym zwyczajem, iż autor ogłaszał, w takim razie, swe pisma bezimiennie, a nawet, w razie potrzeby, wręcz ich się wypierał, na co władze patrzyły chętnem okiem, ponieważ ta cicha umowa uwalniała je od niepopularnych represji. Mimo takich ostrożności, tak Wolter jak i Diderot, i tylu innych, zapoznali się, w swoim czasie, z więzieniem. Zagadkową jedynie, w całej sprawie wydania *Emila*, jest nieopatrność pana de Malesherbes, człowieka którego charakter stoi tak wysoko, iż nawet Rousseau, mimo tak fatalnego obrotu sprawy, nigdy, ani na chwilę, nie obrzucił go najlżejszem podejrzeniem. Zdaje się, trafnem jest tu wyrażone przez Rousseau'a przypuszczenie związku odnośnego stanowiska Parlamentu w sprawie *Emila* z spadającym na tę chwilę wygnaniem zakonu Jezuitów.

„Gdyby Jan Jakób miał mieć słuszość, zbyt wielu uczciwych ludzi znalazłoby się pod przegierzem“. W istocie Toteż, w odnoszeniu się francuskiej krytyki literackiej do tej zawilej sprawy, czuć wyraźną niechęć do wyciągnięcia konsekwencji, któreby przyznawały słuszość niektórym bodaj domysłom i podejrzeniom Rousseau'a zwłaszcza co się tyczy Diderota. W zakłopotaniu swoim i trudności pogodzenia niektórych faktów, znalazła sobie też krytyka innego kozła ofiarnego: Teresę Levasseur. Trzeba przyznać, że już co biedna Teresa „prasę“ miała fatalną. „Panna Levasseur była nieokrzesana, głupia, zazdrosna, obmowna, zgryźliwa, kłótniwa, podejrzliwa, swarliwa, sprzeczną, kłamliwą, i opanowana przez rodzinę, która była gniazdem hultajów. Wszyscy współcześni Rousseau'a zgodni są na tym punkcie“¹⁾. Oto próbka tonu, w jakim odnoszą się do niej biografowie pisarza, w szczególności nowoczesna krytyka. We wszystkim, co jest niejasnego w zatargach Rousseau'a z otoczeniem, mówi się: Teresa. Teresa podsycala, przez głupotę i zawiść, jego chorobliwą podejrzliwość, Teresa poróżniła go z przyjaciółmi, Teresa całe życie otwierała jego listy (jeden z ważnych punktów w urojeniach Rousseau'a), Teresa wmawiała weń, wszędzie gdzie jej się pobyt dłużył, że otoczenie i ludność dybie na bezpieczeństwo Jana Jakóba. Teresa zdenuncjowała go przed Saint-Lambertem, obciążając równocześnie przed nim samym panią d'Épinay fałszywymi zeznaniami; Teresa wreszcie powtarzała mu kredensowe plotki odnośnie do owego słynnego wyjazdu do Genewy, stając się tem samem bezpośrednią przy-

¹⁾ Faguet: *Vie de Rousseau*.

czyną dramaciku w Pustelni. Niechże i tak będzie. Tyle jest pewne, że Teresa, jako niepiśmienna, najwierniej uniósła swą tajemnicę do grobu.

Kto, w stosunku do Jana Jakóba, odegrał wprost szpetną rolę, to Wolter, najmniej przez Rousseau'a, mimo jego podejrzliwości, o to podejrzewany. Jeżeli chodzi o okres — jedyny w życiu pisarza kiedy cierpiał istotne prześladowanie — okres tułaczki po Szwajcarii — to, niewątpliwie, Wolter umaczał w niej rękę: a miał jej długie, i przez wpływ swej olbrzymiej korespondencji ze wszystkim niemal co było możnego i oświeconego w Europie, i przez ulotne, jadowite i potwarcze pamflety, ja-kieli, w tej sprawie, nie wahał się bezimiennie wypuszczać. Najohydniejsze pisma (jak np. *Sentiments des citoyens*, *Lettre au docteur Pansophe*), o które Rousseau pomawiał zupełnie kogo innego, pochodziły — jak dziś niewątpliwie stwierdzonem zostało — z „fabryki“ Wolterowskiej. W cynizmie swoim, Wolter nie wzdragał się przybrać maski świętoszka, aby domagać się wręcz gardła pisarza, który targnął się na — dogmaty religii! Dla Woltera był Rousseau zawsze owym „chłystkiem“, który ośmielił się podzielić z nim zachwyt i podziw Francji i Europy; co więcej, odważył się go zaczepić (niewinnie, co prawda, i z większą emfazą niż dokuczliwością) w tem co stanowiło największą pasję jego życia, t. j. teatr¹⁾. Jakaż kara byłaby za wielką dla takiego zuchwalca!

¹⁾ Wolter, mieszkający wówczas w *Délices* pod Genewą, marzył o tem, aby w tem mieście stworzyć teatr, którego brak czynił mu pobyt zdalą od Paryża dolegliwym. Za jego inspiracją, a może i z jego współpracownictwem, d'Alembert, pracując dla *Encyklopedji* artykuł p. t. *Genewa*, wyraził

Pozostaje mi w kilku słowach skreślić koleje Rousseau od chwili gdy urywa się wątek jego *Wyznań*. Opuściwszy wyspę Saint-Pierre, udał się do Strassburga, gdzie przyjęty nader życzliwie, pozostał przez jakiś czas, zastanawiając się nad wyborem schronienia. Wahał się głównie między Berlinem, gdzie byłby go rad widział Fryderyk II, a Anglią. Od kilku już lat, znakomity filozof i historyk angielski, Dawid Hume, gorący wielbiciel Rousseau'a, starał się, przez kobiety których był bożyszczem, ściągnąć wygnańca do Anglii, ofiarując mu swoje mieszkanie. W tym duchu nakłaniała Rousseau'a pani de Boufflers, już wówczas gdy opuszczał Francję. Zgodził się wreszcie, i, przejechawszy przez Paryż, gdzie zatrzymał się w dawnym monastyrze *Temple*, rezydencji księcia Conti, miejscu które odwieczna tradycja czyni wolnem od pościgu prawa, przybył, w styczniu 1766, do Londynu. Zamieszkał w zameczku Wooton, należącym do p. Davenport, przyjaciela Hume'a; stosunki między oboma filozofami zaczęły się jak najpomyślniej. Niebawem jednak, usposobienie Rousseau'a odmieniło się fatalnie. Dzienniki angielskie pozwoliły sobie na parę złośliwych conceptów pod jego adresem; obiegał między publicznością sfingowany list, jakoby Fryderyka II d

w dłuższym ustępie, żal, iż miasto tak oświecone nie posiada teatru. W odpowiedzi, Rousseau wystosował słynny *List d'Alemberta o widowiskach*, w którym broni „czystości obyczajów“ swego rodzinnego miasta przed niepowołanymi matorami. List ten, będący równocześnie pamfletem przeciw teatrowi i wytaczający proces tej instytucji w osobie najświetniejszego jej przedstawiciela, Moliera, zyskał olbrzymi rozgłos i wywołał polemikę, liczącą blisko 400 pism i broszur

Rousseau'a ¹⁾, ośmieszający niezbyt dotkliwie tego ostatniego; równocześnie szaleją dalej inwektywy w Szwajcarii; pojawia się jadowity pamflet Woltera *List do doktora Panzofa*. Do tego, Teresa Levasseur, która, nudząc się, nie znając języka, nie umiając sobie wytworzyć *modus vivendi* ze służbą w zameczku (właściciele byli nieobecni), starała się uprzedzić Rousseau'a jak najgorzej do pobytu w Anglii. Nieszczęśliwy pisarz, w straszliwym stanie duchowym, drażniony, judzony ze wszystkich stron, zaczynający wówczas już ulegać halucynacjom słuchu, począł roić sobie całą sieć intryg, których twórcą miał być przedewszystkiem Hume. Dnia 1-go maja 1767, uciekał tajemnie z Wooton, oskarżając głośno Hume'a o zdradę, rozsyła na wszystkie strony listy zupełnie już szalone, przemawia na ulicach Doowru do ludu. Przeprawiwszy się do Francji, znajduje kolejno schronienie w zamku margrabiego de Mirabeau (ojca przyszłego trybuna), w Trye u ks. Conti, i wielu jeszcze innych siedzibach, wszędzie nieufny, wciąż zmieniając miejsce pobytu. W ciągu tych to wędrówek, kończy swoje *Wyznania*, zaczęte w Anglii; w tym czasie zaślubia również długoletnią towarzyszkę, Teresę Levasseur. Wreszcie, w r. 1770, wraca do Paryża, gdzie, mimo dawnego dekretu będącego wciąż w mocy, władze patrzą przez palce na jego pobyt i nie niepokoją go. Znalazłszy schronienie w Paryżu, uspokoił się nieco; zajął skromne mieszkanko przy ul. Platrière, dziś noszącej jego imię, wrócił do zajęć kopisty, herboryzował, stał się łagodny, prosty, życzliwy. Po

¹⁾ Autorem listu, ukutego w salonie pani du Deffant, był Horacy Walpole; podobno jednak i Hume współpracował w tym żarcie.

śmierci pisarza, żona jego Teresa rzekła naiwnie do p. de Girardin: „Jeżeli mój mąż nie jest świętym, to któż nim będzie?“ Mimo to, urojenia prześladowcze nie opuścili pisarza; ciągle widział sprzysiężenie zwrócone przeciw sobie. To skłoniło go, iż, w zimie 1770—1771, odczytał, w domu hr. Egmont, przed wybranem kole, swoje *Wyznania*, w których postanowił się oczyścić przed potomnością z możliwych potwarzy. Czytanie, wedle współczesnego świadectwa, trwało siedemnaście godzin; jedyną przerwę w niem stanowiły „dwa krótkie posiłki, oraz westchnienia i łzy obecnych“. Niebawem po tym seansie, nastąpiło drugie czytanie w obecności hrabstwa d'Egmont, oraz kilku również wysoko postawionych osobistości. Lektury te wywołały popłoch (zupełnie usprawiedliwiony) wśród osób któremi zajmuje się druga część *Wyznań*; za staraniem pani d'Épinay, policja wystosowała do Rousseau'a uprzejmą prośbę aby zaprzestał dalszego odczytywania drażliwej książki. To utwierdziło Rousseau'a tem bardziej w przekonaniu o wielkim spisku: spiszek ten kojarzył rzekomo przeciw niemu wszystko co było wybitnego we Francji, na czele jego zaś stał minister ks. de Choiseul! W owym czasie, Francja zagarnęła pod swoje berło Korynkę, której obywatele zwrócili się niedawno do Jana Jakóba z prośbą o nakreślenie projektu konstytucji; oczywiście, w pojęciu Rousseau'a, Francja zajęła wysepkę z umysłu, aby pisarza pozbawić tego lauru. Gdyby (twierdził) Choiseul obrócił na dobro kraju połowę tych pieniędzy, które wydawał na zaspokojenie swej nienawiści dla Rousseau'a, byłby jednym z największych ministrów Francji. Chorobliwe urojenia swoje złożył Rousseau w ostatnich swych utworach (*Dyalogi* p. t. *Rousseau sędzią*

Jana Jakóba), zdradzających, obok genialnych przeblisków, głęboko już posunięty rozkład władz umysłowych. Umiera nagle, w r. 1778, tknięty udarem mózgowym w czasie pobytu na wsi w Ermenonville, posiadłości hr. de Girardin. W roku 1791, dekret Konstytuanty uchwalił przeniesienie jego zwłok do Panteonu. Teresa Rousseau, wkrótce po śmierci Jana Jakóba, zaślubiła, blisko w 60-tym roku życia, jakiegoś lokaja czy masztalerza.

Wyznania ukazały się drukiem już w kilka lat po śmierci pisarza. Pierwsze wrażenie było oczywiście wrażeniem światowego skandalu: większość osób żyła jeszcze (nawet obcesowa pani de Larnage z I-szej części *Wyznań* żyła, jako wiekowa matrona, w swoim zameczku). Stopniowo, ta strona zachodziła w cień (zwłaszcza iż, niemal równocześnie, Rewolucja zmiotła z powierzchni cały ten dawny światek), ale osobliwa ta książka została i poczęła wnikać w literaturę, tworząc w niej potężny zaczyn, którego działanie sięga aż do naszych czasów. Przedstawiając niedawno publiczności arcydzieło poezji Villona, miałem sposobność zwrócić uwagę na to, jak bardzo ta poezja uczuć, wrażeń, przeżyć osobistych, czerpiąca wprost z serca poety wyłączne źródło natchnienia, przepada, kryje się na kilka wieków pod ziemią. Miejsce jej zajmuje dążenie do możliwie doskonałej *objektywizacji*. Oczywiście, że, gdy Corneille kreśli swego *Cyda*, a Racine *Fedre*, biorą oni swe kreacje w całej pełni z siebie¹⁾; ale forma, w jakiej oddają siebie samych, nakłada hamulec wszelkiemu rozpętanu egotyzmu. W XVIII w. literatura

¹⁾ Pytano raz Flauberta, skąd zaczerpnął postać pani Bovary; odpowiedział: „Pani Bovary? To ja“.

piękna, stając się w znacznej mierze zabawą dobrego towarzystwa, dalej jeszcze posuwa wstydlivość własnego uczuć i ograniczenie ich konwencją. Stopniowo, odcinając się od swych żywych źródeł, wysusza się i karłowacieje, staje się igraszką mózgową: powszechny, entuzjastyczny kult Woltera jako poety daje tego wystarczającą miarę. Wówczas, zjawia się człowiek, który, blisko 40-go roku życia, wychował się poza wszelkiem społeczeństwem, który każdą elementarną myśl, każde uczucie — zamiast otrzymać je gotowe w paryskiej kawiarni lub salonie — zdobywał sobie w mozole i cierpieniu; który wszystkie przedmioty będące dla innych literackim tematem dialektycznym bierze, z naiwnością dzikiego, niecierpiącego serjo. Trudno dziś wprost określić, trudno nawet samemu sobie zdać sprawę, do jakiego stopnia wszystko to, co wnosił Rousseau w ówczesne społeczeństwo było nowe i płodne: nie zawsze przez nowość myśli, ale przez stosunek tych myśli do niego samego. Nie wystarczy jeden przykład: czytając opis przygody z Zolietą, gdy Rousseau, ogarnięty płomieniem żądzy, napotyka zalewa się łzami pod wpływem refleksyj nad losem pięknej kurtyzany, niejednen czytelnik minął zapewne ten ustęp nie zwracając nań uwagi: tyle razy się już spotykały wylewy liryczne tego rodzaju, dziś niemal już banalne.

„Wszedłem do alkowy kurtyzany, jak do sanktuarium miłości i piękności; zdawało mi się, że ich bóstwo wita mnie w jej osobie. Nigdy nie byłbym uwierzył, iż, bez szacunku i czci, można doznawać czegoś podobnego jak to co ona przeżyła we mnie. Zaledwie, w momentach pierwszych zbliżenia, poznałem siłę jej uroków i pieśczęt, natychmiast, z obawą, iż zawczasu stracę ich owoc, chciałem najspieszniej

pospiesznie. Nagle, w miejsce płomieni które mnie pożerały, poczułem śmiertelny chłód w żyłach; nogi ugiwały się podemną, zbliżyłem się do omdlenia, usiadłem, tonąc we łzach jak dziecko.

Kto mógłby odgadnąć przyczynę łez i myśli, które przebiegały mi przez głowę w tej chwili? Mówilem sobie: „Ta kobieta, którą mam w swej mocy, jest arcydziełem natury, dziełem miłości; duch, ciało, wszystko jest doskonałe; jest równie dobra i szlachetna jak powabna i miła; magnaci, księżęta, królowie powinni być jej niewolnikami, berła powinnyby się chylić do jej stóp. I oto, jako nędzna ulicznica, wydana jest na żer rozpustnictwu; kapitan kupieckiego okrętu rozrządza nią do woli; rzuca mi się na szyję, mnie, o którym wie że nie mam nic, mnie, którego wartość, niedostępna jej ocenie, musi być w jej oczach żadna“.

Otóż ten ustęp, w którym mieści się niemal cały *Rolla* Musseta i tyle innych „nastrojów“, w istocie już banalny, był dla współczesnych czemś tak nowym, tak niezrozumiałym, iż La Harpe cytując go wręcz jako pozytywny dowód o błędzie pisarza! Punkt po punkcie możnaby tak przechodzić twórczość Rousseau'a i stosunek jej do literatury współczesnej, oraz tej która po niej wyrosła. Trzeba przyjąć za pewnik, że, jeżeli mało rodzi się ludzi samoistnie myślących, ludzi czujących samoistnie — mimo iż czucie zdawałoby się rzeczą nawskroś osobistą — rodzi się jeszcze mniej. Rzadka jednostka, obdarzona samodzielnym genjuszem czucia i potęgą wibracji, całym pokoleniem sugeruje (lub może tylko w nich wywołuje?) swój stan psychiczny, na którym wtórne (nieraz zresztą bardzo bogate) ustroje duchowe snują swoje warjacje. Pod tym względem, ze wszystkich dzieł Rousseau'a — nie wyłaczając może nawet *Nowej Heloizy* — *Wyznania* wywarły wpływ największy. Czyto wylewy romantyzmu

(i całej zresztą współczesnej poezji), uderzające w ton spowiedzi lirycznej, nieznaney od czasu Villona; czy te stosy autobiografij, objaśniających dla potomności duchową organizację własnej istoty; czy wreszcie autoanaliza psychologiczna — słowem połowa niemal literatury XIX w., żeglującej pod flagą olbrzymiego, bezwstydnego JA, wyszła z tej oto książki. Mimo to, sposób, w jaki Rousseau pojął i wykonał swą spowiedź, sprawia, iż nie zatarło dotąd prawdy słów, jakimi ją rozpoczyna: „Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy“.

Wyznania Rousseau'a, to jedna z tych bolesnych książek, w których, jak w *Wielkim Testamencie* Villona, jak w *Listach panny de Lespinasse*, mamy uczucie, iż kładziemy rękę wprost na bijącym, chorem sercu ludzkim; uczucie tutaj tem bardziej przejmujące, iż serce to było w człowieku, który, jak mało kto inny, zaważył na biegu myśli, uczuć i dziejów wielkiej epoki ludzkości.

Boy.

Kraków 1914—1917 r.

KSIĘGA I

(1712—1719). Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy. Chcę pokazać moim bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja.

Ja sam. Czuję moje serce, i znam ludzi. Nie jestem podobny żadnemu z tych których widziałem; śmiem wierzyć, iż nie jestem podobien żadnemu z istniejących. Jeśli nie lepszy, w każdym razie jestem inny. Czy natura uczyniła źle czy dobrze niszcząc formę w której mnie odlała, o tem wolno będzie sądzić dopiero po przeczytaniu tych kartek.

Niechaj trąba ostatecznego sądu zabrzmi, kiedy przyjdzie godzina: przybędę z tą książką w rękę stanąć przed obliczem Najwyższego Sędziego. Powiem głośno: oto co czyniłem, co myślałem, czem byłem. Wyznałem dobre i złe z równą szczerością. Nie przemilczałem nic złego, nie dodałem nic dobrego; a jeżeli zdarzyło mi się uciec do czczej ozdoby, to jedynie wówczas, gdy trzeba było wypełnić lukę ulomnej pamięci. Mogłem wziąć za prawdę to, o czem wiedziałem że mogło nią być; nigdy tego, o czem wiedziałem iż było fałszem. Pokazałem się takim, jakim jestem; godnym pogardy i szpetnym wówczas kiedy nim byłem; dobrym, szlachetnym, wzniosłym, kiedy nim

byłem: odsłoniłem moje wnętrze takim, jakim tyś je widział sam, Najwyższy Sędzio. Zgromadź naokoło mnie nieprzeliczoną liczbę moich bliźnich; niechaj słuchają mej spowiedzi, niechaj litują się moich nieprawości, niechaj rumienią się za me niedole. Niechaj każdy z nich kolejno odsłoni serce u stóp twego tronu z tą samą szczerością, a potem, niechaj jeden jedyny powie ci, jeżeli będzie miał czoło: *Byłem lepszy od tego człowieka*.

Urodziłem się w Genewie w r. 1712, z Izaaka Rousseau, obywatela, i Zuzanny Bernard, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna, wskutek podziału z piętnaściorgiem rodzeństwa, równa była niemal zeru, zmuszony był szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, córka pastora Bernarda, była odeń bogatsza: posiadała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę. Miłość ich zaczęła się niemal z życiem; mając ośm czy dziewięć lat przechadzali się co wieczór wspólnie po wybrzeżu Trelji; w dziesięciu latach stanowili nierozłączną parę. Sympatja, porozumienie dusz wzmocniły w nich jeszcze uczucie zrodzone z przyzwyczajenia. Los, który zdawał się przeciwiać ich miłości, spotęgował ją tylko. Młody kochanek, nie mogąc otrzymać bogdanki, usychał z rozpacz; poradziła mu udać się w podróż, aby szukać zapomnienia. Zwędrowawszy świat bez skutku, powrócił tem bardziej rozkochany. Zastał swą ulubioną tkliwą i wierną jak wprzód. Po tej próbie, nie pozostało im nic, jak kochać się przez całe życie; przysięgli to sobie i niebo pobłogosławiło ich ślubom.

Gabrjel Bernard, brat mojej matki, zakochał się w jednej z sióstr ojca; zgodziła się wyjść zań jedynie pod

warunkiem, że brat jej poślubi jego siostrę. Miłość usunęła wszystkie zapory i oba związki skojarzyły się jednego dnia. W ten sposób wuj mój był mężem mej ciotki, a dzieci ich mem stryjeczno-ciotecznym rodzeństwem. Urodziło się z końcem roku po jednym w każdym domu, poczem trzeba było się rozłączyć.

Wuj Bernard był inżynierem wojskowym; pociągnął do cesarstwa i do Węgier, służyć pod księciem Eugenjuszem. Ojciec, po urodzeniu mego jedynego brata, udał się do Konstantynopola, dokąd go powołano: został zegarmistrzem seraju. Podczas jego nieobecności, piękność matki, jej dowcip i talenty zniechęciły wielbicieli. Pan de la Closure, poseł francuski, był jednym z najgorliwszych. Można wnosić, iż uczucie jego było gorące, skoro, po upływie trzydziestu lat, mówiąc o niej, zdradzał objawy wzruszenia. Matka miała ku obronie więcej niż samą cnotę: kochała czule męża. Napisała doń, aby powrócił: rzucił wszystko i pospieszył na wezwanie. Ja byłem smutnym owocem tego powrotu. W dziesięć miesięcy potem, przyszedłem na świat, wątły i chory. Urodzenie moje kosztowało matkę życie i stało się pierwszym z moich nieszczęść.

Nie wiem, jak ojciec przeniósł tę stratę, ale to wiem, że nie pocieszył się po niej nigdy. Patrząc na mnie, odnajdywał we mnie matkę, nie mogąc, z drugiej strony, zapomnieć, iż to ja mu ją zabrałem; ilekroć mnie brał w ramiona, czułem, po jego westchnieniach, po konwulsyjnym uścisku, że gorzki żal wplata się w jego pieszczoty: tem czulsze były wszelako. Kiedy mówił: Chodź, dziecko, pomówimy o matce, — odpowiadałem: Ach, ojciec, znowu będziemy płakać! I te słowa już wystar-

czyły, aby go pobudzić do łez. — Ach! powiadał wzdychając, oddaj mi ją, pociesz mnie po niej, zapełnij pustkę, jaką zostawiła w mej duszy. Czyżbym cię kochał tyle, gdybyś był tylko moim synem? W czterdzieści lat po jej stracie, umarł w ramionach drugiej żony, ale z imieniem pierwszej na ustach i z jej obrazem w głębi serca.

Tacy byli twórcy moich dni. Ze wszystkich darów jakich użyczyło im niebo, przekazali mi tylko jeden, to jest tkliwe serce; ale to, co dla nich było szczęściem, stało się źródłem wszystkich nieszczęść mego życia.

Urodziłem się nawpół umarły; niewiele było nadziei utrzymania mnie przy życiu. Przyniosłem na świat zarodek dolegliwości, która wzmogła się z latami¹⁾ i która teraz daje mi niekiedy folgę jedynie poto, aby mi kazać cierpieć okrutniej jeszcze, w odmienny sposób. Siostra ojca, miła i zacna dziewczyna, otoczyła mnie opieką tak tkliwą, iż mnie uratowała. W chwili gdy piszę te słowa, żyje jeszcze i pielęgnuje, w wieku ośmdziesięciu lat, męża młodszego od niej, ale zniszczonego trunkiem. Droga ciotko, przebaczam ci, iż utrzymałaś mnie przy życiu, i boleję, iż nie mogę, na schyłku twoich dni, oddać ci tkliwych starań, które mi otoczyłaś mnie w zaraniu niemowlęctwa. Żyje także piastunka Joanna, czerstwa do dziś i zdrowa. Ręce, które mi otworzyły oczy przy urodzeniu, będą mi je mogły zamknąć przy śmierci.

Zacząłem wcześniej czuć niż myśleć: to wspólna dola ludzkości. Doświadczyłem jej bardziej niż ktokolwiek. Nie wiem, com robił do wieku pięciu lub sześciu lat. Nie

¹⁾ Wrodzona wada pęcherza, utrudniająca oddawanie moczu.

wiem, jak nauczyłem się czytać; pamiętam jedynie chwile pierwszych czytań i wrażenia które im zawdzięczam; od tego czasu, towarzyszy mi już nieprzerwanie świadomość siebie samego. Po matce zostały jakieś powieści; zaczęliśmy je z ojcem czytywać wspólnie, po wieczery. Zrazu, chodziło o to, aby mnie zaprawić w czytaniu, przy pomocy zajmujących książek; ale, niebawem, zaciekawienie przykuło nas do tego stopnia, iż czytaliśmy kolejno bez przerwy i spędzali całe noce na tem zatrudnieniu. Nie byliśmy w stanie oderwać się przed ukończeniem tomu. Niekiedy, ojciec, słysząc ranne jaskółki, powiadał zawstydzony: Kładźmy się spać; większy ze mnie dzieciak od ciebie.

Dzięki tej niebezpiecznej metodzie, posiadałem, w krótkim czasie nietylko nadzwyczajną łatwość czytania i rozumienia, ale także niezwykłą na mój wiek inteligencję uczuć. Nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia o rzeczach, kiedy wszystkie uczucia były mi znajome. Nie nie pojmowałem jeszcze, a wszystko już czułem. Te mgliste wzruszenia poruszające mną kolejno nie zamąciły rozumu, którego jeszcze nie miałem; ale stworzyły we mnie jakiś odmienny, innego rodzaju i dały mi o życiu ludzkim dziwaczne i romantyczne pojęcia, z których doświadczenie i refleksja nigdy nie zdołały mnie zupełnie wyleczyć.

(1719—1723). Powieści skończyły się z latem roku 1719. Następnej zimy przyszło znów co innego. Wyczerpawszy bibliotekę matki, sięgnęliśmy do książek które zostały się nam po jej ojcu. Na szczęście, znalazło się między nimi wiele dzieł wartościowych: nie mogło być inaczej w bibliotece zgromadzonej przez pastora, to prawda, i uczonego nawet, było to bowiem podówczas w modzie,

ale człowieka światłego i z dobrym smakiem. *Historja Kościoła i Cesarstwa* przez Lesueura; *Rozprawy Bossueta o historji powszechnej*; *Znakomici mężowie* Plutarcha; *Historja Wenecji* Naniego; *Metamorfozy* Owidiusza; *La Bruyère*; *Światy Fontenelle'a*; tegoż *Rozmowy umarłych* i parę tomów Moliera przewędrowały do pracowni ojca, gdzie mu je czytywałem przy jego zatrudnieniu. Nabrałem do tych dzieł szczególnego i niezwykłego w tym wieku upodobania. Plutarch zwłaszcza stał się moją ulubioną lekturą. Rozkosz, jaką znajdowałem w odczytywaniu go bez przerwy, wyleczyła mnie nieco z romansów; wkrótce Agésilas, Brutus i Arystydes stali mi się miłsi od Orondata, Artamena i Juby. W tym istnym szale czytania, w rozmowach, jakie toczyliśmy z ojcem, wytworzył się we mnie ten wolny i republikański duch, ten charakter nieokiełzany i hardy, czuły na jarzmo i niewolę, który mnie dręczył przez całe życie w sytuacjach najmniej sposobnych aby mu dostarczyć swobodnego upustu. Nieustannie zaprzątnięty Rzymem i Atenami, żyjąc niejako w ten sposób z ich wielkimi mężami, urodzony sam jako obywatel rzeczypospolitej i jako syn ojca u którego miłość ojczyzny była najsilniejszą namiętnością, rozpłomieniałem się za jego przykładem; zdawało mi się że jestem Grekiem lub Rzymianinem; stawiałem się osobą której żywot czytałem. Kiedy czytałem historję ich hartu i nieustraszonych czynów, oczy błyszczały mi jaśniej, głos stawał się potężniejszy. Jednego dnia, opowiadając przy stole przygodę Scewoli, ku przerażeniu wszystkich omal nie włożyłem ręki w płomień, aby tem żywiej przedstawić jego postępek.

Miałem brata, starszego odemnie o lat siedm. Kształcił

się w rzemiośle ojca. Niezmierne przywiązanie ojca do mnie sprawiało, iż zaniedbywał nieco brata, czego mu bynajmniej nie pochwalam. Wychowanie chłopca ucierpiało na tem. Przyzwyczaił się do swawoli, zanim jeszcze doszedł do wieku w którym przywary młodości przychodzą silniej do głosu. Oddano go do innego majstra, skąd wymykał się niejednokrotnie, tak jak już wprzód z domu rodzicielskiego. Nie widywałem go prawie wcale; zaledwie mogę powiedzieć iż znaleźmy się z sobą, ale, mimo to, kochałem go czule i on mnie także, o ile taki wiskus zdolny jest coś kochać. Przypominam sobie, iż raz, gdy ojciec karmił go surowo i z gniewem, rzuciłem się gwałtownie między nich, obejmując brata z całych sił. Osloniłem go w ten sposób swoim ciałem, przyjmując ciosy, które mu były przeznaczone i zaciekle się tak wytrwale w tej pozycji, iż, wkońcu, ojciec zmuszony był mu darować, bądź rozbrojony moim krzykiem i łzami, bądź też czując, iż kara godziłaby dotkliwiej we mnie, niż w brata. Wkońcu, zeszedł na tak złe drogi, iż uciekł i znikł zupełnie. Doszły słuchy, iż jest w Niemczech. Nie napisał do domu ani razu. Od tego czasu, nie było o nim wiadomości i oto w jaki sposób zostałem jedynakiem.

Jeśli wychowanie tego biednego chłopca pozostawiało zbyt wiele do życzenia, inaczej było ze mną; dzieci królewskie nie mogłyby się cieszyć staranniejszą opieką niż ja w pierwszych latach dzieciństwa. Ani razu, aż do czasu w którym opuściłem dom rodzicielski, nie zdarzyło się aby mi pozwolono uganiać po ulicy z innymi dziećmi; nigdy nie było potrzeby poskramiać we mnie ani zaspakając owych kapryśnych humorów, które przypisuje się naturze, a które rodzą się jeno z błędnego wychowania.

Miałem przywary mego wieku; byłem papla, łakotniś, niekiedy kłamałem. Zdarzyło mi się ściągnąć owoce, cukierki, łakocie; ale nigdy nie szukałem przyjemności w robieniu złego, w wyrządzaniu szkody, składaniu winy na drugich, w dręczeniu biednych zwierząt. Przypominam sobie wszelako, iż raz nasiusiałem do rondla jednej z sąsiadek, nazwiskiem pani Klot, podczas gdy była na kazaniu. Przyznaję nawet, iż to wspomnienie jeszcze pobudza mnie do śmiechu, pani Klot bowiem, pozatem dobra kobiecina, była najzrędniejszą staruszką jaką spotykałem w życiu. Oto krótka i szczerza spowiedź z występków młodości.

Jakże miałbym się stać złym, gdy przed oczyma miałem same jeno przykłady słodczy i naokoło siebie najlepszych ludzi pod słońcem? Ojciec, ciotka, piastunka, krewni, przyjaciele, sąsiedzi, całe otoczenie, nie ulegało mi, to prawda, ale mnie kochało; i ja ich także. Wola moja spotykała tak mało podniet i tak mało zapór, że nie przychodziło mi na myśl ją objawiać. Mogę przysiąc, że, aż do czasu kiedy dostałem się pod jarzmo zwierzechnika, nie wiedziałem nawet co to znaczy kaprys. Wyjawszy czas pisania i czytania pod okiem ojca, albo też przechadzki z piastunką, przebywałem zawsze w towarzystwie ciotki, patrząc jak haftuje, słuchając jak śpiewa, stojąc lub siedząc przy niej; i czułem się szczęśliwy. Jej wesołość, słodczy, miła fizjognomja, wycisnęły na mnie tak silne wrażenie, że widzę jeszcze tej twarz, spojrzenie, ruchy: przypominam sobie pieśzcotliwe słówka, umiałbym opisać jak była ubrana i uczesana, wszystko, aż do dwóch loczków, w jakie czarne jej włosy zakręcał się na skroniach, wedle ówczesnej mody.

Jestem przekonany, że jej zawdzięczam upodobanie albo raczej namiętność do muzyki, namiętność, która rozwinęła się o wiele później. Umiała nadzwyczajną obfitość melodyj i piosenek, i nuciła je często głosikiem pełnym słodczy. Pogoda duszy tej przemilej dziewczyny oddalała od niej, i od wszystkiego co ją otaczało, zadumę i smutek. Śpiew jej miał dla mnie taki urok, że nie tylko wiele z jej piosenek utrzymało mi się na zawsze w pamięci, ale nawet teraz, w miarę jak się starzeję, przypominają mi się nowe, zapomniane od czasów dzieciństwa, i wprowadzają w zachwyt którego nie umiem wprost opisać. Czy powiedziałby ktoś, że ja, stary mantyka, zużyty troskami i niedolą, chwytam się niekiedy na tem, iż płaczę jak dziecko, mamrocząc te nikle aryjki głosem złamanym już i drżącym!

Jedna z nich zwłaszcza przypominała mi się w całości, co się tyczy melodji, ale część słów stale umyka się wszystkim moim wysiłkom, mimo że mętnie pobrzękują mi jej rymy. Zastanawiam się w czem tkwi rozrzucający urok, jaki serce moje znajduje w tej piosence; jest to kaprys, którego nie umiem zrozumieć, ale niepodobieństwem mi jest wręcz prześpiewać jej do końca iżby lzy nie przerwały mi śpiewu. Po sto razy zamyślałem napisać do Paryża, aby się postarać o resztę słów, o ile wogóle ktoś ma je jeszcze. Ale jestem prawie pewny, że przyjemność którą znajduję w przypominaniu sobie tej aryjki rozwiałaaby się w części, gdybym miał dowód iż śpiewał ją kto inny prócz mojej biednej ciotki Zuzi.

Takie były pierwsze przywiązania w zaraniu mego życia; tak zaczynało się kształtować i objawiać we mnie to serce, razem tak harde i tak tkliwe, ten charakter

niemal kobieco słaby a jednak niezłomny, który, bujając nieustannie między słabością a męstwem, gnuśnością a hartem, aż do samego końca wtrącał mnie w sprzeczności z samym sobą, i sprawił, iż powściągliwość i użycie rozkoszy i umiarkowanie, zarówno pozostały mi niedoścignione.

Ten tryb wychowania uległ przerwie, wskutek wypadku, którego następstwa zdecydowały o reszcie mego życia. Ojciec wdał się w sprzeczkę z jakimś p. Gautierem kapitanem francuskim, mającym krewnych w Radzie. Ów Gautier, człowiek bezczelny i podły, skorzystał z lekkiego broczenia nosa, aby, przez zemstę, obwinąć ojca, iż dobył nań szpady w obrębie miasta. Ojciec, którego chciano wtrącić do więzienia, uparł się, aby, wedle liter prawa, oskarżyciela jego również uwięziono: nie mogąc tego uzyskać, wołał opuścić Genewę i emigrować z kraju na całe życie, niż ustąpić co do punktu w którym widział naruszenie honoru i wolności obywatela.

Pozostałem pod opieką wuja Bernarda, wówczas za trudnionego przy fortyfikacjach Genewy. Starsza jego córka umarła, ale miał syna mniej więcej w moim wieku. Umieszczono nas razem w Bossey, jako pensjonariuszy pastora Lambercier, abyśmy wypchali sobie głowy łaciną oraz wszelakiem innem rupieciem, które zaszczyca się mianem wykształcenia.

Dwa lata spędzone na wsi złagodziły nieco mą rzymską surowość i wróciły mnie do stanu dzieciństwa. W Genewie gdzie mi wogóle nie narzucano nic, a już nigdy nauki ani czytania, było ono mą jedyną rozrywką; w Bossey przymus pracy wzbudził we mnie smak do zabaw, które stanowiły po niej ożywcze wytchnienie. Wieś była dla mnie czemś tak nowem, że nie mogłem się nią wpro-

nasycić. Nabrałem do niej upodobania, które nigdy we mnie nie wygasło. Wspomnienie szczęśliwych dni spędzonych na wsi, kazało mi, w każdej epoce życia, żałować jej uciech i słodocy, aż wreszcie sprowadziło mnie ku niej z powrotem. P. Lambercier, był to człowiek bardzo rozsądny; nie zaniedbując wychowania, nie przeciążał nas nadmiarem obowiązków. Za dowód iż brał się dobrze do swego zadania, może służyć, iż, mimo odrazy do wszelkiego przymusu, nigdy nie wspominałem ze wstrętem czasu moich nauk; a jeżeli nie nauczyłem się zbyt wiele, to czego się nauczyłem posiadałem bez trudu i nie nie uroniłem.

Prostota wiejskiego życia sprowadziła na mnie nieoszacowane dobro, otwierając mi serce na uroki przyrody. Aż do tego czasu, znałem jedynie uczucia podniesienia, ale urojone. Przyzwyczajenia wspólnego życia wśród spokojnych trudów i wywczaśów, spoiliło mnie tklwym węzłem z kuzynem moim Bernardem. W ciągu krótkiego czasu, nabrałem dlań uczuć serdeczniejszych niż kiedykolwiek żywiłem je dla brata; a uczucia te nigdy się nie zatarły. Był to wyrośnięty chłopak, szczupły i wątły, równie łagodnego umysłu jak słabych sił fizycznych, dzięki czemu nie nadużywał nadto uprzywilejowanej pozycji którą posiadał w domu jako syn mego opiekuna. Mieliśmy też same zajęcia, zabawy, upodobania; byliśmy sami, rówieśnicy, każdy zarówno czuł potrzebę towarzysza; rozdzielić nas, znaczyłoby, do pewnego stopnia, unicestwić obu. Przywiązanie nasze, mimo iż niewiele mieliśmy sposobności aby je dowodnie okazać, było ogromne; nie tylko nie mogliśmy żyć ani na chwilę rozłączeni, ale nie wyobrażaliśmy sobie nawet aby to było możebne. Obaj

mieliśmy usposobienia łatwe do prowadzenia łagodności i podatne o ile ktoś nie chciał nagiąć nas przemocą; z sobą byliśmy zawsze zgodni na wszystkich punktach. Jeżeli dzięki wyróżnieniu czynionemu przez naszych wychowawców, on miał niejaką przewagę nademną pod okiem, to znowu, kiedy byliśmy sami, ja brałem nad niego górę; w ten sposób, utrzymywała się równowaga. W czasie nauki, podpowiadałem lekcję gdy nie był jej pewny, uporawszy się z zadaniem, dopomagałem z kolei jemu w zabawach naszych, ja, bardziej rzutki, byłem przodkiem. Słowem, zgadzaliśmy się tak dobrze i żyliśmy w tak szczerej przyjaźni, że, w ciągu pięciu lat nierozłącznego pożycia, tak w Bossey jak w Genewie, biliśmy się często, to prawda, ale nigdy nie było potrzeby nam rozłączać, nigdy kłótnia nie trwała dłużej kwadransu i nigdy, ani razu, żaden nie poskarżył się na drugiego. Te szczegóły mogą się komu wydać blahe, jednakże w dnieje w nich przykład jedyny może od czasu ja istnieją dzieci.

Tryb życia, jakie pędziliśmy w Bossey, odpowiadał mi tak dobrze, że, gdyby potrwał dłużej, zdecydowałbym o ukształtowaniu mego charakteru. Podstawę jego stanowiły uczucia tkliwe, serdeczne, łagodne. Sądzę iż nie było osobnika rodzaju ludzkiego, któryby, z natury, miał próżności odemnie. Wznosiłem się w chwilach wybuchu do najszczytniejszych wzruszeń, ale niebawem popadałem znow w zwykłe rozmarzenie. Być kochanym przez wszystkich którzy mnie otaczali, oto było moje najwyższe pragnienie. Byłem łagodny, mój krewniak również; toż samo i nasi wychowawcy. Przez całe dwa lata, nie byłem ani świadkiem, ani też ofiarą gwałtowniejszego wstrząśnienia.

Wszystko podtrzymywało w mem sercu skłonności wszczepione przez naturę. Nie znałem większego szczęścia, niż widzieć że wszyscy są zadowoleni ze mnie i z całego świata. Przypominam sobie dziś jeszcze, jak, kiedy nas egzaminowano w kościele z katechizmu i zdarzyło mi się zająknąć, największą troską dla mnie były oznaki niepokoju i zmartwienia, wycytane na twarzy panny Lambercier. To jedno trapiło mnie bardziej niż niepowodzenie publiczne, które wszelako dotykało mnie w wysokim stopniu: jakkolwiek bowiem mało wrażliwy na chwalby, byłem zawsze bardzo czuły na wstyd; mimo to, mogę powiedzieć, iż spodziewane wymówki panny Lambercier mniej budziły we mnie niepokoju, niż obawa sprawienia jej przykrości.

Bądź co bądź, w razie potrzeby, umiała ona uciec się do surowości, jak również i jej brat; ponieważ jednak ta surowość, prawie zawsze sprawiedliwa, nigdy nie była wywołana uniesieniem, cierpiełem, ale się nie buntowałem. Bardziej niż kara, bolała mnie utrata ich łaski, a świadomość niezadowolenia była mi dotkliwsza niż same jego następstwa. Trudno mi jest ściślej się wytłómaczyć, jednak trzeba. Jakże niewątpliwie zmienionoby metody postępowania z młodzieżą, gdyby lepiej widziano najgorsze skutki owego pedagogicznego środka, stosowanego zawsze bez rozwagi, a niekiedy bez miary! Przykład mój, równie pospolity jak oplakany, może posłużyć na naukę w tym względzie: to skłania mnie do przytoczenia go tutaj.

Panna Lambercier, przywiązana do nas jak matka, miała i również władzę matki i posuwała ją niekiedy, nieśmy na to zasłużyli, aż do dotkliwej kary, zazwyczaj stosowanej u dzieci. Dosyć długo poprzestawała na samej

groźbie i ta groźba kary, całkiem mi nieznanej, przerażała mnie niezmiernie. Wszelako, po egzekucji, zdała mi się ona w wykonaniu mniej straszna, niż samo oczekiwanie, a co najosobliwsze, to iż ta kara przywiązała mnie jeszcze bardziej do osoby, z której rąk jej doznałem. Trzeba nawet było całej szczeroci tego przywiązania i całej niewrodzonej łagodności, aby powstrzymać mnie od pokus powtórnego zasłużenia na tę samą karę; w tym bólu bowiem, we wstydzie nawet, znalazłem jakąś domieszkę zmysłowej rozkoszy, której wspomnienie, silniejsze od obawy, budziło we mnie raczej chęć doznania jeszcze raz tych samych wzruszeń z tej ręki. Niema wątpliwości, iż musiało się w tem przejawiać jakieś przedwczesne pobudzenie płciowe, sama bowiem kara, o ilebym jej doznał z rąk np. pastora, nie byłaby mi wcale przyjemna. Ale, wobec jego usposobienia, substytucja ta nie groziła wcale; jeżeli tedy powstrzymywałem się od ochoty zasłużenia na karę, to jedynie z obawy zmartwienia panny Lambercier; każde bowiem przywiązanie, nawet to, które zrodziło się pod wpływem zmysłów, zawsze naginało w mem sercu pod swoje prawa.

Ta recydywa, którą oddalałem, nie lękając się jej, wszelako, przyszła wreszcie bez mej winy, to znaczy bez mej woli: skorzystałem z niej, mogąc powiedzieć, że spokojnem sumieniem. Ale ten drugi raz był zarazem ostatnim; panna Lambercier bowiem, spostrzegłszy zapewne, że jakimś objawie, że kara mija się z celem, oświadczyła, iż z niej rezygnuje jako zbyt dla niej nużącej. Aż dotąd sypialiśmy w jej pokoju, w zimie nawet niekiedy w jej łóżku: w dwa dni potem pomieszczono nas na noc w innym pokoju. Odtąd (czego byłbym się chętnie

wyrzekł), miałem zaszczyt być przez nią traktowany jako duży chłopiec.

Ktoby uwierzył, że ta dziecinna kara, otrzymana przez ósmioletniego chłopca z rąk trzydziestoletniej panny, rozstrzygnęła o moich upodobaniach, pragnieniach, namiętnościach, o mnie całym, na cały ciąg życia, i to właśnie w kierunku przeciwnym temu, który, naturalnym sposobem, powinienby stąd wynikać? Równocześnie z tem rozpaleniem zmysłów, pożądania moje wypaczyły się w taki sposób, iż, zamykając się w sferze wrażeń, jakich doświadczyłem, nie troszczyły się o szukanie innych. Z krwią przepaloną zmysłowością niemal od urodzenia, zachowałem się czysty od zmayı aż do wieku, w którym najbardziej zimne i spóźnione temperamenty przychodzą do głosu. Dręczony długo sam nie wiedząc czem, popierałem płomiennem okiem piękne kobiety: wyobrażenia moja przywoływała je nieustannie jedynie poto, aby im okazać działać w myśl moich upodobań i wskrzeszać, pod ich postacią, pannę Lambercier i jej egzekucję.

Nawet po przebyciu okresu dojrzałości, to dziwne upodobanie, ciągle utrzymujące się i posunięte aż do deprawacji, aż do szaleństwa, zachowało we mnie czystość obezajów, z której, na pozór, powinno by mnie obedrzeć. Wychowanie moje było w najwyższym stopniu czyste i skromne. Moje ciotki były to osoby nietylko rzadkiej cnoty, ale i wstydlivości od dawna już w tym stopniu nieznanej kobietom. Ojciec, człowiek holdujący uciechom, ale dworny na dawny sposób, nigdy, w obecności kobiet najbardziej mu miłych, nie odezwał się słowem, któreby mogło dziewicę przyprawić o rumieniec. Nigdy nie był dalej niż w mojej rodzinie i w mojej obecności

nie posunięto względów jakie się winno dzieciom. Niemniej uwagi na tym punkcie znalazłem w domu panny Lambercier: bardzo zdatną służącą odprawiono bezzwłocznie za jedno nieco swobodne słowo, na które pozwoliła sobie przy nas. Nietylko, aż do młodzieńczego wieku nie miałem wyraźnego pojęcia o stosunkach płci, ale i mgliste domysły przedstawiały mi się zawsze jedynie po obrazem pełnym wstrętu i obrzydzenia. Dziewczyny publiczne budziły we mnie grozę, która nigdy się nie zatarła: nie mogłem patrzeć na rozpustnika bez wzdrygnięcia bez przerażenia nawet. Odraza moja do rozpusty datowała się od czasu, gdy raz, idąc drogą wśród jaru, ujrzałem, z obu stronach, zagłębienia w ziemi, i gdy mi powiedziano, że tam ci ludzie chronią się parami dla swoich czynności. Obraz ten zlał mi się w jedno z obrazem parzących się psów, które widywałem niekiedy, i doznawałem w gardle spazmów wstrętu na samo wspomnienie.

Tym przesądom wychowania, które już same w sobie wystarczały aby opóźnić pierwsze wybuchy zapalnego temperamentu, przyszedł w pomoc, jak mówiłem, rodzaj zboczenia, które skojarzyło się u mnie z pierwszymi pobudzeniami zmysłów. Byłem zdolny wyobrazić sobie jedynie to, co już odczułem: mimo bardzo dokuczliwego burzenia się krwi, nie umiałem tedy kierować pragnień ku innemu rodzajowi rozkoszy prócz tego jaki mi był znany; nigdy mi nie przychodził na myśl ten, który tak zohydzono, a który, bez najmniejszej świadomości z mej strony, tak był tamtemu pokrewny. W naiwnościach mej wyobraźni, w uniesieniach erotycznych, w wariackich postępkach do których mnie nieraz popychały, uciekałem się w imaginacji do pomocy płci odmienną

nie przypuszczając ani na chwilę w myśli, aby ta płeć była sposobna do innego użytku, prócz tego który przeznaczałem jej w marzeniach.

W ten sposób, obdarzony temperamentem bardzo zapalnym, bardzo zmysłowym, bardzo przedwczesnym, przebyłem wszelako okres dojrzewania, nie doznawszy innych pragnień, nie znając innych rozkoszy zmysłów, prócz tych których świadomość wszczepiła mi, w niewinności ducha, panna Lambercier; a kiedy wreszcie, z postępem lat, stałem się mężczyzną, i wówczas jeszcze to, co powinno było mnie zgubić, ocaliło mnie. Dawna skłonność dziecka, zamiast wygasnąć, połączyła się tak ściśle z inną, że nigdy nie mogłem jej zupełnie usunąć z pragnień rozplomienionych zmysłów; i to szaleństwo, w połączeniu z wrodzoną nieśmiałością, czyniło mnie bardzo mało przedsiębiorczym wobec kobiet. Nie śmiałem wszystkiego powiedzieć, a nie mogłem wszystkiego wykonać, ponieważ tego rodzaju rozkoszy, której inna rozkosz była dla mnie jedynie najwyższym szczytem, nie może wiać poprostu ten który jej pragnie, ani też nie może go odgadnąć ta, która mogłaby jej udzielić. W ten sposób, przebyłem życie pożądając i zmilczając moje pożądania przy boku osób które kochałem najwięcej. Nie śmiejąc nigdy wyznać mych upodobań, oszukiwałem je przynajmniej, nadając stosunkom moim formy które były mu pokrewne. Przebywać u kolan despotycznej kochanki, ulegać jej rozkazom, żebrać przebaczenia, było dla mnie najśłodszą rozkoszą; im bardziej rozpalona wyobraźnia smagała mi krew, tem bardziej, na zewnątrz, miałem wygląd trwożnego wielbiciela. Łatwo zrozumieć, że ten sposób okazywania miłości nie prowadzi do zbyt

Wyznania.



do najopłakaniejszego stanu, pozostałem niewzruszony. Bylbym przeniósł śmierć i byłem na nią zdecydowany. Wkońcu, nawet siła musiała ustąpić wobec szatańskiej uporczywości dziecka, nie doświadczano bowiem już więcej męstwa. Wyszedłem z okrutnej próby poszarpany strzępami, ale tryumfujący.

Upłynęło blisko pięćdziesiąt lat od tej przygody i obawiam się już aby mnie powtórnie ukarano za to postępek; otóż, oznajmiam w obliczu nieba, że byłem niewinny, nie zламаłem ani nie dotykałem grzebień, nie zbliżyłem się do blachy i nawet mi to w myślach nie przyszło. Niechaj mnie nikt nie pyta, w jaki sposób stało się szkoda; nie wiem i nie pojmuję: to jedno wiem pewnie, że nie ja byłem jej winny.

Niech sobie teraz czytelnik wyobrazi charakter człowieka śmiałego i podatnego w życiu codziennym, ale żarliwego, hartowanego w uczeniach; dziecko zawsze prowadzone z rozsądku, słodczyką, wyrozumiałością, uprzejmością, które nawet nie miało pojęcia o istnieniu niesprawiedliwości, i które, pierwszy raz, doznaje jej, i to tak straszliwej ze strony osób, dotąd będących dlań przedmiotem miłości i ukochania: co za przewrót w pojęciach! co za zaniepokojenie! co za wstrząśnienie w sercu, w mózgu, w całej drobnej duchowej i moralnej istocie! Powiadam, niechaj sobie ktoś wyobrazi, o ile to możebne, gdyż, co mnie, nie czuję się zdolnym rozplątać, ani też pochwycić najmniejszego śladu tego co wówczas się we mnie działo.

Nie miałem jeszcze dosyć zastanowienia, aby ocenić do jakiego stopnia pozory mnie potępiały i postawiały na miejscu drugich osób. Czułem jedynie okrucieństwo straszliwej kary za zbrodnię której nie popełniłem. O

Wzruszenie fizyczne, jakkolwiek bolesne, mało mnie dotykało; miałem jedynie oburzenie, wściekłość, rozpacz. Mój krewiak, w położeniu mniej więcej podobnym, gdyż ukarano go za mimowolny błąd jakgdyby za czyn popełniony z zamiarem, wpadał we wściekłość za moim przykładem i dostrajał się do mego tonu. Leżąc przy sobie w jednym łóżku, ściskaliśmy się z konwulsyjnym uniesieniem, dławiliśmy się; i kiedy nasze młode ciała, nieco przyszedłszy do siebie, mogły wyrazić swoje wzburzenie, podnosiliśmy się, wpełzając na łóżko i krzyczeliśmy po sto razy: *Carnifex! carnifex! carnifex!* Coż, pisząc to dziś jeszcze, że puls wali mi jak młotem; te chwile będą mi zawsze przytomne, choćbym żył tysiący lat. To pierwsze poznanie gwałtu i niesprawiedliwości pozostało tak głęboko wyryte w mej duszy, że sama myśl o tem przyprawia mnie na nowo o dawne wzruszenie. Uczucie to, zrodzone zrazu z pobudek osobistych, takiej nabrało mocy samo w sobie i tak oderwało się od wszelkiego własnego interesu, iż serce moje rozpalało się pod wpływem widoku albo opowieści niesprawiedliwego postępków, na kimkolwiek i gdziekolwiek popełnionego, tak, jakgdybym sam był jego ofiarą. Kiedy czytam o okrucieństwach dzikiego tyrana, o subtelnych matacach przewrotnego klechy, gotówbym natychmiast iść za przykładem tego nędznika, choćbym miał po stokroć zginąć. Nieraz zdyszałem się i spościłem cały, goniąc i ciskając kamieniami za kogutem, krową, psem, jakimkolwiek zwierzęciem, które w moich oczach dręczyło drugie jedynie dlatego iż czuło się odeń silniejsze. Ten odruch jest może mi wrodzony, i mniemam że tak jest; ale głębokie wspomnienie pierwszej niesprawiedliwości jaką wycierpia-

łem niewątpliwie przyczyniło się znacznie do jego wzmożenia.

Tu znaczy się kres pogody mego dziecięcego życia. Od tej chwili, przestałem cieszyć się niezmaconem szczęściem i czuję dziś jeszcze, że wspomnienie uroków dzieciństwa zatrzymuje się tutaj. Zostaliśmy w Bossey jeszcze przez kilka miesięcy. Żyliśmy odtąd tak, jak nam przedstawia pierwszego człowieka, gdy jeszcze mieszka w raju ziemskim, ale już pozbawiony jest jego słodczy. Na pierwszy zór, sytuacja nasza była ta sama, w istocie treść zupełnie odmienna. Przywiązanie, szacunek, ufność, swobodna ucznia względem wychowawców zgasły. Nie przetrzymaliśmy już na nich jak na bogów którzy czytają w sercach; mniej wstydziliśmy się złych uczynków, a bardziej lekali posądzenia; zaczęliśmy się kryć, udawać, kłamać. Zwykle przywary wieku skaziły dawną niewinność i wdzięk zabaw. Wieś nawet straciła w naszych oczach urok sił dyczy i prostoty, idący wprost do serca; zdała się nam opustoszała i posępna, pokryła się jakgdyby oponą przesłaniającą jej piękność. Przestaliśmy pielęgnować nasze ogródki, zioła, kwiaty. Nie spieszyliśmy już, aby lekko rozdrapywać ziemię i krzyczeć z radości odkrywając kielik ziarna, któreśmy posiali. Zbrzydło nam to życie myśmy zbrzydli wszystkim; wreszcie, wuj odebrał nam i tak rozstaliśmy się z panem i panną Lambercier, przysyceni sobą wzajem i niezbyt bolejąc nad rozłąką.

Przez blisko trzydzieści lat, jakie upłynęły od czasu mego rozstania się z Bossey, nie zdarzyło mi się wspominać owego pobytu w sposób przyjemny i z pewną ciągłością wspomnień; ale od czasu gdy, przekroczywszy wiek dojrzały, pochyliłem się ku starości, czuję, że te własne

wspomnienia odżywają w miarę zacierania się innych i utrwalają się w mej pamięci, zyskując codziennie na wdzięku i sile: jakgdybym, czując już uciekanie życia, starał się je pochwytać u samych początków. Najmniejsze zdarzenia z tego czasu radują mnie, przez to jedynie, że są z tego czasu. Przypominam sobie wszystkie okoliczności dotyczące miejsc, osób, godzin. Widzę pokojową albo służącego krzątających się po pokoju, jaskółkę wpadającą przez okno, muchę siadającą mi na rękę podczas gdy wydaję lekcje: widzę całe umeblowanie pokoju gdzieś mieszkali; gabinet p. Lambercier po prawej ręce, szafy przedstawiający wszystkich papieży, barometr, wielki kalendarz, krzaki malin cisnące się do okien domu. Wiem dobrze, że czytelnik nie czuje wielkiej potrzeby dowiedzenia się o tem wszystkim, ale ja czuję potrzebę powiedzenia mu o tem. Czemuż nie śmiem opowiedzieć mu tak samo wszystkich drobnych wydarzeń tego szczególnego czasu, który przyprowadza mnie jeszcze o dreszcz szczęścia, kiedy go sobie przypomnę! Kilka zwłaszcza... Ułożmy się. Darnię wam resztę opowieści; chcę tylko jedną jedyną, byleby mi wolno było opowiedzieć ją najobszerniej jak można, aby przedłużyć chwile mej rozkoszy.

Gdyby mi chodziło tylko o waszą zabawę, mógłbym wybrać tu historję o kuperku panny Lambercier, który, wskutek nieszczęśliwego koziołka w rów przy łączce, ukazał się w całej okazałości królowi Sardynji w czasie jego przejazdu; ale historja orzecha na terasie bardziej zabawna jest dla mnie, który byłem jej aktorem, przy owym zaś koziołku jedynie widzem; a przyznaję, że wcale nie było mi do śmiechu w czasie owego wypadku, który, mimo iż komiczny sam w sobie, przejął mnie

niepokojem o osobę, tak drogą dla mnie jak matka a może bardziej.

O wy, ciekawi czytelnicy wspaniałych dziejów orzecha na terasie, słuchajcie jego straszliwej tragedji, i, jeżeli zdołacie, wstrzymajcie się od drżenia!

Za bramą dziedzińca, po lewej ręce przy wjeździe znajdowała się terasa, na której siadywało się często po obiedzie, ale która nie miała cienia. Aby temu zaradzić, p. Lamercier posadził tam orzech. Zasadzenie drzewa odbyło się z wielką uroczystością. Dwaj pensjonarze byli rodzicami chrzestnymi: podczas gdy zasypywano wydrążenie w ziemi, my trzymaliśmy, każdy jedną ręką, drzewo wśród tryumfalnych śpiewów. Aby je podlewać, wyłobiono dokoła, u jego stóp, małą sadzawkę. Mój krewniak i ja, żarliwi spektatorzy tego codziennego podlewania, umacnialiśmy się w bardzo naturalnej idei, że zasadzenie drzewa na terasie jest czynem piękniejszym zgola niż zatknięcie sztandaru na wyłomie i postanowiliśmy dołączyć sami tego zaszczytu, nie dzieląc go z nikim.

W tym celu, poszliśmy uciąć gałąź młodej wierzbki i zasadziliśmy ją na tej samej terasie, o jakie dziesięć stóp od dostojnego orzecha. Nie zapomnieliśmy również wyłobić dolka; trudność była w tem, że nie było go czemu napęlić; wodę bowiem trzeba było nosić z dość daleka i nie pozwolono nam biegać po jej zapasy. Bądź co bądź, woda była niezbędnie potrzebną dla naszej wierzbki. Rozwinęliśmy wszelakie chytrości, aby jej dostarczyć drzewku przez przeciąg kilku dni; powiodło nam się tak dobrze, iż wnet ujrzelśmy, jak pączkuje i wypuszcza małe listki, których wzrost śledziliśmy z godziny na godzinę, przekonani, jakkolwiek drzewko nie miało

więcej niż stopę wysokości, iż niebawem użyczy nam cienia.

Ponieważ drzewko, pochłaniając całą naszą uwagę, czyniło nas niezdolnymi do wszelkiego zajęcia, do nauki i wprawiało w stan jakby oszołomienia, wzięto nas jeszcze krócej niż zazwyczaj. Ujrzelśmy tedy nieszczęsny moment, w którym braknie nam wody, i trawiliśmy się rozpaczą w oczekiwaniu chwili, gdy drzewko obumrze z potrzeby. Wkońcu, potrzeba, matka przemysłności, podsunęła nam wynalazek, mogący zabezpieczyć drzewo i nas od nieuchronnej śmierci: mianowicie, wpadliśmy na myśl, aby wykopać pod ziemią kanał, odprowadzający tajemnie do wierzbki część wody którą podlewano orzech. To przedsięwzięcie, wykonane z zapalem, nie powiodło się wszelako zrazu. Żle obliczyliśmy spadek, tak iż woda nie spływała; ziemia odrywała się i zatykała kanał; otwór zaczepowywał się śmieciem, wszystko szło jak najgorzej. Nic nas nie zrażało: *Labor omnia vincit improbus*. Pogłęбилиśmy jeszcze grunt naszego basenu, aby ułatwić spadek; pokrajaliśmy pokrywki od pudełek w wąskie deseczki, z których jedne ułożone na płask rzędem, drugie zaś ustawione po dwóch stronach pod kątem, dały trójkątny kanał dla naszego przewodu. Otwór zagrodziliśmy cienkimi patyczkami, krzyżującymi się z sobą, tak iż, tworząc rodzaj kraty, zatrzymywały muł i kamienie, a zostawiały wolny odpływ dla wody. Pokryliśmy starannie nasze dzieło troskliwie udeptaną ziemią, i w dniu gdy wszystko było gotowe, czekaliśmy z drżeniem nadziei i obawy na godzinę podlewania. Po wiekach oczekiwania, godzina ta wybiła nareszcie; p. Lamercier przyszedł także, jak zwykle, asystować operacji, podczas której

trzymaliśmy się za nim, aby ukryć nasze drzewko, do którego, na szczęście, odwrócony był plecami.

Zaledwie wiano w zagłębienie pierwsze wiadro, ujrzelśmy, iż woda zaczyna spływać do naszego baseniku. Na ten widok ostrożność nas opuściła, zaczęliśmy wydawać okrzyki radości, które sprawiły, iż p. Lambercier się odwrócił; a szkoda: właśnie z wielką przyjemnością stwierdzał, iż ziemia koło jego orzecha jest doskonała i bardzo chciwie pije wilgoć. Widząc ze zdumieniem, iż woda zasila aż dwa baseny, wydaje on z kolei krzyk, patrzy, spostrzega sztuczkę, każe sobie co żywo przynieść łopatę, uderza nią w ziemię, rozbija w drzazgi parę deseczek, i, krzycząc w niebogłosy: *Akwadukt! Akwadukt!* zadaje na wszystkie strony niemiłosiernie ciosy, z których każdy godził nas prosto w serce. W jednej chwili, deseczki, kanał, basen, wierzba, wszystko zniszczone, zaorane. Przez czas tego strasznego dzieła zniszczenia, p. Lambercier nie wyrzekł ani słowa, prócz owego powtarzanego nieustannie wykrzyknika. *Akwadukt!* wołał, łamiąc i niszcząc wszystko, *akwadukt! akwadukt!*

Mógłby ktoś mniemać, iż przygoda skończyła się dla małych architektów. Wcale nie: wszystko ograniczyło się na tem. P. Lambercier nie uczynił nam najmniejszej wymówki, nie skrzywił się nawet i nie mówił o tem więcej; słyszeliśmy nawet nieco później, jak śmiał się na całego gardło rozmawiając z siostrą, śmiech bowiem p. Lambercier słychać było zdaleka; a co jeszcze bardziej zadziwiające, to iż my sami, skoro minęła pierwsza chwila wzruszenia, nie byliśmy nadto zmartwieni. Zasadziliśmy gdzie indziej inne drzewo i przypominaliśmy sobie często katastrofę, powtarzając z emfazą: *Akwadukt! Akwadukt!*

Aż dotąd, miewałem od czasu do czasu napady dumy, kiedy byłem Arystydesem lub Brutusem: to był u mnie pierwszy odruch wyraźnej próżności. Zdolać zbudować naszymi rękami akwadukt, przeciwstawić jako współzawodnika mizerną gałązkę prawdziwemu drzewu, zdawało mi się najwyższym szczytłem chwały. W dziesiątym roku życia, miałem o tem lepszy sąd, niż Cezar w trzydziestym.

Wspomnienie tego orzecha i historyjka która się doń odnosi, utkwiała mi tak silnie w pamięci, iż jednym z najmilszych projektów w czasie podróży do Genewy w r. 1754, było iść do Bossey odwiedzić pamiątki zabaw dziecięcych, a zwłaszcza kochany orzech, który musiał liczyć podówczas dobrą trzecią część wieku. Byłem tak nieustannie oblegany, tak mało byłem panem swego czasu, że nie mogłem znaleźć chwili dla zaspokojenia mych życzeń. Mało jest nadziei, aby ta sposobność nadarzyła się jeszcze kiedy; mimo to, nie wyzbyłem się pragnienia i jestem prawie pewny, że gdybym kiedyś, wróciwszy do tych miejsc ukochanych, znalazł drogi orzech jeszcze przy życiu, zrosiłbym go gorącymi łzami.

Wróciwszy do Genewy, spędziłem dwa czy trzy lata u wuja, czekając aby coś ze mną postanowiono. Ponieważ wuj przeznaczał syna do inżynierji, kazał go kształcić potrosze w rysunku i uczyć Elementów Euklida. Przechodziłem i ja to wszystko dla towarzystwa i nabrałem zamiłowania zwłaszcza do rysunku. Tymczasem zastanawiałem się, czy zrobić ze mnie zegarmistrza, adwokata, czy pastora. Byłbym rad zgodził się na pastora, ponieważ prawnie kazań wydawało mi się rzeczą pełną powabu; wszelako szczupłe dziedzictwo po matce, które trzeba było dzielić między mnie i brata, nie wystarczało na

prowadzenie długich studjów. Ponieważ młody mój wiek nie naglił jeszcze do wyboru, przebywałem czasowo u wuja, tracąc czas mniejwięcej na niczem i płacąc, jak sprawiedliwość kazała, wcale przyzwoitą pensyjkę za utrzymanie.

Wuj, człowiek lubiący życie podobnie jak mój ojciec, tak samo też nie umiał zadawać sobie przymusu dla obowiązków i nie troszczył się o nas zbyt wiele. Ciotka, silnie pogrążona w dewocji, wołała śpiewać psalmy, niż czuwać nad wychowaniem. Pozostawiono nam prawie zupełną swobodę, której zresztą nie nadużywaliśmy nigdy. Zawsze nierozłączni, wystarczaliśmy sobie nawzajem i, nie mając żadnej pokusy przestawania w towarzystwie urwyszów w naszym wieku, nie nabraliśmy żadnej z przywar, które próżniactwo mogło nam być podszeptać. Żle mówię właściwie, żeśmy próżnowali, w życiu bowiem pewno nie byliśmy bardziej czynni, a najszcześniejsze było to, że wszystkie zabawy, pochłaniające nas kolejno, przykuwały nas nieustannie do domu, tak że nie mieliśmy najmniejszej pokusy wychylać się na ulicę. Sporządzaliśmy klatki, flety, wolanty, bębny, domy, łodzie, proce. Psuliśmy narzędzia pocziwego dziadka, aby, za jego wzorem, sporządzać zegarki. Mieliliśmy zwłaszcza szczególne upodobanie w zasmarowywaniu papieru, rysowaniu, malowaniu, iluminowaniu, przyczem w farbách sprawialiśmy istne spustoszenie. Przybył wówczas do Genewy szarlatan włoski, nazwany Gamba-Korta; poszliśmy go raz zobaczyć i nie byliśmy nim oczarowani: ale miał marjonetki, zaczęliśmy tedy sporządzać marjonetki. Jego marjonetki odgrywały rodzaj komedji: i my zaczęliśmy układać komedje. Naśladowaliśmy, jakeśmy umieli, gardlany głos

Poliszynela. Odgrywaliśmy śliczne widowiska, których, w braku innej publiczności, musiała cierpliwie wysłuchiwać cała nieszczęśliwa rodzina. To znów raz wuj Bernard przeczytał w domu bardzo piękne kazanie, które sam ułożył; dalejże w kąt komedje, zaczęliśmy układać kazania. Te szczegóły nie są zbyt interesujące, przyznaję: ale pokazują, do jakiego stopnia nasze pierwsze wychowanie musiało być dobrze prowadzone, skoro teraz, rozrządzając prawie zupełnie swobodnie czasem i sobą, w wieku tak niebezpiecznym, tak mało doznawaliśmy pokus aby tej swobody nadużyć. Nie odczuwaliśmy potrzeby dobierania sobie towarzyszy; idąc na przechadzkę, spoglądaliśmy na ich zabawy przelotnie i bez pożądlivosti, bez myśli nawet że moglibyśmy wziąć w nich udział. Przyjaźń wypełniała tak doskonale nasze serca, że wystarczyło nam być razem, aby najskromniejsze uciechy stawały się rozkoszą.

Nierozdzielność ta ściągnęła wkońcu na nas uwagę; tembardziej iż wysoki wzrost krewniaka przy mojej małej figurce czynił z nas parę dość komicznie dobraną. Jego długa cienka postać, twarz podobna do gotowanego jabłka, łagodne wejrzenie, niedbały chód, wszystko to podniecało dzieciaków do drwinek. W gwarze miejscowej nadano mu przydomek *Barnâ Bredanna*; zaledwie wyszliśmy z domu, słyszeliśmy natychmiast *Barnâ Bredanna*, wszędzie gdzieśmy się ruszyli. On znosił to spokojniej; ja złościłem się, chciałem się bić: tego właśnie pragnęli mali hultaje. Rozdawałem kuksańce, obrywałem nawzajem. Biedny krewniak wspomagał mnie jak mógł; ale był słaby, jedno uderzenie pięści waliło go na ziemię. Wówczas, wpadałem we wściekłość. Wprawdzie, chociaż dostawało mi się sporo guzów, drwiny te mierzyły nie we mnie, lecz w *Barnâ*

Bredanna: ale moja impetyczność tak pogarszała sprawę, iż, wkońcu, odważaliśmy się wychodzić jedynie w godzinach gdy cała dzieciarnia była w szkole, z obawy przed napaściami i prześladowaniem.

Otóż i znalazłem się w roli mściciela krzywd. Aby się stać doskonałym rycerzem, brakowało mi jedynie damy; niebawem zyskałem aż dwie. Od czasu do czasu, udawałem się w odwiedziny do ojca do Nionu, małego miasteczka w Vaud. Ojca bardzo tam kochano, a życzliwość ta spływała i na syna. W czasie krótkich pobytów, pieszczono mnie i ugaszczano na wyścigi. Zwłaszcza niejaką pani de Vulson psuła mnie dobrocią, a, jako szczyt wszystkiego, córka jej wzięła mnie sobie za kawalera. Łatwo sobie wyobrazić rolę kawalera lat jedenastu, wobec panny liczącej dwadzieścia dwa. Ale wszakże te hultajki zawsze rade wysuwają na pierwszy plan takie małe lalecзки, aby ukryć po za nimi duże, albo też znęcić je obrazem igraszek, które umieją zaprawić odrobiną pieprzyku! Co do mnie, nie dostrzegałem wówczas tego niestosunku, i brałem rzecz zupełnie poważnie: oddałem się jej całem sercem, a raczej całą głową, jedynie bowiem głową byłem zakochany, mimo iż zakochany byłem do szaleństwa, a moje uniesienia, wybuchy, napady wściekłości wyładowywały się w scenach, na które patrząc można było umrzeć ze śmiechu.

Znam dwa rodzaje miłości, bardzo wyraźnie zarysowane, bardzo realne i nie mające z sobą niemal nic wspólnego, jakkolwiek oba są bardzo żywe i oba różne od tkliwej przyjaźni. Cały bieg mego życia dzielił się pomiędzy te dwie miłości tak odmiennej przyrody, a nawet zdarzyło mi się doświadczać obu naraz. I tak naprzykład,

w chwili o której mówię, podczas gdy zajmowałem się panną de Vulson tak publicznie i tak tyrańsko, iż nie mogłem ścierpieć zbliżenia się do niej drugiego mężczyzny, równocześnie miewałem z niejaką małą Goton sam-na-sam krótkie ale dość żywe, w których ona raczyła obejmować rolę surowej mentorki. To było wszystko, co od niej uzyskałem: ale to *wszystko*, które w istocie było wszystkim dla mnie, zdawało mi się najwyższem szczęściem. W ten sposób, odczuwając już, jakkolwiek po dziecinemu, warłość tajemnicy, odplacałem pannie de Vulson, bez żadnego podejrzenia z jej strony, chytrą, z jaką posługiwała się mną dla pokrycia innych uczuć. Wszelako, ku wielkiemu memu żalowi, sekret mój albo odkryto, albo też moja mała mistrzyni mniej ściśle go strzegła odemnie, niebawem bowiem rozdzielono nas.

Ta mała Goton była to, doprawdy, szczególna osobka. Nie będąc ładną, miała w sobie coś takiego, iż trudno ją było zapomnieć; do tego stopnia, iż wspominam ją dotąd jeszcze, często o wiele żywiej, niżby staremu szaleńcowi przystało. Oczy jej, figura, wzięcie, wszystko to wyprzedzało o wiele jej lata. Miała minę rozkazującą i dumną, bardzo właściwą dla jej roli, i to może podsunęło nam pomysł naszych igraszek. Ale co było w niej najdziwniejsze, to jakieś pomieszanie zuchwalstwa i skromności, trudne w istocie do pojęcia. Pozwalała sobie ze mną na najdalej idące poufaleści, nie dopuszczając mnie do żadnej; traktowała mnie zupełnie jak dziecko: co każe mi przypuszczać, że sama albo niem przestała już być, albo też, przeciwnie, była niem tak bardzo, iż, w niebezpieczeństwie z którym igrała widziała jedynie zabawę.

Mogę powiedzieć, iż należałem cały do każdej z tych dwóch istot, i to tak doskonale, że przy żadnej z nich nie zdarzyło mi się pomyśleć o drugiej. Ale, pozatem uczucia jakie każda z nich budziła we mnie były najzupełniej różne.

Byłbym spędził życie całe przy pannie de Vulson bez myśli o rozstaniu; ale, kiedym ją oglądał, radość moja była spokojna i nie dochodziła aż do wzruszenia. Lubiełam ją zwłaszcza w większym towarzystwie: żarty, przekomiczania, wybuchy zazdrości nawet, przywiązywały mnie do niej; pochłaniały; tryumfowałem z dumą z przywilejów, jakie mi w niej zażywałem u niej w przytomności dorosłych rywalów, których którymi zdawała się pomiatać. Dręczyłem się, ale kochałem tę udrękę. Przyklaskiwania, zachęty, śmiechy, rozpalaly mnie, podniecały. Wśród ludzi, byłem zdolny do niesień, wybuchów, czułem się rozplomieniony miłością; sam na sam byłbym sztywny, oziębły, być może znudzony. Mimo to, brałem bardzo tkliwy udział we wszystkim o co jej tyczyło; cierpiałem gdy była chora, byłbym oddał własne zdrowie aby jej je przywrócić; a zważcie, że wiecie, że działałem bardzo dobrze z doświadczenia co to choroba i co zdrowie. Z oddali, myślałem o niej i brakowało mi jej przy jej boku, pieszczoty sprawiała słodycz memu sercu, a nie zmysłom. Poufalskość nasza była dla mnie bez niebezpieczeństwa: wyobrażenia moja zaspakajala się tem, że co ona sama mi pozwalała; mimo to, nie byłbym zdolny do cierpieć, gdybym widział iż tą samą łaską obdarza kogoś drugiego. Kochałem ją jak brat, ale zazdrosny byłem jak kochanek.

O pannę Goton byłbym zazdrosny jak Turek, jak szaleniec, jak tygrys, gdyby mi nawet w myśli powstała

że mogłaby innemu użyzyć względów którymi mnie obdarzała, to nawet bowiem było łaską, o którą musiałem błagać na kolanach. Zbliżałem się do panny de Vulson z bardzo żywą przyjemnością, ale bez pomieszania; na sam widok panny Goton w oczach mi się émiło, wszystkie zmysły mąciły się we mnie. Czułem się swobodny z pierwszą, mimo iż trzymany na odległość; wobec drugiej przeciwnie, nawet podczas największych poufalskości byłem drżący i pomieszany. Sądzę, że, gdybym z nią przebywał nadal, nie pożyłbym długo; wzruszenia, jakie przechodziłem, byłyby mnie zdławily. Lękałem się jednako popaść w nielaskę u obydwu; ale objawiało się to większą przychylnością dla jednej, większą uległością dla drugiej. Za nic w świecie nie byłbym chciał pognewać panny de Vulson; ale, gdyby panna Goton kazała mi się rzucić w płomień, sądzę, iż usłuchałbym w tejże chwili.

Miłości, albo raczej schadzki nasze, trwały krótko, na szczęście dla obojga. Jakkolwiek stosunki z panną de Vulson nie groziły tem samem niebezpieczeństwem, one również, po dłuższem nieco trwaniu, skończyły się katastrofą. Wszystkie te rozwiązania zawsze musiały mieć coś romantycznego i sposobnego do wykrzykników. Jakkolwiek stosunek z panną de Vulson był mniej żywy, głębiej może wnikał w sferę uczuć. Rozstania nasze nigdy nie odbyły się bez łez i po każdym czułem dziwnie przygnębiającą pustkę. Nie umiałem mówić, myśleć o czem innem niż o niej, żalność moja była żywa i szczera; ale podejrzewam, że, w głębi, te heroiczne żale nie wszystkie odnosiły się do niej, i że, bez mej świadomości, zabawy których ona była ośrodkiem, też odgrywały pewną rolę. Aby złagodzić cierpienia rozłąki, pisywaliśmy do siebie

listy, których patos byłby zdolny zmieknąć skały. Wreszcie, dożyłem tej chluby, iż nie mogła znieść dłużej rozłąki i przybyła mnie odwiedzić. Co teraz, to zawróciło mi się do reszty w głowie: byłem pijany i oszalały przez całe dwa dni jej pobytu.

Kiedy odjechała, chciałem się rzucić za nią w wodę. Długi czas rozdzierałem powietrze krzykami rozpaczliwymi. W tydzień później, posłała mi cukierki i rękawiczki. Bylbym istotnie wzruszony tą uprzejmością i dobrocią, gdybym, równocześnie, nie dowiedział się, że wyszła za mąż i że ta podróż, której chlubę pozwoiliła mi odnosić do mej osoby, miała za cel przedślubne sprawunki. Nie będę opisywał mej wściekłości: można ją sobie wyobrazić. W szlachetnym gniewie, przysiągłem nie oglądać na oczy przewrotnej istoty, nie mogąc sobie wyobrazić straszliwszej kary. Nie zabiło jej to wszelako; w dwadzieścia lat potem, bawiąc raz w odwiedzinach u ojca i pływając z nim po jeziorze, kiedy go spytałem kto są panie które zauważyłem opodal w łódce, ojciec rzekł z uśmiechem: „Jakoś serce ci nie nie mówi? To twoja dawna miłość: pani Crystin, dawniej panna de Vulson.“ Zadrżałem na to imię prawie zapomniane, ale kazałem przewoźnikom skierować łódź gdzieindziej, nie uważając — mimo iż sposobność do odwetu była wcale niezła — aby warto było popełniać krzywoprzysięstwo i wskrzeszać zwady z przed lat dwudziestu z czterdziestoletnią kobietą.

(1723—1728). W ten sposób, spływały na głupstwa najcenniejsze lata dzieciństwa, zanim postanowiono wreszcie o mem powołaniu. Po długich naradach i dociekaniu naturalnych skłonności, obrano karierę, do której miałem najmniej. Umieszczono mnie u p. Masseron,

szarza miejskiego, abym, jak powiadał wuj Bernard, kształcił się przy nim w pożytecznem rzemiośle kauderby. Ten przydomek bardzo mi się nie podobał; namiętna ciulania talarów na tej obmierzłej drodze zbyt mało chlebiała mej niebotycznej dumie, zatrudnienie zdalo mi się nudne, niezdolne; przymus, zależność odstręczyły mnie odeń do reszty. Wchodziłem w progi kancelarii z podrazą wzmagającą się z dnia na dzień. Ze swej strony, Masseron, niezbyt zadowolony z ucznia, odnosił się do mnie z pogardą, wyrzucając codziennie, że wuj zaręczył mi, że umiem to, że umiem owo, podczas gdy w istocie nie umiem nic; że przyrzekł mu sprytnego chłopca, a dał głupiego osła. Wreszcie, przepędzono mnie smutnie z kancelarii z powodu niezdarności, dependenci zaś pana Masseron orzekli, że nadają się jedynie do władania piórkami.

W ten sposób rozstrzygnęło się moje powołanie. Jakoż, oddano mnie do terminu, nie do zegarmistrza wszelako, ale do rytownika. Lekceważenie pana pisarza upokorzyło moją dumę; usłuchałem bez szemrania. Mój pryncypał, pan de Commun, był to młody człowiek nieokrzesany i gwałtowny. W przeciągu bardzo krótkiego czasu, udało mu się zetrzeć cały blask mego dzieciństwa, zatłumić kochany i żywy charakter i ściągnąć mnie, tak umysłem jak ciałem, do stanu prawdziwego chłopaka z terminu. Łacina, arcydziełność, historia, wszystko poszło na długi czas w zapomnienie: nie pamiętałem, czy wogóle byli jacyś uczeni na świecie. Ojciec, gdy mi się go zdarzyło odwiedzić, nie odnajdywał już we mnie przedmiotu do kształcenia; przestałem być dla dam przymilnym Janem Jakóbem. Czułem sam tak dobrze, iż pp. Lambereier nie

poznałoby we mnie swego ucznia, ze wstydy mi się im pokazać: jakoż, nie widziałem ich już od czasu. Najszpetniejsze upodobania, najniższego gatunku hultajstwo zajęło miejsce dawnych lubych igraszek, iż nawet pamięć ich mi nie została. Musiałem, mój najstaranniejszego w świecie wychowania, mieć wielką skłonność do zwyrodnienia, wszystko to bowiem stało się szybko i bez najmniejszego oporu. Nigdy chyba przedwczesny Cezar nie zmienił się tak szybko w Laryd

Zawód sam przez się nie był dla mnie odpychającym. Miałem żywe zamiłowanie do rysunku, robota rylcem dosyć mnie bawiła; że zaś kunszt rytownika w zamożnym mistrzostwie jest bardzo ograniczony, miałem nadzieję iż z czasem posiędę go w całej pełni. Bylbym może tego doszedł, gdyby brutalność majstra i straszne skrupowanie nie zmierzili mi pracy. Odkradałem mój czas, aby go obracać na zatrudnienia tego samego rodzaju, ale mające dla mnie urok swobody. Rytowałem medale, służące mnie i towarzyszom jako rodzaj odznaczenia rycerskiej. Pryncypał zdybał mnie przy tej kontrabandzie i oświadczył niemilosiernie, powiadając że zaprawiam do fałszerstwa, ponieważ medale miały herby rzeczywiście państwa polskiej. Mogę przysiąc, że nie miałem najmniejszego pojęcia o fałszywej monecie, a bardzo słabe o prawdziwej. Lepiej mi było wiadomo, jak się wyrabia assyryjskie niż nasze trzy groszniki.

Tyranja majstra doprowadziła mnie wkońcu do nienawidzenia pracy, którą bylibym inaczej polubił, i zaszczytu przywary, których bylibym nienawidził, jak klamstwa, próżniactwo, kradzież. Nie bardziej nie ujawniło mi się pomiędzy synowską uległością a służalczem

nięciem, niż wspomnienie przeobrażeń jakie spro-
dziła we mnie ta epoka. Z natury byłem nieśmiały
i tyliwy; ze wszystkich wad, najbardziej może było mi
zuchwalstwo. Ale wprzód cieszyłem się godziwą
wolnością, która teraz, stopniowo, ścieśniała się coraz
bardziej, aż wkońcu zupełnie znikła. Czulem się śmiały
w domu ojca, swobodny u p. Lamercier. U wuja stałem
ogłębny i uważający; w terminie trwożliwy; odtąd
byłem straconym chłopakiem. Przyzwyczajony żyć ze
wzrostkami na stopie zupełnie równej, nie widząc
żadnej przyjemności któraby mi nie była dostępna, po-
wody którejbym nie pokoszował, pragnienia któregobym
nie objawił, gotowy zawsze spowiadać się z każdego
pragnienia serca, można sobie wyobrazić, czem musiałem
stać się w domu, gdzie nie śmiałem ust utworzyć, gdzie
nie było mi wstawiać od stołu w połowie posiłku,
nie wychodzić z pokoju z chwilą gdy nie byłem zatrudniony;
nie, bez ustanku przykuty do pracy, patrzyłem na swo-
bodę i uciechy drugich, podczas gdy dla mnie zostawały
tylko wyrzeczenia. Obraz swobody majstra i czeladników
zwiększał ciężar upodlenia i niewoli; wszystko co widzia-
łem stawało się dla mego serca przedmiotem pożądania,
niezaważ byłem wszystkiego pozbawiony. Bywaj zdrowy
i wesołości, bywajcie zdrowe dowcipne słówka,
nie nigdyś, w razie przewinienia, nieraz ratowały mnie
od kary. Nie mogę się nie śmiać na wspomnienie, jak,
tego wieczora, u ojca, kiedy, za jakąś psotę, kazano
mi za karę iść spać bez wieczerzy i kiedy przecho-
dziłem przez kuchnię trzymając w ręku żalosny kawałek chleba,
czulem i poczułem węchem pieczone obracające się na
ogień. Wszyscy byli zgromadzeni koło ognia, trzeba było

przechodząc pożegnać się. Kiedy już obszedłem całe kawałki, wówczas, zerkając z pod oka na owo pieczone, wyglądające tak apetycznie i pachnące tak smakowicie, nie mogłem się powstrzymać, aby mu się również nie pokłonić i powiedzieć smętnym głosem: *dobranoc, pieczone*. Wzrost naiwności wywołał taką uciechę, że pozwolił mi zostać na wieczerzy. Być może, podobne słowo miałoby też samo powodzenie w domu majstra, ale pewna, że nie byłoby mi przyszło na myśl i że nie oszalełbym się dać mu folgi.

Oto jak nauczyłem się pragnąć w milczeniu, ukrywać się, udawać, kłamać, a wreszcie i łasować: przyważyła, która, aż do tego czasu, była mi zupełnie obcą, a z której odtąd nigdy nie mogłem się zupełnie wyleczyć. Pożądanie i niemożność zawsze do tego prowadzą. Oto, dla wszystkich lokaje są łasownicy i dlatego wszyscy chłopcy w terminie powinni by nimi zostać; ale ci, z czasem w równych i spokojnych zajęciach, nie narażeni na pokusy pożądania, wyzbywają się z wiekiem tej haniebnej skłonności. Nie zaznawszy tego szczęścia, nie mogli dostąpić i jego dobroczynnych skutków.

Pierwszy krok do złego prawie zawsze wynika u dzieci z dobrych skłonności źle pokierowanych. Mimo ustawnych wyrzeczeń i pokus, przebyłem rok w terminie nie mogąc się zdobyć na to aby coś ściągnąć, nawet do jedzenia. Pierwsza kradzież była owocem uczynności, ale otworzyła drogę innym, które nie miały tak chwalebnych pobudek.

Był u majstra czeladnik, nazwiskiem Verrat, przy którego domu, w sąsiedztwie, znajdował się ogród dość odległy, dający bardzo piękne szparagi. Otóż panu Verrat

który nie miał do zbytku pieniędzy, przysłała ochota ukrąść matce nieco wczesnych szparagów, aby, sprzedawszy tę nowalję, obrócić zyski na parę dobrych śniadanków. Ponieważ sam nie miał ochoty się narażać i nie był dość zwinny, wybrał mnie na tę ekspedycję. Po paru wstępnych przejęmościach, które zjednały mnie tem skuteczniej ile że nie rozumiałem ich celu, poddał mi ten pomysł, który jakoby przyszedł mu w tej chwili do głowy. Opierałem się długo; nastawał uporeczywie. Nie umiałem się nigdy oprzeć prośbom i pieszczotom: uległem. Chodziłem, co rano, wybierać najpiękniejsze szparagi; zanosilem je na targ, gdzie jakaś kupczycha, zgadując że towar był skradziony, mówiła mi to w żywe oczy, aby uzyskać tańszą cenę. W przerażeniu, brałem co mi raczyła dać i oddawałem panu Verrat. Przeobrażało się to szybko w śniadanko, którego ja byłem dostawcą, a które dzielił z innym z towarzyszy. Co do mnie, bardzo byłem rad, jeśli przypadło mi parę ochłapów, nie mówiąc już o winie, którego nie skosztowałem ani kropelki.

Ta sztuczka ciągnęła się przez kilka dni, w ciągu których nie przyszło mi nawet na myśl okraść samego złodzieja, i nałożyć panu Verrat dziesięcinę od ceny jego szparagów. Wywiązywałem się z mego lajdactwa z największą uczciwością; jedyną mą pobudką było wygodzić temu kto mnie do niego używał. Gdyby mnie odkryto, ileż kijów, obelg, jakież okrutne znęcanie byłoby na mnie spadło, podczas gdy nędznik byłby się mnie wyparł spokojnie, i uwierzonoby mu na słowo: był czeladnikiem, a ja tylko terminatorem! Oto, jak, w każdym stanie, silny zbrodniarz wychodzi cało, kosztem niewinnego słabszego.

Dowiedziałem się w ten sposób, że kraść to nie jest rzecz tak straszna, jak dotąd myślałem; niebawem, zacząłem stosować mą umiejętność tak gorliwie, że żaden przedmiot budzący mą pożydlwość, o ile znalazł mi się pod ręką, nie był bezpieczny. Nie byłem nadto źle żywiony u majstra; wstrzemięźliwość była mi tylko przez to tak uciążliwa, iż on sam, w moich oczach, przekraczał bardzo często jej granice. Zwyczaj wyprawiania od stołu młodych chłopców w chwili gdy się podaje potrawy najbardziej dla nich pożyteczne, jest, mojem zdaniem, bardzo skuteczny aby z nich zrobić łakomców i złodziei. Stałem się, w krótkim czasie, jednym i drugim: i wcale mi się z tem dobrze działo na codzień, bardzo źle natomiast od czasu do czasu, gdy mnie złapało na gorącym uczynku.

Jest wspomnienie, które przyprawia mnie równocześnie o śmiech i o dreszcze, mianowicie epizod wyprawy na jabłka, bardzo smutnej w następstwach. Te jabłka znajdowały się w głębi spiżarni, do której, za pomocą wysoko umieszczonego okienka, przedostawało się światło dzienne z kuchni. Jednego dnia, znalazłszy się sam w domu, wdrapałem się na gzyms, aby obejrzeć w owym ogrodzie Hesperyd cenny owoc, do którego droga była mi zamknięta. Poszedłem po rożen, aby przekonać się, czy, z jego pomocą, nie można by tam sięgnąć; okazał się za krótki. Przedłużyłem go, za pomocą drugiego rożenka, który służył dla drobniejszej zwierzyny; pryncypał bowiem lubił polowanie. Żgnąłem parę razy bez skutku: wkońcu, uczulem, iż złowiłem jabłko. Pociągnąłem bardzo ostrożnie: już, już było przy samym otworze, już miałem je pochwycić. Któż opisze mą boleść? Jabłko było za duże, nie mogło przedostać się przez

murę. Ież wynalazczości rozwinąłem aby je wydobyć! trzeba było znaleźć podpórki, aby utrzymać rożen w wymienionej pozycji, nóż dość długi aby pokrajać jabłko, szczulkę aby je podtrzymać. Z dużym nakładem pracy i czasu udało mi się je podzielić, w nadziei wydobędę je sztuka po sztuce; ale, zaledwo rozpadło się na części, oba kawałki runęły na dno spiżarki. Litościwy czytelniku, użał się mego strapienia!

Nie straciłem zapalu, ale straciłem wiele czasu. Lękałem się, by mnie nie zaskoczono; odłożyłem do następnego dnia szczęśliwszą próbę i zabrałem się najspokojniej do roboty, nie myśląc o dwóch niedyskretnych świadkach, którzy jako akt oskarżenia na dnie spiżarki.

Nazajutrz tedy, upatrzywszy sposobność, rozpoczynam nową próbę. Wchodzę na drabinkę, wsuwam rożen, ujmuję: już byłem bliski trafienia zdobyczy.... Niestety, pieknie nie spał: drzwi od spiżarni otwierają się nagle i wychodzi z nich pryncypał, spogląda na mnie ze skrzyżowanymi rękami i mówi: „Tylko śmiało!....“ Tu pióro upada mi z ręki.

Niebawem oswoiłem się ze złem obchodzeniem i z wszelkimi karami. Stałem się na nie mniej wrażliwy: wydawało mi się poprostu rodzajem haraczu złożonego za kradzież, który upoważnia mnie niejako do uprawiania jej w dalszym ciągu. Zamiast obracać oczy wstecz i myśleć o karze, obracałem je wprzód i myślałem o pomście. Skoro mnie tak jak hultaja, uważałem, że mam prawo nim być. Nie miałem, że kraść i brać kije, to rzeczy które idą razem i stanowią jakby rodzaj zawodu: wypełniając tedy część tego zawodu która zależała odemnie, zostawiałem pryncypałowi troskę o spełnienie drugiej części. Umocniony tą

ideą, uprawiałem kradzież z większym spokojem niż przednio. Mówilem sobie: Cóż mi się wreszcie stanie. Dostanę kiję. Niech i tak będzie: toć to moje przeczucie i rola.

Lubię jeść, nie będąc wszelako żarłocznym: jestem więcej zmysłowcem niż smakoszem. Zbyt wiele innych zamięłowań odciąga mnie od tej namiętności. Interesowałem się mem podniebieniem jedynie wtedy, gdy sen było bezczynne, a to zdarzało mi się w życiu tak rzadko, że nie wiele miałem czasu myśleć o dobrych kąskach. Oto dlaczego niedługo ograniczałem moje hultajstwa i wiktuałów, ale rozciągnąłem je niebawem na wszystkie co mnie nęciło; i, jeśli nie stałem się formalnym złodziejem, to dlatego, że nigdy nie kusily mnie pieniądze. We wspólnym warsztacie, majster miał osobny warsztacik zamykania kluczy: znalazłem sposób otwierania drzwiczek i zamykania z powrotem tak żeby nikt nie spostrzegł. Tak gospodarowałem sobie w jego przednich narzędziach, na lepszych rysunkach, formach, we wszystkim co budziło we mnie pożądlivość, a co on starał się usuwać przedemną. W gruncie rzeczy, kradzieże te były bardzo niewinne, boć rezultat ich szedł, ostatecznie, na dobro pryncypała, ale niezmierną radość sprawiało mi mieć te drobne w posiadaniu, zdawało mi się, że kradnę sam talent razem z jego wytworami. Pozatem, były tam skrzynki z odpadkami złota i srebra, klejnociki, cenne sztuki, pieniądze. Jeżeli miałem kiedy trzy albo cztery groszaki w kieszeni to było dużo: mimo to, nietylko nie ruszyłem nigdy z tych skarbów, ale nie przypominam sobie nawet, aby obrzucił je kiedy pożądliwem spojrzeniem: widok ich budził we mnie więcej grozy niż przyjemności. Pewnie

jestem, że tę grozę przed kradzieżą pieniędzy i wszystkiego co można w nie zamienić, zawdzięczałem w znacznym stopniu wychowaniu. Łączyły się z tem utajone pojęcia hańby, więzienia, kary, szubienicy, które wystarczyły aby mnie przerazić gdybym nawet odczuwał pokusę; podczas gdy zwykle moje nadużycia zdawały mi się jeno psotą, i w istocie nie były czem innem. Wszystko co mi groziło za nie, to jedynie porządne wały z ręki pani majstrowej, a z tem godziłem się zgóry.

Ale, jeszcze raz powtarzam, nie odczuwałem nawet pokusy natyle, abym się potrzebował wstrzymywać; nie było tu walki. Arkusik ładnego papieru do rysowania kusil mnie więcej niż pieniądz za który mógłbym dostać całą ryżę. Ta osobliwa właściwość charakteru tak wielki miała wpływ na moje postępowanie w wielu okolicznościach życia, że trzeba mi ją wytłómaczyć.

Podległy jestem namiętnościom bardzo gorącym i, podczas ich działania, gwałtowność moja dochodzi wprost ostatecznych granic. Nie znam wówczas ani względów, ani szacunku, ani obawy, ani przyzwoitości; jestem cyniczny, bezczelny, gwałtowny, nieustraszony; niema hańby, któraby mnie mogła zatrzymać, niebezpieczeństwa któreby mnie przestraszyło: poza jedynym przedmiotem który mnie pochłania, świat dla mnie nie istnieje. Ale to wszystko trwa tylko moment; w chwilę potem, popadam w bezład i obojętność.

W stanie spokoju jestem w najwyższym stopniu bierny, trwożliwy nawet; wszystko mnie uraża, wszystko przeraża; przelatująca mucha zdolna jest mnie wystraszyć. Wymówienie jednego słowa, wykonanie gestu stanowi dla mego lenistwa nieprzemierzony wysilek; wstyd i obawa

paraliżują mnie tak bardzo, że radbym ukryć się przed oczyma całego świata. Gdy trzeba działać, nie wiem co robić; gdy trzeba się odezwać, nie wiem co mówić; kiedy na mnie patrzą, czuję się zupełnie zbity z tropu. Porwany uniesieniem, umiem niekiedy znaleźć potrzebne wyrazy; ale w zwyczajnej rozmowie nie znajduję nic, zupełnie nic i każda rozmowa jest mi nieznośna przez to samo że zmuszony jestem mówić.

Zważcie przytem, iż żadne z moich zasadniczych upodobań nie opiera się na rzeczach *do kupienia*. Trzeba mi jedynie rozkoszy czystych, a pieniądź każdą zatruwa. Lubię naprzykład uciechy stołu; ale, nie mogąc ścierpieć ani skrępowań wykwintnego towarzystwa ani plugastwa traktjerni, zdolny jestem kosztować ich jedynie z przyjaciелеm; sam, nie: wówczas bowiem wyobrażnia moja zaprzęta się czem innem i nie znajduję w jedzeniu żadnej przyjemności. O ile moja rozpalona krew domaga się kobiet, o tyle tkliwe serce jeszcze silniej domaga się miłości. Kobiety nabyte za cenę pieniędzy straciłyby dla mnie cały urok; wątpię nawet, czy przemógłbym na sobie to aby z nich korzystać. Tak samo jest u mnie z każdą przyjemnością: jeżeli związana jest z zapłatą, wydaje mi się bez smaku. Lubię tylko te słodczyce, które nie należą do nikogo, a raczej do pierwszego z brzegu umiającego w nich smakować.

Nigdy pieniądź nie wydawał mi się tak cenną rzeczą za jaką go uważają. Co więcej, nigdy nie wydał mi się przedmiotem zbyt poręcznym; nie służy do niczego sam przez się, trzeba go dopiero zmienić na coś, aby móc się nim ucieszyć; trzeba kupować, targować się, często być oszukanym, dobrze płacić za lichą usługę. Pragnę,

aby rzecz była dobra pod względem gatunku: za pieniądze mogę być pewien że dostanę lichą. Płacę drogo za świeże jajko, okazuje się zleżale; za piękny owoc, jest zielony; za dziewczynę, jest skażona. Lubię dobre wino, ale gdzie go szukać? U handlarza? cokolwiekbym czynił, zawsze mnie struje. Pragnę, za jakąbądź cenę, być dobrze obsłużonym; co tu trudności, kłopotów! starać się o przyjaciół, sekretarzy, dawać zlecenia, pisać, chodzić, jeździć, czekać; i często wkońcu jeszcze być oszukanym. Co tu utrapień za własne pieniądze! Lękam się ich jeszcze więcej niż lubię dobre wino.

Tysiąc razy, za czasu terminatorstwa i później, zdarzyło mi się wyjść z domu w zamiarze kupienia łakoci. Zbliżam się do sklepu cukiernika, spostrzegam jakieś kobiety przy ladzie; zdaje mi się już że widzę jak się śmieją i żartują między sobą z małego łakotnisia. Przechodzę przed sklepem owocarki, zerkam z pod oka na piękne gruszki, nęci mnie ich zapach; ale sterczy w pobliżu paru młodych ludzi i patrzą na mnie; człowiek który mnie zna, stoi przed sklepem! widzę zdaleka nadchodzącą jakąś dziewczynę; czy to nie służąca z sąsiedztwa? Krótki wzrok nastreca mi mnóstwo tematu do złudzeń. Każdy przechodeń wydaje mi się znajomym; wszędzie mnie coś onieśmiela, wszędzie spotykam przeszkodę; wstyd potęguje się wraz z pragnieniem i bierze nad niem górę; wreszcie, wracam do domu jak głupiec, trawiony pożądaniem, mając w kieszeni środki zaspokojenia go i nie śmiejąc sobie nie kupić.

Musiałbym wchodzić w najgłębsze szczegóły, gdybym chciał malować wstyd, odrazę, utrapienia, ohydy wszelakiego rodzaju, których zawsze doznawałem, gdy chodziło

o spożytkowanie własnych pieniędzy czy to dla siebie czy dla drugih. W miarę, jak, zapuszczając się, wraz ze mną, w moje życie, czytelnik zapozna się z moim charakterem, odczuje sam wszystko, bez potrzeby rozbudzenia się nad tem z mej strony.

To pojawiawszy, każdy będzie mógł pojąć bez trudu jedną z moich rzekomych sprzeczności: mianowicie połączenie brudnego skapstwa niemal, z największą w świecie pogardą dla pieniędzy. Jest to sprzęt dla mnie tak nieporęczny, że nawet mi się nie śni pożądać pieniędzy których nie mam; a kiedy je mam, długo je przechowuję bez użytku, w niemożności zużycia ich wedle ochoty. Ale niech tylko się nadarzy łatwa i przyjemna sposobność, korzystam z niej tak sumiennie, że sakiewka opróżnia się w mgnieniu oka. Nie szukajcie też we mnie zwykłego narowu skapców, to znaczy wydatków dla pokazania się; całkiem odwrotnie, wydaję potajemnie i dla przyjemności. Daleki od tego aby szukać chluby w wydatkach, ukrywam się z nimi. Czuję tak dobrze, że pieniądz nie jest stworzony dla mego użytku, że niemal wstyd mi jest go posiadać, a jeszcze bardziej zeń korzystać. Gdybym kiedykolwiek posiadał dochód wystarczający aby żyć dostatnio, nie miałbym żadnego pociągu do skapstwa, tego jestem pewny; wydawałbym całe dochody nie starając się ich przynmnożyć. Ale moje położenie, trudne i niepewne, trzyma mnie w nieustannej obawie. Ubóstwiam swobodę; mam wstręt do skrępowania, trudu, niewoli. Póki trwają pieniądze, które mam w sakiewce, póty trwa i moja niezależność: uwalniają mnie od krzątania się za zarobkiem, która to konieczność zawsze wstręt budziła we mnie. Lękając się tedy iż niebawem się wyczerpią, duszę je,

pieniądz, który człowiek posiada, jest narzędziem swobodny; ten, za którym goni, narzędziem niewoli. Oto przyczyna, kiedy je mam, duszę je, nie pożądaając niczego. Moja bezinteresowność jest zatem tylko lenistwem; przyjemność posiadania nie jest warta trudu zabiegów. Łaknie i rozrzutność moja płynie z lenistwa; kiedy nadarzy się sposobność przyjemnego strwonienia, dalejże się korzystać! Mniej kuszą mnie pieniądze niż same przedmioty, pomiędzy pieniądzem bowiem a upragnionem posiadaniem jest zawsze coś pośredniego; podczas gdy widzę samą rzecz a jej użyciem, nie. Gdy widzę przedmiot, kusi mnie; zgoła nie, gdy widzę jedynie sposób do nabycia go. Byłem tedy lasownikiem, i teraz jeszcze niekiedy zdarza mi się przywłaszczyć sobie jakiś przedmiot który mnie nęci i który łatwiej mi wziąć, niżeli go prosić; ale, czy w dzieciństwie czy później, nie przywiązuję sobie, abym przywłaszczył sobie bodaj grosz, tylko, poza jednym jedynym razem, niespełna przed osiemnastu laty, kiedy zdarzyło mi się ukraść siedm funtów cukru, dziesięć su. Przygoda warta jest aby ją opowiedzieć, chociaż się w niej bowiem takie nieocenione połączenie szczelności i głupoty, że trudnoby mi samemu w nią wierzyć, gdyby dotyczyła nie mnie, lecz kogo innego. Było to w Paryżu. Przechadzałem się, około piątej, z panem de Francueil po Palais-Royal. P. de Francueil miał zegarek, spogląda nań i powiada: „Chodźmy do Opery.“ Nie mam nic przeciw temu, idziemy. Bierze mi bilety w amfiteatrze, wręcza mi jeden i wchodzi pierwszy; ja za nim. Rozdziela nas tłok u wejścia do amfiteatru, że mógłbym łatwo stracić się w ciżbie, albo przy-

najmniej pozwolić p. de Francueil przypuszczać że straciłem. Wychodzę, odbieram kontr-markę, pożyczę pieniądze, i wymykam się, nie myśląc o tem, iż, zaledwie przeszedłem próg, wszyscy usiedli i wówczas p. de Francueil musiał jasno widzieć moją nieobecność.

Ponieważ trudno o coś bardziej odbiegającego od mego usposobienia niż ten rys, notuję go, aby okazało że bywają chwile jakiegoś niby obłądu, w których trzeba sądzić ludzi z uczynków. W tym wypadku, była to właściwie kradzież pieniędzy, raczej kradzież przeznaczenia; ale, im mniej była kradzieżą, tem bardziej była paskudstwem.

Nie wybrnąłbym z tych szczegółów, gdybym chciał posuwać się przez wszystkie etapy, przez które, w ciągu mego terminatorstwa, zeszedłem z wzniosłości bohatera do nikiemności lajdaka. Wszelako, nasiąkając przyzwyczajeniami stanu, nie umiałem nabrać we wszystkim upodobań. Nudziły mnie zabawy towarzyszy; a kiedy wskutek zbyt dokuczliwego przymusu obmierzła mi i praca, nudziło mnie wszystko. To przywróciło mi zamiłowanie do książek, zaniedbanych oddawna. Czytanie, którego chwila odkradałem pracy, stało się nową zbrodnią, którą odpłaciłem nowemi karami. To zamiłowanie, drażnione przez szkody, stało się namiętnością, wkrótce szaleem. La Tribu, sławna najemczyni książek, dostarczała mi i to wszelakiego rodzaju. Dobrze, złe, wszystko mi było jedno; nie wybierałem; czytałem wszystko z jednakością chęci.

Czytałem w warsztacie, czytałem chodząc z posyłkami; czytałem w miejscu ustępowem, zapamiętując się; czytałem prostu na całe godziny; w głowie mi się kręciło, nie

nie biegałem poza czytaniem. Majster szpiegował mnie, przyłapywał, bił, zabierał książki. Ile tomów podartych, spalonych, wyrzuconych oknem! Ile dzieł zbrakowanych wypożyczalni starej la Tribu! Kiedy nie miałem czym płacić, oddawałem koszule, krawatki, łańcuchy; trzy soldy dzielnego pensji przechodziły regularnie do jej kasy. Otóż i chwila, powie ktoś, w której pieniądze były mi potrzebne. To prawda; ale chwila ta przyszła wówczas, kiedy czytanie odjęło mi wszelką przedsiębiorczość. Pochłonięty całkowicie nową pasją, nie widziałem poza książką; przestałem kraść. To także jedna z charakterystycznych właściwości. W najwyższym napięciu tego sposobu życia, drobnostka jakaś odrywa mnie, zmienia, pociąga, wreszcie pochłania; i oto świat cały przestaje mnie interesować, myślę jedynie o nowym przedmiocie który mnie przyciąga. Serce biło mi z niecierpliwości, aby czemprędzej dostać się do nowej książki jaką miałem w kieszeni; dozwalałem ją natychmiast, skoro tylko zostałem sam, i ani mi już w głowie nie pozostało plondrować warsztat przyrządzający. Chwila obecna jest mi wszystkim; nie leży w mej naturze zadawać sobie jakikolwiek trud dla przyszłości. La Tribu udzieliła mi kredytu; zawsze wisiałem u niej z małą sumką; a kiedy miałem książkę w kieszeni, nie myślałem już o niczem. Pieniądze, które posiadałem, przechodziły do rąk tej kobiety, a kiedy stawiała się konieczność, najprostszym odruchem było oddać jej własne zapieczętowanie. Kraść zawczasu było dla mnie czynem zbyt niegodnym przewidywania, a kraść dla spłaty długów nie przedstawiało nawet pokusy.

Pod wpływem tych wymyślań, kłótni, czytania ukradkiem i bez wyboru, usposobienie moje stało się dzikie,

milczące; głowa poczęła mi się bakierować, żyłem jak istny odludek. Wszelako, o ile pewien wrodzony smutek uchronił mnie od książek płaskich i głupich, o tyle moje szczęście uchroniło mnie od bezecnych i wyuzdanych. Nie iżby la Tribu, kobieta pod wszystkimi względami skłonna iść na rękę, miała skrupulizować się z ich życzeniami; ale, aby podnieść ich wartość, szeptała im tytuły z miną pełną tajemniczości, która właśnie kazała mi odmawiać, tak ze wstydu jak z odrazy. Przypadek tak dobrze przyszedł w pomoc wrodzonej wstydlivości, że miałem przeszło trzydzieści lat, zanim pierwszy raz rzuciłem okiem na jedno z owych niebezpiecznych wyobrażeń, które pewna światowa dama osądziła jako bardzo niewygodne, ponieważ przy czytaniu można je trzymać tylko w jednej ręce.

W niespełna rok wyczerpałem szczupły kramik la Tribu i wówczas stałem się pastwą okrutnej bezczynności. Z narowów dziecka i urwisa wyleczył mnie nałóg czytania, a nawet lektury moje, jakkolwiek pochłaniane bez wyboru i często nie najlepsze, mimo to wszczepiły we mnie uczucia będące powyżej mego stanu.

Zmierżony tem co było mi dostępne, a czując zbyt wielką odległość tego coby mnie kusilo, nie widziałem możliwości, coby mogło pociągnąć me serce. Zmysły, oddawna obudzone, domagały się rozkoszy, której przedmiotu nie umiałem sobie nawet wyobrazić. Pojęcia o ich naturalnym wyładowaniu były miśsom moim tak odległe, jakgdyby nie posiadał płci. Wyrosły już z dziecięctwa i zdolny do wzruszeń, wracałem niekiedy myślą do dawnego szaleństwa, ale nie widziałem nic poza tem. W tem szczególnem położeniu, niespokojna wyobraźnia obrała sposób

który ocalił mnie od samego siebie i uśmierzył rodzącą się zmysłowość. Zacząłem mianowicie karmić się sytuacjami, które zainteresowały mnie w książkach, odmieniać, kombinować, stosować do siebie, wzywając się w jedną z działających osób, oglądając się w najbardziej mi ponętnych położeniach, słowem, żyjąc życiem urojonem, w które wkońcu zupełnie wcielałem i które wyzwało mnie do opłakanej rzeczywistości. To zamilowanie do życia wyobraźnią i łatwość wcielania się w jej przedmioty, obrzydziły mi do reszty wszystko co mnie otaczało, i utrwaliły w moim umyśle podobaństwo w samotności, które mi odtąd pozostało na zawsze. Nie jeden raz jeszcze będzie można stwierdzić dziwaczne następstwa tego usposobienia ponurego i na pozór zabarwionego mizantropją, ale które, w istocie, wypływa ze zbyt zapalnego, kochającego, zbyt czulego serca. Nie mogąc znaleźć w życiu rzeczywistem istot, któreby mu były pokrewne, serce to zmuszone jest karmić się fikcjami. Na teraz, poprzestanę na zaznaczeniu źródeł pierwszych przyczyn owego wypaczenia, które przeobraziło wszystkie moje namiętności, i które, przez osobliwą sprzeczność, czyniło mnie zawsze leniwym w działaniu, a to dla zbytnej żarliwości w pragnieniu.

Doszedłem w ten sposób do szesnastego roku, niespokojny, niezadowolony ze wszystkich i z siebie samego, bez zamilowania do rzemiosła, bez uciech mego wieku, pożerany pragnieniami, których nie znałem przedmiotem. Często, bez powodu, zalewałem się łzami, wzdychałem nie wiedząc czemu; słowem, pieściłem tkliwie swoje chimery, nie widząc dookoła siebie nic realnego, coby je mogło zastąpić. W niedzielę, koledzy wstępowali po mnie na kazaniu, aby iść wspólnie zbijać baki. Byłbym im

się chętnie wymknął gdybym mógł, ale, skoro raz wciągnąłem się w zabawę, żaden z nich nie dorównywał mi w zapalczywości; nieposób było mnie opanować i zatrzymać. Taka już była zawsze moja natura. W wiecieczkach w okolicy miasta, szedłem zawsze naprzód, myśląc o powrocie, o ile inni nie pomyśleli o tem za mną. Dwa razy przypłaciłem to dotkliwie: zamknięto bramę miasta, zanim zdążyłem wrócić. Co się działo w domu nazajutrz, można sobie wyobrazić; za drugim razem przyrzeczono mi takie przyjęcie na trzeci, że postanowiłem się na to nie narażać. Mimo to, ten trzeci raz, tak bramienny grozą, nadszedł. Czujność moją udaremnił pewien przeklęty kapitan, nazwiskiem Minutoli, który zawsze zamykał bramę powierzoną jego straży pół godziny wcześniej od innych. Wracalem z dwoma kolegami. Na pół mili od miasta słyszę że trąbią pobudkę, podwajam kroku; słyszę że bębnią capstrzyk, biegnę co nam się da, dobiegam zdyszany, zlany potem; serce mi bije, widzę zdaleka szyldwachów na posterunku; przybiegam, krzyczę zduszonym głosem. Zapóźno! Na dwadzieścia kroków przedemną, podnosi się pierwszy most. Zadrżałem, widząc w powietrzu jego straszliwe rogi, złowrogą i nieszczęśliwą wróżbę nieuniknionego losu, który otwierał się dla mnie w tej chwili.

W uniesieniu rozpacz, rzuciłem się na szaniec i zacząłem gryźć ziemię. Koledzy, śmiejąc się ze swego nieszczęścia, pogodzili się wnet z losem. I ja pogodziłem się również; ale w odmienny sposób. Poprzysiągłem w tejże chwili, nie wrócić nigdy do pryncypała; kiedy nazajutrz, skoro otwarto bramy, koledzy weselo podążali do miasta, pożegnałem się z nimi na zawsze, prosząc

ich, aby uwiadomili w sekrecie krewniaka Bernarda o moim postanowieniu i wskazali mu miejsce, gdzie mógłby ze mną widzieć raz ostatni.

Od czasu mego wstąpienia do terminu, straciliśmy się z nim z oczu z krewniakiem. Przez jakiś czas, spotykaliśmy się w niedzielę; ale stopniowo czuliśmy, jak oddala się między nas pewna obcość, i spotkania nasze stały się coraz rzadsze. Jestem przekonany, iż matka jego wiele przyczyniła się do tej zmiany. On pozostał chłopcem z wyższej sfery, ja, mizerny terminator, należałem już do plebsu. Mimo równości urodzenia, nie byłem już równi stanem; przestawać ze mną, znaczyło dla niego być chłopcem z natury dobry, szedł niekiedy, mimo przykazy matki, za popędem serca. Uwiadomiony o moim postanowieniu, przybiegł, nie aby mnie od niego odwozić, ale też je podzielić, ale aby, zapomocą drobnych podarunków, osłodzić nieco mą ucieczkę; własne zasoby bowiem nie mogły mnie zawieźć zbyt daleko. Dał mi, między innymi, małą szpadkę, którą byłem bardzo zachwycony; przesiadłem ją aż do Turynu, gdzie, z konieczności, musiałem ją po niej pozbyć. Im bardziej zastanawiałem się później nad sposobem w jaki Bernard postąpił sobie ze mną w tym krytycznym momencie, tem bardziej jestem przekonany, iż poczynął sobie wedle wskazówek matki, a może ojca; nie jest bowiem możebne, aby sam z siebie nie próbował w jakiś sposób mnie zatrzymać, albo też nie chciał chęci towarzyszenia mi; tymczasem nie! Owszem, więcej umacniał mnie w zamiarze, niż odwoził; a gdy wreszcie widział że jestem zupełnie zdecydowany, pożegnał się ze mną bez zbytniego wzruszenia. Nigdyśmy,

od tego czasu, nie pisali do siebie, ani się nie widzieli. Szkoda, była to natura nawskróś dobra; byliśmy się stworzeni aby się kochać wzajemnie.

Zanim się oddam na łup fatalności swego losu, niech mi będzie wolno obrócić jeszcze oczy na dołę, którą mógłbym się spodziewać, gdybym się dostał w ręce lepszego zwierchnika. Nie było nic zgodniejszego z mem usposobieniem ani sposobniejszego by mnie uczynić szczęśliwym niż skromny i spokojny zawód rękodzielnika, w pewnym rzemiośle zwłaszcza, jak np. rytownika w Genewie. Ten zawód, dość zyskowny aby zapewnić dostatnie utrzymanie, a nie dosyć aby obudzić pokusę zdobywania majątku, byłby określił na resztę życia granice mej ambicji; byłby mnie zamknął w mojej sferze, nie dając żadnego sposobu wydobyć się poza nią. Posiadając wyobraźnię dość bogatą aby urojeniami jej ozdobić każde położenie, dość potężną, aby, z jej pomocą, przenosić się, że tak powiem, w dowolne horyzonty, niewiele byłbym dążył o istotne warunki życia. Między miejscem w którym przebywał a najbliższym zamkiem na księżycu, nie mogło istnieć taka odległość, iżbym z łatwością nie zdołał przewędrować w każdej chwili. Z tego właśnie wynikał iż zawód najbardziej prosty, wymagający najmniej kłopotu i zabiegów, zostawiający myślom najwięcej swobody, byłby najbardziej zgodny z moją naturą; a takim byłoby właśnie rzemiosło które miałem porzucić. Byłbym spójny na łonie mej religii, ojczyzny i przyjaciół; życie spokojne i ciche, takie jakie odpowiadało memu charakterowi; wśród jednostajnej umiłowanej pracy, w małym dobru towarzystwie. Byłbym dobrym chrześcijaninem, dobrym obywatelem, rzemieślnikiem, dobrym człowiekiem w

wszystkiem. Byłbym kochał swój zawód, może stał się jego ozdobą; i, przeżywszy lata cichego i prostego, ale równego i pogodnego życia, umarłbym spokojnie w otoczeniu bliskich. Wkrótce zapomnianoby o mnie, to pewna; lecz gdyżcobądź, żalowanoby mnie przynajmniej tak długo, jak długoby przetrwało bodaj nikle wspomnienie.

W miejsce tego... Jakież obraz przyjdzie mi nakreślić? Ach, nie uprzedzajmy nieszczęść mego życia; aż nadto trzeba mi będzie zaprzętać czytelników tym smutnym przedmiotem.

KSIĘGA II

(1728—1731). O ile chwila w której strach podsumowa mi zamiar ucieczki, była smutną, o tyle samo wykonanie zdało mi się uroczę. Dzieckiem jeszcze porzucić kraj rodzinę, wszelkie podpory, środki, opuszczać naukę na wpół przebytą nie nauczwszy się rzemiosła na tyle aby żyć z niego; wydać się na pastwę nędzy, nie widząc żadnego sposobu wydobyć się z niej; w wieku pustoty i niewiady wystawiać się na wszystkie pokusy grzechu i rozpacz; szukać, w dalekich stronach, nędzy, upadku, niebezpieczeństw, niewoli i śmierci, w jarzmie o wiele twardejszem od tego którego nie mogłem udźwignąć: oto, co miałem uczynić; oto perspektywy, które powinienem był sobie uzmysłować. Jakże odmienne tymczasem kreśliłem horyzonty! Pełnia swobody, którą zdobyłem sobie w memniemaniu, była jedynem uczuciem jakiemu byłem doświadczonej. Czując się wolnym i panem siebie, mniemałem iż mogę dopiąć wszystkiego: wystarczał mi jeden rzut aby wznieść się i szybować w przestworach. Wkraczałem z ufnością na szeroką scenę świata; spodziewałem się wypełnić ją wartością mej osoby. Na każdym kroku spodziewałem się spotkać ucztę, skarby, przygody, przyjaciół gotowych do usług, kochanki ubiegające się o moje względy: samem ukazaniem się miałem nappełnić sobą świat.

cały wszechświat wszelako, pod tym względem byłem skłonny do ustępstw. W umiarkowaniu mojem ograniczałem się do ciasnej, ale rozkosznie dobranej sfery, w której powinien byłem królowania. Ambicji mojej wystarczał jeden punkt: tam, będąc ulubieńcem obojga państwa, amantem wielkiego domu, przyjacielem brata i opatrnością sąsiadów, czułem się zadowolony; nie trzeba mi było więcej.

W oczekiwaniu tej skromnej przyszłości, błędziłem przez kilka dni koło miasta, koczując u znajomych wieśniaków, którzy przyjęli mnie z dobrocią większą, niżbym jej mógł oczekiwać u mieszkańców miasta. Przygarnęli mnie, dali nocleg, karmili; a wszystko z poczciwością i prostotą, nie roszczącą sobie pretensji do żadnej zasługi. Tego można nazwać dobroczynnością: zbyt mało wkładali w swą ludzkość poczucia wyższości.

W ciągu tych wędrówek, zapuściłem się aż do Congnion, miejscowości w Sabaudji, o dwie mile od Genewy. Proboszcz tameczny nazywał się p. de Pontverre. To imię, słynne w historii Rzeczypospolitej, uderzyło mnie wielce. Ciekaw byłem zobaczyć, jak wyglądają potomkowie rycerzy z la Cuiller. Wstąpiłem do p. de Pontverre; przyjął mnie łaskawie, mówił o herezji genewskiej, o poważył świętej matki Kościoła i zatrzymał mnie na obiad. Nie wiele miałem do odpowiedzenia na argumenty które uderzyły się w ten sposób; osądziłem, że proboszcz u których tak smacznie się jada, warci są conajmniej naszych pastorów. Byłem z pewnością bardziej bity w naukach od p. de Pontverre, mimo całego jego szlachectwa; ale byłem zbyt dobrym towarzyszem stołu, aby być równie dobrym teologiem; francuskie wino, które zdało mi się wyborne, argumentowało tak zwycięsko za swego gospo-

darza, że uważałbym sobie za hańbę zamykać mu usta. Ustępowałem tedy, a przynajmniej nie oponowałem wręcz. Patrząc na moje wykręty, snadnie mógłby mi ktoś pomówić o fałsz; niesłusznie: byłem jedynie grzecznym. Pochlebstwo, a raczej uступliwość, nie zawsze jest przewarą; częściej jest raczej cnotą, zwłaszcza u młodych ludzi. Dobroć, z jaką ktoś odnosi się do naszej osoby, przywiązuje: ustępujemy, nie aby wprowadzić w błąd, ale aby nie sprawić przykrości, aby nie płacić złem za dobre. Jakiż interes mógł mieć p. de Pontverre przygarniając mnie, obchodząc się ze mną jak z ludzkiem, starając się mnie przekonać? żadnego, chyba mojego własnego. Moje młode serce mówiło mi to. Byłem przejęty wdzięcznością i szacunkiem dla zacnego kapłana. Czułem swoją wyższość; ale nie chciałem go nią przygniatać w odpłatę gościnności. Nie było w tem postępowaniu żadnej hipokryzji: nie myślałem bynajmniej zmieniać wyznania; sama myśl o tem przejmowała mnie wówczas grozą i wstrętem. Pragnąłem jedynie nie martwić tych, którzy przyciągali mnie w tym celu; chciałem zachować ich życzliwość i zostawić nadzieję zwycięstwa, okazując się na pozór mniej uzbrojonym, niż byłem w istocie. Błąd mój podobny był do kokieterji uczciwych kobiet, które niekiedy, pragnąc przeprowadzić jakiś zamiar, umiemy, nie przyzwalając ani nie przyrzekając niczego, więcej pozwolili się spodziewać, niżeli mają zamiar do trzymać.

Względny rozsądek, litości, ładu społecznego przemawiały z pewnością za tem, aby, zamiast dopomagać memu szaleństwu, raczej zatrzymać mnie na drodze do zguby, po której biegłem, i odesłać rodzinie. To byłby uczyn-

albo starał się uczynić, każdy człowiek naprawdę cnotliwy. Ale, jakkolwiek p. de Pontverre był dobrym człowiekiem, nie był on z pewnością człowiekiem cnotliwym; przeciwnie, był to bigot, który nie znał innej cnoty, jak modlić się do obrazów i odmawiać różańce; typ misjonarza, który nie wyobrażał sobie nic lepszego dla dobra wiary, niż wydawać książeczki przeciw genewskim pastorom. Nie tylko tedy nie pomyślał o tem, aby mnie odesłać do domu, ale skorzystał z moich awanturniczych postanowień, aby mnie pełnać na drogę, z której powrót byłby niemożliwy, nawet gdybym go kiedyś zapragnął. Wszystko przemawiało za tem, że, na tej drodze, muszę zginąć z nędzy, lub stać się łajdakiem. Nato zupełnie nie miał oczu: widział jedynie duszę wydartą herezji i przywróconą Kościołowi. Czy będę uczciwym człowiekiem czy galanem, cóż na tem zależy, bylebym chodził na mszę? Nie trzeba zresztą mniemać, aby ten sposób myślenia właściwy był jedynie katolikom; jest on związany z wszelką religią dogmatyczną, która treść zasadniczą widzi nie w postępkach, ale w wierze.

„Bóg cię wzywa, moje dziecko, rzekł p. de Pontverre; idź do Annecy; znajdziesz tam zacną panią bardzo miłosierną, która, dzięki dobrodziejstwu króla, posiada środki wydobywania innych dusz z błędów, z jakich ocalała się sama“. Chodziło o panią de Warens, osobę świeżo nawróconą, którą istotnie księża zmuszali, aby, z kanalią gotową frymarchyć swą wiarą, dzieliła pensję dwóch tysięcy franków, wyznaczoną jej przez króla Sardynji. Czułem się bardzo upokorzony, iż trzeba mi było pomocy „zacznej pani bardzo miłosiernej“. Bardzo lubiłem mieć wszystko czego mi trzeba, ale nie w drodze jałmużny;

obraz dewotki także nie miał dla mnie nic pociągającego. Przypierany wszelako przez p. de Pontverre, przez głębię, który już mi się dał w znak, rad również iż mam przejechać się z sobą podróż, do tego z jakimś celem, zdecydowałem się, jakkolwiek z przykrością, i ruszyłem do Annecy. Mogłem być dostać się tam w ciągu jednego dnia; ale nie było mi pośpieszno: zabawiłem w drodze aż trzy. Nie minąłem żadnego zamku po prawej albo lewej stronie drogi, aby nie próbował szukać w nim przygód, co do których byłem pewny że mnie oczekują. Nie śmiałem wejść do zamku ani zapukać, byłem bowiem bardzo nieśmiały, ale śpiewałem pod oknem które najokazalej się przedstawiało, i bardzo byłem zdumiony, gdy, po dłuższym rozdzieraniu sobie gardła, nie ujrzałem dam ani panien, któreby znęciła piękność głosu albo wdzięk moich piosenek; a umiałem bardzo piękne, nauczane od kolegów i śpiewałem je, w swoim mniemaniu, cudownie.

Przybywam nareszcie: widzę panią de Warens. Ta epoka życia zdecydowała o moim charakterze; nie sposób pominąć jej lekko. Byłem wówczas w połowie szesnastego roku życia. Nie będąc co się nazywa ładnym chłopcem, byłem wszelako, mimo średniego wzrostu, dość sobie nieczego; miałem ładną stopę, zgrabnie narysowaną nogę, minę rozgarniętą, żywą fizjognomję, buzię ładnie wykrejoną, brwi i włosy czarne, oczy małe i głęboko osadzone, ale które z siłą promieniowały ogniem krążący mi w żyłach. Na nieszczęście, nic nie wiedziałem o tem wszystkim, i nie zdarzyło mi się w życiu myśleć o swej urodzie, chyba wówczas, gdy już zapóźno było ciągnąć z niej korzyści.

Nieśmiałość właściwa wiekowi łączyła się z trwożliwością natury bardzo tkliwej, ciągle dręczonej obawą nara-

nia się komuś. Przytem, jakkolwiek posiadałem dość wykształcenia, nie obracając się nigdy w świecie nie znałem zupełnie form; a wiadomości moje nie tylko nie mogły ich zastąpić, ale jeszcze pomnażały onieśmienie, dając mi wiadomość własnych braków.

Lękając się tedy, iż sam mój widok nie usposobi zbyt korzystnie nowej opiekunki, postanowiłem inaczej wykorzystać swoje przewagi. Skomponowałem piękny list w stylu literackim, gdzie, sztukując zwroty wyjęte z książek, starałem się być terminatorem, rozwinąłem całą elokwencję, aby wyrazić sobie przychylność pani de Warens. Włożyłem list p. de Pontverre w mój własny i ruszyłem na straszliwą podróż. Nie zastałem pani de Warens w domu; powieściano mi, iż przed chwilą wyszła do kościoła. Była to niedziela palmowa roku 1728. Biegnę, aby ją dogonić: widzę ją, przystępuję, mówię... Ach, jak żywo mam przed oczyma miejsce tego spotkania; ileż razy później zlewałem łzami i okrywałem pocałunkami! Czemuż nie mogłem wznosić złotą barjerą tego błogosławionego miejsca! Czemuż nie mogłem doń ściągnąć holdów całego świata! Jakkolwiek umie czcić święte pamiątki zbawienia człowieka, nie powinien się tam zbliżać inaczej niż na kolanach. Była to ścieżka poza domem, pomiędzy strumykiem, który ją, po prawej ręce, oddzielał od ogrodu, a murem odwórca po lewej. Ścieżka ta prowadziła bocznymi drzwiczkami do kościoła Franciszkanów. Mając już wejść do drzwiczki, pani de Warens odwróciła się na mój głos. Jakież uczucie doznałem na ten widok! Wyobrażałem sobie starą, zasuszoną dewotkę; „zacna dama“ pana de Pontverre nie mogła być, w mojem pojęciu, czem innem. Ujrzałem twarz bogatą w wdzięki, piękne niebieskie oczy

pełne słodyczy, olśniewającą pleć, rysunek kształtów porażający urokiem. Nic nie uszło szybkiemu rzutowi oka młodego prozelity; stałem się nim bowiem w jednej chwili, pewien, iż religja głoszona przez takich misjonarzy może prowadzić gdzieindziej niż do raju. Wzięła z usmiechem list który podałem jej drżącą ręką, otwarła, rzuciła okiem na pismo p. de Pontverre, wróciła do mego, którego przeczytała w całości, i byłaby odczytała raz jeszcze, gdyby służący nie zwrócił uwagi, że już czas do kościoła. „Och, moje dziecko, rzekła tonem który przyprawił mnie o drżenie, zbyt młodo doprawdy znalazłeś się na gościńcu to niedobrze“. Następnie, nie czekając odpowiedzi, dodała: „Wejdz do domu i poczekaj na mnie; powieść żeby ci dano śniadanie; skoro się skończy msza, porozmawiamy“.

Ludwika Eleonora de Warens, z domu de la Tour de Pil, pochodziła ze szlacheckiej i starożytnej rodziny w Vevai, mieście leżącym w Vaud. Zaślubiła, bardzo młodo, pana de Warens z domu Loys, starszego syna pana de Villardin z Lozanny. Małżeństwo to, zresztą bezpotomne, nie było zbyt szczęśliwe. Pani de Warens popchnięta do tego kroku jakimś domowem nieporozumieniem, skorzystała z pobytu króla Wiktora-Amadeusza w Ewian, aby przebyć jezioro i rzucić się do stóp władcy: tem samem, w chwili szaleństwa dość podobna do mego i którego również przyszło jej nieraz żałować opuściła w jednej godzinie męża, dom i kraj rodzinnego Króla, który lubił grać rolę żarliwego katolika, wziął pod opiekę, wyznaczył pensję tysiąca pięciuset funtów piemonckich, co było dużo na księcia mało z natury skłonnego do hojności: a widząc że przyjęcie to ściągnęło nań

zanie o miłość, wysłał swą pupilkę, pod eskortą oddziału gwardji, do Annecy, gdzie, w klasztorze Zwiastowania, pod kierunkiem Michała Gabrijela de Bernex, tytularnego kupca Genewy, dopełniła aktu zmiany wyznania.

W chwili mego przybycia, bawiła tam już od lat sześciu; sama liczyła ich dwadzieścia ośm, przyszła bowiem na świat razem ze stuleciem. Typ urody pani de Warens różnił się z tych, które zachowują się długo, ponieważ leżał bardziej w wyrazie niż w rysach; toteż, piękność jej promieniowała jeszcze pierwszym blaskiem. Miała wyraz twarzy szczotliwy i czuły, bardzo łagodne spojrzenie, anielski uśmiech, usta na miarę moich, popielate rzadkiej piękności włosy, których swobodne i proste uczesanie stroiło ją dziwnym powabem. Była niedużego wzrostu, mała, ciemna i nieco krótka w stanie, jakkolwiek bez niekształtów; niepodobna natomiast spotkać piękniejszej głowy, postury, piękniejszych rąk i ramion.

Wychowanie jej było bardzo różnorodne. Straciła, podobnie jak ja, matkę przychodząc na świat; uczyła się przygodnie, jak i od kogo się zdarzyło; nieco od ochotniczych mistrzyni, od ojca, od nauczycieli, a wiele od swoich kopciaków, szczególnie od niejakiego p. de Tavel, który, sam obdarzony niepospolitym smakiem i wiadomościami, miał niemi ozdobić osobę ukochanej. Ale, wśród tylu opiekunów w kierunkach wykształcenia, jeden sprzeciwiał się drugiemu; wskutek tego braku porządku, nie wszystkie wiadomości pogłębiły się w takim stopniu, jakby to mogło być. Nie miała miejsca przy naturalnej bystrości jej umysłu. I tak, mimo iż posiadała niejaki zakres wiadomości z zakresu filozofji i fizyki, nie umiała się oprzeć upodobaniu, jakie przejęła po ojcu do medycyny empirycznej i alchemji.

Sporządzała eliksiry, maści, balsamy, specyfiki; twierdziła iż posiada jakieś tajemnice. Szarlatani wszelakiego rodzaju, korzystając z tej słabostki, zawładnęli nią, opętali, doprowadzili do ruiny, i strawili, pośród tygłów i odwarów, jej umysł, talenty i uroki, dzięki którym mogła się była stać rozkoszą najwykwintniejszych towarzyszy.

Ale, jeżeli nikiemni szalbierze nadużyli braków i prowadzonego wykształcenia aby zaciemnić światło jej umysłu, jej doskonałe serce przetrwało wszystkie próby i zostało zawsze jednakie: kochająca i słodka natura, łaskawość dla nieszczęśliwych, niewyczerpana dobroć, wesołość, otwarte i szczere usposobienie nie zmieniły się nigdy, i nawet w obliczu starości, pośród niedostatku, nieszczęść, klęsk rozmaitych, pogoda jej pięknej duszy zachowała aż do końca ową wesołość najszcześniejszych dni.

Błędy pani de Warens wynikały z jej niewyczerpaności czynnej i bez ustanku potrzebującej zatrudnienia natury. Czynność ta wszelako nie zwracała się w kierunku jakichś kobiecych intryg; żywiołem jej były wielkie przedsięwzięcia. Pani de Warens była urodzona do wielkich spraw. W jej roli, pani de Longueville byłaby tylko wścibską kumoszką; w roli pani de Longueville ona trzęsłaby państwem. Talenty jej nie były na swoim miejscu; to, co byłoby jej chlubą w położeniu bardzo na wyzinach, stało się jej zgubą w warunkach w jakie jej życie przypadło. W każdej rzeczy która ją zaprzętała, plan rozrastał się w jej głowie; każdy przedmiot widział w powiększeniu. Z tego wynikało, iż, używając środków zastosowanych bardziej do zamiarów niż do sił, zalała się w przedsięwzięciach, i, kiedy projekty zawiodły,

opadała w ruinę, tam gdzie ktoś inny byłby stracił bardzo wiele. Ta namiętność do interesów, która jej zrobiła z tego złego, oddała jej bodaj jedną przysługę: miało to na celu, iż nie dała się jej zagrzebać na całe życie w uchronieniu klasztorzem, jak to zrazu było jej zamiarem. Prostostajne i proste życie zakonnic, codzienna papłanka w parlatorjum, wszystko to nie mogło skusić umysłu, który w nieustannym ruchu, i który, tworząc każdego nowego systemata, potrzebował swobody aby się im porwać. I nie brak żarliwości był powodem, że ta uroczą panią nie zamknęła się cała w drobnych praktykach pobożności, tak jakby to przystało osobie świeżo nawróconej, żyjącej pod okiem prałata. Jakakolwiek pobożność wpłynęła na zmianę jej religii, raz ją zmieniwszy, nie wróciła już do swej wierze. Żałowała może, iż popełniła ten błąd, ale nie pragnęła się cofnąć. Nietylko umarła była dobrą katoliczką, ale i za życia była nią w dobrej wierze. Ja, który sądzę iż czytałem w głębi jej duszy, nie mogę twierdzić, że jedynie ze wstrętu przed taką ostentacją nie okazywała publicznie swej pobożności: wiara pani de Warens była zbyt gruntowną, aby udawać dewocję. Ale nie miejsce rozwodzić się nad jej zasadami; kiedyindziej miał sposobność pomówienia o nich.

Niechaj ci, którzy przeczą sympatji dusz, wytłómaczą, jak im się potrafią, w jaki sposób, od pierwszego widoku, od pierwszego słowa, spojrzenia, pani de Warens technęła do takiego nie tylko najżywsze przywiązanie, ale i doskonałą miłość, która nigdy się nie zachwiała. Przypuśćmy, że nie byłam dla niej w istocie miłością: rzecz, która nie mogła się conajmniej wątpliwą temu, kto będzie dalej śledził historję naszego stosunku; w jaki tedy sposób na-

miętności tej mogły, od samych narodzin, towarzyszyć mi nie dopisał; dziewczyna, która nam usługiwała, po-
 uczucia najbardziej jej zazwyczaj odległe, jak spokojna, nie dopisała również, że jestem pierwszym wędrowcem mego
 serca, ufność, pogoda, bezpieczeństwo, pewność? W jakim wieku i stanu, u którego spotyka się z tym brakiem.
 sposób, przystępując poraz pierwszy do uroczej, waga ta, która na pani jej uczyniła raczej korzystne
 kwintnej, świetnej kobiety, damy przerastającej mój wyobrażenie, rzucona była poniekąd pod adresem tego
 o całe niebo pozycją; takiej do jakiej nigdy dotąd nie miałem, również włóczędzy, który obiadował z nami, i który,
 zbliżyłem się nawet, do tej, od której zależał poniekąd mój los, jeden, pożarł przyzwoity posiłek na sześć osób. Co
 mój los, stosownie do mniejszego albo większego, mnie, byłem jakby w zachwyceniu które nie pozwalało
 interesowania jakie obudzę; w jaki sposób, powiadać mi się. Serce moje karmiło się nowem uczuciem, które
 czułem się w jednej chwili tak swobodny, tak radosny, wypełniało całą moją istotę; nie pozostawiało we mnie tchu
 jak gdybym miał zupełną pewność pozyskania jej sympatii? W jaki sposób nie miałem ani chwili zakłopotania, żadną inną czynność.
 nieśmiałości, przymusu? Z natury wstydlivy, niezrównoważonych dziejów; opowiadając je, odnalazłem cały
 ważony, nie umiejący się zachować, w jaki sposób zająć, którego wyzbyłem się u majstra. Im bardziej
 lazłem z nią, od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, dawało mi się zjednać sympatię tej wybornej istoty, tem
 tę łatwość obejścia, te serdeczne słówka, swobodny ton, bardziej ubolewała nad losem na jaki miałem się narazić.
 jaki miałem w dziesięć lat później, gdy najpoufalsze, które współczucie wyrażało się w jej twarzy, spojrzeniu,
 zbliżenie między nami mogło go uczynić naturalnym zachach. Nie śmiała mnie upominać, abym wrócił do
 Czy można czuć miłość, nie mówię bez pragnień; do niewy; w jej położeniu, byłoby to zbrodnią wobec
 znawalem ich; ale bez niepokoju, zazdrości? Czy do polityczmu, a nie było jej tajemem, pod jak ścisłym była
 czuje się przynajmniej potrzeby dowiedzenia się z katem i jak ważono jej słowa. Ale mówiła mi tak wzru-
 ukochanego przedmiotu czy się jest wzajem kochany, mówiąc o zgryzocie mego ojca, że widziałem dobrze, iż
 Otóż, w życiu nie przyszło mi na myśl pytać ją o to, jakaby w duchu przyklasnęła postanowieniu powrotu.
 jak nie pytałem siebie czy ją kocham; i ona, w stosunku, wiedziała, jak bardzo, mimo woli, wymowa jej dzia-
 do mnie, tak samo nie zdradzała tej ciekawości. Była przeciw jej chęciom. Jak już poprzednio, o ile mi
 niewątpliwie coś szczególnego w uczuciach moich dla niej zdaje, wspominałem, byłem zdecydowany w postano-
 uroczej kobiety, i, w dalszym ciągu, czytelnik spotkał w tem; obecnie, im więcej mentorka zdawała mi się wy-
 z mnóstwem dziwnych i nieoczekiwanych szczegółów. Właśnie, przekonywującą, im więcej wywody jej wnikały

Zaczęła się narada nad tem, czem mam zostać; abyś do serca, tem mniej mogłem się pogodzić z myślą,
 bodniej pomówić, pani de Warens zatrzymała mnie, tem się miał od niej oderwać. Czułem, że wrócić do
 obiad. Był to pierwszy posiłek w życiu, przy którym apetyt niewy znaczyłoby postawić pomiędzy nią a sobą zaporę

prawie nie do przebycia; chyba żebym znowu uciekł się do kroku, który uczyniłem: a w takim razie lepiej zostań przy nim odrazu. Tak się też stało. Pani de Warens, widząc bezowocność wysiłków, nie posunęła ich aż do nieostrożności względem samej siebie; rzekła jeno z pełnem współczuciem spojrzaniem: „Biedny maly, trzeba ci iść tam, dokąd Bóg cię wzywa; ale, kiedy dorośniesz, wspomnisz moje słowa.“ Sądzę, iż nie myślała sama, aby ta przepowiednia miała się ziścić tak okrutnie.

Główna trudność wciąż była nierozwiązana. W jak sposób, w tak młodym wieku, znaleźć w obcym kraju utrzymanie? Przebywszy zaledwie połowę terminu, daleki był od posiadania arkanów rzemiosła. Zresztą, gdyby nawet był nawet posiadał, nie mógłbym zeń żyć w Sabaudji, kraju zbyt biednym aby uprawiać sztuki. Włóczęga, który jadł obiad za nas, zmuszony przerwać na chwilę aby dać odpocząć szczękom, oświadczył się z radą, o której mówił, iż pochodzi z nieba, a która, jeśli sądzić po skutkach, pochodziła raczej z przeciwnej strony: mianowicie, aby się udał do Turynu. Tam, w przytulisku założonem dla katechumenów, znajdę środki (mówił) do cielesnego i duchowego życia aż do czasu, w którym, wstąpiwszy na łono Kościoła, otrzymam, dzięki miłosierdziu dobrych dusz, odpowiednie miejsce. Co się tyczy kosztów podróży, ciągnął dalej obieżyświat, jego Wielebność ksiądz biskup nie omieszką, jeżeli pani mu podsunie to świątobliwe dzieło, dostarczyć, w swem miłosierdziu, środków; pani baronowa zaś, która jest tak dobroczynna, rzekł pochylając się nad talerzem, niewątpliwie również przyłoży się do tego.

Całe to miłosierdzie było mi bardzo ciężkie: serce nie

się ścisnęło, nie mówiłem nic. Pani de Warens, nie chwytając się tego projektu z równym zapalem, odrzekła tylko, że każdy powinien, wedle możności, przykladać się do dobrych uczynków, i że pomówi o tem z jego Wielebnością. Ale ten ciemny osobnik, który obawiał się snuć, iż rozmowa może wypaść nie po jego myśli i który chciał upieścić swoją pieczonkę w tej sprawie, pobiegł uprzedzić wikaryuszów, i obrobił dobrych księży tak skutecznie, że, gdy pani de Warens, która lękała się dla mnie tej podróży, chciała mówić o niej z biskupem, przekonała się, iż cała sprawa jest już załatwiona, a nawet doręczono jej bezwzględnie pieniądze, przeznaczone na mój podróży fundusik. Nie śmiała nalegać aby mnie zostawiono: zbliżałem się do wieku, w którym kobieta w jej latach nie może, bez przyzwolenia przyzwoitości, zatrzymywać przy sobie młodego człowieka.

Wobec tej decyzji osób które zajmowały się moim losem, trzeba było się poddać; uczyniłem to nawet bez wielkiej niechęci. Jakkolwiek Turyn był dalej niż Genewa, nie miałem, iż, w charakterze stolicy, musi posiadać Annecy ściślejsze stosunki niżeli odrębna państwowo religijnie Genewa: a przytem, wyruszając tam z woli na życzenie pani de Warens, miałem uczucie iż żyję ciągle pod jej kierunkiem i opieką; co było więcej niż być w jej pobliżu. Wreszcie, myśl o wielkiej podróży wchlebiała mojej wędrowniczej manji, która już wówczas zaczynała się objawiać. Zdawało mi się czemś pięknem przewędrować w moim wieku góry, i wznieść się nad głowy kolegów o całą wysokość Alp. Zwiedzić kawał świata, to ponęta której mieszkaniem Genewy nie umiemy oprzeć. Przystałem tedy na wszystko. Obieżyświat

miał wyruszyć w dwóch dniach ze swą połowicą. Po wierzono mnie i polecono ich staraniom. Oddano im moją sakiewkę, skrzepioną przez panią de Warens, która, przed tego, wsunęła mi tajemnie mały fundusik, dołączając obszernie instrukcje; poczem wyruszyliśmy w Wielką Środę.

Nazajutrz po moim wyjeździe z Annecy, przybył tam ojciec, goniąc moim śladem wraz z p. Rival, swoim przyjacielem, zegarmistrzem jak on, sprytnym człowiekiem, wcale wykształconym nawet, który układał wiersze lepsze niż La Motte i mówił też prawie tak dobrze jak on; był to bardzo zacny człowiek, ale, z całą swoją manją literacką, doprowadził tylko do tego, iż syn jego został komedjantem.

Obaj ci panowie odwiedzili panią de Warens i zadowolili się tem, iż, wspólnie z nią, uronili parę łez nad moim losem, zamiast jechać za mną i dogonić mnie, co było bardzo łatwe wobec tego iż byli na koniach a ja pieszo. To samo powtórzyło się z wujem Bernardem. Przybył do Confignon, i tam, dowiedziawszy się że jestem w Annecy, wrócił do Genewy. Zdawałoby się, że moi bliscy byli wzmowie z tą gwiazdą, aby mnie wydać losowi którego mnie oczekiwał. Brat zaginał przez podobne zaniedbanie i przepadł tak dobrze, że nigdy nie dowiedziano co się z nim stało.

Ojciec był nie tylko człowiekiem honoru, ale także i nieskazitelnej uczciwości, z duszą zdolną do wzniesienia się na wysokie szczyble cnoty; co więcej, był dobrym ojcem, zwłaszcza dla mnie. Kochał mnie bardzo czule; ale kochał także swoje przyjemności; inne przywiązania osłabiły nieco miłość ojcowską, zwłaszcza od czasu naszego rozłączenia. Ożenił się powtórnie w Nyon; żona, nie

już w wieku w którymby mogła dać mi braci, miała mało krewnych; stąd nowa rodzina, nowe twarze, nowe gospodarstwo: to wszystko zacierało nieco pamięć o mnie. Ojciec posuwał się w lata, nie mając żadnego majątku na zabezpieczenie starości. Ja i brat mieliśmy po sobie jakieś mająteczek, z którego dochód, w czasie naszej nieobecności, przypadał oczywiście ojcu. Myśl ta nasuwała mu się wprost, jasno, i nie byłaby go potrafiła od spełnienia obowiązku; ale działała podstępnie, bez świadomości z jego strony, i ostudzała niechęć gorliwość którą byłby może dalej posunął w innych okolicznościach. Oto, jak mniemam, dlaczego, przywrówszy do Annecy w moje ślady, nie pospieszył za mną do Chambéri, gdzie miał moralną pewność iż mnie znajdzie. Oto dlaczego jeszcze, ilekroć byłem go odwiedziłem od czasu mej ucieczki, zawsze znalazłem u niego tę samą ojcowską serdeczność, ale bez wielkich starań aby mnie zatrzymać.

To postępowanie ojca, którego przywiązanie i cnota były mi dobrze znane, pobudziło mnie do refleksyj nad sobą, a rezultat ich niemało przyczynił się do zachowania moralnego zdrowia mego serca. Wywodziłem stąd tę wielką maksymę moralną, jedyną może mającą praktyczne znaczenie, iż należy unikać sytuacji, które stawiają nasze obowiązki w sprzeczności z naszymi interesami i ukazują nam własną korzyść cudzej szkodzie; a to mając pewność, iż, w takich okolicznościach, mimo najszczerzego zamiłowania do cnoty, prędzej czy później słabnie się, samemu nie wiedząc, czy człowiek staje się złym i niesprawiedliwym w czynie, czy przestając być sprawiedliwym i dobrym w duszy.

Ta maksyma, głęboko wyciśnięta w głębi mego serca i przeprowadzona w praktyce, jakkolwiek nieco późno w całym postępowaniu, jest jedną z tych, które mi dały pozory największego dziwactwa, nawet szaleństwa w oczach publiczności, zwłaszcza między znajomymi. Okrzyczano mnie, iż chcę być oryginałem i robić inaczej niż drudzy. W rzeczywistości, nie myślałem ani o tym, żeby robić tak jak drudzy, ani inaczej od nich. Pragnąłem jedynie szczerze robić to, co jest dobre. Usuwałem całą mocą od sytuacji, któreby mój interes stawiały w sprzeczności z interesem cudzym, a tem samem mogły wszczepić tajemne, jakkolwiek mimowolne, pragnienie czyjejs krzywdy.

Przed dwoma laty, Mylord Marszałek chciał pomieścić w swoim testamencie zapis na moją korzyść. Sprzeciwiał się ze wszystkich sił. Oświadczyłem, że nie chciałbym za nic w świecie wiedzieć, iż figuruję w czyimkolwiek testamencie, a już najmniej jego. Ustąpił. Obecnie chcę nie ufundować dożywotną pensję i nie sprzeciwiam się. Powie ktoś, że nieźle wychodzę na zamianie: być może. Ale o mój dobroczyńco i ojczu! jeżeli będę miał nieszczeście cię przeżyć, wiem, że tracąc cię, mam wszystko do stracenia, a nic do zyskania.

Oto, podług mnie, zbawienna filozofja, jedyna prawdziwie zgodna z sercem człowieka. Z każdym dniem bardziej umacniam się w przekonaniu o jej głębokich podstawach; roztrząsałem ją w najrozmaitsze sposoby w ostatnich pismach; ale płocha i bezmyślna publiczność nie zwróciła na to uwagi. Jeśli, skończywszy to dzieło, będę żył jeszcze dość długo aby podjąć nowe, mam nadzieję dać, w dalszym ciągu *Emila*, tak wspaniały i uderzający

przykład tej zasady, że czytelnik będzie musiał uznać jej oczywistość. Ale, jak na podróżnika, za wiele tych refleksyj: czas mi w dalszą drogę.

Wypadła ona milej, niż mogłem się spodziewać; urwilec nie był tak srogą, jak na to wyglądał. Był to mężczyzna w średnim wieku, ze związanymi z tyłu szpakowatymi włosami, grenadjerską miną, donośnym głosem, dość wesóły, tęgi piechur, jeszcze cięższy żarłok. Chwytał w wszelakiego rzemiosła, nie mając pojęcia o żadnym. O ile mi się zdaje, stworzył projekt, aby założyć w Annecy fabrykę, nie wiem już czego. Pani de Warens pierwsza wdała się w to wciągnąć i właśnie ta podróż, którą odbywał, była na swój koszt oczywiście, do Turynu, miała na celu uzyskanie pozwolenia ministra. Człowiek ten miał talent wychodzenia koło swoich interesów; wieszając się ustawicznie przy księżkach i udając zelanta, przyswoił sobie w ich imię pewną światobliwą gwarę, którą posługiwał się nieustannie, mając się tem samem za wielkiego kaznodzieję. Znał nawet jeden ustęp laciński z Biblii; co wychodziło na jedno jak gdyby ich znał tysiąc, powtarzał go bowiem tysiąc razy dziennie. Poza tem, nielatwo brakło mu pieniędzy, kiedy wiedział iż znajdują się w mieszkaniu bliźniego: w czem wszelako operował więcej koniecznością niż prostem hultajstwem. Wogóle, ze swą miną obieżyświata a namaszczeniem kaznodziei, podobny był do pustelnika Piotra, gdy, z mieczem przy boku, zagrzewał ludy do wojny krzyżowej.

Co się tyczy pani Sabran, jego małżonki, była to czarna kobiecina, spokojniejsza w dzień niż w nocy. Pozwiewał sypiałem zawsze w ich pokoju, hulaśliwe napady jej bezsensowności budziły mnie często i byłyby budziły

o wiele więcej jeszcze, gdybym rozumiał ich przyczynę. Ale nawet mi się to nie śniło; na tym punkcie, zachowałem mądrość, która samej naturze zostawiła troskę mego uszeregowania.

Wędrowałem tedy wesoło w towarzystwie nabożnego przewodnika i jego fertycznej towarzyszki. Żaden wypadek nie zakłócił podróży. Czulem się w tak szczęśliwym usposobieniu ciała i ducha, jak jeszcze nigdy. Młody silny, pełen zdrowia, animuszu, zaufania do siebie i drugich, znajdowałem się w owym krótkim ale cennym momencie życia, w którym samopoczucie jego pełne jest stokrotnie niejako potęgę wrażliwości i upiększa całą przyrodę urokiem naszego istnienia. Co więcej, mój słodki niepokój związany był z przedmiotem, który go czynił mniej błędnym i przykuwał mą wyobraźnię.

Uważałem się za dzieło, wychowanka, przyjaciela, niemal kochanka pani de Warens. Przyjazne słowa które mi nie szczędziła, macierzyńskie pieszczoty, tkliwe zainteresowanie jakie mi okazywała, uroczne spojrzenia które zdawały mi się pełne miłości ponieważ tchnęły ją we mnie: wszystko to dawało pokarm myślom podczas drogi i wprowadzało mnie w stan rozkosznego marzenia. Żadna obawa, żadna niepewność przyszłego losu nie mąciła tych rojeń. Wysłać mnie do Turynu, znaczyło, w moich oczach, zobowiązać się dostarczyć mi sposobu do życia, przyzwoitego stanowiska. Przestałem się zupełnie troszczyć o siebie; inni zajęli się już tym kłopotem.

Wędrowałem tedy z lekkim sercem, zrzuciwszy z siebie ten ciężar; młode pragnienia, uroczne nadzieje, świetne projekty napędzały mą duszę. Każdy przedmiot ujrzanego przedmiotnie zdawał się rękojmią przyszłej szczęśliwości.

W domach, spotkanych po drodze, wyobrażałem sobie wielkie festyny, na łąkach igraszki rozkoszne, wzdłuż rzek, stawów, alei, rybołówstwo; na drzewach, smaczne owocce; w ich cieniu, rozkoszne sam-na-sam; w górach, wspaniałe mleka i śmietany, lube wywczasy, spokój, proste, rozkosz błędzenia bez drogi i celu. Słowem, cokolwiek ściągnęło moje oczy, wraz zwiastowało sereu nowe jakieś uciechy. Majestat, rozmaitość, istotna piękność spotykanych dokoła widoków, usprawiedliwiała w moich oczach rozsądku te upojenia; próżność także dodawała swej zaprawy. W tak młodym wieku wędrować do dalekich, zwiedzić już tyle kraju, ciągnąć śladem Hanibala przez góry, zdawało mi się chwałą przerastającą moje lata. Dodajcie do tego częste i sute popasy; potężny przytłumienie i środki do zaspokojenia go; poprawdnie bowiem, nie warto było na mnie oszczędzać i przy obiadach pani Sabran zupełnie znać nie było mego posiłku.

Nie przypominam sobie, abym, w ciągu całego życia, przeżył okres równie wolny od wszelkich trosk i zgrzyzoty, jak owe siedm czy ośm dni, które trwała podróż: tempo bowiem w jakim kroczyła pani Sabran, i do którego trzeba było się stosować, uczyniło z tej drogi długą przełazką. Wspomnienie to zostawiło mi najżywsze upamiętnienie do wszystkiego co się z niem łączy, zwłaszcza do tych i do pieszych podróży. Podróżowałem piechotą jedynie za moich pięknych dni i zawsze z rozkoszą. Z czcią, obowiązki, interesy, pakunki podręczne, zmusiły mnie do odgrywania „pana“ i brania wehikułów; pałace troski, kłopoty, skrzepowanie wsiadały doń ze mną. Podczas gdy w podróży moich, czulem jedynie rozkosz wędrowania, odtąd, miejsce jej zastąpiła niecierpliwość

przybycia do celu. W Paryżu, szukałem długo dwóch towarzyszy o tych samych upodobaniach, którzy gotowi byli poświęcić po pięćdziesiąt ludwików i rok czasu, aby razem, piechotą, zwędrować dokoła Włochy, całą usługę biorąc chłopca któryby niósł woreczek z po ręcznym przyborem. Ofiarowało się wielu ludzi, chwyconych na pozór projektem, ale w gruncie uważających go za czystą chimere, o której się rozprawia w gawędce, nie mając w istocie zamiaru jej urzeczywistnić. Przypominam sobie, że, rozmawiając z pasją o tym, myśle z Diderotem i Grimmem, ożywiłem ich wresztem moim zapalem. Myślałem, że sprawa już postanowiona, wszystko ograniczyło się do podróży na papierze, w której Grimm, jako najlepszy dowcip, każe Diderotowi poprosić mnóstwo bezbożności, i mnie, miast niego, wydać w ręce inkwizycji.

Żał, iż tak rychło dotarliśmy do Turynu, zlagodzenie uciecha z widoku dużego miasta, i nadzieja iż niebawem zajmę tam godne siebie stanowisko: już bowiem uderzało mi do głowy opary ambicji; już uważałem się za człowieka o wiele przerastającego dawny stan terminatora. Daleko byłem od przewidywania, że, niebawem, znajdę się o wiele niżej tego stanu.

Zanim pójść dalej, winien jestem usprawiedliwić się przed czytelnikiem i przeprosić go za błahę szczegółność nad którymi się rozwiodłem, jak również i za inne w których zapuszczę się niebawem, a które wydadzą mu się może równie mało zajmujące. Skoro raz postanowiłem poznać, kazać całkowicie siebie, chcę, aby nic nie pozostało w ciemności lub ukryciu; chcę nieustannie pozostawać pod oczyma czytelnika; chcę, aby mi towarzyszył we wszystkich zbli-

żaniach serca, we wszystkich zaułkach życia; aby mnie nie stracił z oczu ani na chwilę, z obawy aby, znalazłszy w opowiadaniu najmniejszą lukę, najmniejszą przerwę, spytał sam siebie: „Co robił przez ten czas?“ Powiedziałam, nie obwinil mnie, iż nie chciałem wszystkiego powiedzieć. Daję dość strawy złośliwości ludzkiej przez swoje wyznania, nie chcę tedy dostarczać jej jeszcze przez przemilczenie.

Fundusik mój zniknął: wygadałem się z nim, opiewanie zaś umieli skorzystać z tego zbytku szczerości. Pani Sabran znalazła sposób wydarcia mi nawet srebrnej szkatułki, którą pani de Warens dała mi dla zawieszenia swojej szpadki: ta strata była mi najdotkliwsza. I szpada, której byłaby została w ich rękach, gdybym się stanowczo nie sprzeciwił. Dali mi sumienne utrzymanie przez czas jakiś, ale nie zostawili mi absolutnie nic. Przybyłem do Turynu bez odzieży, bez pieniędzy, bez bielizny: chwała losu miała być dziełem wyłącznie osobistej zasługi. Miałem listy, oddałem je wedle adresu; natychmiast wprowadzono mnie do konwiktu katechumenów, celem nauczania z zasadami religii, za którą sprzedawano utrzymanie. Wchodząc, ujrzałem wielką bramę opartą na żelaznych sztabach, która, skoro tylko wszedłem, otworzyła się na dwa spusty. Ten początek wydał mi się bardziej imponujący niż przyjemny i zaczynał mi przeszkadzać do myślenia, kiedy mnie wprowadzono do dość wielkiej sali. Ujrzałem tam, za całe umeblowanie, drewniany stół, ustawiony pod wielkim krucyfiksem w głębi, około zaś kilka również drewnianych krzeseł. Krzesła zdawały się jakby woskowane, ale były tylko błyszczące od użytku i wycierania. W tej sali zebrań znajd-

wało się czterech czy pięciu ohydnych bandytów, moi towarzyszy nauki, którzy wyglądali raczej na leibgwary niż na aspirantów do godności dzieł bożych. Dwaj z tych opryszków byli to Esklawończyk i jeden rzekomo żyd, drugi Mahometanin. Obaj, jak sami wyznali, trawili życie na wędrówkach po Hiszpanii i Włoszech, przyjmując katolicyzm, i dając się chrzcić wszędzie gdzie były widoki iż się to opłaci. Otworzone drugie drzwi żelazne, które dzieliły na dwoje wielki balkon, wychodzący na podwórze. Przez te drzwi, weszły siostry katechumenki, które, jak ja, miały się odrodzić nie przez chrzest, ale przez solenne wyrzeczenie herezji. Były to największe pluchy i najostatniejsze ladaćnicze, jakie kiedykolwiek zapaskudziły owczarnię Pana. Jedna tylko wydała mi się ładną i interesującą. Była mnie więcej w moim wieku, może o rok lub dwa starsza. Miała szelmowskie oczy, które spotykały się niekiedy z moimi. To obudziło we mnie niejakię pragnienia zawarcia z nią znajomości; ale, przez czas blisko dwóch miesięcy, która mieszkała w tym domu, niepodobieństwem było mi zbliżyć się do niej, tak czujną opiekę roztoczyła nad nią stara dozorczyni, i tak pilnie zagarnął ją święty misjonarz, który pracował nad jej nawróceniem z większym zapaleciem niż pośpiechem. Musiała być wyjątkowo tępa, mimo to nie wyglądała na to, nigdy bowiem podobne przygotowanie nie wlokło się dłużej. Świątobliwy człowiek ciągle znajdował, iż jeszcze nie jest dojrzała do solennego aktu. Wreszcie znudziła się zamknięciem, i oświadczyła, że chce wyjść, nawrócona czy nie. Trzeba ją było ująć za słowo, póki godziła się jeszcze poddać tej operacji, z obawą, iż może skaprysić i potem już nie chcieć.

Całą tę małą gminę zgromadzono na cześć nowego przybysza. Udzielono nam krótkiego napomnienia; mnie, aby mnie zachęcić do godnego odpowiedzenia łasce, jaką Bóg na mnie zsyłał, innym, aby zechcieli wspierać mnie modlitwą i budować przykładem. Następnie, dziewice wróciły do swej zagrody, ja zaś miałem czas rozejrzeć się dowoli po naszej.

Nazajutrz rano, zebrano nas na nowo na naukę i wówczas zacząłem, po raz pierwszy, zastanawiać się nad krokiem jaki miałem uczynić i nad okolicznościami, które mnie do niego przywiodły.

Powiedziałem, powtarzam i powtórzę jeszcze rzecz, w której każdy dzień coraz więcej mnie umacnia: to jest, że, jeżeli kiedy dziecko otrzymało wychowanie rozumne i zdrowe, to tem dzieckiem byłem ja. Przyszedszy na świat w rodzinie, tradycją i obyczajami wyrastającej ponad zwykle pospółstwo, miałem naokoło siebie, wśród krewnych, jedynie same wzory cnoty i przykłady honoru. Ojciec, mimo iż lubiący świat, był człowiekiem nie tylko na gruncie uczciwym, ale także bardzo religijnym. Był to człowiek światowy między ludźmi, chrześcijanin w domowym ognisku; jakoż, wszczepił mi zawczasu uczucia, któremi był przeniknięty. Ciotki moje, wszystkie trzy, były nawskroś zacne i cnotliwe. Dwie starsze były wybitnie nabożne; trzecia, osoba pełna wdzięku, dowcipu i rozsądku, była może nawet pobożniejsza od nich, mimo iż z mniejszą ostentacją. Z łona tej godnej rodziny, dołączyłem się do p. Lambercier, który, mimo iż był duchownym i kaznodzieją, był wewnątrz człowiekiem wierzącym, i czytał prawie tak samo dobrze jak nauczał. Siostra jego i on, rozwinęli, zapomocą rozumnych i łagodnych nauk, zasady

pobożności, które zastali w mem sercu. Ci godni ludzie używali do tego celu środków tak prostych, tak umiarkowanych, tak mądrych, że nie tylko nie nudziłem się na kazaniu, ale zawsze wychodziłem wzruszony do głębi i pełen postanowień lepszego życia: postanowień, którym rzadko chybiałem, o ile myślałem o tem. W domu ciotki Bernard nabożność zdawała mi się uciążliwą, ciotka bowiem czyniła z niej rzemiosło. U majstra nie myślałem wcale o tych rzeczach: co nie znaczy, bym myślał o nich odmiennie. Nie spotkałem tam młodych ludzi, którzyby mnie zepsuli na tym punkcie. Byłem wisusem, ale nie niedowiarkiem.

Byłem tedy człowiekiem religijnym, w tym stopniu, w jakim może być dziecko w moim wieku. Może i więcej; nawet; dlaczegoż bowiem nie rzec otwarcie co myślę? Dzieciństwo moje nie miało cech dziecinnych; czulem, myślałem zawsze jak człowiek dorosły. Dopiero wstępując, osunąłem się do pospolitej klasy; przychodząc na świat, wyszedłem z niej. Może się ktoś śmiać ze mnie, iż z taką skromnością podaję się tu za fenomen. Dobrze, ale kiedy się wyśmieję dosyta, niechaj mi znajdzie dziecko, które, w szóstym roku życia, czytanie powieści zajmuje przykuwa, porywa aż do płakania gorącymi łzami; wówczas uczuję śmieszność mej próżności, i przyznam, że jestem w błędzie.

Kiedy twierdziłem zatem, że nie trzeba dzieciom mówić o religji, jeżeli się pragnie aby ją miały kiedyś i że są one niezdolne do pojęcia Boga, nawet na nasz sposób, zaczerpnąłem to zdanie z obserwacji a nie z doświadczenia; wiedziałem, że to ostatnie nie może świadczyć o drugich. Znajdźcie więcej Janów-Jakóbów w szó-

stym roku życia, i mówcie im o Bogu w siódmym, a raczej, że nie wam nie grozi.

Każdy czuje, jak mniemam, iż mieć religję, dla dziecka, a nawet dla człowieka, znaczy czcić tę, w której się urodziło. Niekiedy, coś z niej odpada; rzadko coś przybywa; wiara dogmatyczna jest owocem wychowania. Poza tą powszechną zasadą, która przywiązywała mnie do wyznania ojców, miałem odrazę, szczególnie właściwą naszemu miastu, do katolicyzmu, który przedstawiano nam w najczarniejszych kolorach. To uczucie posuwało się u mnie tak daleko, że zrazu, ilekroć zdarzyło mi się zajrzeć do wnętrza kościoła, spotkać kapłana w komży, usłyszeć dzwonek procesji, ogarniał mnie dreszcz grozy i przestachu; uczucie, którego z czasem przestałem doświadczać w miastach, ale które nieraz odżywało we mnie w parafjach wiejskich, bardziej podobnych do miejsc, w których go pierwotnie doznałem. To prawda, że osobliwy kontrast do tego wrażenia stanowiło wspomnienie pieszczot i czułości, z jaką księża z okolicy Genewy chętnie odnoszą się do tamecznych dzieci. Równocześnie z uczuciem strachu, które budził we mnie dzwonek kapłana z wiatykiem, dzwon wzywający na mszę i nieszpory, przypominało mi się jakieś śniadanko, podwieczorek, świeże maselko, owoce, nabiał. Obiadek księdza de Pontverre wycisnął się we mnie jeszcze głębszem wrażeniem. Dlatego łatwo uległem pomieszaniu pojęć na tym punkcie. Patrząc na papizm jedynie pod kątem związku z zabawą i łakociami, oswoilem się bez trudu z myślą o życiu w tem wyznaniu; ale myśl o przyjęciu go solennem przedstawiała mi się jedynie bardzo mglisto i w nieokreślonej odległości. I oto przyszła chwila, w któ-

rej niepodobna było się cofnąć: ujrzałem, z najwyższym przerażeniem, zobowiązanie które przyjąłem i jego nieuniknione skutki. Przyszli neofici, których widziałem wkoło siebie, nie bardzo byli potemu, aby, swoim przykładem, umocnić mą odwagę: nie mogłem utaić przed sobą, że święte dzieło, którego miałem dokonać, było w gruncie rzeczy, postępkiem szubrawca. Mimo swej młodości, uczulem, że, bez względu na to która religia jest prawdziwa, miałem oto sprzedać moją, i że, choćby nawet wybór mój był dobry, miałem, w głębi serca, skłamać Duchowi Świętemu i zasłużyć na wzgardę ludzi. Im więcej o tem myślałem, tem więcej doświadczałem oburzenia na siebie, a zarazem jęczałem nad losem, które mnie do tego doprowadził, jak gdyby ten los nie był mój własny dziełem. Niekiedy refleksje te stawały się tak silne, iż, gdybym na chwilę znalazł drzwi otwarte, byłbym się z pewnością wymknął; ale nie miałem sposobności, a i samo postanowienie również nie utrzymało się w tej sile.

Zbyt wiele tajemnych pragnień zwalczało je, aby je nie miały zwyciężyć. Zresztą, upór w powziętym zamiarze nie wracania do Genewy, wstyd, trudność nawet przebycia gór z powrotem, obawa znalezienia się zdalnym od kraju bez przyjaciół, bez środków, wszystko to skłaniało mnie ku temu, aby wyrzuty swego sumienia uważała za spóźnione żale. Tem ciężiej wyrzucałem sobie to, co uczyniłem, aby usprawiedliwić to, co miałem uczynić. Powiększając ciężar błędów przeszłości, spoglądałem na przyszłość jako na ich nieunikniony skutek. Nie powiedziałem sobie: Nic się jeszcze nie stało; możesz zostać niewinnym, jeśli zechcesz; ale mówiłem: Cierp za zbro-

dniej, której się dopuściłeś, i która wtrąciła się w konieczność doprowadzenia jej aż do ostatecznych następstw.

W istocie, jakieżż rzadkiej siły ducha trzeba by w moim wieku, aby odwołać wszystko co do tej chwili przyrzekłem albo czemuż pozwolił się spodziewać; aby zerwać łańcuchy, które sam sobie nałożyłem i oświadczyć nieustraszenie, że chcę zostać przy wierze ojców; aby to uczynić, powiadam, narażając się na wszystko, co mogło wyniknąć! Ten hart ducha nie był na mój wiek. Rzeczy zaszły już zbyt daleko aby się zgodzono na taką zmianę frontu; im większym byłby mój opór, tem bardziej, w ten lub w inny sposób, uważano by za obowiązek go przełamać.

Sofizmat, który mnie zgubił, wspólny jest wielu ludziom, którzy skarżą się iż brak im siły, wówczas kiedy już zapóźno jest aby jej użyć. Żyć cnotliwie, przychodzi nam z trudnością jedynie z naszej winy; gdybyśmy chcieli być zawsze rozsądni, rzadko mielibyśmy potrzebę być bohaterami cnoty. Ale idziemy bez oporu za naszymi skłonnościami, wówczas gdy łatwo jeszcze byłoby je pokonać; ustępujemy lekkim pokusom, lekceważąc niebezpieczeństwo. Tak, ani widząc kiedy, popadamy w karkołomne sytuacje, od których mogliśmy się z łatwością ustrzec, ale z których nie możemy się wydobyć bez heroicznego wysiłku: wówczas, przerażeni i bezsilni, osuwamy się w przepaść, mówiąc Bogu: „Czemuś mnie uczynił tak słabym?“ Ale, wbrew sofizmatom, on odpowiada naszemu sumieniu: „Uczyniłem cię zbyt słabym aby wyjść z przepaści, ponieważ uczyniłem cię dość mocnym aby się w nią nie stoczyć.“

Nie powziąłem wyraźnego postanowienia przejścia na katolicyzm: ale, widząc termin jeszcze w oddaleniu,

oswajałem się z wolna z tą myślą, hodując zarazem nadzieję, iż zajdzie jakiś niespodziany wypadek, który mnie wybawi z kłopotu. Aby zyskać na czasie, postanowiłem rozwinąć obronę najenergiczniejszą jak tylko będzie w mej mocy. Wkrótce, próżność moja sprawiła, że nie potrzebowałem pamiętać o celach mego zamiaru; z chwilą kiedy spostrzegłem że udaje mi się niekiedy wprawić w kłopot moich instruktorów, nie potrzebowałem innej podniety aby się starać pognębić ich całkowicie. Wkladałem nawet w to przedsięwzięcie zapal istotnie dość komiczny, podczas bowiem gdy oni, ze swego urzędu, nawracali mnie, ja siłem się nawrócić ich samych. Wierzyłem najnaiwniej, że trzeba tylko ich przekonać, aby ich skłonić do przejścia na protestantyzm.

Bądź co bądź, nie znaleźli we mnie ofiary tak łatwej, jak się spodziewali, ani pod względem oświecenia, ani pod względem woli. Protestanci są zazwyczaj bardziej wykształceni religijnie niż katolicy. To całkiem naturalne: zasady jednych wymagają ciągłego roztrząsania, drugich poddania się. Katolik musi przyjąć decyzję, jak mu nałożą, protestant musi się nauczyć sam stanowić o sobie. To było im wiadomo: ale nie oczekiwano po osobniku mego stanu i wieku, aby ludziom wytrawnym mógł nastęrczyć wielkie trudności. Zresztą, nie odbyłem jeszcze pierwszej Komunii, ani nie odebrałem nauk z nauk złączonych: to wiedziano również, ale nie wiedziano, iż w zamian, przeszedłem bardzo staranną naukę u pastora Lambercier i, co więcej, zgromadziłem w mózgowaniu zapasik wiadomości bardzo niedogodny dla tych panów mianowicie z zakresu historii Kościoła i Cesarstwa, który posiadałem prawie na pamięć w domu ojca i które, mimo

iz później zapomniane, odżywały mi w pamięci, w miarę jak rozgrzewałem się dysputą.

Pewien stary ksiądz, niewielkiej ale dość czcigodnej postaci, miał, wspólnie dla nas wszystkich, pierwszą rekolekcję. Rekolekcja ta była dla moich towarzyszy raczej katechizmem niż dysputą; księżyna więcej się musiał parać z tem aby ich pouczać, niż aby rozwiązywać wątpliwości i zarzuty. Inaczej ze mną. Kiedy przyszła kolej na mnie, wychwytywałem go na wszystkim: nie oszczędziłem ani jednego zarzutu, ani jednej pułapki. To przedłużało niezmiernie konferencję i czyniło ją dla obecnych bardzo nudną. Staruszek gadał dużo, rozpalał się, zaparzał i wkońcu wykręcał się z kłopotu, mówiąc iż nie umie dobrze po francusku. Nazajutrz, z obawy aby moje niedyskretne zarzuty nie zgorszyły towarzyszy, umieszczono mnie oddzielnie w innym pokoju z drugim księdzem, młodszym, tęgim mówcą, to znaczy umiejącym snuć nieskończenie długie okresy, i nadzwyczaj delectującym się sobą. Mimo to, nie dałem się nadto ujarzmić jego imponującej minie; czując, iż, ostatecznie, jestem w swoim prawie, zacząłem mu odpowiadać jak mogłem i wylapywać go tędy i owędy. Mniemał, iż zdławi mnie św. Augustynem, św. Grzegorzem i innymi ojcami; ale wnet postrzegł, ku swemu niezmiernemu zdumieniu, że obracam się w tych wszystkich ojcach niemal tak dobrze jak on: to nie znaczy, abym ich czytał kiedykolwiek, i on także może nie; ale zachowałem w pamięci wiele następów wyjętych z książki Le Sueura; owóż, ilekroć on mi cacytował jakieś zdanie, natychmiast, nie wdając się w dysputę nad cytatem, odpowiadałem innym z tego samego ojca, wprowadzając go nieraz w znaczny kłopot,

Mimo to, ksiądz bił mnie jednak wkońcu z dwóch przyczyn: jedna, że był silniejszy i że, czując się niejako zdany na jego łaskę, rozumiałem bardzo dobrze, mimo całej młodości, iż nie trzeba go nadto przypierać do muru; widziałem bowiem dobrze, że stary księżyna wcale nie zasmakował w mojej erudycji, ani we mnie. Druga racja, to że mój adwersarz miał studja, a ja nie. To sprawiało, iż wkładał w swój sposób argumentacji metodę, której nie mogłem wydolać. Zresztą, ilekroć go zaskoczyłem nieprzewidzianym zarzutem, odkładał go do nazajutrz, powiadając że odbiegam od tematu. Odrzucał nawet niekiedy wszystkie moje cytaty, utrzymując że są fałszywe; i, ofiarując się przynieść książki, wyzywał mnie, abym je w nich wyszukał. Czuł, że nie ponosi wielkiego ryzyka i że, przy całej pożyczanej erudycji, byłem zbyt mało obytym w książkach i zbyt słabym łacinnikiem, aby odnaleźć jakiś ustęp w grubym tomie, choćbym nawet był pewien, że się tam znajduje. Podejrzewam nawet, że uciekał się sam do niesumienności, o którą oskarżał pastorów i że zdarzało mu się czasem podrobić jakiś ustęp, aby się wykręcić od kłopotliwego argumentu.

Tak schodziły dni na tych pasowaniach, dysputach, mamrotaniu pacierzy i walkoństwie. Wśród tego zdarzyła mi się mała przygoda, dość szpetna, która mogła mnie dla mnie przykre następstwa.

Niema tak brudnej duszy i tak barbarzyńskiego serca, iżby nie były zdolne do jakiegoś przywiązania. Jeden z dwóch bandytów, którzy podawali się za Maurów, spodobał sobie we mnie. Szukał chętnie mego towarzystwa, gwarzył ze mną w swoim djabelskim szwargocie, świadczył mi gdzie mógł drobne usługi, podsuwał mi

kiedy swoje kąski przy stole, a zwłaszcza obdarzał częstymi pocałunkami, z żarliwością dla mnie bardzo kłopotliwą. Mimo iż ta twarz koloru piernika ozdobiona wielką szramą i to spojrzenie, rozplomienione, zdawałoby się na pozór, raczej wściekłością niż uczuciem, budziły we mnie naturalną odrazę, znosiłem te pocałunki, powiadając sobie w duchu: „Ten biedak powziął snadź dla mnie szczerą przyjaźń; nie godzi się go odrzucać“. Stopniowo, przybierał bardziej swobodne obyczaje i odzywał się z tak szczególnymi rzeczami, iż przypuszczałem że ma źle w głowie. Jednego dnia, chciał wieczór położyć się ze mną; sprzeciwiłem się, mówiąc że łóżko jest za małe. Wówczas zaczął nalegać, abym ja przyszedł do niego; odmówiłem również, lądaczyna bowiem był tak niechlujny i tak cuchnął tytoniem, który żuł ustawicznie, że przyprawiał mnie o mdłości.

Nazajutrz dość wczesnym rankiem, znaleźliśmy się sami w sali zebrania; rozpoczął znowu swoje pieszczoty, ale z tak gwałtowną mimiką, że można się było przestraszyć. Wkońcu, chciał przejść stopniowo do najbardziej niewłaściwych poufałości i zmusić mnie, kierując moją ręką, abym go naśladował. Uwolniłem się gwałtownie, wydając krzyk i uskakując w tył, nie zdradzając wszelako oburzenia ani gniewu, nie miałem bowiem najmniejszego pojęcia o co mu chodzi: ale z taką energją dalem wyraz wstrętowi i zdumieniu, że mnie poniechał. Naraz, podczas gdy on dalej się szamotał sam ze sobą, ujrzałem, jak wyleciało ku kominkowi i spadło na ziemię coś białawego i lepkiego. W gardle mi się ścisnęło ze wstrętu. Rzuciłem się na balkon, tak wzruszony, pomieszany, przerażony nawet, jak jeszcze nigdy w życiu i bliski poprostu omdlenia,

Nie mogłem zrozumieć co to było, co się dzieje z tym nieszczęśnikiem: mniemałem, iż cierpi na wielką chorobę, albo na inne jakieś jeszcze straszliwsze cierpienie; i do prawdy, dla kogoś patrzącego na chłodno, nie mogę sobie wyobrazić nic wstrętniejszego niż te plugawe i brudne zabiegi i tę ohydłą twarz, rozpaloną ogniem najbrutalniejszej żądz. Nie widziałem nigdy innego mężczyzny w podobnym stanie; ale, jeżeli wszyscy tak wyglądamy wobec kobiet, muszą mieć chyba wzrok bardzo urzeczony, aby nie nabrać do nas wstrętu.

Nie miałem nic pilniejszego, niż opowiedzieć wszystkim co mi się przytrafiło. Stara gospodyni kazała mi cicho siedzieć, ale widziałem że była bardzo przejęta tą historją i słyszałem, jak mruczała przez zęby: *Can maledet! brutta bestia!* Ponieważ nie rozumiałem dlaczego miałbym milczeć, robiłem dalej swoje mimo zakazu i paplałem tak, że, nazajutrz rano, jeden z zarządców przyszedł wypalić mi dość ostrą reprimendę, wyrzucając, iż narażam honor świętego domu, i że robię zbyt wiele hałasu dla drobnostki.

Rozgadał się na ten temat, tłómacząc mi wiele rzeczy których nie wiedziałem, ale co do których przypuszczał iż musiały mi być wiadome: był przekonany, iż broniłem się wiedząc czego tamten odemnie żąda, ale nie chcąc się zgodzić. Oświadczył mi poważnie, że jest to uczynek zakazany jak wszelka rozpusta, ale którego intencja nie jest pozatem obrażająca dla osoby będącej jej przedmiotem, i że niema powodu unosić się tak bardzo gniewem za to iż się wzbudziło w kimś sympatję. Powiedział mi bez ogródek, iż on sam, w swej młodości, dostąpił tego samego zaszczytu i że, zaskoczony w taki sposób iż nie mógł

stawić oporu, nie znalazł w tem wszelako nic tak straszego. Posunął swój bezwstyd aż do użycia właściwych terminów w ich całej nagości; i, wyobrażając sobie, iż przyczyną mego oporu była obawa bólu, upewnił iż ta obawa jest płonna i że niema powodu do najmniejszej trwogi.

Sluchałem tego bezecnika ze zdumieniem tem większem, iż nie przemawiał w swoim własnym interesie; zdawał się pouczać mnie jedynie dla mego dobra. Nauki te wydawały mu się tak naturalne, iż, wygłaszając je, nawet się nie troszczył o poufność; jako świadek naszej rozmowy obecny był jakiś ksiądz, który nie zdawał się ani trochę zgorszony. Ten swobodny sposób mówienia o tem takie na mnie uczynił wrażenie, że zacząłem mniemać, iż jest to zapewne obyczaj powszechnie przyjęty w świecie, z którym jedynie nie miałem sposobności obznajmić się aż dotąd. To było przyczyną, iż wysłuchałem bez gniewu, choć nie bez odrazy. Obraz tego co mi się zdarzyło, a już szczególnie tego co widziałem, wycisnął mi się tak mocno w pamięci, iż młodości mnie zbierały na samo wspomnienie. Mimowoli, odraza do samej rzeczy rozciągnęła się i na jej obrońcę; mimo że starałem się panować nad sobą, musiał widzieć jak złe wrażenie wywarły jego nauki. Obrzucił mnie mało przychylnem spojrzeniem i odtąd nie zaniechał niczego, aby mi pobyt w przytulisku uczynić nieprzyjemnym. Dopisał tak dobrze celu, iż, widząc jedyną tylko drogę wydobyć się stamtąd, chwyciłem się jej z tą samą energją, z jaką dotychczas starałem się ją oddalić.

Ta przygoda ubezpieczyła mnie na przyszłość od niebezpieczeństw podejrzanych przyjaźni; sam widok takich

ludzi budził we mnie — przez wspomnienie twarzy i ruchów ohydneho Maura — tyle wstrętu, iż niepodobna mi było z tem się ukryć. Przeciwnie, kobiety wiele zyskały w mych oczach na porównaniu: zdawało mi się, że najtkliwsze uczucia, najpoddanejsze holdy z mej strony zaledwie mogły być słusznem zadośćuczynieniem za zniewagi mojej pleci, a najszpetniejsza poczwara stawiała się w mych oczach cudownym przedmiotem przez wspomnienie rzekomego Afrykana.

Co się tyczy jego, nie wiem co mu tam powiedziano: nie zdało mi się wszelako, aby, z wyjątkiem pani Lorenzy, ktokolwiek patrzył nań gorsem niż poprzednio okiem. Bądźco bądź, nie zaczepił mnie już od tej pory ani nie odzywał się do mnie. W tydzień później, przystąpił do chrztu, w wielkiej ceremonji, ubrany białą szatą aż do głowy, dla wyobrażenia białości odrodzonej duszy. Nazajutrz opuścił przytułek i nie spotkałem go więcej.

Moja kolej przyszła w miesiąc później; tyle czasu było trzeba, aby dać kierownikom duchownym chlubę trudnego nawrócenia. Kazano mi kolejno przejść wszystkie dogmaty, aby święcić tryumfy nad moją świecą zdobytą uległością.

Wreszcie, dostatecznie pouczony, i dostatecznie, według zdania mych nauczycieli, przejęty laską, udałem się, wiedziony procesjonalnie, do katedry Św. Jana, aby tam dopełnić uroczystego wyrzeczenia się i przyjąć dodatkowo obrzędy chrztu, mimo iż nie chrzczono mnie w istocie, ale, ponieważ są to mniejwięcej te same obrządki, korzystałem z tego, aby budzić wśród ludu pojęcie, że protestanci nie są chrześcijanami. Byłem przybrany w jakąś szarą

szarego koloru, ozdobioną białymi wylogami i przeznaczoną na tego rodzaju okazje. Dwóch drabów niosło przedemną i za mną, duże mosiężne tace, w które uderzał kluczem i gdzie każdy z obecnych składał jakąś jałmużnę w miarę swej pobożności lub zainteresowania osobą nowo nawróconego. Słowem, nie poniechano nic z całego katolickiego przepychu, aby uczynić uroczystość bardziej budzącą dla publiczności, a upokarzającą dla mnie. Brakło jedynie białej szaty, która byłaby mi się bardzo przydała, a której mi nie dano jak owemu Maurowi, zważywszy iż nie miałem zaszczytu być żydem.

Nie koniec na tem: trzeba było iść do urzędu Inkwizycji, by otrzymać rozgrzeszenie ze zbrodni herezji i wrócić na łono Kościoła z tą samą ceremonją, jakiej musiał się poddać Henryk IV przez swego ambasadora. Mina i obejście wielbego ojca inkwizytora nie bardzo były potem aby rozprószyć tajemny strach jaki mnie ogarnął, gdy wchodziłem do tego domu. Po licznych pytaniach dotyczących mej wiary, stanu, rodziny, zapytał nagle, czy matka moja jest potępiona. Zgroza jakiej doznałem powściągnęła pierwszy odruch oburzenia; zadowolilem się odpowiedzią, iż mam nadzieję że nie, i że Bóg mocen był ją oświecić w ostatniej chwili. Mnich zamilkł, ale uczynił grymas który nie zdawał się wcale wyrażać aprobaty.

Po dopełnieniu ceremonji, w chwili w której spodziewałem się iż zaczną się urzeczywistniać moje błyszczące rojenia, wyprawiono mnie za drzwi, wsypawszy w rękę w drobnej monecie nieco więcej niż dwadzieścia franków, stanowiące owoc kwesty. Polecono mi żyć jak przystało

dobremu chrześcijaninowi, być wiernym uzyskanej łasce; dodano do tego życzenia pomyślności, po których drzwi się zamknęły i wszystko znikło.

Tak rozpadły się, w jednej chwili, wielkie nadzieje; z całego interesownego postępku który popełniłem, zostało mi jedynie wspomnienie że byłem odstępcą i dudkiem zarazem. Łatwo osądzić, jaki przewrót musiał nastąpić w mych pojęciach, kiedy, ze świetnych projektów błyszczącego losu, znalazłem się nagle w najzupełniejszej nędzy. Rano, rozmyślałem jeszcze nad wyborem pałacu w którym mam zamieszkać: wieczorem, ujrzałem przed sobą perspektywę nocowania na ulicy. Pomyśli ktoś, że pierwszym mem uczuciem było uczucie rozpacz, tem okrutniejsze, iż, do wyrzutów sumienia, łączyła się dotkliwa świadomość, iż całe nieszczęście było mem własnem dziełem. Nie podobnego. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się spędzić w zamknięciu przeszło dwa miesiące; otóż, pierwszym uczuciem jakiego doznałem była radość z odzyskanej swobody. Czulem się, po długiej niewoli, panem siebie i swoich uczynków; znalazłem się w dużem mieście pełnem dostatków, pełnem światłych ludzi, którzy z pewnością pospieszą przygarnąć mnie i oddać sprawiedliwość moim talentom, skoro tylko będą mieli sposobność je poznać. Ba, miałem zresztą czas na czekanie, dwadzieścia franków, które czulem w kieszeni, zdawały mi się skarbem nie do wyczerpania. Mogłem rozrządzać nimi wedle ochoty, nie zając nikomu sprawy. Pierwszy raz w życiu byłem panem takiego bogactwa. Daleki tedy od oddawania się łzom i rozpacz, zmieniłem jedynie kierunek swych nadziei. Nigdy nie miał uczucia takiej pewności i zaufania w siebie; miałem przeświadczenie,

iż los mój jest zapewniony i dumny byłem iż zawdzięczać go jedynie sobie.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie pociągnęła, było przebiec całe miasto. Zaspakajając bardzo naturalną ciekawość, dopełniałem zarazem aktu swobody. Poszedłem zobaczyć, jak zmieniają straż: muzyka wojskowa spodobała mi się bardzo. Włóczyłem się za procesjami: lubiłem słuchać nosowych śpiewów księży. Poszedłem obejrzeć pałac królewski; zbliżałem się z obawą; ale widząc że inni wchodzą, poszedłem za ich przykładem; przepuszczono mnie. Być może, przywilej ten zawdzięczałem małemu zawiniątku, które miałem pod pachą. Jakkolwiek rzecz się miała, powziąłem wielkie mniemanie o sobie samym, znalazłszy się we wnętrzu pałacu; czulem się niemal jego mieszkańcem. Wkońcu, nawaławszy się tam i sam, zmęczyłem się; uczulem głód; było gorąco: wstąpiłem do handlarki nabiału; dała mi sera, kwaśnego mleka; dając do tego dwie kromki wybornego chleba piemontskiego, wyprawilem sobie, za pięć czy sześć soldów, jeden z najlepszych obiadków w życiu. Trzeba było starać się o nocleg. Ponieważ znałem już język piemontcki natyle aby się porozumieć, nie trudno mi to przyszło; byłem tak przeczorny, iż obrałem kwatery wedle sakiewki a nie wedle mego smaku. Wskazano mi przy ulicy Padu żonę żołnierza, która, za solda na noc, dawała przytułek służącym bez miejsca. Znalazłem wolny tapczan i zakwaterowałem się. Gospodyni była młoda i świeżo zamężna, mimo iż miała już kilkoro dzieci. Spaliśmy wszyscy w jednej izbie, matka, dzieci, lokatorowie: trwało tak przez cały czas, dopóki mieszkalem u niej. Zresztą, była to dobra kobieta, mocna w przekleństwach jak stan-

gret, wiecznie rozmamlana i nieuczesana, ale lagodna i uczynna. Nabrała dla mnie sympatji i nawet przyszła mi w niejednym z pomocą.

Strawiłem tak kilka dni, oddając się jedynie uczuciu swobody i ciekawości. Wałęsałem się po mieście i okolicy, plondrując, zwiedzając wszystko co mi się zdało nowe i zajmujące; a cóż nie było nowem dla młodego chłopca, świeżo wybiegłego z gniazda, który nigdy nie widział stolicy! Byłem zwłaszcza bardzo punktualnym dworakiem: regularnie, co rano, asystowałem mszy Króla Jego mości. Miało dla mnie pewien urok znajdować się w jednej kaplicy wraz z monarchą i jego świtą: ale główną pobudką mej wytrwałości była raczej namiętność do muzyki, już zaczynająca się objawiać, niż pompa dworska, której widowisko, powtarzające się i zawsze jednakie, nie jest w stanie zająć długo. Król Sardynji miał wówczas najlepszą kapelę koncertową w Europie: Somis, Desjardins, Bezuzzi, błyszczeli w niej naprzemian. Nie trzeba było i tyle, aby przyciągnąć młodego chłopca, którego dźwięk najlichszego instrumentu, byleby brzmiał czysto, przejmował rozkoszą. Pozatem, wspaniałość uderzająca me oczy budziła we mnie jedynie głupio-dziecinny i pozabawiony wszelkiej pożądlivosti podziw. W całym tym blasku dworskim, zajmowało mnie jedynie to, czy nie było tam gdzie jakiej księżniczki, któraby warta była mego holdu i z którą mógłbym nawiązać intrygę miłosną.

Tymczasem o włos że nie nawiązałem innej miłości, o wiele mniej błyszczącej, ale która, gdyby doszła do skutku, dałaby mi po stokroć rozkoszniejsze słodycze.

Jakkolwiek prowadziłem życie bardzo oszczędnie, jakiewka wyczerpała się nieznacznie. Oszczędność moja

wynikała zresztą nietyle z przezorności, ile z prostoty upodobań, której nawet dzisiaj obycie ze światowym zwyczajem we mnie nie zatarło. Nie znałem i nie znam do dziś lepszej uczty niż prosty, sielski posiłek. Nabiałem, jajkami, trochę sałaty, sera, z dodatkiem świeżego chleba i jakiego takiego wina, można być pewnym że się mnie najlepiej uraczy; dobry apetyt dopełni reszty, o ile marnszalek dworu i lokaje sterczący wkoło nie odbiorą mi go swoim natrętnym widokiem. W owym czasie, wydając sześć albo siedm soldów, jadałem o wiele lepiej, niż później za cenę sześciu albo siedmiu franków. Byłem tedy wstrzeźmieliwy dla braku pokus; mylnie zresztą mówię: wstrzeźmieliwy, wkładałem w to bowiem całą pełnię smakowatości. Parę gruszek, *giunca*, kromka chleba i kilka szklaneczek taniego wina, czyniły mnie najszczęśliwszym z gastronomów. Ale, i przy tym trybie życia, owe dwadzieścia franków musiały kiedyś, ostatecznie, mieć swój koniec. Przekonywałem się o tem z każdym dniem wyraźniej; mimo nieopatrności mego wieku, niepewność przyszłości przejmowała mnie grozą. Ze wszystkich zamków na lodzie, pozostała mi tylko nadzieja, iż uda mi się znaleźć zatrudnienie, z któregobym mógł żyć; a i to nie było łatwe do urzeczywistnienia. Przypomniałem sobie dawne rzemiosło; ale nie umiałem go natyle, aby znaleźć pracę w jakim warsztacie; a i warsztatów tych niedużo było w Turynie. Postanowiłem tedy, w oczekiwaniu czego lepszego, chodzić od sklepu do sklepu, ofiarując się z wyrzeczem liter albo herbów na naczyniu stołowym, mając nadzieję, iż umiarkowana cena i gotowość do usług złączy klientelę. Pomysł nie okazał się zbyt szczęśliwym. Prawie wszędzie spotkałem się z od-

mową: a robota jaką uzyskałem przedstawiała tak niewiele, że ledwo parę posiłków zdobyłem tą drogą. Jednego dnia wszelako, przechodząc dość wcześnie przez *Contranova*, ujrzałem, przez szyby sklepowe, młodą kupczynię tak pełną uroku i o tak pociągającym wejrzeniu, iż, mimo mej nieśmiałości wobec dam, nie zawahałem się wejść i ofiarować moje skromne usługi. Nie odprawiła mnie, kazała usiąść, opowiedzieć swoje dzieje, użaliła się nademną, dodała otuchy, upewniając iż dobrzy chrześcijanie mnie nie opuszczają; następnie, posławszy tymczasem do sąsiedniego złotnika po narzędzia które mi były potrzebne, poszła do kuchni i sama przyniosła śniadanie. Początek wydał mi się dobrą zapowiedzią: dalszy ciąg nie zadal jej kłamu. Pani wydała się rada z mojej skromnej pracy, jeszcze więcej z mego szczebiotu, skoro się trochę ośmieliłem; zdawała mi się bowiem tak świetna i strojna, iż, mimo łaskawego odezwania, blask ten przejął mnie zrami nieśmiałością. Ale przyjęcie pełne dobroci, współczującej, łagodne i pieszczotliwe obejście wróciły mi wkrótce swobodę. Widziałem, że sprawiam korzystne wrażenie i to dodawało mi skrzydeł. Mimo to, ona, jakkolwiek Włoszka i zbyt ładna aby nie być trochę zalotną, była tak skromna, a ja tak trwożliwy, że mała była nadzieja, abyśmy rychło doszli do porozumienia. Nie pozostawiając nam zresztą na to czasu. Z tem większym urokiem wspominam krótkie chwile, które spędziłem przy niej; mogłem powiedzieć, iż tam to poznałem w ich pączku najslodsze i najczystsze zarazem rozkosze miłości.

Była to bardzo fertyczna brunetka; wrodzona dobroc, wszelako malująca się na twarzy, łagodziła żywość jej odcieniem słodczy. Nazywała się pani Basile. Miałam

starszy od niej i dość zazdrosny, zostawiał ją, w czasie wycieczek podróży, pod strażą pomocnika. Był to osobnik zbyt skąpo obdarzony od natury aby mógł być niebezpiecznym; nie był i on wprawdzie wolny od pretensji, ale objawiał je jedynie złym humorem. Zdołałem odrazu wybudzić jego antypatję, mimo iż lubiłem przysłuchiwać się jak grał na flecie, którym władał dosyć dobrze. Cerber ten mruczał zawsze, ilekroć widział mnie wchodzącego do pokoju pani: traktował mnie ze wzgardą, którą ona odpłacała mu z nawiązką. Zdawała się czerpać w tem zabawę, aby, dla jego udręki, obdarzać mnie niewinnemi pieszczotami w jego obecności, który to rodzaj zemsty, bardzo zresztą przypadający mi do smaku, byłby mi jeszcze o wiele milszy sam na sam. Ale pani nie posuwała się aż tak daleko, a przynajmniej nie w taki sam sposób. Była że znajdowała mnie zbyt młodym, czy nie umiała czytać pierwszych kroków, czy chciała naprawdę zostać bez zarzutu, dość, iż wówczas zachowywała się z powściągliwością, która nie była odpychająca, ale która onieśmielała mnie sam nie wiem czemu. Mimo iż nie żywiłem dla niej tej głębokiej i tkliwej czci, jaką miałem dla pani de Warens, czułem wobec niej więcej obawy, a mniej poufałości. Byłem zakłopotany, drżący; nie śmiałem na nią patrzeć, nie śmiałem oddychać przy niej; mimo to, oddaleni od niej lękałem się bardziej niż śmierci. Ukradkiem pożerałem ciekawem okiem kwiaty jej sukni, koniec jednej nóżki, kawałek białego i jędrnego ramienia, który wisił się między rękawkiem a rękawiczką, rąbek biustu wychylający się z pod chusteczki. W miarę jak zapuszczałem wzrok coraz mniej dyskretnie, oczy zachodziły mi pod powiekę, pierś się ścisnęła; brakowało mi oddechu; zdolny

byłem wydawać jedynie westchnienia, bardzo wymowne wśród ciszy jaka często zapadała między nami. Na szczęście, pani Basile, zajęta swą robotą, nie spostrzegła tego, o ile mi się zdawało. Mimo to, widziałem niekiedy, iż, jakby przez rodzaj sympatycznego odczucia, chusteczka kryjąca jej piersi faluje szybszem tempem. Ten niebezpieczny widok do reszty pozbawiał mnie przytomności, ale, kiedy już byłem bliski poddania się swym wzruszeniom, zwracała się do mnie najspokojniej z jakimś słówkiem, które przywoływało mnie natychmiast do przytomności.

Kilka razy spędziłem z nią w ten sposób całe godziny, przyczem najlżejsze słowo, gest, nawet bardziej wymowne spojrzenie nie zaznaczyło najmniejszego porozumienia między nami. Ten stan, pelen udręki, był jednakże mą rozkoszą, i, w niewinności serca, nie bardzo umiałem sobie wytłómaczyć przyczyny mych cierpień. Zdaje się, iż te małe sam na sam również i jej nie były przykre; przynajmniej dostarczała do nich sposobności dość często. Gorliwość zaiste dość jałowa, zważywszy sposób, w jaki korzystała z tych chwil sama i mnie pozwalała z nich korzystać!

Jednego dnia, pani Basile, znudzona głupimi dociekami domowego Cerbera, schroniła się do swego pokoju. Pośpieszyłem się jak mogłem aby co rychlej dokończyć roboty i udałem się za nią. Drzwi były uchylone, wszedłem niepostrzeżony. Haftowała koło okna, z twarzą odwróconą od drzwi. Nie mogła widzieć jak wchodziłem, nawet i słyszeć, z przyczyny ulicznego turkotu. Ubierała się zawsze starannie; tego dnia, strój jej tracił zalotność. Siedziała w postawie pełnej wdzięku; głowa, pochylona nieco, odsłaniała białą karczek, włosy podczesane zręcznie

pięte kwiatami. Cała postać tętnęła czarem, którym miałem czas napawać się dosyta i który wyprowadził mnie z równowagi. Rzuciłem się na kolana tuż u drzwi, przeciągając namiętnym ruchem ramiona, bez myśli iżby mnie mogła widzieć: ale lustro nad kominkiem zdradziło mnie. Nie wiem, jakie wrażenie wywarł na niej ten wybuch; nie spojrzała, nie przemówiła; ale, nawpół odwracając głowę, nieznacznym ruchem wskazała mi podłogę u swych stóp. Zadrzeć, wydać okrzyk, rzucić się na wskazanemu miejscu, było rzeczą jednej chwili: ale to jest trudne do uwierzenia, to że, w tym stanie, nie miałem nie przedsięwziąć ponadto, nie odważyłem się powiedzieć jednego słowa, podnieść oczu. Trwałem tak nieporadnie, nie mając nawet tyle odwagi, aby, w postawie tak niewygodnej, oprzeć się przez chwilę o jej kolana. Byłem niemy, sparaliżowany, daleki wszelako od spokoju; wszystko zdradzało we mnie poruszenie, radość, wdzięczność, żarliwe pragnienia ledwie że świadome swego przedsięwzięcia i powściągane obawą jej gniewu.

Ona wydała mi się również niespokojna i strwożona. Zbliższyła się ku mnie, przestraszona tem iż mnie odwróciła ku sobie i zaczynając sobie zdawać sprawę z doniosłości owego znaku który z pewnością wyrwał się bez zastanowienia, nie czyniła nic aby mnie przywrócić ani też odtrącić. Nie odejmując oczu od roboty, starała się zachować jakgdyby nie widziała mnie u swoich stóp; ale, mimo całej mej naiwności, nie mogłem nie widzieć, że podziela me zakłopotanie, być może moje pragnienia, że powstrzymuje ją jakiś wstyd podobny do mojego: wszystko nie dodawało mi wszelako siły do wyzwolenia z tego kłopotliwego stanu. Oczekując, z tytułu kilku

lat starszeństwa, pierwszych kroków z jej strony, powiedziałem sobie, iż skoro ich nie czyni, nie życzę sobie widocznie abym się dalej posunął. Dziś nawet jeszcze myślę, iż miałem słuszną: była ona z pewnością zbyt sprytna, aby nie widzieć, że nowicjusz taki jak ja potrzebował nie tylko zachęty ale i pouczenia.

Nie wiem, jakby się skończyła ta scena tak żywa, choć niema, ani jak długi czas byłbym przetrwał w tak zarówno śmiesznej jak rozkosznej pozycji, gdyby nam nie przerwano. W chwili moich największych wzruszeń usłyszałem, iż otwierają się drzwi od kuchni. Pani Basile, przerażona, rzekła z cicha, podkreślając gestem żywot swego wykrzyknika: „Wstań, idzie Rozyna“. Wstałem spiesźnie, pochwyliłem rękę, którą zostawiła w moich i wycisnąłem na niej dwa palące pocałunki: przy drugim uczułem, iż ta urocza ręka przycisnęła się nieco do mojego warg. W życiu nie zaznałem tak słodkiego momentu, ale raz utracona sposobność nie powtórzyła się i następne nieśmiałe miłości nie posunęły się dalej.

Być może, dlatego właśnie obraz tej lubej istoty odcisnął się na dnie mego serca w tak czarujących rysach i wypięknił mi jeszcze, w miarę jak lepiej poznawałem świat i kobiety. Gdyby miała bodaj trochę doświadczenia, byłaby się inaczej zabrała do dzieła, aby ośmielić młodego chłopca. Ale serce jej, mimo iż słabe, było z gruntu uczciwe; ustępowała, wbrew własnej woli, skłonności którą ją pociągała: była to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jej pierwsza niewierność. Kto wie, może więcej miałbym trudu z przewyciężeniem jej wstydliwości niżeli mojej własnej. Nie doszedłszy do tego momentu, zakosztowałem wszelako przy niej niewypowiadanych słodyczy.

Nie, nie ma rozkoszy równych tym, jakie może dać uczciwa i ukochana przez nas kobieta. Jedno skinienie palcem, lekkie przyciśnięcie ręki do ust, oto jedyne dowody wzajemności, jakie kiedykolwiek otrzymałem od pani Basile, i wszelako gdy o tem myślę, wspomnienie tych drobnych okoliczności tak przejmuję mnie jeszcze wzruszeniem.

Przez dwa następne dni, próżno czyhałem na nowe spotkanie z nią na sam. Niepodobieństwem było mi znaleźć sposobną chwilę, z jej strony zaś nie spostrzegłem współdziałania w tym względzie. Obejście pani Basile było nawet, nie powiem chłodniejsze, ale bardziej powściągliwe niż zazwyczaj: zdaje mi się iż unikała moich spojrzeń, z obawy nie umiałyby dosyć panować nad swemi. Przeklęty czarownik był bardziej nieznośny niż kiedykolwiek: stał się nawet wprost drwiący, uszczypliwy; powtarzał mi, że nigdy miał w życiu powodzenie u kobiet. Drżałem z obawy, aby nie zdradziłem się jakąś nieostrożnością: uważając się za niejako za współnika grzechu mej ukochanej, chciałem największą tajemnicą osłonić wzajemną skłonność, która, jak dotąd, tak bardzo znowuż tego nie wymagała. Stałem się tak ostrożnym i oględnym w szukaniu sposobności, iż wkońcu, nie znalazłem ich wcale.

Oto jeszcze jedno romantyczne szaleństwo, z którego nigdy nie mogłem się uleczyć i które, połączone z wrodzoną nieśmiałością, w znacznym stopniu zadało klam odpowiedni sklepikarza. Kochałem zbyt szczerze, zbyt nieoskonale, śniem powiedzieć, aby móc łatwo dostąpić szczęścia. Nigdy może nikt nie odczuwał namiętności

bardziej żywych i czystych zarazem; nigdy miłość nie była bardziej tkliwa, szczerza, bezinteresowna. Byłby tysiąc razy poświęcił własne szczęście dla szczęścia osoby, którą kochałem. Dobra sława jej była mi droższa od własnego życia; nigdy, za wszystkie słodycze posiadane, nie chciałbym jej narazić, choć przez chwilę, na niebezpieczeństwo. To sprawiało, iż wkładałem tyle starania, tyle tajemnicy, tyle ostrożności w swoje zabiegi, iż niemażaden z nich nie mógł doprowadzić do skutku. Skąd moje rezultaty w stosunku do kobiet wynikały zawsze z tego, iż nadto je kochałem.

Powracając do Cerbera przygrywającego na flecie, muszę zaznaczyć, iż odnoszenie się jego do mnie uległo naraz korzystnej zmianie, co było zapewne wynikiem powziętego już zdradzieckiego planu. Od pierwszego dnia, gdy zdołałem wzbudzić w pani Basile sympatię, pomyślałem o tem aby mnie w jakiś sposób zatrudnić w sklepie. Byłem dość mocny w arytmetyce; zaproponowała mi się tedy, aby mnie nauczył prowadzić książki: ale gbur bardzo niechętnie przyjął propozycję, lękając się może abym nie wyparował z miejsca. Tak tedy, po odłożeniu rękopisu, całą moją pracę było przepisywanie jakichś rachunków, porządkowanie ksiąg i czasem tłómaczenie paru listów z włoskiego na francuskie. Naraz, człowiek ten objawił dobre chęci, których mu wprzód brakło, i oznajmił, że będzie mnie uczył podwójnej buchalterji. Mówił iż mnie przygotować na tyle, abym mógł ofiarować usługi panu Basile, skoro wróci. Było wszelako w jego tonie w spojrzeniu, coś fałszywego, złośliwego, ironicznego, nie budziło we mnie zaufania. Pani Basile, nie czekając na odpowiedź, rzekła sucho, że jestem mu wdzięczny

gotowość, co do niej jednak, ma nadzieję, iż znajdzie w życiu bardziej godne siebie stanowisko, i że byłaby szkoda, gdybym, przy mojej bystrości umysłu, miał zostać jedynie mizernym subjektem.

Powtarzała często, że pragnie ułatwić mi pewną znajomość, która może mi być użyteczna. Była dość rozsądna, aby czuć, iż czas abym się z nią rozłączył. Nasze nieme wyznania miały miejsce we czwartek: w niedzielę, pani Basile wydała obiad, na którym znalazłem się ja, i także pewien okazały zakonnik, jakóbin, któremu mnie przedstawiła. Mnich odnosił się do mnie bardzo serdecznie, wznosił nawrócenia, natrącił też parę słów świadczących iż pani Basile opowiedziała mu szczegółowo moje dzieje. Następnie, klepiąc mnie lekko po twarzy, powiedział abym był rozsądny, nie tracił otuchy, abym go odwiedził kiedyś, a wówczas będziemy mogli swobodniej pogadać. Ze sposobu w jaki się doń wszyscy zwracali, domyśliłem się, że musi to być jakaś wpływowa osobistość, z ojcowskiego zaś tonu, z jakim odnosił się do pani Basile, że jest jej spowiednikiem. Przypominam sobie również, iż, mimo dobroduszej poufaleści, obejście jego zdradzało wyraźnie szacunek a nawet cześć jaką miał dla swej penitentki: szczegół, który mniejsze wrażenie uczynił na mnie wówczas, aniżeli dzisiaj. Gdybym miał więcej doświadczenia, jakąż dumą i wzruszeniem przejęłoby mnie to, że zdołałem poruszyć serce młodej kobiety, posiadającej szacunek swego spowiednika!

Stół okazał się zbyt mały, jak na ilość zgromadzonych; trzeba było dostawić stoliczek, przy którym zasiadłem w lubem sam-na-sam z panem subjektem. Nie czułem się jednak na tem wygnaniu bynajmniej upośledzony; co

chwila wędrowały do stoliczka smaczne kąski, przeznaczone z pewnością nie pod adresem Cerbera. Aż dotąd, szło wszystko jak najlepiej: kobiety były wesołe, mężczyźni pełni dworności; pani Basile robiła honory z nieopisanym wdziękiem. W połowie obiadu, słyszymy nagle, iż lektyka zatrzymuje się pod bramą; ktoś wchodzi po schodach: to p. Basile. Widzę go, jakgdyby wszedł w tej chwili, w szkarłatnem ubraniu ze złotymi guzami; do którego to koloru od tego dnia nabrałem odrazy. Był to rosły i przystojny mężczyzna, przedstawiający się nader okazale. Wszedł z hałasem i z taką miną jakgdyby kogoś zaskoczył, mimo iż byli tam sami jego przyjaciele. Żona rzuca mu się na szyję, ściska za ręce, obsypuje tysiącem pieśczoł, które on przyjmuje chłodno i obojętnie. Pozdrawia całe towarzystwo, dają mu nakrycie, zasiada do jedzenia. Zaledwie wymieniono pierwsze zdania, p. Basile, rzucając z okiem w stronę stolika, zapytuje surowym tonem kto jest ów chłopak którego tam widzi. Pani Basile objaśnia go w najlepszej wierze. Pyta dalej, czy mieszkam w domu; dowiaduje się że nie. Czemu nie? mówi szorstko: skoro przesiaduje tu cały dzień, mógłby równie dobrze spędzać i noc. Tu zabrakło głosu zakonnik; oddawszy poważne i zasłużone pochwały pani Basile, przemówił kilka słów na moją korzyść; dając, pod adresem męża, iż nie tylko nie powinienem ganić pobożnego miłosierdzia żony, ale raczej przyczynić się do niego szczerem sercem, ile że w niczem nie naruszono granic uczciwości. Mąż odpowiedział w tonie podrażnienia, ledwie złagodzonego szacunkiem należnym duchownej osobie, ale i to wystarczyło, abym się domyślił, że miał co do mnie informacje i że pan subjekt przysłużył mi się w tej mierze.

Zaledwie wstaliśmy od stołu, ten ostatni, wysłany przez pryncypała, przyszedł w tryumfie nakazać mi w jego imieniu, abym opuścił natychmiast dom i aby moja noga w życiu tu nie postąpiła. Ze zlecenia wywiązał się w sposób najbardziej obelżywy i okrutny. Wyszedłem, nie mówiąc słowa, ale z rozpaczą w sercu, nietyle iż trzeba mi poznać tę uroczą kobietę, ile że muszę ją zostawić na pastwę męzowskiej brutalności. Miał słuszość, to pewna, iż nie chciał aby mu była niewierną: ale, mimo iż szlachetna i enotliwa, była ona Włoszką, to znaczy czułą i mściwą; i sądząc iż źle czynił, uciekając się do takich środków, bardziej sposobnych aby nań ściągnąć niebezpieczeństwo, niż aby mu zapobiec.

Taki był rezultat mej pierwszej przygody. Próbowałem przejść parę razy ulicą, aby, bodaj zdaleka, ujrzeć tę, którą me serce oplakiwało bez przerwy; ale, zamiast niej, ujrzałem jedynie męża i czujnego subiekta, który, spostrzegłszy mnie, łokciem kupieckim uczynił w mą stronę i jest bardziej wymowny niż pociągający. Widząc taką nieumiejętność, straciłem nadzieję i przestałem chodzić tamtędy. Byłbym chciał odwiedzić bodaj protektora, którego pani Basile usposobiła dla mnie tak życzliwie. Na nieszczęście, nie znałem jego nazwiska. Krążyłem wielokrotnie wokoło klasztoru, próbując go napotkać, ale bez skutku. Wreszcie, moje wypadki zatarły we mnie uroczne wspomnienie pani Basile, a nawet wogóle kazały mi zapomnieć o istnieniu pięknych kobiet i ich powabów.

Bądźco bądź, hojność opiekunki podrestaurowała nieco mój tłómaczek, bardzo skromnie wszelako i z rozważną praktyczną kobietą, która bardziej troszczy się o schludność niż o strojność i która chciała zabezpieczyć

mnie od braku, a nie dostarczyć sposobów błyszczenia. Ubranie, w którym przywędrowałem z Genewy, było jeszcze wcale przyzwoite; uzupełniła je jedynie kapeluszen i trochę bielizny. Nie miałem mankietów; nie chciałem ich dać, mimo iż miałem serdeczną ochotę. Poprze stała na tem, iż dostarczyła mi środków ubrania si schludnie; zresztą, nie trzeba mi było zalecać starań o to dopóki czulem na sobie jej oczy.

W krótki czas po katastrofie, gospodyni moja, która jak wspomniałem, nabrała dla mnie sympatji, powiedziała mi, iż, być może, uda się znaleźć dla mnie miejsce, i pewna dystygowana dama pragnie mnie widzieć. Słysz to, wyobraziłem sobie, iż, tym razem, wpłynąłem co si zowie w sukcesy wielkiego świata; ta chimera bowiem prześladowała mnie nieustannie. Przygoda okazała si mniej wspaniała niż sobie wyobrażałem. Udałem się do tej pani ze służącym który jej o mnie wspominał. Zaczęła mnie wypytywać, badać: musiałem zrobić niemi wrażenie, z miejsca bowiem wstąpiłem w jej służbę; nietylko w charakterze faworyta, co lokaja. Ubrano mnie w liberję, jaką nosili jej ludzie; jedyna różnica była ta iż oni nosili pętelkę, mnie zaś jej nie dano: że zaś liberja nie miała galonów, wyglądała prawie na zwykłe ubranie. Oto nieoczekiwany kres, do którego przybiły wreszcie moje wielkie nadzieje.

Hrabina de Vercellis, do której się zgodziłem, była bezdzietną i wdową: mąż jej pochodził z Piemontu; do niej, zawsze uważałem ją za Sabaudkę, nie przypuszcając aby Piemontka mogła mówić po francusku tak dobrze i tak czystym akcentem. Była to osoba w średnim wieku, szlachetnej postaci, wykształcona, zamilowana

w literaturze francuskiej i wielka jej znawczyni. Pisywała dużo i zawsze po francusku. Listy jej posiadały styl i niemal wdzięk listów pani de Sevigné; niektóre z nich mogły wprost przyprawić o pomyłkę. Głównem mem i chętnie spełnianem zatrudnieniem było pisywać pod dyktandem; hrabina bowiem, cierpiąc na raka w piersi w bardzo dokuczliwej postaci, nie mogła pisywać samą.

Pani de Vercellis miała nietylko bystry umysł, ale i silną i wzniosłą duszę. Patrzałem na jej ostatnią chorobę; patrzałem jak cierpiała i umierała bez najmniejszej oznaki słabości, bez waleczenia ze sobą, bez sprzeniewierzenia się roli kobiety i bez świadomości ile w tem mieści się głębokiej *filozofji*: słowo, które nie było jeszcze w modzie i którego nie znała nawet, w znaczeniu jakie nadaje mu się dzisiaj. Ta siła charakteru posuwała się niekiedy aż do oschłości. Będąc twarda i hartowna dla siebie, i drugimi nie rozczulała się zbyt; kiedy czyniła dobrze nieszcześliwym, to raczej aby czynić to co jest dobrem samo w sobie, niż przez prawdziwe współczucie. Doświadczyłem nieco tego chłodu przez trzy miesiące które spędziłem przy niej. Było naturalną rzeczą, aby nabrała sympatji dla młodego człowieka rokującego pewne nadzieje, którego miała nieustannie przed oczami, i aby, czując zbliżającą się śmierć, pomyślała, iż, straciwszy jej dom, będzie potrzebował jakiegoś oparcia i pomocy. Mimo to, czy że nie uznała mnie godnym szczególnej uwagi, czy że ludzie którzy ją oblegali nie pozwolili jej pomyśleć o tem, nie uczyniła nic dla mnie.

Przypominam sobie wszelako bardzo dobrze, iż, zrazu, objawiła niejaka ciekawość bliższego poznania mnie. Zadawała mi niekiedy pytania: kazała sobie pokazywać

listy które pisywałem do pani de Warens, zachęcała do wynurzeń. Ale widocznie nie dobrą obrała drogę do mego wnętrza, nie otwierając nigdy własnego przedemną. Serce moje skłonne było do wylań, byleby czuło iż odbiera je drugie serce. Suche i zimne pytania, nie odwzajemniające moich odpowiedzi żadnym znakiem pochwały lub nagany, nie mogły zbudzić we mnie ufności. Nie będąc w stanie odgadnąć czy paplanina moja przypada jej do smaku, czułem się ciągle niepewny; całą mą troską było nietyłe wyrażenie mych myśli, ile nie wyrwanie się z niczem, coby mi mogło zaszkodzić. Zauważyłem później, że ten suchy sposób zadawania ludziom pytań, jakoby celem ich poznania, jest dość powszechnym narowem u kobiet, które wiele mniemają o bystrości swego dowcipu. Wyobrażają sobie, iż, nie zdradzając swoich myśli, łatwiej zdolają przeniknąć myśli drugiego: ale nie widzą, iż, tem samem, odejmują odwagę objawienia ich. Człowiek, którego się bierze na spytki, zaczyna, przez to samo, mieć się na ostrożności; jeśli mniema, iż, nie mając dlań istotnego zainteresowania, chce ktoś go jedynie wyciągnąć na słowa, kłamie, albo milczy, albo ma się w dwójnasób na ostrożności, i woli raczej uchodzić za głupca, niż dać się wziąć na lep obojętnej ciekawości. Słowem, źle się ten zabiera do czytania w sercu drugich, ktoż byt oczywiście ukrywa przed nimi własne.

Pani de Vercellis nie rzekła mi nigdy najmniejszego słowa, któreby trąciło sympatją, współczuciem, życzliwością. Wypytywała mnie chłodno: odpowiadałem ogólnie. Odpowiedzi moje były tak nieśmiałe, iż musiały się jej wydać służalcze i widocznie znudziła się niemi. Pod koniec, nie pytała już o nie i odzywała się do mnie jedynie

w rzeczach usługi. Oceniała mnie nietyłe wedle tego czem byłem, ile wedle tego czem mnie uczyniła; nie widząc we mnie nic oprócz lokaja, nie pozwoliła abym się jej okazał czem innym.

Pierwszy to raz wówczas zetknąłem się z ową złośliwą grą ukrytych interesów, która miała mnie prześladować przez całe życie i która wzbudziła we mnie bardzo naturalną odrazę dla rzekomego porządku, będącego ich źródłem. Pani de Vercellis nie miała dzieci; spadkobiercą jej był siostrzeniec, hrabia de la Roque, który nadskakiwał jej troskliwie. Pozatem, co wpływowi domownicy, widząc iż dni ich pani zbliżają się ku końcowi, nie zapominali o sobie, i tyle osób cisnęło się koło niej, iż trudno było w istocie, aby miała czas pomyśleć o mnie. Na czele domu stał niejaki Lorenzi, obrotny człowiek, którego żona, jeszcze zręczniejsza od niego, tak dobrze umiała się wcisnąć w łaski pani, że raczej była na stopie przyjaciółki, niżeli płatnej sługi. Naraiła jej jako pokojową swoją siostrzenicę, pannę Pontal, sprytną osóbkę, która przybierała tony damy do towarzystwa. We dwie, opanowały tak skutecznie swą panią, że widziała jedynie przez ich oczy i działała jedynie przez ich ręce. Nie miałem szczęścia przypaść do serca tym trzem osobistościom; słuchałem ich, ale się im nie wysługiwałem: nie uważałem za właściwe, abym, poza obsługą wspólnej pani, miał jeszcze być lokajem jej lokai. Byłem zresztą dla nich osobistością poniekąd niepokojącą. Widzieli dobrze, że nie jestem tu na swoim miejscu; lękali się, iż pani może się również na tem spotrzeć, i że to, co uczyni dla mnie aby mi pomóc do odzyskania właściwszego stanowiska, może zmniejszyć ich udział; tego bowiem rodzaju ludzie, w których cheiwość

tlumi poczucie sprawiedliwości, uważają każdy legat przeznaczony komu innemu, jako zrabowany z ich własnej części. Podali sobie tedy ręce, aby mnie usuwać z jej oczu. Lubila pisywać listy; w tym stanie zdrowia było to dla niej rozrywką: odstręczyli ją od tego i postarali się, aby lekarz wpłynął na nią w tym duchu tłómacząc iż to ją męczy. Pod pozorem że jestem niedość zręczny, użyli do posług koło pani dwóch drabów noszących za zwyczaj lektykę: słowem, zakręcili się tak dobrze, iż, kiedy przyszła pora testamentu, od tygodnia noga moja nie postąpiła w jej pokoju. Trzeba dodać, iż później bywałem tam tak jak dawniej; byłem nawet gorliwszy od innych, cierpienia bowiem biednej istoty rozdzierały mi serce; męstwo, z jakim cierpiała, czyniło mi ją czcigodną i drogą; wiele szczerych a przez nikogo nie widzianych łez wylałem w jej pokoju.

Straciliśmy ją wreszcie. Patrzałem na jej zgon. Życie jej było życiem niepospolitej i rozumnej kobiety; śmierć była śmiercią mędrca. Mogę powiedzieć, iż pojednała mnie z religią katolicką przez tę pogodę duszy, z jaką wypełniła jej obowiązki, bez zaniedbania i bez afektacji. Umysł jej był z natury poważny. Pod koniec choroby, zdradzała jakiś odcień weselości, zbyt równej aby mogła być sztucznie przybraną; była to jakby samoobrona jej rozumu przeciw oplakanemu stanowi. Spędziła w łóżku jedynie dwa ostatnie dni, do końca rozmawiając spokojnie ze wszystkimi. Wkońcu, przestawszy mówić, już w męczarniach agonji, p..... głośno. Brawo! rzekła, odwracając się; kto p....., jeszcze nie umiera. To były ostatnie słowa jakie wyrzekła.

Zapisała testamentem roczne zasługi całej niższej

szluzbie; ale, ponieważ nie byłem jeszcze pomieszczony na łóżko, nie dostało mi się nic. Mimo to, hrabia de la Roque kazał mi dać trzydzieści funtów i zostawić nowe ubranie które miałem na grzbiecie, a które p. Lorenzi chciał ze mnie ściągnąć. Przyrzekł nawet zająć się wyszukaniem mi miejsca i pozwolił zgłosić się do siebie. Poszedłem dwa czy trzy razy nie mogąc dotrzeć do hrabiego; łatwy do zmiechnięcia, jak zwykle, nie wróciłem więcej. Okazało się niestety, iż byłem w błędzie.

Ach, czemuż nie dokończyłem wszystkiego co miałem do powiedzenia z czasu pobytu u pani de Vercellis! Ale, mimo iż zewnętrzne położenie moje zostało toż samo, nie wyszedłem z tego domu takim jakim weń wstąpiłem. Uniosłem z sobą niestarte wspomnienie zbrodni i niezdolność ciężar wyrzutów, które, po upływie czterdziestu lat, gniołły jeszcze moje sumienie i których gorycz nie tylko nie słabnie, ale zaostrza się w miarę jak zbliżam się ku starości. Któżby mniemał, iż błąd dziecka może mieć tak okrutne następstwa? Te następstwa właśnie, więcej niż prawdopodobne, czynią moje serce niepocieszonym. Być może iż przypawilem o zgubę w hańbie i nędzy miłą, uczciwą, godną szacunku dziewczynę, z pewnością więcej wartą odemnie.

Rzadko bywa aby zwinięcie domu nie pociągnęło za sobą jakiegoś nieporządku i aby nie zginęło przytem to lub owo. Tutaj wszelako domownicy byli tak uczciwi, oboje zaś państwo Lorenzi tak czujni, iż nic nie brakło przy oddawaniu inwentarza. Jedynie pannie Pontal zginęła jakaś wstążka różowa ze srebrem, już znoszona. Wiele innych cenniejszych rzeczy było mi dostępných; ta jedna wstążka skusiła mnie, ukradłem ją poprostu, a że nie

kryłem się wcale, niebawem znaleziono ją u mnie. Żądałem wytłómaczenia, skąd ją wziąłem. Mięszam się, belkoczę i wreszcie, czerwieniąc się, powiadam, że dała mi ją Maryjka. Maryjka była to młoda dziewczyna, którą pani de Vercellis przyjęła za kucharkę, kiedy, przestawszając wydawać przyjęcia, odprawiła kucharza, bardziej potrzebując bujając wzmacniających polewek, niżeli wykwintnych łakoci. Maryjka nie tylko była ładna, ale miała tę świeżość cerwy spotykaną w górach, a zwłaszcza ten wyraz skromności i słodyczy, który sprawiał, iż każdy kto ją ujrzał musiał ją polubić; pozatem dziewczyna dobra, cnotliwa i nieposkazitelnej wierności. Toteż, oświadczenie moje wywołało zdziwienie. Zaufanie, jakie budziła powszechnie, osłabiało nieco wiarygodność mego twierdzenia; osądzono też, iż należy wprzód sprawdzić, kogo z dwojga trzeba będzie uważać za łotrzyka. Przywołano ją: zebranie było liczne, był i hrabia de la Roque. Zjawia się, pokazując jej wstążkę, oskarżam ją bezczelnie; stoi w osłupieniu, milczy, rzuca mi spojrzenie zdolne rozbroić demona, na które moje nieludzkie serce zostaje nieczułem. Przeczytawszy wreszcie stanowczo, choć bez uniesienia, przemawia do mnie, upomina abym wszedł sam w siebie, abym nie odzierał z czci niewinnej dziewczyny, która mi nigdy nie uczyniła nic złego. Ja, z piekielnym bezwstydem, powtarzam oskarżenie i utrzymuję do oczu, że dała mi wstążkę. Biedna dziewczyna rozplakała się i rzekła tylko te słowa: „Ach, Rousseau, myślałam, że masz lepszy charakter. Czynisz mi wielką krzywdę, ale nie chciałam bym być na twojem miejscu“. Oto wszystko. Broń się, nie idę się w dalszym ciągu z prostotą i stałością, ale nie pozwalając sobie na żadne wycieczki przeciwko mnie.

to umiarkowanie, w zestawieniu z moim stanowczym tożem, zgubiło ją. Zdawało się trudnem do wiary przyzyszczać z jednej strony bezczelność tak szatańską, z drugiej taką anielską słodycz. Sąd nie sformułował jasnej decyzji, ale raczej przechylał się na moją stronę. Zamęt, jaki panował w domu, nie pozwalał na brytanie zgłębianie sprawy; hrabia de la Roque uwolnił jedynie ze służby nas oboje i ograniczył się do powiedzenia, że sumienie tego który zawinił pomści krzywdę niewinnego. Przepowiednia jego nie była pustem słowem: dzień odtąd nie przeminął, aby się nie sprawdziła okrutnie. Nie wiem, co się stało z ofiarą mego oszczerstwa; mało jest prawdopodobne, aby łatwo znalazła odpowiednie miejsce. Wyniosła ze sobą zarzut ciężko naciągający jej honor we wszelakim sposobie. Kradzież była tylko drobnośką; ale ostatecznie była to kradzież, co gorsza łączyła się ze zbałamuceniem młodego chłopca; to tego kłamstwo i upór: słowem, niewiele można się spodziewać po istocie, w której jednoczy się tyle przywar. Dzięki mnie, znalazła się może w nędzy i opuszczeniu; może gorzej jeszcze. Kto wie, dokąd mogła ją wieść, w jej wieku, gorycz pohańbionej niewinności? Jeśli nieznosną jest mi już zgryzota iż mogłem ją uczynić nieszczęśliwą, można osądzić czem jest dla mnie obawa, że może uczyniłem ją gorszą odemnie!

To okrutne wspomnienie nawiedza mnie niekiedy dręczy tak, iż, w bezsennych nocach, widzę tę biedną dziewczynę, zjawiającą się, aby mi wyrzucać mą zbrodnię, gdybym ją popełnił wczoraj. Dopóki żyłem w spokoju, nie dręczył mnie ono dręczyło; ale teraz, wśród odmětów budziwego życia, odejmuje mi ono najśłodsza pociechę

cierpiących prześladowanie, to jest świadomość iż cierpię je niewinnie. Powiedziałem, zdaje mi się, w którymś z pism, że wyrzut sumienia zasypia w pomyślnej dobie, ale zaostrza się w przeciwnościach. Mimo to, nie mogłem się nigdy zdobyć na to, aby zrzucić z serca to wyznanie, wylewając je na łono przyjaciela. W najpoufniejszym zbliżeniu nigdy nie zwierzyłem się z tem nikomu, nawet pani de Warens. Umiałem zdobyć się jedynie na ogólne zwierzenie, iż mam sobie do wyrzucenia czyn okrutny, ale nigdy nie powiedziałem, na czym polega. Ten ciężar uciskał tedy, aż do dziś, moje sumienie i mogę powiedzieć, iż potrzeba uwolnienia się odeń przyczyniła się w znacznej mierze do podjęcia tej spowiedzi.

W wyznaniu mojem postąpiłem sobie otwarcie, bez ogródek, i nikt chyba nie będzie uważał, iż starałem się tu złagodzić ohydę mej zbrodni. Ale nie dopełniłem celu książki, gdybym nie przedstawił równocześnie mego wewnętrznego stanu, i gdybym nie starał się usprawiedliwić o tyle, o ile tego wymaga prawda. Nigdy nie był dalej odemnie wszelka złośliwość niż w tym okrutnym momencie; dziwnem ale prawdziwem będzie, gdy powiem, iż, kiedy obwinałem tę nieszczęśliwą dziewczynę, nie z innego, lecz przychylności moja dla niej stała się przyczyną. Ona płatała się właśnie w mych myślach zaskoczony, oparłem swoje usprawiedliwienie o pierwszy przedmiot który się nasunął. Oskarżyłem ją, iż uczyniła to, co ja chciałem uczynić; powiedziałem iż dała mi wstążkę, ponieważ ja właśnie miałem zamiar jej ją ofiarować. Kiedy ujrzałem ją później pod ciężarem oskarżenia serce darło mi się w strzępy, ale obecność tylu osób była silniejszą niż skrucha. Nie lękałem się kary, lękałem

jedynie wstydu: ale lękałem się go bardziej niż śmierci, więcej niż zbrodni, niż czegobądź w świecie. Bylbym chciał ukryć się, zapaść pod ziemię, niezwyciężony wstyd przewałzył wszystko, wstyd jedynie dał mi siłę bezwstydu; im głębiej brnąłem w zbrodnię, tem bardziej obawa przyznania się czyniła mnie nieustraszonym. Widziałem jedynie grozę, iż mogę być odkryty, ogłoszony publicznie, w żywe oczy, złodziejem, kłamcą, oszczercą. Zamęt, o jaki mnie to przyprawiało, odejmował mi wszelkie inne uczucie. Gdyby mi pozostawiono czas do opamiętania, bylbym niechybnie wszystko wyznał. Gdyby mnie p. de la Roque wziął na osobność, gdyby powiedział: Nie gub tej biednej dziewczyny; jeśli jesteś winien, wyznaj mi; bylbym mu się bezwłocznie rzucił do nóg, jestem pewny. Ale czyniono wszystko aby mnie onieśmielić, w chwili w której trzeba było dodać mi odwagi. Trzeba również mieć na względzie i wiek: wszakże ja wówczas ledwie wyszedłem z dzieciństwa, albo raczej tkwiłem w niem jeszcze. W młodym wieku, prawdziwa niegodziwość jest bardziej jeszcze zbrodniczą niż w wieku dojrzałym; ale to co jest tylko słabością, stanowi o wiele mniejszą winę, a, w gruncie rzeczy, mój błąd nie był niczem innym. Toteż, wspomnienie jego trapi mnie mniej z przyczyny samego złego, niż z przyczyny złego którego, być może, stało się powodem. Wspomnienie to oddało mi tę usługę, iż zabezpieczyło mnie na całe życie od wszelkiego uczynku trącałego występkiem, a to przez owo straszliwe wrażenie, jakie mi zostało po jednej jedynej zbrodni, którą kiedykolwiek popełniłem. Zdaje mi się, iż mój wstępną do kłamstwa plynie w znacznej części z wyrzutu, iż mogłem się go dopuścić w równie niecznej postaci. Jeżeli

to jest zbrodnia którą można odpokutować (a śmiejąc tak przypuszczać), to powinna mi być zmazana za tyle nieszczęść przygniatających schylek mego życia, za czterdzieści lat prawości i honoru w trudnych okolicznościach. Biedna Maryjka znalazła w świecie tylu mścicieli, iż mimo całego ogromu mej winy, nie lękam się, abym ciężar tego błędu miał ze sobą ponieść do grobu. Oto co miałem do powiedzenia w tym przedmiocie. Niechaj mi będzie wolno nie wracać do niego więcej.

KSIEGA III

(1728—1731). Wyszedszy z domu pani de Vercellis niewiele więcej tak jak wstąpiłem, wróciłem do dawnej gospodyni, i przebyłem tam jakieś pięć czy sześć tygodni. Zdrowie, młodość i bezczynność sprawiły iż, w ciągu tego okresu, zmysły dopiekały mi nieraz. Byłem niespokojny, rozstagniony, zadumany; płakałem, wzdychałem, pożądałem szczęścia, o którym nie miałem jasnego wyobrażenia, a którego brak dawał mi się wszelako we znaki. Niepodobna opisać tego stanu; niewielu mężczyzn może go sobie nawet wyobrazić, ponieważ większość uprzedziła ten nadmiar życia, zarazem pełny rozkoszy i udręki, który, w upojeniu pożądania, daje niejako przedsmak słodczy użycia. Rozplamieniona krew zaludniała nieustannie mózg mój obrazami dziewcząt i kobiet: ale, nie mając świadomości ich prawdziwego przeznaczenia, wprzegalem je w myślach w swoje chorobliwe fantazje, ograniczając do tego wybuchy żądz. Majaczenia te utrzymywały moje zmysły w bardzo kłopotliwym stanie ciągłego pobudzenia, od którego, na szczęście, nie nauczyły mnie jak się uwalniać. Bylbym oddał życie, gdyby mógł mi wrócić kwadransik spędzony przy pannie Goton. Ale przeminął już czas owych łatwych i sposobnych igraszek dziecięcych. Wstydlivość, towarzysząca świadomości złego, przyszła z latami;

ona to wzmogła wrodzoną nieśmiałość, czyniąc ją wprost nie do przewyciężenia. Nigdy, ani wówczas, ani później nie mogłem się zdobyć na uczynienie nieskromnej próby, o ile osoba, której ją czynilem nie zmusiła mnie poniekąd idąc naprzeciw mych życzeń; choćbym nawet wiedział na pewne, iż nie ma na tym punkcie skrupułów i zrozumie mnie w pół słowa.

Niepokój mój wzrósł do tego stopnia, iż, niemogąc zadowolić pragnień, drażniłem je zapomocą najosobliwszych wymysłów. Szukałem ciemnych alej, ustronnych zakamarków, w których mógłbym się zdala pokazywać osobom płci odmiennej w stanie w jakim chciałbym się znaleźć przy ich boku. Ale to, co ukazywało się ich oczom była to raczej komiczna niż sprośna strona medalu: tam nie przychodziło mi nawet na myśl. Trudno opisać głupiość przyjemności jakiej doznawałem, wystawiając się tak ich oczom. Od tego, do osiągnięcia upragnionego zaspokojenia był tylko jeden krok; nie wątpię też, że jakaś osoba rozumniejszej natury byłaby mimochodem ziściła me pragnienia, gdybym miał odwagę czekać na to. Manja nie pociągnęła za sobą katastrofę niemal równie komiczną, ale mniej dla mnie zabawną.

Jednego dnia, przyczałem się w jakimś dziedzińcu w którym znajdowała się studnia, dokąd dziewczęta chodzą często po wodę. Opodal były drzewczki, któremu schodziło się do piwnic. Zgłębiłem w ciemności te podziemne chodniki, a przekonawszy się, że są długie i ciemne, sądziłem że wogóle są bez końca, i że, gdyby mnie ujrzały i zaskoczono, znalazłbym tam pewne schronienie. Ufając w to, ukazałem dziewczętom, które szły do studni, ową ulubioną mi widowisko, bardziej dla nich pocieszne niż

pełne pokusy. Najrozsądniejsze udały że nic nie widzą; inne zaczęły się śmiać; inne wzięły to za obrazę i podniosły *larum*. Cofnąłem się do mego schronienia; podążono za mną. Usłyszałem głos męski, na który nie byłem przygotowany i który mnie przeraził. Zapuszczałem się coraz dalej w podziemia, narażając się na zabłądzenie: hałasy, okrzyki, męski głos, szły ciągle w moje tropy. Liczyłem na ciemność, nagle ujrzałem światło. Zadrżałem, zapuściłem się dalej jeszcze. Natknąłem się wreszcie na gładką ścianę, i, nie mogąc iść dalej, zmuszony byłem oczekiwać swego losu. W jednej chwili dosięgnął mnie i pochwycił duży mężczyzna o dużym wąsie, dużym kapełuszu, dużej szabli, eskortowany przez kilka starych bab, zbrojnych w miotły. Pomiędzy nimi ujrzałem ową małą kulturalną, która mnie wysledziła i która zapewne chciała mi spojrzeć w oczy.

Mężczyzna z szablą chwycił mnie za ramię i pytał szorstko co tu robisz. Łatwo pojąć, że nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Opamiętałem się wszelako, i, w nerwowem napięciu tego krytycznego momentu, znalazłem w głowie romantyczny środek ocalenia, który mi się powiódł w zupełności. Zwracając się doń w błagalnym tonie, prosiłem, aby miał litość nad moim wiekiem i stanem; że jestem młodym cudzoziemcem wysokiego rodu który ma umysł w niezupełnym porządku; wymknąłem się z domu rodzicielskiego, ponieważ chcąco mnie zamknąć; byłbym zgubiony gdyby zdradził mą obecność; ale, jeżeli raczy mnie puścić wolno, może kiedyś potrafię mu odplacić tę łaskę. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, bajeczka moja i żałośliwa mina zrobiły wrażenie: straszliwy człowiek dał się wzruszyć i, po dość krótkim namomnieniu,

pozwolił mi odejść spokojnie, nie pytając o nic więcej. Po minie, z jaką młoda kobieta i jej stare towarzysze patrzyły na mnie gdy odchodziłem, mogłem wnosić, że mężczyzna, którego się tak lękałem, był moim zbawieniem i że z niemi samemi nie byłbym się wykreślił tak tanim kosztem. Słyszałem jak mruczały groźnie, z czego sobie niewiele robiłem, byleby bowiem szabla i jej właściciel nie mieszała się do rzeczy, czułem się dość lekkim i zwinnym, aby się ocalić od ich zakusów.

W kilka dni potem, przechodząc ulicą z młodym księciem, moim sąsiadem, spotkałem się nos w nos z moim zbawcą. Poznał mnie i ozwał się drwiąco, przedrzeźniając mnie: „Jestem księciem, rzekł, jestem księciem, a ty jesteś dudem: ale niech Jego Wysokość nie próbuje drugiego raz“. Nie dodał nic więcej, a ja pomknąłem ze spuszczone głową, błogosławiąc w duchu tę wyrozumiałość. Do tej chwili myślałem, iż te przekłete staruchy musiały mu zaryzykować głowę za jego łatwowierność. Jakbądź się rzeczy miały, ów wąsał, mimo że Piemontczyk, był to dobry człowiek i ilekroć o nim myślę, to zawsze z uczuciem wdzięczności. Historia bowiem była tak zabawna, że, dla samej ochoty zabawienia słuchaczy, każdy na jego miejscu byłby miły wyduł na hańbę. Ta przygoda, mimo że nie miała skutków, uczyniła mnie wszelako na długi czas ostrożnym.

W czasie pobytu w domu pani de Vercellis, zawarłem parę znajomości, które podtrzymywałem w nadziei, że będą mogły być mi użyteczne. Odwiedzałem niekiedy między innymi, sabaudzkiego księdza, nazwiskiem Gaime, nauczyciela dzieci hrabiego de Mellarède. Był to człowiek jeszcze bardzo młody i mało udzielający się, ale pełen rozsądku, uczciwości, wykształcenia, i jeden

z najzaciejszych ludzi jakich znałem. Na nic mi się nie przydał w sprawie dla której go odwiedzałem; nie miał dosyć stosunków aby mi wyrobić miejsce: ale znalazłem u niego cenniejsze korzyści, które posłużyły mi na całe życie; naukę zdrowej moralności, zasady uczciwości i rozumu. W kolejnych przewrotach moich upodobań i poglądów, byłem zawsze za wysoko albo za nisko, Achillesem albo Tersytem, to bohaterem to nieponiem. Ksiądz Gaime podjął trud postawienia mnie na właściwym miejscu i otworzenia mi oczu na samego siebie, nie oszczędzając mnie ani zniechęcając. Wyrażał się bardzo pochlebnie o moim charakterze i zdolnościach: ale dodał, iż widzi w nich samych przeszkody, które nie pozwolą mi należycie ich wyzyskać; tak, iż powinny, jego zdaniem, posłużyć mi nietyle jako stopnię do osiągnięcia powodzenia, ale raczej jako środki obycia się bez niego. Nakreślił prawdziwy obraz ludzkiego życia, o którym miałem wyobrażenia jedynie chimeryczne; pokazał mi, jak, w przeciwnościach losu, rozumny człowiek może zawsze zmierzać ku szczęściu i obrać potem najwłaściwsze drogi; jako nie istnieje prawdziwe szczęście bez mądrości i cnoty, że zaś można znaleźć w każdym stanie. Osłabił bardzo mój kult dla wielkości świata, dowodząc, że ci, którzy władają nad drugimi, nie są ani mądrzejsi ani szczęśliwsi od tamtych. Powiedział jedną rzecz, która często wracała mi na pamięć, że, gdyby każdy człowiek mógł czytać w sercach bliźnich, więcej byłoby ludzi, którzyby chcieli zstąpić niżej, niżeli wspinać się wyżej. Ta uwaga, której prawdziwość bije w oczy i która nie ma w sobie nic przesadzonego, bardzo mi dopomogła w ciągu mego życia, aby spokojnie pozostawać na swoim miejscu. Dał mi

pierwsze prawdziwe pojęcia uczciwości, którą mój nierównoważony umysł pojmował jedynie w jej krańcach. Przekonał mnie, że szczytny zapal cnoty mało ma zastosowania w pożyciu z ludźmi; że, kto wzbija się zbyt wysoko, narażony jest na upadki; że ustawiczne i równe spełnianie drobnych obowiązków nie mniej wymaga siły od bohaterских czynów; że ta droga lepszą jest i bezpieczniejszą dla szczęścia i honoru; że o wiele cenniejszym jest budzić zawsze szacunek ludzi, niż od czasu do czasu ich podziw.

Aby ustalić powinności człowieka, trzeba było zstąpić do ich źródeł. Rozmawiając nieraz o kroku jaki uczynilem i którego następstwem było moje obecne położenie, zeszliśmy oczywiście na kwestję religijną. Można się domyślić, że zaczął ksiądz Gaime jest, przynajmniej w znacznej części, oryginałem mego wikarego sabaudzkiego. Różnica jest ta, iż on sam, zniewolony do ostrożności i powściągliwości w wyrażeniach, co do niektórych punktów mniej otwarcie wyraził mi swe zdanie: ale pozatem, jego zasady, uczucia, przestrogi, nawet rada abym powrócił do ojczyzny, wszystko zgodne jest z obrazem, jaki wiernie przekazałem czytelnikiem. Nie zatrzymując się tedy przy naszych rozmowach, których treść każdy może poznać, powiem tylko, że jego nauki, mądre ale zrazu bezowocne; stały się w mem sercu zarodkiem cnoty i religji, który nie obumarł nigdy, i który, aby wydać owoc, czekał jedynie starań bardziej mi umiłowanej ręki.

Mimo iż wówczas nawrócenie moje mało miało fundamentów, rozmowy te wzruszały mnie. Nietylko nie nudziły mnie one, ale zasmakowałem w nich dla ich jasności, prostoty, a zwłaszcza serca którem były prze-

niknięte. Mam duszę stworzoną do kochania, i zawsze przywiązywałem się do ludzi nietylko w stosunku do tego, co mi wyświadczyli dobrego, ile do ich chęci dla mnie: pod tym względem, instynkt mój mnie nie myli. Toteż, pokochałem szczerze księdza Gaime; stałem się niejako jego drugim uczniem; co mi przyniosło, na tę chwilę, tę nieocenioną korzyść, iż odwróciło mnie od spadzistości złego, ku której ciągnął mnie brak zatrudnienia.

Jednego dnia, kiedy się najmniej spodziewałem, wezwano mnie w imieniu hrabiego de la Roque. W swoim czasie, po kilku daremnych usiłowaniach, zniechęciłem się i nie zachodziłem doń więcej: myślałem że o mnie zapomniał, albo że zraził się do mnie. Myliłem się. Niejednokrotnie był on świadkiem gorliwości, z jaką pełniłem obowiązki przy jego ciotce; mówił jej nawet o tem, i przypominał mi to wówczas, gdy sam już zapominałem. Przyjął mnie dobrze, powiedział mi, nie bawiąc się w puste obietnice, że starał się znaleźć dla mnie miejsce, że mu się to powiodło, że otwiera mi się droga zostania czemś, do mnie zaś należy postarać się o resztę; że dom, w który mnie wprowadza, jest możny i wpływowy i stosunki jego wystarczą w zupełności aby zapewnić mi karierę; mimo iż zrazu zajmę stanowisko zwykłego służącego, mogę być pewny, że, jeżeli zachowanie moje i wartość okażą się powyżej tego stanu, nie pozostanę w nim długo. Koniec apostrofy był okrutnym ciosem dla błyszczących nadziei, które obudził we mnie początek. Jaktó! ciągle lokajem! rzekłem sobie w duszy z gorzkim zawodem, który jednak niebawem rozprószyła wiara w siebie. Czulem się zbyt mało stworzonym do tego stanowiska, bym się miał obawiać iż mogę na niem pozostać zbyt długo.

Mój protektor zaprowadził mnie do hrabiego Gouvon, pierwszego koniuszego królowej i naczelnika znamienitego rodu Solar. Wyraz godności, który cechował szanownego starca, tem bardziej podniósł w mych oczach cenę życzliwości z jaką mnie przyjęto. Zadał mi parę pytań z widocznym zainteresowaniem: odpowiedziałem z pełną szczerością. Powiedział hrabiemu de la Roque że mam fizjognomję przyjemną i zwiastującą bystry umysł, ale że bystrość dowcipu to jeszcze nie wszystko: trzeba dopiero przekonać się o reszcie. Następnie, zwracając się do mnie, rzekł: „Moje dziecko, prawie w każdej rzeczy początki są trudne; mam wszelako nadzieję, iż twoje nie będą nazbyt uciążliwe. Bądź uważający, staraj się przypaść do serca wszystkim w domu, oto, na razie jedyne twoje zajęcie: pozatem bądź dobrej myśli; będziesz pamiętał o tobie“. Natychmiast udał się do apartamentów margrabiny de Breil, swojej córki i przedstawił mi; również księdzu Gouvon, swemu synowi. Ten początek zdawał mi się dobrze wróżyć. Znałem już ten tyły świat, aby wiedzieć, że nie robi się tylu ceremonii z przyjęciem zwykłego lokaja. W istocie, nie odnoszono się do mnie w ten sposób. Jadalem przy stole domowników, nie dano mi liberji; a gdy hrabia de Favria młody postrzeleniec, wyjeżdżając na miasto, polecił mi stanąć z tyłu karocy, dziadek zabronił aby mnie używać do takich funkeyj, i abym miał pełnić czyjekolwiek posługi poza obrębem domu. Usługiwałem, mimo to, przy stole, i, wewnątrz domu, sprawowałem mniejwięcej obowiązki lokaja; ale sprawowałem je poniekąd swobodnie, nie będąc w szczególności przydany żadnej osobie. Pozostawiałem paroma listami które mi dyktowano, i obrazkami, które

hrabia Favria kazał mi wycinać, byłem, w ciągu dnia, prawie zupełnym panem swego czasu. Była to próba, na której się nie spostrzegłem, i z pewnością była ona bardzo niebezpieczna, a nawet nie bardzo ludzka; w tej zupełnej bowiem bezczynności mogłem łatwo nabrać przywar, w które nie byłbym popadł inaczej.

Na szczęście nie zaszło nic podobnego. Nauki księdza Gaime wycisnęły się w mem sercu, i tak w nich zasmakowałem, że wymykałem się niekiedy, aby ich jeszcze posłuchać. Nie sędzę, aby ktoś, kto mnie widział wychodzącego ukradkiem, domyślił się gdzie szedłem. Ksiądz Gaime udzielił mi, w tym okresie życia, wielu roztropnych wskazówek. Początki były wprost cudowne; pilność moja, baczność, gorliwość zwróciły na siebie uwagę wszystkich. Ksiądz Gaime ostrzegł mnie roztropnie, abym pohamował ten pierwszy zapal, z obawy aby nie ostygł z czasem i aby tego nie zauważono. „Ten wstęp, rzekł mi, będzie miarą tego, czego będą od ciebie żądali: postaw-że sobie możność dawania w przyszłości więcej, a strzeż się zacząć dawać mniej“.

Ponieważ nie egzaminowano mnie wcale z mych skromnych umiejętności i przypuszczano iż posiadam jedynie to co mi dała natura, nie zanosilo się, mimo tego co mi hrabia Gouvon oświadczył, abym miał zająć jakieś pośpieszniejsze miejsce. Przyszły różne sprawy, kłopoty, zapomniano o mnie potrochu. Margrabia de Breil, syn hrabiego de Gouvon, był wówczas ambasadorem w Wiedniu. Zaszły na dworze wypadki, które dały się odczuć rodzinie, i na kilka tygodni wprawiły dom w poruszenie, nie zostawiając czasu do myślenia o mnie. Mimo to, aż do tej chwili, nie zaniedbałem się ani trochę. Pewna okolicz-

ność wpłynęła na mnie źle i dobrze zarazem, oddalając wszelką dystrakcję z zewnątrz, ale czyniąc mnie nieco mniej uważnym w spełnianiu obowiązków. Pani de Breil miała córkę; była to osoba mniej więcej w moim wieku, kształtna, dość ładna, bardzo biała, o włosach bardzo czarnych; mimo to, na twarzy jej malował się ów wyraz słodczy, właściwy blondynkom, któremu serce moje nigdy nie umiało się oprzeć. Dworski krój sukni, tak korzystny dla młodych osób, rysował jej zgrabną figurkę, uwydatniał piersi i ramiona, i czynił pleć jeszcze bardziej olśniewającą, ile że wówczas noszono żałobę. Powie ktoś, że nie jest rzeczą służącego zwracać uwagę na takie rzeczy. Źle czynilem, to pewna; ale cóż? zauważyłem to wszystko, i nawet nie ja jeden. Marszałek dworu i pokojowcy rozmawiali nieraz na ten temat przy stole, i to z brutalnością, która sprawiała mi okrutne cierpienia. Mimo to, nie straciłem głowy do tego stopnia, aby się w niej zakochać na dobre. Nie zapomniałem się; pamiętałem czem jestem i pragnienia moje nawet nie przychodziły do głosu. Lubilem widywać pannę de Breil, słyszeć z jej ust odezwania się, które świadczyły o dowcipie, rozsądku, dobroci. Ambicja moja, ograniczając się do rozkoszy usługiwania jej, nie przekraczała zakresu moich atrybucyj. Przy stole, bacznie szukałem sposobności, któraby pozwoliła mi z nich skorzystać. Jeśli lokaj panny de Breil opuścił na chwilę jej krzesło, natychmiast stawałem za niem: pozatem, starałem się zawsze znaleźć naprzeciw niej; czytałem w jej oczach żądanie, zanim wyrzekła je głosem; śledziłem moment, w którym mogłem odmienić jej talerz. Czegóż nie byłbym uczynił, aby raczyła wydać mi jakiś rozkaz, spojrzeć na mnie,

rzucić jedno słowo! ale nie: cierpiełem tę mękę iż nie istnieję dla niej; nie spostrzegła nawet, że jestem. Raz tylko, gdy jej brat, który niekiedy odzywał się do mnie przy stole, powiedział mi coś niezbyt uprzejmego, a ja sparowałem w lot w zręczny i przytomny sposób, ściągnęło to jej uwagę i rzuciła na mnie oczami. Ten rzut oka, mimo iż krótki, wprowadził mnie w prawdziwe uniesienie. Nazajutrz, nadarzyła się sposobność dostąpienia po raz drugi tego szczęścia, i skorzystałem z niej skwapliwie. Dawano tego dnia wielki obiad, przy którym pierwszy raz ujrzałem z wielkiem zdumieniem, że marszałek dworu służy ze szpadą przy boku i w kapeluszu na głowie. Przypadkiem zaczęto mówić o godle domu Solar, które znajdowało się na hafcie z herbami: *Tel fiert, qui ne tue pas*. Któryś z gości (jako że Piemontczycy nie są zbyt tędzy w języku francuskim) dopatrzył się w tem godle błędu ortograficznego i powiedział, że w słowie *fiert* niepotrzebna jest litera *t*.

Stary hrabia de Gouvion miał zamiar odpowiedzieć; ale, rzuciwszy okiem na mnie, spostrzegł, iż uśmiecham się, nie śmiejąc się odezwać: kazał mi przemówić. Wówczas, rzekłem, iż nie wydaje mi się, aby *t* było zbyt uczynne; *fiert* jest to stare słowo francuskie, które nie pochodzi od słowa *ferus*, dumny, groźny, ale od słowa *ferir*, uderza, rani; że zatem godło, o ile mi się zdaje, nie mówi: Nie każdy kto *grozi*, ale nie każdy kto *uderza, zabija*.

Wszyscy patrzeli na mnie i spoglądali po sobie w milczeniu. W życiu nie widział nikt podobnego zdumienia. Ale co mi pochwiliło najwięcej, to iż ujrzałem wyraźnie na twarzy panny du Breil wyraz zadowolenia. Wyniosła ósóbka raczyła mi rzucić drugie spojrzenie, warte conaj-

mniej pierwszego; następnie, skierowawszy oczy na dziadka, zdawała się oczekiwać z rodzajem niecierpliwości pochwały, którą mi był winien, i którą oddał mi w istocie tak szczerze i z miną tak zadowoloną, iż cały stół pokwapił się zawtórować chórem.

Chwila krótka, ale rozkoszna pod każdym względem! Był to jeden z owych zbyt rzadkich momentów, które przywracają rzeczy do ich naturalnego porządku, i mszczą zdeptaną wartość ludzką za zniewagi losu. W kilka chwil potem, panna de Breil, podnosząc znowu oczy na mnie, poprosiła mnie, tonem równie nieśmiałym jak uprzejmym, abym jej nalał wody. Można się domyślić, że nie pozwoliłem jej czekać; ale, kiedy się zbliżył, ośmiadło mnie takie drżenie, iż, nalawszy zbyt pełno, rozlałem nieco wody na talerz, a nawet na suknię. Brat jej zapytał niebacznie, dlaczego drzę tak mocno. To pytanie nie dopomogło mi do odzyskania spokoju, a panna de Breil zarumieniła się po białka.

Tu kończy się mój nowy romans, przyczem czytelnik będzie mógł zauważyć, iż, podobnie jak z panią Basile, i w całym dalszym ciągu życia, nie jestem szczęśliwy w obrocie moich miłości. Napróżno wysiadywałem w przedpokoju pani de Breil; nie uzyskałem już najmniejszego znaku uwagi ze strony córki. Wechodziła i wychodziła nie patrząc na mnie, a ja ledwie śmiałem na nią podnieść oczy. Byłem nawet tak głupi i niezręczny, że, gdy raz, przechodząc, upuściła rękawiczkę, którą byłbym rad okrył pocałunkami, nie śmiałem ruszyć się z miejsca, i ścierpiałem aby ją podniósł jakiś drab lokaisko, za co byłbym go chętnie udusił. Do reszty onieśmieliło mnie to, iż spostrzegłem, że nie mam szczęścia być w ta-

skach u pani de Breil. Nietylko nie dawała mi żadnych poleceń, ale nigdy nie chciała przyjmować moich usług; dwa razy wręcz zastawszy mnie u siebie w przedpokoju, spytała bardzo suchym tonem, czy nie mam nic do roboty. Trzeba mi było porzucić ten drogi przedpokój. Zrazu, doznawałem żalu; ale później co innego zaprzętnęło mi głowę i niebawem przestałem o tem myśleć.

Wzgardę pani de Breil wynagrodziły mi w pełni względy jej teścia, który zauważył wreszcie moją obecność w domu. Po owym pamiętnym obiedzie miał ze mną blisko półgodzinną rozmowę; wydawał się rad ze mnie, ja zaś byłem oczarowany. Dobry staruszek miał może umysł nie tak świetny jak pani de Vercellis, ale bardziej ludzki; czułem się też z nim o wiele lepiej. Powiedział mi, abym się starał trzymać księdza de Gouvon, jego syna, który ma dla mnie sympatię; że, o ile potrafię z niej skorzystać, przychylność jego może mi być użyteczna i dopomóc w widokach kariery. Zaraz nazajutrz, rannem, pomknąłem do księdza de Gouvon. Przyjął mnie zgoła nie jak służącego. Kazał mi usiąść przy kominku, i zadając pytania z wielką słodyczą, spostrzegł, że wykształcenie moje, zaczęte w wielu przedmiotach, w żadnym nie było ukończone. Znajdując zwłaszcza iż zbyt mało posiadam łaciny, podjął się wydoskonalić mnie w tym języku. Umówiliśmy się, że będę przychodził co rano; mieliśmy zacząć od nazajutrz. Tak tedy, jednym z kaprysów losu, które często zdarzy się spotkać w biegu mego życia, znalazłem się zarazem powyżej i poniżej swego stanu, będąc równocześnie wychowankiem i lokajem w tym samym domu; w moim stanie służalczym, zy-

skalem pedagoga, którym, z urodzenia, mógł być nauczycielem chyba dzieci królewskich.

Ksiądz de Gouvon, jako młodszy syn, przeznaczony był przez rodzinę do infuły biskupiej, z której też przyczyny dalej posunął swoje nauki, niż to jest obyczajem dzieci szlacheckiego rodu. Wyprawiono go na uniwersytet do Sienny, gdzie pozostał przez kilka lat, a skąd przywiózł dosyć sporą dozę *kruskantyzmu*¹⁾ aby się stał w Turynie mniej więcej tem, czem niegdyś ksiądz Dangeau w Paryżu. Wstręt do teologii pechnął go w kierunku literatury; zjawisko bardzo częste we Włoszech u młodych arystokratów na drodze do pastorału. Czytywał poetów, układał dość zgrabne wiersze po łacinie i po włosku. Jednem słowem, posiadał natyle smaku, ile było potrzeba, aby ukształtować mój smak i wprowadzić pewien ład i wybór w bigosie, jakim naladowana była moja mózgowica. Ale, czyto że moja paplanina dała mi jakieś złudzenia co do mej wiedzy, czyto że nauczanie samych początków łaciny zdalo się mu zbyt nudnem, wziął rzecz od razu o wiele zbyt z wysoka; ledwie przeczytawszy ze mną kilka bajek Fedra, rzucił mnie z kolana Wergilego, z którego nie rozumiałem prawie nic. Przeznaczone mi było, jak się okaże w przyszłości, brać się po kilka razy do łaciny i nigdy się jej nie nauczyć. Mimo to, pracowałem dość żarliwie, a mój nauczyciel używał mi swej pomocy z dobrocią, której wspomnienie dla jeszcze mnie rozczula. Spędzałem przy nim dobrą część ranka, tak dla mej nauki jak dla jego usługi; nie co do jego osoby, gdyż nigdy nie pozwolił abym go obsługiwał.

¹⁾ *Kruskantyzm* jest synonimem *puryzmu* językowego uprawianego przez akademję *della Crusca*.

ale pisząc za dyktandem i przepisując. Te zajęcia sekretarza więcej mi wyszły na pożytek, niżeli same godziny lekcji. Nietylko nauczyłem się w ten sposób języka włoskiego w całej jego czystości, ale nabrałem zamiłowania do literatury, i niejakiego rozeznania w dobrych książkach, których nie można było dostać u la Tribu. To ostatnie przydało mi się bardzo w przyszłości, kiedy mi przyszło pracować samemu.

To był okres mego życia, w którym, bez romantycznych projektów, mogłem z największą słusnością oddawać się nadziejom kariery. Ksiądz de Gouvon bardzo ze mnie był zadowolony i powtarzał to wszystkim dookoła; ojciec zaś jego nabrał dla mnie tak szczególnej sympatji, iż, jak się dowiedziałem od hrabiego de Favria, wspomniawszy o mnie królowi. Nawet pani de Breil porzuciła lekcje wazy tony. Słowem, stałem się w domu rodzajem faworyta, ku wielkiej zazdrości reszty domowników, którzy, widząc iż miałem zaszczyt pobierać nauki od syna ich pana, czuli dobrze że nie długo przyjdzie mi być ich równym.

Z paru przelotnych słów nad któremi zastanowiłem się dopiero po czasie, mogłem poniekąd osądzić, jakie widoki miano co do mej osoby. Otóż, zdaje mi się, iż dom de Solar, pragnąc iść drogą karier ambasadorskich, a, być może, utorować ją sobie i do ministerjum, byłby rad urobić dla siebie zawczasu zdolnego i ucziwego człowieka, który, zależąc wyłącznie od tego domu, mógłby w przyszłości osiąść jego zaufanie i służyć mu skutecznie. Ten zamiysł hrabiego de Gouvon był szlachezny, rozumny, wielkoduszny i w istocie godny wielkiego pana dobroczynnego i przewidującego zarazem: ale, pomijając

że nie zdawałem sobie wówczas sprawy z jego doniosłości plan ten był zbyt rozsądny jak na moją głowę i wymagał zbyt długiej cierpliwości. Moja szalona ambicja chciała szukać szczęścia jedynie w zamęcie przygód; nie widziałem w tem wszystkim kobiety, ta droga kariery zdała mi się przeto wolna, uciążliwa i smutna; podczas gdy, właśnie wskutek tej okoliczności, powinna mi się była zdawać bardzo dziej zaszczytną i pewną: ile że rodzaj przymiotów jakie popierają kobiety nie jest z pewnością wart tych, których się we mnie dopatrywano.

Wszystko szło wprost cudownie. Zyskałem, zdobyłem niemal przemocą uznanie całej rodziny; czas próby był skończony; w domu patrzano na mnie powszechnie jak na młodego człowieka, rokującego największe nadzieje, który nie jest na swoim miejscu i ma je niebawem zająć. Ale miejsce moje było inne niż to, które mi przeznaczał ludzkie, i miałem doń przybyć bardzo odmiennymi drogami. Tu zbliżam się do jednego z owych charakterystycznych rysów, które mi są właściwe: wystarcza przedstawić czytelnikowi fakta, nie dorzucając żadnych uwag.

Jakkolwiek w Turynie znajdowało się wielu świeżo nawróconych mego pokroju, nie lubiłem ich i nie szukałem z nimi stosunków. Widywałem natomiast paru Genewczyków, którzy nie zmienili wyznania; między innymi niejakiego Mussard, z przezwiskiem Kręci-Morda, malarza minjatur; nieco mi krewnego. Ten Mussard wyszperał moje mieszkanie u hrabiego de Gouvon i przyszedł mnie odwiedzić z drugim Genewczykiem, zwanym Bâcle, z którym kolegowałem w czasie mego terminu. Ów Bâcle był to chłopiec bardzo zabawny, bardzo wesoły,

pelen wybryków i pustoty, którym młodość jego nadawała szczególny powab.

I oto zaciętrzewiłem się w tym Bâcle'u, ale to do tego stopnia, iż nie byłem wprost zdolny się z nim rozłączyć. Miał wkrótce opuścić Turyn, aby powrócić do Genewy. Cóż za strata dla mnie! Odczuwałem ogrom jej w całej pełni. Aby wykorzystać przynajmniej chwile, które mi pozostały, nie rozstawałem się z nim poprostu, a raczej on się ze mną nie rozstawał; na razie bowiem jeszcze nie straciłem głowy na tyle, aby wałęsać się z nim całymi dniami poza domem bez opowiedzenia się.

Niebawem, widząc że mnie obsiaduje nieustannie, zabroniono mi wstępu do pałacu; ja zaś zapamiętałem się do tego stopnia, że, tracąc z oczu wszystko z wyjątkiem przyjaciela, nie pokazywałem się ani u księdza de Gouvon ani u starego hrabiego, słowem nie widziano mnie już w domu. Upominano mnie; nie słuchałem. Zagrożono odprawą. Groźba ta stała się moją zgubą: ukazała mi, w perspektywie, możliwość nie rozstawania się z przyjacielem. Od tej chwili, nie widziałem innej rozkoszy, innego losu, szczęścia, jak tylko aby mu towarzyszyć w podróży: przed oczami majaczyły mi już niewypowiedziane słodycze takiej wędrówki, na końcu której, na domiar upojenia, widziałem panią de Warens, ale to w niezmiernem oddaleniu; co się tyczy bowiem powrotu do Genewy, nie przyszło mi to nawet na myśl. Góry, łąki, lasy, strumienie, wsie przesuwaly mi się przed oczami bez końca i bez przerwy, pełne wciąż nowych uroków; zdawało mi się, że w tej błogosławionej wędrówce spłynięcie całe moje życie. Przypominałem sobie z rozkoszą, jak bardzo ta sama podróż wydała mi się uroczą, gdy szedłem

do Turynu: czemuż dopiero byłoby teraz, gdy, do całego uroku swobody, dołączyłoby się szczęście odbywania drogi z towarzyszem w moim wieku, miłym, wesołym, wędrowania bez przymusu, bez obowiązków, bez troski, idąc, zatrzymując się, popasając wedle zachcenia! Trzeba by być szaleńcem, aby poświęcać podobne szczęście dla widoków ambicji o urzeczywistnieniu powolnem, trudnem, niepewnem i które, przypuściwszy że kiedyśby się ziściły, i wówczas, w całym swoim blasku, nie warte są kwadransa prawdziwego szczęścia i swobody młodości.

Opanowany tem rozsądnem szaleństwem, działałem tak skutecznie, iż, wkońcu, osiągnąłem iż mnie wypędzono, a trzeba przyznać, nie przyszło mi to bez trudu. Jednego wieczora, gdym właśnie wrócił, marszałek dworu oznajmił mi w imieniu hrabiego, że mogę dom opuścić. Tego właśnie pragnąłem; czując bowiem mimo woli szaleństwo mego postępowania, dorzucałem doń, dla uspokojenia własnego sumienia, niesprawiedliwość i niewdzięczność, mniemając, iż w ten sposób własne winy przerzucę na drugich i uniewinnię, sam przed sobą, swój krok, jako spowodowany koniecznością. Powiedziano mi również, w imieniu hrabiego Favria, abym przyszedł się z nim rozmówić nazajutrz, przed opuszczeniem domu; a ponieważ widziano po mnie, iż, będąc zupełnie niepoczytalnym, gotów jestem tego nie uczynić, marszałek dworu oznajmił, iż dopiero po tej wizycie wręczy mi sumkę, którą mi przeznaczono, a którą zarobiłem z pewnością bardzo lichą, nie mając bowiem zamiaru pozostawiać mnie na stanowisku lokaja, nie wyznaczono mi zasług.

Hrabia Favria, mimo swej młodości i roztrzepania, przemówił do mnie słowami pełnemi rozsądku, śmiały

nawet powiedzieć tkliwości. W pochlebnych i wzruszających wyrazach przywiódł mi przed oczy starania swego wuja i zamiary dziadka. Wreszcie, przedstawivszy w żywych kolorach wszystko co poświęcam aby biegnąć ku zgubie, ofiarował się załagodzić to wszystko, wymagając, jako jedyny warunek, abym przestał się widywać z nicponiem który mnie opętał.

Jasne było że nie mówił tego wszystkiego sam z siebie. Jakoż, mimo głupiego zaślepienia, uczulem całą dobroć starego mego pana i wzruszyłem się; ale wyśniona podróż zbyt głęboko wycisnęła się w mej wyobraźni, aby cośkolwiek mogło przeważać jej urok. Byłem zupełnie nieprzytomny: zaciąłem się, zaciekle, naburmuszyłem i odparłem zuchwale, że, skoro mi dano odprawę, zastosowałem się do tego; że nie czas się już cofać i że, co bądźby miało przytrafić mi się w życiu, wolę to, niż czekać aż mnie drugi raz wypędzą z domu. Wówczas, młody hrabia, słusznie pogniewany, nazwał mnie tak jak na to zasługiwałem, wyrzucił z pokoju za kark i zatrzęsł drzwi. Co do mnie, wyszedłem tryumfujący, jak gdybym odniósł wielkie zwycięstwo: z obawy zaś, abym nie musiał stawiać czoła nowej próbie, miałem tę niegodziwość aby opuścić dom, nie podziękowawszy księdzu de Gouvon za jego trudy.

Aby zrozumieć, do jakich granic byłem w tej chwili pod władzą mego szaleństwa, trzeba wiedzieć, do jakiego stopnia serce moje zdolne jest rozpalać się z najdrobniejszych powodów, i z jaką siłą urojenia przedmiot, choćby nawet najbłahszy, który mnie pociąga w danej chwili, działa na mą wyobraźnię. Najbardziej dziwaczne, dzilecinne, szalone projekty przychodzą wówczas w pomoc

ulubionemu zachceniu i stroją je w kolory prawdopodobieństwa. Czy uwierzyłby ktoś, że, w dziewiętnastym roku, może ktoś na pustej fiolece oprzeć egzystencję całego życia? Owóż, słuchajcie.

Ksiądz Gouvon darował mi przed kilkoma tygodniami małą fontannę Herona, bardzo ładną, którą byłem oczarowany. Bawiąc się tedy tą fontanną a zarazem mówiąc o naszych planach, wpadliśmy obaj, doświadczeni Bâle i ja, na pomysł, że zabawka ta mogłaby nam oddać ważne usługi w podróży i dopomóc do jej przedłużenia. Czy może być w świecie coś równie ciekawego jak fontanna Herona? Zasada ta była podstawą, na której wzniesiliśmy gmach swojej fortuny. W każdej wiosce mieszkającej niechybnie zbiegać się będą tłumnie do naszej fontanny, a środki żywności i wszelakie lakocie spadać będą na nas tem obficie, ile że obaj byliśmy przekonani, że środki żywności nie kosztują tych którzy je produkują, i, jeśli nie częstują nimi wędrowców, to jedynie z czystej złej woli. Roiliśmy tedy wszędzie same uczty i zabawy, licząc na to, że, bez innych wkładów prócz powietrza z płuc i wody z naszej fontanny, opędzimy koszta podróży w Piemoncie, w Sabaudji, we Francji i w całym świecie. Układaliśmy na ten temat projekty iście bez końca. Na początek, postanowiliśmy skierować się na północ, bardziej dla przyjemności przebycia Alp, niż dla określonego celu.

(1731—1732). Taki był plan, na podstawie którego puściłem się w drogę, rzucając, bez żalu, mego protektora, nauczyciela, studja, nadzieje, widoki kariery niemal zapewnionej, aby rozpocząć życie prawdziwego włóczęgi. Żegnaj mi, stolico, żegnaj dworze, ambicjo, próżności,

miłości, piękne damy i wszystkie wspaniałe przygody, których nadzieja przywiodła mnie tu przed rokiem. Odbędę, z moją fontanną, z drugim włóczęgą, mym godnym przyjaciele, ze szczupło zaopatrzoną sakiewką, ale sercem przepełnionem radością, myśląc jedynie o tem, aby uciechować się wędrownem szczęściem, do którego, od jednego zamachu, ograniczyłem moje świetne projekty. Ta warjacka podróż odbyła się niemal tak przyjemnie jak się spodziewałem, ale nie zupełnie w ten sam sposób; mimo bowiem, iż fontanna zabawiła na parę chwil po karczmach gospodynie i służebne dziewczęta, niemniej trzeba było płacić rachunek na odchodem. Ale to nas nie trapiło; chowaliśmy sobie ten środek ratunku dopiero na chwilę ostateczną, kiedy będzie kuso z pieniędzmi. Przypadek oszczędził nam tego kłopotu: fontanna stłukła się, a był już wielki czas, czuliśmy bowiem, nie śmiejąc sobie tego wyznać, że zaczynała nas nudzić. To nie- szczęście przydało nowych podniet naszej wesołości; żaliliśmy się serdecznie sami z siebie, iż, w roztrzepaniu naszym, zapomnieliśmy że ubrania i trzewiki zużyją się z czasem, albo też spodziewaliśmy się je odnowić za pomocą swojej fontanny. Wędrowaliśmy teraz dalej, równie wesoło i bez troski jak z początku, ale zmierzając prostszą drogą ku celowi, który, wobec coraz większego wyczerpania sakiewki, trzeba było sobie wreszcie namówić.

Zbliżając się do Chambéri, zacząłem być niespokojny, nie z przyczyny głupstwa które uczynilem, nikt bowiem równie dobrze i szybko jak ja nie załatwiał się z prze- ciwnością, ale o przyjęcie, jakie mnie czeka u pani de Warens. Wąchałem jej dom najzupełniej jako swój dom rodzinny.

Doniosłem jej o wstąpieniu do hrabiego de Gouville. Wiedziała na jakiej stopie tam pozostaje; winszując mi, udzieliła mi pełnych roztropności przestróg co do sposobu odwdzięczenia się za okazowaną dobroć. Uważała mój los za zapewniony, o ile go sam nie zburzę własną dłoń. Cóż powie teraz na mój nagły powrót? Nie przyszło mi nawet na myśl, iż mogłaby mi zamknąć drzwi; ale bałem się zmartwienia które sprawię; lękałem się jej wymówy okrutniejszych dla mnie aniżeli nędza. Postanowiłem ścierpieć w milczeniu, i wszystko uczynić, aby ją uspokoić. W całym świecie nie widziałem nic poza nią. Żyć z jej niełaską, było dla mnie wprost niepodobieństwem.

Co mnie najbardziej niepokoiło, to mój towarzysz. Nie chciałem jej obarczać, na dobitkę, tym ciężarem; ale lękałem się, że niełatwo przyjdzie mi się go pozbyć. Przygotowałem rozstanie, zachowując się dość zimno w ciągu ostatniego dnia. Urwis odgadł mnie: był bardziej postrzelony niż głupi. Myślałem, że dotknie go moja niestałość: byłem w błędzie, kompan Bâcle nie troszczył się o takie drobnostki. Zaledwie, dotarłszy do Anne, wkroczyliśmy w bramy, rzekł: „Jesteś tedy w domu? Uściskał mnie, pożegnał, zakręcił się na pięcie i znikł. Nigdy o nim nie słyszałem więcej. Znajomość nasza i przyjaźń trwały wszystkiego około pięciu tygodni, ale następne będą trwać póki mego życia.

Jakże mi biło serce, kiedy zbliżałem się do domu pani de Warens! nogi drżały podemną, oczy przesłaniała mgła, nie widziałem nic; nie słyszałem, nie byłbym poznał nikogo; zmuszony byłem zatrzymywać się kilka kroków, aby odetchnąć i odzyskać zmysły. Czy to moja obawa, iż nie znajdę u niej potrzebnej pomocy wzrusza-

nie w tym stopniu? Czyż w tym wieku obawa głodowej śmierci napelnia takim przestrachem? Nie, nie; stwierdzam to z równą szczerością jak dumą, nigdy, w żadnym okresie życia, nadzieja korzyści lub obawa niedostatku nie mogły wzruszyć mego serca radością lub lękiem. W ciągu życia mego, tak niespokojnego i upamiętnionego tyłoma błędami, często bez dachu i chleba, zawsze jednako spokojnem okiem patrzałem na nędzę i dostatek. W potrzebie, byłbym zdolny kraść albo żebrać jak każdy inny, ale nie troskać się iż popadłem w tę ostateczność. Miałem ludzi tyle cierpiało co ja, niewielu tyle wylało łez w życiu; ale nigdy ubóstwo, ani jego obawa nie wydarły mi z piersi jednego westchnienia, z oka jednej łzy. Dusza moja, w próbach losu, widziała dobro swoje i zło jedynie w rzeczach które odeń niezależą; wówczas to właśnie brakiły mi nic nie brakowało do życia, czulem się najszczęśliwszym ze śmiertelnych.

Zaledwie stanąłem przed panią de Warens, wejrzenie jej uspokoiło mnie. Zadrżałem na pierwszy dźwięk jej głosu: rzucam się do stóp i, w uniesieniu najwyższej radości, przyciskam usta do jej ręki. Nie wiem, czy miała do mnie jakie wiadomości; w twarzy jej wyczytałem niewiele zdumienia, a już gniewu wcale. „Biedny maly, rzekła pieszczotliwym głosem, więc już z powrotem? Wiedziałam dobrze, że za młody jesteś na tę podróż; wiedziałam, że nie obróciła się dla ciebie tak źle jak się obawiałam“. Następnie, kazała mi opowiedzieć mą historję, która nie była zbyt długa. Opowiedziałem wszystko bardzo wiernie, pomijając, co prawda, niektóre szczegóły, ale zresztą nie oszczędzając się ani nie uniewinniając.

Nasunęła się kwestja noclegu. Naradziła się z panem służącą. Nie śmiałem oddychać w czasie tej narady; ale kiedy usłyszałem że będę nocował pod jej dachem, trudno mi było powściągnąć radość. Patrzałem jak niesiono moje zawiniątko do pokoju który mi był przeznaczony, tał mnie więcej, jak Saint-Preux kiedy wyprzegają u pani de Wolmar¹⁾ jego dylizans. Na domiar szczęścia doznałem wiedziałem się, iż łaska ta nie będzie przelotna; na pozór nie słuchając i niby zajęty czem innem, usłyszałem, jak pani de Warens rzekła: „Niech gadają co zechcą; ale skoro Opatrzność mi go odsyła z powrotem, zdecydowałem jestem go nie opuścić“.

Znalazłem się tedy w jej domu. Pobyt ten, to nie był jeszcze ów, od którego liczę szczęśliwe dni mego życia, ale przyczynił się do przygotowania tamtego. Mimo iż ta wrażliwość serca, której zawdzięczamy pojęcie naszego szczęścia, jest dziełem natury, a może wytworem organizacji, potrzebuje ona okoliczności które by ją rozwinęły. Bez tych okolicznościowych przyczyn człowiek z urodzenia wrażliwy nie doznałby żadnego wzruszeń i umarłby nie poznawszy nic ze swego jestestwa. Takim mniej więcej byłem dotąd; takim, być może, byłbym został na zawsze, gdybym nie poznał pani de Warens, albo gdybym, nawet poznawszy ją, nie żył obok niej dość długo, aby nasiąknąć słodkimi przyzwyczajeniami i tkliwych uczuć jakie we mnie obudziła. Nie waham się powiedzieć, że, kto zna tylko miłość, temu nieznanne jest najslodsze co istnieje w życiu. Znam inne uczucie, mniej gwałtowne może, ale tysiąc razy bardziej rozkoszne, które

niekiedy przyłącza się do miłości, a często jest od niej oddzielone. To uczucie nie jest też samą przyjaźnią; jest ono bardziej upajające, bardziej tkliwe i nie wyobrażam sobie, aby mogło istnieć w stosunku do osoby tej samej płci; ja przynajmniej, choć zdolny do przyjaźni jak mało kto w świecie, nie doznawałem go nigdy wobec żadnego z przyjaciół. To co mówię, nie jest dość jasne, ale stanie się jaśniejsze w dalszym ciągu: uczucia można opisać jedynie w ich działaniu i skutkach.

Pani de Warens zamieszkiwała domostwo stare, ale dość obszerne, posiadające, między innymi, piękny, obszerny pokój, z którego uczyniła rodzaj salonu: tam właśnie mnie pomieszczono. Pokój ten wychodził na dziedzińek o której mówiłem, miejsce naszego pierwszego spotkania; poza strumieniem i ogrodami ciągnęły się pola. Widok ten nie był dla młodego lokatora rzeczą obojętną. Pierwszy to raz, od czasów Bossey, widziałem zieleność za oknami. Zawsze uwięziony w murach, miałem przed oczyma jedynie dachy albo też szarą ulicę. Jakże ta nowość zdawała mi się rozkoszną i słodką! pomnażała ona wielce moje uczucie roztkliwienia. Uroczy krajobraz stawał się w mych oczach jeszcze jednym dobrodziejstwem drogiej opiekunki; zdawało mi się, że umieściła go tam specjalnie dla mnie; czułem pełną rozkosz znajdowania się w jej pobliżu, widziałem ją wszędzie między kwiatami i zielenością; jej uroki i urok wiosny zlewały się w mych oczach w jedno. Serce moje, dotąd zduszone, czuło się wolniejszym w tej przestrzeni, westchnienia moje płynęły swobodniej w tę zieleność.

Nie było u pani de Warens wspaniałości, jakie widziałem w Turynie; ale była schludność, przystojność i do-

¹⁾ Bohaterowie *Nowej Heloizy*, słynnej powieści Rousseau.

statek patryarchalny, które nigdy nie idą w parze z przyzwo-
 pychem. Miała niewiele sreber, porcelany weale, nie miała
 zapasów dziczyzny w spiżarni ani win cudzoziem-
 skich w piwnicy; ale i jedna i druga dobrze były za-
 patrzona dla użytku wszystkich, a w filiżankach z fajanc
 podawała doskonałą kawę. Ktokolwiek wstąpił w jej
 dom, zaproszony był na obiad z nią albo u niej, i nigdy
 żaden robotnik, posłaniec albo przechodzień nie wyszedł
 nie nakarmiony albo nie napojony. Służbę jej stanowił
 pokojowa, dość ładna dziewczyna z Fryburga, nazwiskiem
 Merceret; służący z jej stron rodzinnych, Klaudjusz An-
 toin, o którym będzie mowa w dalszym ciągu; kucharka, i dwu
 najemni tragarze, gdy udawała się w lektycę w odwiedzinach
 co zdarzało się bardzo rzadko. Był to dość wielki dwór
 dwa tysiące franków renty; ale i ten mały dochód
 przy dobrym gospodarstwie, mógłby być starczyć na wszystko
 ko, w kraju gdzie ziemia jest dobra, a pieniądź rzadki.
 Na nieszczęście, oszczędność nie była nigdy jej uprzed-
 wilejowaną cnotą: zadłużała się, płaciła procenty; pieniądź
 przemykał się przez ręce i rozchodził niewiadomo gdzie.

Sposób prowadzenia domu był właśnie taki, jaki
 sam bylbym wybrał: można się domyślić, że korzystając
 zeń z przyjemnością. Mniej mi się podobało to, że trzeba
 było długo pozostawać przy stole. Pani de Warens, z
 trudnością mogła znosić pierwszy opar zupy i potraw
 zapach ten przyprawiał ją niemal o omdlenie, a uczucie
 odrazy trwało długo. Powoli, przychodziła do siebie
 i rozmawiała nie biorąc do ust. Ledwie po upływie
 jakiej półgodziny, próbowała pierwszego kęsa. Byłby
 uporał się z obiadem trzy razy przez ten czas; dawno
 skończyłem posiłek, gdy ona jeszcze nie zabrała się

swego. Zaczynałem na nowo dla towarzystwa; w ten
 sposób jadłem za dwóch, co mi nie wychodziło na szkodę.
 Słowem, oddawałem się całym sobą słodkiemu uczuciu
 dobrobytu, jakiego doznawałem przy niej, ile że dobrobyt
 ten nie był wówczas zmaćony żadnym niepokojem o jego
 środki. Nie będąc powiernikiem jej interesów, mniemałem,
 że zawsze dom będzie mógł iść tym samym trybem.
 W przyszłości, zażywałem w jej domu tych samych
 słodczy; ale, bardziej obznajomiony z położeniem,
 wiedząc że te wydatki zjadały na pniu dochody, nie
 smakowałem już w nich z takim spokojem. Przewi-
 dywanie zawsze niweczyło we mnie rozkosz użycia.
 Pozatem, odgadywanie przyszłości na nie mi się nie zdało
 w życiu; nigdy nie zdołałem jej uniknąć.

Od pierwszego dnia, utrwaliła się między nami naj-
 mielsza poufalskość, taka jaka przetrwała aż do końca jej
 życia. Ja nazywałem się dla niej Mały, ona dla mnie
 Mamusią; i zawsze zostaliśmy Małym i Mamusią, nawet
 kiedy, z biegiem lat, zatraciła się prawie różnica wieku
 między nami. Uważam, że te dwa imiona cudownie od-
 dają obraz naszego stosunku, prostoty obcowania, a zwsz-
 cza tonu serc. Ona była dla mnie najczulszą matką,
 która nigdy nie szukała swojej przyjemności lecz zawsze
 mego dobra; a jeżeli zmysły miały udział w mem przy-
 wiązanu, to głos ich nie przeobrażał charakteru tego
 przywiązania, ale tylko czynił je bardziej uroczem; upajał
 mnie czarem szczęścia, iż posiadam mamusię ładną
 młodą, której pieśczęoty przejmują mnie rozkoszą:
 powiadam pieśczęoty w dosłownem znaczeniu, nigdy
 bowiem nie przyszło jej na myśl skąpić mi pocałunków
 i najslodszych pieśczęot macierzyńskich, a nigdy nie

postała w mem sercu myśl nadużywania ich. Powie ktoś, iż mieliśmy wszelako w końcu stosunki odmiennego rodzaju; przynaję; ale cierpliwości, nie mogę wszystkiego powiedzieć odrazu.

Chwila pierwszego spotkania i wzruszenie z nią połączone były jedynym momentem, w którym widziałem pani de Warens obudził we mnie namiętność; a i ten moment był poniekąd dziełem niespodzianki. Nigdy moje niedyskretne spojrzenia nie wciskały się pod jej chusteczkę, mimo iż zaokrąglenie powabnych kształtów mogło być było pociągnąć. Nie doznawałem przy niej uniesień ani pożądań; zażywałem najrozkoszniejszego spokoju; upajałem się sam nie wiedząc czem. Byłbym tak przeżył całe życie, wieczność nawet, nie nudząc się ani chwili. Ona była jedyną osobą, z którą nigdy nie odczułem przymusu rozmowy, graniczącego nieraz z męką. Nasze sam-na-sam były nietylko rozmową, ile nieustającym świegotaniem, które kończyło się wówczas, gdy nam coś przerwało. Nietylko nie trzeba mnie było zmuszać do mówienia, ale raczej narzucać mi milczenie. Niejednokrotnie, mając głowę nabitą projektami, mam się popadała w zadumę; ach, wówczas pozwalałem jej dumać; milczałem, patrzałem na nią i czułem się najszczęśliwszym z ludzi. Miałem jeszcze jeden narów bardzo osobliwy. Nie pragnąc wyciągać z naszych sam-na-sam szczególnych korzyści, poszukiwałem ich wszelako bez ustanku, nie pawałem się niemi z pasją, która mieniła się we mnie kłosem, skoro jakimś natrętem zdarzyło się je zakłócić. Ilekroć ktoś przybył, mniejsza o to kto, mężczyzna czy kobieta, wychodziłem natychmiast szemrając, nie mogąc sięcierpieć abym miał dzielić jej obecność z kimś trzecim.

Szedłem schronić się w przedpokoju, gdzie liczyłem minuty, przeklinając po tysiąc razy tych wiecznych gości i nie mogąc pojąć, o czem oni mają tyle do gadania, ponieważ sam miałem do gadania jeszcze więcej.

Ale siłę swego przywiązania czułem w pełni dopiero wówczas, kiedy nie byłem przy mamusi. Kiedy byliśmy razem, byłem tylko zadowolony; w czasie jej nieobecności niepokój mój stawał się wprost bolesny. Potrzeba życia i choć niej przyprowadzała mnie o wybuchy czułości, dochodzące niekiedy do łez. Nigdy nie zapomnę, jak raz, w dzień wielkiego święta, podczas gdy ona była na nieszpornych, ja przechadzałem się za miastem, z sercem pełnem jej obrazu i gorącego pragnienia aby resztę dni spędzić przy jej boku. Miałem dość rozsądku, aby widzieć, że, jak na teraz, było to niemożliwe, i że szczęście którym się tak upajałem nie potrwa długo. To dawało marzeniom moim odcień smutku; nie miał on wszelako nic posępnego, łagodziła go radosna nadzieja. Dźwięk dzwonów, na który zawsze byłem dziwnie wrażliwy, śpiew ptaków, piękność dnia, słodycz krajobrazu, zaciszne i sielskie domki w których roilem, w marzeniach, wspólne nasze mieszkanie; wszystko to budziło we mnie tak żywe, czule, smętne i przejmujące wzruszenie, że czułem się jakgdyby w ekstazie, przeniesiony w ten szczęśliwy czas i w to szczęśliwe pożycie. Serce moje, zażywając upragnionej szczęśliwości, syciło się nią w nieopisanych upojeniach, nie myśląc nawet o rozkoszy zmysłów. Nie przypominam sobie, abym kiedy rzucił się duchem w przyszłość z wielką siłą i potęgą iluzji niż wówczas; a co mnie najbardziej oderzyło we wspomnieniu tego marzenia, wówczas gdy się ono spełniło, to zupełna tożsamość przedmiotów rze-

czywistych z tymi, które widziałem w mojem zachwyceniu. Niepodobna, aby sen człowieka będącego na jawie miał większe podobieństwo do wizji proroczej, niż ten właśnie. Zawodu doznałem jedynie co do jego urojonej trwałości: w śnie tym bowiem dnie, lata, życie całe, spływały z niezmennym spokojem; podczas gdy w rzeczywistości trwało to tylko chwilę. Niestety! najtrwalsze moje szczęście było we śnie: ziszczeniu jego, prawie natychmiast towarzyszyło przebudzenie.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał szczegółowo opowiadać wszystkie szaleństwa, do jakich pobudzało mnie wspomnienie drogiej mamusi, kiedy nie byłem przy jej boku. Ileż razy całowałem moje łóżko, myśląc że ona w niem spała; to znów iranki, meble, myśląc iż należały do niej, i że dotykała ich jej piękna ręka; podłogę nawet do której przyciskałem twarz, myśląc że ona po niej stapała! Niekiedy, nawet w jej obecności, wymykały mi się szaleństwa, które, zdawałoby się, jedynie najgwałtowniejsza miłość zdolna jest podsunąć. Jednego dnia, w chwili właśnie gdy kładła kasek do ust, zawolałem i widzę na nim włos; wypluła na talerz: chwytam go z chciwością i polykam. Jednem słowem, między namiętniejszym kochankiem a mną była tylko jedna jedyna różnica, ale zasadnicza, i która czyni stan mój ówczesny niepojętym dla rozumu.

Wróciłem z Włoch nie zupełnie takim jak się tam puściłem, ale takim, jakim może nigdy w moim życiu nikt nie wrócił z tego kraju. Przyniosłem z powrotem nie dziewictwo, ale nieznaną kobietę. Odczułem postęp lat; niespokojny temperament obudził się wreszcie a pierwsze jego wyładowanie, bardzo mimowolne

obudziło we mnie, na punkcie mego zdrowia, niepochoje, które lepiej niż wszystko inne malują niewinność w jakiej żyłem dotąd. Wkrótce, zbywszy się obaw, nauczyłem się tego niebezpiecznego surogatu, który oszukuje naturę i oszczędza młodym ludziom o mojem uspołobieniu wielu szaleństw, kosztem zdrowia, sił, a niekiedy i życia. Ten nałóg, tak poręczny dla wstydliwych i nieśmiałych natur, ma, prócz tego, wielki urok dla człowieka żywą wyobraźnią; daje możność rozporządzania nie tylko całą plecią niewieścią i wciągania w swoje uciechy piękności która nas kusi, bez potrzeby starania się o jej przyzwolenie. Uwiedziony tą złowrogą łatwością, pracowałem nad zniszczeniem silnej konstytucji, którą natura odbudowała we mnie z wątłych zaczątków i której pozostałem czas należytego ukształtowania. Proszę teraz porzucić do tego przyzwyczajenia obecne warunki: mieszkam pod jednym dachem z piękną kobietą, pieścąc jej obraz w głębi serca, widując ją bez przerwy w ciągu dnia, wieczór otoczony przedmiotami które ją przypominają, w łóżku, w którym wiem że ona sypiała. Ileż tu podniet! niejeden czytelnik, który je sobie uzmysłowi, musi mnie już uważać za pół-nieboszczyka. Całkiem przeciwnie: to, co powinno było mnie zgubić, ocaliło mnie właśnie; przynajmniej na jakiś czas. Upojony urokiem życia w jej pobliżu, z gorącym pragnieniem pozostania z nią przez resztę dni, widziałem w niej — bądź bliskiej, bądź nieobecnej — najczulszą matkę, ukochaną siostrę, rozkoszną przyjaciółkę, i nic więcej. Widziałem ją zawsze tak, zawsze tę samą, i widziałem tylko ją.

Jej obraz, ciągle przytomny w mem sercu, nie zostawiał miejsca na żaden inny; była dla mnie jedyną

kobietą jaka istniała na świecie. Niezmierna słodycz uczuć które we mnie tchnęła, nie pozwalając zmysłom moim obudzić się dla drugich, zabezpieczała mnie od niej samej i od jej pleci. Jednem słowem, byłem wstrząśnięty, ponieważ ją kochałem. Z tych stanów, które zresztą maluję niedostatecznie, niech mi wytłómaczy kto zdola jakiego rodzaju było moje przywiązanie. Co do mnie, mogę powiedzieć tyle, że, jeżeli już teraz wyda się ono niezwykle, w dalszym ciągu wyda się niem o wiele więcej jeszcze.

Spędzałem czas najrozkoszniej w świecie, zajęty rzeczami które najmniej przypadają mi do smaku. Zajęciem mojem było redagowanie projektów, porządkowanie rachunków, przepisywanie recept; to znów przesiewanie ziół, rozcieranie lekarstw, dozorowanie alembików. Wśród tego, przewijały się tłumy interesantów, żebraków, górców wszelkiego rodzaju. Trzeba było równocześnie zajmować się żołnierzem, aptekarzem, kanonikiem, piękną damą, braciszkiem klasztornym. Kłąłem, mruczałem, zlorzezałem, wysyłałem do diabła przeklętą ciżbę. Mamusia, która wszystko brała z wesołej strony, śmiała się z moich wybuchów do łez; a więcej jeszcze rozśmieszała ją kiedy widziała moją wściekłość, iż nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Zachwycające były te chwile przerwy w których miałem czas dać upust niezadowoleniu; a kiedy w czasie sprzeczki, zjawiał się jaki natręt, umiała wyciągnąć nowy materiał do zabawy, przedłużając złośliwie wyprawy i rzucając mi spojrzenia, za które byłbym ją chętnie wybił. Trudno jej było nie parsknąć śmiechem, widząc jak, skrzepowany i wstrzymywany przyzwoitością, w głębie trzeszczam rozjuszony oczy, podczas gdy, w głębi

serca, mimo wszystkich wysiłków, czulem cały komizm sytuacji.

Wszystko to, choć mniej mile samo przez się, bawiło mnie wszelako, ponieważ stanowiło część owego życia, które miało dla mnie niewysłowiony urok. Nic z tego co się działo koło mnie, co ja sam musiałem robić, nie było wedle mego smaku, ale wszystko wedle mego serca. Sądzę iż byłbym zdolny polubić nawet medycynę, gdyby mój wstręt nie był źródłem paradnych scen, któremi bawiliśmy się bez przerwy: być może, pierwszy raz umiejętności ta sprawiała podobne skutki. Twierdziłem, iż odróżnię po zapachu książkę medyczną od każdej innej; a co zabawne, rzadko się w tem myliłem. Mamusia kazała mi kosztować najobrzydliwszych leków. Daremnie próbowałem bronić się albo uciekać; mimo oporu i straszliwych wykrzywań, mimo zaciskania zębów, kiedy jej ładne paluszki całe ubabrane zbliżyły się do mej twarzy, trzeba mi było otworzyć usta i posmakować. Kiedy jej cały dwór zgromadzony był w jednym pokoju, gdyby ktoś śmiał się nas, jak uganiamy i krzyczymy wśród wybuchów śmiechu, myślałby iż tu się sposobi jakąś farsę, a nie opiaty albo eliksiry.

Nie cały czas jednak trawiłem na figlach. W pokoju zajęty przezemnie znalazłem kilka książek: *Spektator*, Puffendorf, Saint-Evremond, *Henrjada*. Mimo iż przeżynała mi dawna furja czytania, w braku zajęćia rozczytywałem się potrochu w tem wszystkim. *Spektator* zwłaszcza podobał mi się bardzo i dobrze na mnie wpłynął. Ksiądz de Gouvion nauczył mnie czytać mniej chciwie a z większem zastanowieniem; więcej też korzystałem z lektury. Przyzwyczajałem się zwracać uwagę na styl,

na wytworną budowę zdania; uczyłem się odróżniać czysty francuski język od prowincjonalnych naleciałości.

Niekiedy rozmawiałem z mamusią o tem co czytała; czasem czytywałem jej głośno; to sprawiało mi wielką przyjemność; starałem się dobrze czytać, co mi się równie przydało. Wspomniałem, iż posiadała umysł pięknie uprawnny: wówczas znajdował się on w swoim rozkwicie. Wielu ludzi pióra starało się o jej względy i wszczepiało jej trafny sąd o płodach ducha. Miała, jeśli można, tak wyrazić, smak nieco protestancki, czytywała chętnie Bayle'a i wysoko ceniła Saint-Evremonda który oddawał we Francji się przeżył ale to nie przeszkadzało, iż znała również i dobre książki, i mówiła o nich bardzo trafnie. Wychowała się w doborowych towarzystwach; przybywszy zaś do Sabaudji jeszcze młodo, straciła w przemilem obcowaniu z miejscowymi szlacheckimi domami ów wymuszony ton panujący w Vaud, gdzie kobiety uważają, że szczytem światowej rozmowy jest chęć nieustannego błyszczenia i że każde słowo powinno być conajmniej epigramem.

Jakkolwiek na dworze spędziła czas bardzo krótki, przelotny rzut oka wystarczył jej, aby ten świat dobrze poznać. Zawsze zachowała tam przyjaciół, i, mimo tajemnych zazdrości, mimo szemrań jakie budził jej sposób życia i jej długi, nigdy nie postradała swojej pensji. Posiadała znajomość świata, oraz zdolność orientacyjną która pozwalała wyciągnąć praktyczny użytek z tej znajomości. Był to ulubiony przedmiot jej rozmów, a zważywszy moje chimeryczne o świecie pojęcie, ten rodzaj nauki był mi właśnie najbardziej potrzebny. Czytywalismy razem La Bruyère'a: bardziej smakowała

w nim niż w *Maksymach* la Rochefoucaulda, smutnej i rozpaczliwej książce, zwłaszcza za młodu kiedy nie lubimy widzieć człowieka takim jak jest. Kiedy zapuszczała się w rozprawy moralne, gubiła się nieco w przetrzeleniach; ale, całując od czasu do czasu jej twarz albo ręce, mogłem zdobyć się na cierpliwość i te przydługie wywody nie nudziły mnie wcale.

Życie to było nazbyt słodkie aby mogło trwać. Czulem to; niepokój iż ono się skończy był jedyną rzeczą którą maciła mi jego słodycze. Wśród całej tej pustoty, mamusia przyglądała mi się, rozważała, zadawała mi pytania, układała, co do mej przyszłości, różne plany, które byłbym jej chętnie podarował. Na szczęście, nie wystarczyło na to poznać moje skłonności, upodobania, talenciki; trzeba było jeszcze znaleźć albo stworzyć sposobność korzystania z tego wszystkiego: a to nie była rzecz łatwa. Pocziwa dusza wytworzyła sobie dość wysokie wyobrażenie o mojej wartości: to samo już odwlekało chwilę wprzagnięcia mnie w jakieś taczki, czyniąc mamusię tem trudniejszą w wyborze. Słowem, wszystko składało się wedle mych życzeń, dzięki dobrej opinii jaką mamusia o mnie powzięła; ale wreszcie trzeba było spuścić z tonu, oto koniec mych lubych wywczasów! Krewny pani de Warens, nazwiskiem p. d'Aubonne, przybył w odwiedziny. Był to człowiek bardzo sprytny, intrygant, genjusz do projektów jak ona, ale z tą różnicą, iż nie tracił na nich ale zyskiwał: słowem, egzystencja nieco awanturnicza. Przedłożył właśnie świeżo kardynałowi de Fleury bardzo skomplikowany plan loterji, który wszelako nie zyskał uznania. Jechał go przedstawić na dworze w Turynie, gdzie go przyjęto i wprowadzono w czyn. Po

drodze, zatrzymał się jakiś czas w Annecy, gdzie zakochał się w pani intendentowej, osobie bardzo milej, bardzo w moim guście, jedynej którą widywałem z przyjemnością u mamusi. Pan d'Aubonne zauważył mnie, kuzynka mówiła mu z zapalem o moich talentach: podjął się więc egzaminować mnie, zobaczyć do czego jestem zdatny, gdyby egzamin wypadł po myśli, próbować gdzie umieścić

Pani de Warens wysyłała mnie do niego przez kilka dni z rzędu, pod pozorem jakiegoś zlecenia, nie uprzedzając mnie o niczem. P. d'Aubonne rozgałał mnie bardzo zřęcznie, spoufalil się ze mną, ośmielił jak mógł paplać ze mną o głupstwach i o najrozmaitszych przeciwnościach, nie zdradzając niczem że mnie obserwuje, bez najmniejszego przymusu, ot tak, jakgdyby, smakując w mojem towarzystwie, chciał sobie trochę pogwarzyć bez ceremonji. Byłem oczarowany. Rezultat obserwacji był: iż, mimo obiecujących pozorów i ożywionej fizjognomji, jest ze mnie chłopak, jeżeli nie całkiem tępy, to w każdym razie nierozgarnięty, bez własnego sądu, bez myśli, jednem słowem bardzo ograniczony pod każdym względem, i że zaszczyt zostania kiedyś wiejskim proboszczem jest największym losem, do jakiego mam prawo aspirować. Tak brzmiało sprawozdanie, które złożył pani de Warens. Już drugi czy trzeci raz w życiu osądzono mnie w ten sposób: nie był to raz ostatni, i wyrok p. Masseron często miał spotkać się z potwierdzeniem.

Przyczyna tych sądów zbyt silnie związaną jest z moim charakterem, abym mógł ją zostawić bez objaśnienia. Zrozumiałą bowiem jest rzeczą, że nie mogę szczerze pisać się na ten wyrtek, i że, przy całej możebnej bezstronności

nie sposób przyjąć mi dosłownie tego, co orzekli pp. Masseron, d'Aubonne i wielu po nich.

Dwie rzeczy, prawie niemożliwe do połączenia, kojarzą się we mnie w sposób zupełnie niepojęty: bardzo gorący temperament, namiętności żywe, gwałtowne, oraz myśli poczynające się leniwo, jakby spętane, i zawsze zjawiające się dopiero późno. Rzekłbyś, serce moje i umysł nie należą do jednego osobnika. Uczucie, szybsze niż błyskawica, w jednej chwili napelnia mą duszę; ale, zamiast oświecić, parzy mnie i oślepia. Czuję wszystko, a nie widzę nic. Czuję się porwany, jakby ogłuszony: aby skupić myśl, muszę odzyskać zimną krew. Co jest dziwne, to że przy tem mam odczucie dość trafne, przenikliwość, nawet spryt, byle mi zostawiono czas: umiem złożyć wyborne *impromptu*, gdy się przygotowuję; ale dorywczo, naprędce, nigdy nie byłem zdolny nic dorzecznego uczynić ani powiedzieć. Umiałbym podtrzymać sprytną konwersację listownie, tak jak podobno Hiszpanie grywają w szachy. Kiedy przeczytałem anegdotę o księciu Sabaudji, który, ujechawszy już spory kawał drogi, odwrócił się aby zakrzyknąć: W wasze ręce, panie gospodarzu! pomyślałem sobie: Oto ja.

Ta powolność myślenia, połączone z żywością uczucia, cechuje mnie nietylko w rozmowie; mam ją także i sam, kiedy pracuję. Myśli układają mi się w głowie z trudnością wprost nie do wiary: krążą w niej podziemnie, fermentują tak, iż cały drzę, płonę, doznaję palpitacji; ale, w tym naporze wzruszenia, nie widzę nic jasno, nie umiałbym napisać ani jednego słowa, muszę czekać. Nieznacznie, uspokajam się, porządkuje się ten chaos, każda rzecz układa się na svojem miejscu, ale powoli i po długim okre-

sie zamętu. Czy widzieliście kiedy we Włoszech przedstawienie opery? W czasie zmiany scen, panuje tam w wielkich teatrach bardzo przykry i długi nieład; dekoracje płaczą się w jeden chaos, gwałt, szarpanina nie znośna do patrzenia, zdaje się że wszystko się przewróci; powoli wszelako wszystko się układa, niczego niezbývá i widz patrzy ze zdumieniem, jak, z tego długiego zamętu, wylania się uroczne widowisko. Podobny mniejwięcej proces rozgrywa się w moim mózgu, kiedy się biorę do pisania. Gdybym umiał należycie odczekać, a potem oddać w całej piękności rzeczy które się tak zarysowały, niewielu autorów zdołałoby mnie przewyższyć.

Stąd pochodzi ogromna trudność, jaką mi sprawia pisanie. Rękopisy moje pokreślone, pobazgrane, splątane, nieczytelne, świadczą o trudzie jaki mnie kosztowały. Niema jednego, którego bym nie musiał przepisywać kilka razy, nim oddam do druku. Nie umiałem nigdy nic zrobić z piórem w rękę, w obliczu stolika i ćwiartki papieru; piszę w swoim mózgu, to na przechadzce, pośród skał i lasów, to znów przewracając się po łóżku w ciągu bezsennych nocy: można osądzić, jak wolnym jest ten proceder, zwłaszcza dla człowieka zupełnie pozbawionego słownej pamięci, i który w życiu nie mógł się nauczyć na pamięć sześciu wierszy. Niejedno zdanie, okres cały musiałem obracać i przerabiać przez pięć albo sześć nocy w głowie, nim byłem zdolny przelać je na papier. Stąd też pochodzi, iż łatwiej przychodzą mi dzieła wymagające pracy, niżeli rzeczy rodzaju lżejszego, jak np. listy, których tonu nigdy nie umiałem pochwycić i których pisanie jest dla mnie istną męczarnią. List, choćby najblahszej treści, kosztuje mnie całe godziny udręczenia, albo, jeżeli chce

muszę wprost jak mi myśli przychodzą, nie umiem ani zacząć ani skończyć; list staje się jedynie długą i mętą gadaniną, ledwie zrozumiałą dla tego kto go czyta.

Nietylko ujmowanie wrażeń przychodzi mi uciążliwie, ale i odbieranie ich także. Studjowałem ludzi, i uważam się za niegorszego obserwatora: nie umiem wszelako nie postrzec z tego co widzę; widzę dobrze jedynie to co sobie przypominam, bystry jestem jedynie we wspomnieniu. Ze wszystkiego co mówią, co czynią, co się dzieje w mej okolicy, nie wiem, nie ogarniam nic. Działa na mnie wówczas jedynie znak zewnętrzny. Ale później, wszystko mi wraca; przypominam sobie miejsce, czas, dźwięk, pojęcie, ruch, okoliczności; nic mi nie uchodzi. Wówczas, z uczynków albo powiedzeń każdej osoby, odtwarzam sobie jej ukryte myśli i rzadko zdarzy się abym się pomylił.

Będąc tedy tak mało panem swego umysłu sam ze sobą, można osądzić czem muszę być w rozmowie, gdzie, aby mówić do rzeczy, trzeba równocześnie i odrazu mieć w myśli tysiące drobiazgów! Samo wyobrażenie tych wszystkich konwenansów, oraz pewność iż to lub owo niechybnie ujdzie mej uwagi, wystarcza aby mnie onieśmielić. Nie rozumiem, w jaki sposób może ktoś przemawiać w większem towarzystwie: przy każdym słowie, trzeba by chyba zrobić w myśli przegląd wszystkich obecnych; trzeba by znać charaktery wszystkich, wiedzieć ich zamiary, aby być pewnym, iż nie powie się czego co mogłoby kogoś dotknąć. Pod tym względem, ludzie światowi mają wielką przewagę: lepiej wiedząc co trzeba zamilczeć, pewniejsi są tego co mówią, a i im często wydarzy się strzelić baka. Otóż, proszę sobie wyobrazić postrzeleńca w moim rodzaju: minuty jednej niemal nie może mówić

bezkarnie. Rozmowa sam na sam ma inną niedogodność, która wydaje mi się jeszcze uciążliwszą, to jest konieczność ustawicznego mówienia: kiedy ktoś mówi, trzeba odpowiadać; kiedy milknie, trzeba podtrzymywać rozmowę. To nieznosne skrępowanie wystarczyłoby już samo aby mi zmierzić towarzystwo. Nie znam straszliwszego przzymusu, niż konieczność mówienia z miejsca i bezustanku. Nie wiem, czy to wynika z mej śmiertelnej odrębności dla wszelkiego przzymusu; ale wystarczy żeby było trzeba koniecznie mówić, abym niechybnie palił głupstwo.

Co najfatalniejsze, to to, że, zamiast bym umiał cicho siedzieć kiedy nie mam nic do powiedzenia, wówczas właśnie, aby corychlej pozbyć się obowiązku, zaczynam mówić z istną furją. Jak opętany zaczynam belkotać jakieś słowa bez myśli; bardzo jeszcze szczęśliwie, jeżeli wogóle nic nie znaczą! Chcąc przezwyciężyć albo ukryć swoje niezdarstwo, rozwijam je właśnie w całej pełni. Wśród tysiąca przykładów, które mógłbym przytoczyć, wybieram jeden, nie datujący z mej młodości, ale z czasów, kiedy, obracając się wiele lat w świecie, byłbym nabył jego swobody i tonu, gdyby to wogóle było możliwe. Zaczęłam się jednego dnia w towarzystwie dwóch wielkich pań i mężczyzny, którego mogę wymienić: był to książę de Gontaut. Nie było nikogo więcej; ja zaś czyniłam wszelkie możliwe wysiłki, aby wcisnąć jakieś słówko — i jakie, Boże! — w rozmowę czworga osób, z których trzy nie potrzebowały z pewnością mej pomocy. Po wyjściu z domu kazała sobie przynieść szkatułkę z jakimś opiatem, który zażywała codziennie na żołądek. Druga, widząc moje skrzywienie, rzekła, śmiejąc się: Czy to specyfik doktora

Tronchin¹⁾? — Cóż znowu, odparła tym samym tonem druga. — Myślę że nie o wiele lepszy, dorzucił dwornie słowicpny Rousseau. Wszyscy zmartwieli, nikomu nie wymknęło się najłżejsze słowo ani uśmieszek; w chwilę potem, rozmowa zwróciła się na inne tory. Odnośnie do kogoś innego, niezgrabstwo byłoby tylko zabawne; zwrócone do osoby zbyt uroczej aby mogła nie ścierać na sobie ludzkich gadań, osoby której z pewnością nie miałem chęci obrazić, odezwanie się było straszliwe; spłżę, że świadkowie mego wysoku bardzo musieli się powstrzymywać aby nie parsknąć. Oto, jakie koncepty wymykają mi się przez to, iż chce odezwać się z czemś, nie mając nic do powiedzenia. Póki życia, nie zapomnę tej przygody; pomijając bowiem, że, sama w sobie, jest dość pamiętna, podejrzewam mocno, że miała ona następstwa, które przypominają mi o niej aż nadto.

Mniemam, że dostatecznie można zrozumieć z tego, w jaki sposób, nie będąc głupcem, często uchodziłem zań, nawet u ludzi zdolnych wydać sąd w tej mierze. Sąd ten wypadał tem nieszczęśliwiej, im więcej obiecywano sobie po moich oczach i fizjognomji; to uczucie zawodu przyczynia się jeszcze do podkreślenia mego gomoństwa. Szczegół ten, o którym nadmieniam tu przy sposobności, okaże się w dalszym ciągu nie bez znaczenia. Zawiera on klucz do wielu niezwykłości w mojem postępowaniu, przypisywanych zazwyczaj dzikości która zgola nie jest moją naturą. Lubiałbym towarzystwo jak każdy inny, gdybym nie miał pewności, iż okazuję się w niem nietylko w najmniej korzystnej postaci, ale zupełnie innym niż

¹⁾ Opiat albo marmelada doktora Tronchin, był to środek łagodnie przeczyszczający, w którego skład wchodziła kassja.

jestem. Dlatego właśnie, tryb życia jaki obrałem, jest pisać i pozostawać w ukryciu, najlepiej mi odpowiada. Z obcowania ze mną niktby się nie domyślił, że jestem wart, niktby nawet nie podejrzewał. Tak np. byłem z panią Dupin, mimo iż jest to osoba pełna bystrości i mimo iż przebywałem w jej domu kilka lat: sama była to nieraz później powtarzała. Zresztą, w tem wszystkim niebrak też i pewnych wyjątków, do czego jeszcze bóg miał sposobność powrócić.

Skoro tedy określono tak stanowczo miarę mych talentów i naznaczono najwłaściwszy zawód, była już tylko mowa o tem, w jaki sposób ułatwić mi wokalną trudność była w tem, iż nie przeszedłem żadnych studiów nie posiadałem nawet dosyć łaciny na to, aby zostać księdzem. Pani de Warens wpadła na myśl, aby mnie przygotować przez jakiś czas w seminarjum. Pomówiła z przełożonym. Był to Lazard, nazwiskiem X. Gross, poczciwy człeczyna, w pół ślepy na jedno oko, chudy, szpakowaty, najrozumniejszy i najmniej skłonny do pedanterji ze wszystkich Lazardów jakich znałem; co zresztą nie mówi zbyt wiele.

Zachodził czasem do mamusi, która go ugaszczając, tuliła się z nim, kokietowała nawet. Niekiedy, kazała mu się sznurować, której to czynności podejmował się do chętnie. Podczas gdy on poważnie wywiązywał się z funkcji, ona uganiała po pokoju to tu to tam, chwytając się tego owego. Wleczonej za sznurowadło, X. Superior biegł za nią, narzekając i powtarzając raz po raz: „Albo stójże pani spokojnie“. Przedstawiało to obrazek dość malowniczy.

X. Gross przychylił się chętnie do projektu. Zada-

wolił się bardzo umiarkowaną opłatą i podjął się nauki. Chodziło jedynie o zezwolenie biskupa; nietylko zgodził się, ale podjął się opłacać pensję. Pozwolił również, abym nosił świeckie ubranie, aż do czasu w którym będzie można wenić z tej próby moje widoki.

Cóż za przemiana! Ha, trzeba było się poddać. Szedłem do seminarjum jak na ścięcie. Cóż to za smutne miejsce pobytu, zwłaszcza gdy się dlań opuszcza dom matki! Wziąłem ze sobą jedną książkę, której mamusia pożyczyła mi na moje prośby i która była mi wielką pociechą. Nie zgadnie nikt, co to za książka: nuty. Między talentami które mamusia uprawiała, nie brakło i muzyki. Miała ładny głos, śpiewała nieźle i grała na klawikordzie: była tak dobra że udzieliła i mnie paru lekcji śpiewu; a trzeba było zaczynać z daleka, za ledwie bowiem znałem melodie psalmów. Kilka lub kilkanaście tych kobiecych lekcji, bardzo nieregularnych, nietylko nie doprowadziły mnie do sztuki solfedżjów, ale nie nauczyły nawet czwartej części znaków muzycznych. Mimo to, miałem taką pasję do tej sztuki, że chciałem ćwiczyć się dalej sam. Nuty, które uniosłem ze sobą, nie były z najłatwiejszych; były to kantaty Clérambaulta. Można sobie wyobrazić, jaka była moja pilność i zawziętość, kiedy powiem, że, nie znając ani interwałów ani wartości nut, zdołałem odcyfrować i prześpiewać bez błędu pierwszy recytatyw i pierwszą melodię kantaty *Alfeus i Aretusa*. Prawda, iż utwór ten skandowany jest tak trafnie, że wystarczy jedynie rytmicznie czytać wiersze, aby utrafić w rytm melodji.

Był w seminarjum jeden przeklęty lazarysta, który się zabrał do mojej edukacji, i który, przez sposób w jaki

mnie uczył łaciny, obudził we mnie żywy wstręt do tego języka. Miał gładko wylizane czarne i tłuste włosy, twarz jak z piernika, głos bawoli, spojrzenie puhacza, dzieło sześć na brodzie; uśmiech miał sardoniczny; członki poruszały się jak kikuty manekina. Zapomniałem jego obmierzłego nazwiska; ale obleśna i złowroga jego twarz tak dobrze mi się wyryła w pamięci, iż trudno mi ją zapomnieć sobie bez drżenia. Czasem, zdaje mi się że jeszcze go spotykam w korytarzach, jak wdzięcznie wysuwa swą lepką od brudu rogatą czapeczkę, dając znak, abym wszedł do pokoju, okropniejszego dla mnie niż więzienie. Można osądzić wrażenie podobnego nauczyciela na mnie, który bywałem uczniem dworskiego labusia!

Gdybym pozostał dwa miesiące wydany na pastwę tego potwora, jestem przekonany że postradałbym zmysły. Ale pocziwy X. Gross, który widział że jestem smutny, nie jem, chudnę, odgadł przyczynę strapienia, co zresztą nie było trudno. Wydobyl mnie z pazurów bestji, i oto — nowy kontrast jeszcze bardziej jaskrawy — oddał mnie najłagodniejszemu z ludzi: był to młody kleryk, nazwiskiem X. Gâtier, który odbywał lat seminarjum i który, przez uprzejmość dla X. Grossa, a myślę że i przez wrodzoną pocziwość, zechciał ująć nieco czasu studjom i poświęcić go mnie. Nie widziałem nigdy bardziej ujmującej fizjognomji. Włosy miał blond, broda zaś przechodziła w odcień rudawy: wyglądał jak zwyczajny ludzom z owych stron, którzy, pod postacią postacią, kryją zazwyczaj umysł subtelny i bystry, ale co uderzało w nim najbardziej, to wrażliwa, czuła kochająca dusza. W niebieskich oczach malowało się jakieś połączenie słodyczy, tkliwości i smutku, które spr-

wiało, iż, ujrzawszy go, nie można było minąć go obojętnie. Ze spojrzeń, z dźwięku głosu biednego młodzieńca można było odgadnąć niejako, że przewiduje swój los i czuje się zrodzonym poto aby być nieszczęśliwym.

Charakter jego, cierpliwy i uprzejmy, był w zupełnej zgodzie z fizjognomją. Raczej zdawał się uczyć wraz ze mną, niżeli mnie nauczać. To wszystko starczyło aż nadto aby zdobyć moją miłość: poprzednik jego uczynił to zadanie bardzo łatwem. Wszelako, mimo czasu który mi poświęcał, mimo najlepszej woli jaką wkładaliśmy w naukę, i mimo iż brał się bardzo do rzeczy, czynilem, przy dużym nakładzie pracy, bardzo małe postępy. Szczególnem jest, że, mimo iż objęcie mam dość łatwe, nie mogłem nigdy nic sobie przyswoić z nauczycielem: wyjąwszy jęz. p. Lambercier. Wszystkiego co umiem, nauczyłem się sam, jak później się okaże. Umysł mój, niecierpliwy na wszelkie jarzmo, nie umie się poddać przymusowi chwili; jak iż nie zdołam czegoś się nauczyć, rozprasza mą uwagę; z obawy zniecierpliwienia tego kto mi wyklada, udaję że rozumiem, on idzie dalej a ja nie pojmuję nic i gubię się zupełnie. Duch mój chce iść własnym krokiem, i nie umie dostroić się do cudzego.

X. Gâtier ukończył czas seminaryjny i wrócił jako diakon w swoje strony. Uniósł ze sobą mój żal, przywiązanie, wdzięczność. Zanosilem za niego modły, które nie zostały wysłuchane, podobnie jak i te które słałem za samego siebie. W kilka lat później, dowiedziałem się, iż będąc wikarym w parafji, przyprowadził o ciążę jakąś dziewczynę, jedyną, jaką jego tkliwe serce miało w życiu pobłagać. W surowo administrowanej decyzji, wypadek ten stał się niebywałym skandalem. Księżom chcącym prze-

strzeżać reguły, wolno jest płodzić dzieci jedynie z miżakami. Za uchybienie temu prawidłu przyzwoitości, wtrącono go do więzienia, osławiono, wygnano. Nie wiem, czy później zdołał zatrzeć następstwa sprawy: ale wspomnienie jego niedoli, głęboko wyryte w mem sercu, wróciło mi na pamięć kiedy pisałem *Emila*: jednocząc X. Galtier z X. Gaime, ulepiłem z tych dwóch zacnych kapłanów oryginał wikarego sabaudzkiego. Pochlebiam sobie, że kopia nie przyniosła hańby pierwowzorom.

Podczas gdy przebywałem w seminarjum, pan d'Aubonne zmuszony był opuścić Annecy. Intendentowi zaczęły się niepodobać miłostki z żoną. Postępował w ten sposób jak ów klasyczny pies z bajki; mimo bowiem iż pan Corvezi była godna wszelkich względów, sam żył z nią bardzo lichy. Południowe upodobania czyniły mu je towarzystwo zbytecznem; obchodził się z nią tak brutalnie, iż była wręcz mowa o separacji. Pan Corvezi był szpetny człowiek, czarny jak kret, ponury jak sowa; postępowaniem swoim doprowadził do tego, iż, w końcu, usunięto go ze stanowiska. Powiadają, że Prowansalczyk mszczą się na nieprzyjaciółach piosenką; pan d'Aubonne pomścił się na wrogu komedią i posłał tę sztukę pani de Warens, która mi ją pokazała. Spodobała mi się i obudziła we mnie ochotę napisania też jakiej, dla spodobania czy jestem w istocie tak tępy, jak autor zarękał: ale dopiero w Chambéry urzeczywistniłem ten zamiar, pisząc sztukę p. t. „Kochanek samego siebie”. Zatem, mówiąc w przedmowie do tej sztuki, że napisałem ją w ośmnastym roku życia, skłamałem o kilka lat.

Do tego czasu mniejwięcej odnosi się wypadek, mało ważny sam w sobie, ale który nie był bez następstw

i narobił wiele hałasu w świecie, wówczas gdy o nim zapominałem. Raz na tydzień wolno mi było wychodzić; nie potrzebuję mówić jaki użytek robiłem z tego czasu. Jednej niedzieli, kiedy byłem u mamusi, ogień wszczął się w budynku Franciszkanów, przylegającym do jej domu. Budynek ten, w którym mieściły się kuchnie klasztorne, pełny był, aż do stropu, suchych drewn. Wszystko stanęło w ogniu w jednej chwili: dom był w wielkiem niebezpieczeństwie; płomienie, niesione wiatrem, już poczęły go lizać. Zaczęto opróżniać go w pośpiechu i wynosić meble do ogrodu, położonego pod memi dawnymi oknami, za strumykiem. Byłem tak pomieszany, że rzucałem przez okno, bez różnicy, wszystko co mi podpadło pod rękę; między innemi wielki kamienny młóździerz, który, w innym czasie, za ledwie byłbym udźwignął. Byłbym gotów wyrzucić nawet wielkie lustro, gdyby mnie ktoś nie powstrzymał. Zacny biskup, który tego dnia bawił u mamusi, nie pozostał też bezczynny: zaciągnął ją do ogrodu, gdzie zaczął odprawiać modły wraz z nią i wszystkimi obecnymi; tak iż, nadbiegłszy w chwilę potem, ujrzałem cały dom na kolanach i sam też ukląknę. Podczas modłów tego świętego człowieka wiatr zmienił kierunek, ale tak nagle i tak w porę, że płomienie, które ogarniały dom i wciskały się już przez okna, zwróciły się w inną stronę dziedzińca: dom nie ucierpiał żadnej szkody. W dwa lata później, kiedy X. de Bernex umarł, Antoninowie, jego dawni współbracia, zaczęli gromadzić dokumenta do jego beatyfikacji. Na prośbę ojca Boudet, dołączyłem do tych aktów poświadczenie wypadku, który przytoczyłem, co było słusznie; pobłdziłem tylko w tem, iż podałem ten fakt za cud. Widziałem biskupa pogrążonego

w modlitwie, i, podczas tej modlitwy, w moich oczach wiatr zmienił kierunek w sposób bardzo szczęśliwy: oto co mogłem zeznać i poświadczyć; ale żeby jedna z tych dwóch rzeczy była przyczyną drugiej, tego niepowinienem być stwierdzać, nie mogłem bowiem tego wiedzieć. Wszak, o ile mogę sobie przypomnieć mój stan pojęć, wówczas szczerze katolicki, działałem w dobrej wierze. Zamiłowanie do szukania cudowności, tak wrodzone ludzkiemu sercu, cześć dla cnotliwego prałata, tajemna дума iż być może, i sam przyczyniłem się do cudu: oto co mnie skusiło. Tyle jest pewne, że, gdyby istotnie cud ten był następstwem najzarliwszych modłów, miałbym pewnie prawo mniemać, iż i ja nie byłem w nim bez zasługi.

W przeszło trzydzieści lat później, kiedy ogłosiłem moje „Listy z gór“, pan Fréron odgrzebał, nie wiem jakim sposobem, ten certyfikat, i zrobił z niego użytek w dziełnikach. Trzeba przyznać, że pomysł był szczęśliwy i na czasie, a zestawienie to mnie samego zabawiło szczerze.

Przeznaczonem mi było stać się wyrzutkiem wszelkich zawodów. Mimo iż p. Gâtier wydał co do moich postępów jak mógł najmniej nieprzychylnie orzeczenie, jawnem było, że nie stoją one w stosunku do włożonej pracy; to nie było zachęcające; aby prowadzić dalej moje studia. To też biskup i superior zniechęcili się i zwrócili mnie pan de Warens, jako osobnika który nie zda się nawet na księdza. Pozatem, mówili, dobry chłopiec i niezsututy, co było przyczyną, że, mimo tylu niekorzystnych opinii, nie porzuciła mnie.

Odniosłem w jej dom tryumfem nuty, z których tak wiele skorzystałem. Melodja z *Alfeusa i Aretuzy*, i mniej więcej wszystko, czego nauczyłem się w seminarjum.

Moje wyraźne zamiłowanie do tej sztuki nasunęło dobrej opiekunce myśl, aby ze mnie zrobić muzyka: a była sposobność potemu. Muzykowano w jej domu przynajmniej raz na tydzień, a kapelmistrz katedralny, który przodował małemu koncertowi, odwiedzał ją bardzo często. Był to paryżanin, tytułowany przez wszystkich Mistrzem, dobry kompozytor, żywy, wesół, młody jeszcze, dość przyjemnej postaci, nie żaden orzeł, ale zresztą najlepszy człowiek w świecie. Mamusia zapoznała mnie z nim: polubiłem go bardzo, on też nie był dla mnie źle uprzedzony: powstał projekt umieszczenia mnie u niego; ugodzono się. Krótko mówiąc, przystałem do niego i spędziłem tam zimę, tem przyjemniej iż, ponieważ dom jego znajdował się o dwadzieścia kroków od mamusi, mogliśmy być u niej w jednej chwili i często wieczeraliśmy razem.

Można sobie wyobrazić, że życie na chórze kościelnym, śpiewne i wesole, w towarzystwie muzykantów i chłopców z chóru, podobało mi się lepiej, niż pobyt w seminarjum z ojcami św. Łazarza. Życie to, mimo iż swobodniejsze, było wszelako wcale jednostajne i uregulowane. Było mi przeznaczone kochać niezależność, a nigdy jej nie użyć do syta. Przez pół roku nie wyszedłem ani razu z domu inaczej, jak tylko udając się do mamusi albo do kościoła; i nawet nie miałem żadnej pokusy w tej mierze. To był okres mego życia w którym cieszyłem się największym spokojem, i który wspominam z największą przyjemnością. W rozmaitych sytuacjach jakie kolejno przebywałem, niektóre nacechowane były takim uczuciem błogości życia, że, wspominając je, doznaję wzruszenia, jak gdyby jeszcze trwały. Nietylko przypominam sobie czas, miejsce, osoby, ale wszystkie otaczające przedmioty, temperaturę

powietrza, jego zapach, barwę, jakieś nieokreślone wrażenie danego miejsca, którego doznałem tylko tam i które mnie ogarnia na nowo najżywszym wspomnieniem. Tak na przykład, wszystko co ćwiczyliśmy na próbach, wszystko cośmy śpiewali na chórze, wszystko co się tam działo, piękny i szlachetny strój kanoników, ornaty księży, mistry kantorów, twarze muzykantów, stary kulawy cieśla który grał na kontrabasie, młody blondyn, kleryczek rzempolający na skrzypcach, jakaś obstrzępiona sutanna którą Mistrz, odpiąwszy szpadę, wkładał na świeckie ubranie, i piękna komża z cienkiego płótna którą zakrywał jej łachy kiedy udawał się na chór; дума, z jaką, trzymając w ręku flecik, sadowiłem się w orkiestrze na trybunie, aby odegrać parę taktów, które Mistrz dopisał umyślnie dla mnie; smaczny obiadek który nas czekał potem; apetyt z jakim się doń zasiadało; to pasmo drobnych wydarzeń, odbijające się z całą żywością w mej pamięci, czarowało mnie po sto razy wspomnieniem, tak samo i bardziej jeszcze niż w rzeczywistości. Zachowałem zawsze jakąś czułość dla jednej melodji z *Conditor alme siderum*, idącej jambami, w jakąś bowiem niedzielę adwentu, słyszałem z łóżka jak śpiewano ten hymn przed świtem na stopniach katedry. Panna Merceret, pokojowa mamusi, miała trochę pojęcia o muzyce: nigdy nie zapomnę motetu *Afferte*, który Mistrz kazał mi z nią śpiewać, i którego pani de Warens słuchała z taką przyjemnością. Słowem, wszystko, nawet pocziwa służąca Piotrusia, zaczęła dziewczyna której chłopaki z chóru tyle psot platały, wszystko wraca mi nieraz we wspomnieniach tego czasu szczęścia i niewinności, aby mnie razem czarować i zasmucać.

Żyłem w Annecy blisko od roku bez zarzutu: wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Od czasów Turynu nie popełniłem żadnego szaleństwa; a ten piękny stan rzeczy trwał tak długo, jak długo byłem pod okiem mamusi. Ona mnie prowadziła i prowadziła zawsze dobrze: przywiązanie do niej stało się mą jedyną namiętnością; a że namiętność ta nie była obłędem, dowodem iż serce moje kształtowało mój rozsądek. Prawda, iż jedno jedyne uczucie, pochłaniające niejako wszystkie władze duchowe, odejmowało mi możność uczenia się czegokolwiek, nawet muzyki, mimo wszelkich z mej strony wysiłków. Ale nie było w tem mojej winy; przeciwnie, okazywałem dobrą wolę, pilność i wytrwałość. Byłem roztargniony, marzący, wzdychałem co chwila: cóż mogłem poradzić? Brak postępów w pracy niezależny był zupełnie odemnie. Z drugiej strony, abym znów powrócił na drogę szaleństw, trzeba było jedynie aby się znalazł ktoś ktoby mnie pociągnął. Ten ktoś zjawił się; przypadek przyszedł mi z pomocą, i jak się pokaże w dalszym ciągu, moja szalona głowa nie umiała się obronić.

Jednego wieczora, w lutym, w czas tęgiego mrozu, siedząc w domu wkoło ognia, usłyszeliśmy pukanie. Piotrusia bierze latarnię, schodzi, otwiera, : jakiś młody człowiek wciska się za nią i wkracza do pokoju. Przedstawia się swobodnym tonem, i zwraca się do Mistrza w dwornym i zgrabnie ułożonym powitaniu, podając się za muzyka z Francji, który, wskutek złego stanu finansów, zmuszony jest szukać w swej sztuce środków opędzenia drogi. Na to miano muzyka z Francji, serce zadrało zaniemum mistrzowi: kochał namiętnie swój kraj i swoją sztukę. Przyjął młodego wędrowca, ofiarował łóżko,

którego tamten zdawał się mocno potrzebować i który przyjął bez wielkich ceremonij. Przyglądałem mu się, podczas gdy się grzał przy ogniu i gwarzył czekając wieczery. Był średniego wzrostu, ale pleczysty; miał coś niekształtnego w figurze, mimo iż bez szczególnej nieprawidłowości: coś jakgdyby karzeł o spleaszczonych ramionach. Zdaje mi się, że i kulał nieco. Miał czarne ubranie, bardzo zniszczone niż stare, które opadało z niego kawałkami; bardzo cienką i bardzo brudną koszulę, piękne koronkowe mankiety, kamasze, z których jeden mógłby pomieścić obie jego nogi, dla ubezpieczenia zaś od śniegu, kapelusik taki jakiego się nosi w salonie pod pachą. Ten komedyczny strój miał jednak cechę czegoś szlachetnego, z czem obojętnie nie kłóciło się zresztą. Fizjognomję miał bystrą i sympatyczną; mówił łatwo i dobrze, ale bez cienia skromności. Wszystko znamionowało w nim młodego utracjusza, który otrzymał dobre wychowanie, ale którego awanturniczy temperament popchnął do wielkich częgi. Rzekł, iż nazywa się Venture de Villeeneuve, że idzie z Paryża i zabłąkał się w drodze; poczem, zapominając nieco o roli muzyka, dodał, iż spieszy do Grenoble odwiedzić krewniaka którego ma tam w parlamencie. Podczas wieczery, rozmowa toczyła się o muzyce: przybysz odzywał się z wielką pewnością siebie. Znał wszystkich wirtuozów, wszystkie dzieła, aktorów, aktorki, ładnych kobiety, wielkich panów. We wszystkim o czem była mowa zdawał się być bity; ale, zaledwie dotknął przedmiotu, zwracał rozmowę na inny, zapomocą jakiegoś błazeństwa z którego się wszyscy śmiali, zapominając o czem była mowa. Była to sobota: nazajutrz miała być muzyka w katedrze. Mistrz proponuje mi, aby zaśpiewał

odpowiedź: „bardzo chętnie“ pyta go jakim głosem śpiewa: „pierwszy tenor“, i znowuż mówi o czem innem. Zanim ruszyliśmy do kościoła, dano mi kartę do przejrzenia; nawet okiem na nią nie rzucił. Ta gaskonada zdziwiła Mistrza. „Zobaczycie, rzekł mi do siebie, że on ani jednej nuty nie zna. — Mocno się obawiam“, odparłem. Szedłem za nimi bardzo niespokojny. Kiedy koncert miał się zacząć, serce biło mi jak młotem. Bardzo bowiem obchodził mnie już ten przybłęda.

Uspokoilem się od pierwszej chwili. Odśpiewał dwa następny nadzwyczaj czysto i z najlepszym smakiem, a co więcej, bardzo ładnym głosem. W życiu nie miałem przyjemniejszego zdziwienia. Po mszy, p. Venture był przedmiotem powinszowań ze strony kanoników i muzykantów, na które odpowiadał blaznując, ale zawsze z wdziękiem. Mistrz uściskał go serdecznie, ja również: widział, że byłem bardzo rad, co, o ile mi się zdaje, sprawiło mu przyjemność.

Każdy mi przyzna, jak sędzę, iż, zadurzywszy się poprzednio w Bâcle'u, będącym ostatecznie tylko zwykłym wólczegą, mogłem się zapalić do p. Venture, który posiadał wykształcenie, talent, dowcip, obycie w świecie i który mógł robić wrażenie przemilego urwisa. Jakoż zdarzyło mi się to w istocie, a byłoby się zdarzyło, jak myślałem, każdemu młodemu człowiekowi na mojem miejscu, o tyle łatwiej jeszcze, o ile miałby więcej rozeznania aby poznać się na czyichś talentach, i więcej smaku aby się do nich zapalić. Venture bowiem bezsprzecznie był talentowany, miał zwłaszcza jeden talent, rzadki w jego wieku: mianowicie, nie był wcale natrętny w roztaczaniu swych bogactw. Prawda, iż chęcił się wieloma rzeczami

o których nie miał pojęcia; ale o tych, które umiał, a bynajmniej; mnie trzeba było innego rodzaju rozkoszy, o jakiej ich dość dużo. nie wspominał nic: czekał sposobności, nie miał pojęcia, i o której nawet nie śmiałem z nim pokazania się; wówczas, bez zbytnej gorliwości, rozumiem, pewny iż wyśmiałby się ze mnie. Mimo to tacał swą biegłość, która, podana w ten sposób, czyniłałem połączyć moje przywiązanie dla niego z owem tem większe wrażenie. Ponieważ, po każdym takim, które władało w mem sercu. Opowiadałem o nim sukcesie, przerywał niedbale nie wspominając o reszcie, samą z entuzjazmem; Mistrz również dołączał swoje niewiadomo było kiedy wyczerpie się skarbnica. Żartowała. Zezwoliła, aby go przyprowadzić. Ale spotknął, figlarz, niewyczerpany w conceptach, pełen uroku, nie to zupełnie zawiodło: on osądził ją jako pretensyjną, w rozmowie, zawsze uśmiechniętą a nie śmiejący się nigdy, ona jego jako urwisa i nieponia. umiał najwykwintniejszym tonem mówić najgrubsze rzeczy, niepokojona dla mnie tak podejrzaną znajomością, nieczy, które mu uchodziły. Kobiety, nawet najskromniejsze, nie pozwoliła więcej go sprowadzać, ale odmalowała same były zdziwione na ile mu pozwalały. Próżno zdawał tak wymownie niebezpieczeństwo tego towarzystwa, że sobie sprawę, że trzebaby się pogniewać: nie miały wpłynęło na mnie nieco powściągliwszy w przyjaźni. Zresztą, siły. Co do niego, zadawał się zupełnie dziewczęta, i to szczęśliwie dla moich obyczajów i rozsądku, nie z ulicy, i nie sądzę aby był stworzony do miłosnych złączy, z nim rozłączyliśmy się.

byczy; ale miał dar wnoszenia niesłychanego uroku w muzykę. Mistrz miał upodobania właściwe swej sztuce: lubił warzystwo innych, szczęśliwszych odeń w tym względzie. Przy stole, był wstrzemięźliwy; ale, kiedy pracował, Trudno wyobrazić sobie, aby, przy tylu przemyśleniach, nie popijać. Służąca знаła go tak dobrze, iż, skoro talentach, w kraju w którym umieją się na nich poznać, nie przygotował papier do kompozycji i wydobył i ocenić je, mógł długo pozostać w sferze podrzędnej. Służąca podla wiolonczelę, dzbanek i szklanka zjawiała się na muzykantów. Właściwie na stole, przyczem dzbanek odnawiał od czasu

Moja przyjaźń dla p. Venture, jakkolwiek żywsza i bujniejsza swą zawartością. Nie będąc nigdy zupełnie pijany, dzieje trwała niż uczucie które powziąłem dla Bâcle'a, ba, było prawie stale zaproszony; a doprawdy szkoda, był to dzieje była usprawiedliwiona w swej przyczynie, a zarazem człeczyna z gruntu dobry i tak wesoły, że mamusia mniej żalosna w skutkach. Lubilem go widywać, rozmawiać nazywała go inaczej, jak kotusiem. Na nieszczęście, z nim; wszystko co robił zdawało mi się zachwycającym, chciał swą sztukę, pracował dużo, i pił toż samo. To co mówił było mi wyrocznią: ale zacietrzewienie nie szkodło się na jego zdrowiu, a z czasem i na humorze: tak daleko abym się nie mógł z nim rozłączyć. Miałem gwałtowny drażliwy i łatwo obrażający się. Niezdolny do tuż obok siebie, najlepsze ubezpieczenie przeciw takim objawom ani uchybienia komu, nigdy nie powiedział wybrykom. Zresztą, jasnym mi było, iż zasady jego słowa nawet chłopakom z chóru; ale również i jemu wyborne dla niego samego, nie nadawały się zgola dla kogoś, kto trzeba było uchybić; i w tem miał słuszność. Zle

było w tem, iż Mistrz, będąc nieco ciężkiego objętości, nie umiał poznać się na tonie i na charakterach, i czegoś uroił sobie coś bez powodu.

Dawna kapituła genewska, w której tylu książąt i biskupów uważało sobie za zaszczyt zasiadać, straciła na wygnaniu dawną świetność, ale zachowała przywilej. Aby się do niej dostać, trzeba jeszcze teraz być szlachcicem albo doktorem Sorbony; sądzą zaś, że, jeśli jest duma, grozi przebaczenia (po tej która opiera się na osobistej zasłudze) to z pewnością duma czerpana w urodzeniu. Zazwyczaj książęta, jeśli mają na żołdzie ludzi świeckich którymś zatrudnienie, poczynają sobie z nimi dość z góry. Kanonicy też i kanonicy traktowali często biednego Mistrza. Kanonik, zwłaszcza, nazwiskiem X. de Vidonne, zresztą bardzo przyzwoity człowiek, ale zanadto nadęty szlachecką dumą, nie zawsze się doń odnosił ze względami do jakich przydawały mu jego talenta: Mistrz zaś niechętnie cierpiał lekceważenie. Tego roku, w czasie wielkiego tygodnia, zaszła między nimi żywsza niż zazwyczaj sprzeczka, a z okazji tradycyjnego obiadu, który biskup wydawał dla kanoników, i na który Mistrza zawsze zapraszano. Kanonik rzucił pod jego adresem jakieś pogardliwe słowo, które ten nie mógł strawić. Postanowił uciec najbliższej nocy i nie nie zdołało wzruszyć go w zamiarze, mimo iż kanonik de Warens, z którą poszedł się pożegnać, dokładała wszelkich starań aby go ulagodzić. Nie mógł darować sobie przyjemności pomszczenia się na swoich tyranach, stawiając ich w kłopotcie podczas Świąt Wielkiejnocy, w które to dni najwięcej był właśnie potrzebny. Skłopotał się jedynie o nuty, które chciał zabrać ze sobą, co nie było łatwe: była tego cała skrzynka

duża i bardzo ciężka, której nie można było podpaść pod pachę.

Mamusia zrobiła to, co sam bylbym zrobił wówczas, gdyby jeszcze na jej miejscu. Po wielu daremnych wypróżnieniach, widząc go, mimo wszystko, zdecydowanym na wyjazd, starała mu się, o ile tylko mogła, przyjść z pomocą. Mistrz powiedział, iż było to jej obowiązkiem: poczciwy mistrz zawsze był wprost na jej usługi. Czy to w rzeczach dotyczących swej sztuki, czy w innych grzecznościach, był dla wszystkich na jej rozkazy i to z serdecznością, która wyrażała cenę jego dobrych chęci. Było to zatem z jej strony jedynie odwdziężenie w ciężkich okolicznościach. Mistrzowi tego, co on robił dla niej w drobniejszych potrzebach od paru lat; dobre jej serce wszelako nie potrzebowało z pewnością szukać dla siebie podniecia w pojęciu obowiązku. Zawołała mnie, kazała mi towarzyszyć Mistrzowi przynajmniej do Lyonu, i być na jego usługi tak długo, jak długo będzie mnie potrzebował. Wyznała mi później, że chęć oddalenia mnie od Ventury nie mało przyczyniła się do tego postanowienia. Z Klauzusem, swym wiernym sługą, naradziła się co do przeniesienia skrzyni. Był on zdania, iż, zamiast najmować koczownicze zwierzę w Annecy, co by niechybnie zdradziło ślad, trzeba raczej, z zapadnięciem nocy, przenieść skrzynię na rękach kawał drogi; następnie zaś, wynająć we wsi koczowniczej, aby ją przewieźć aż do Seyssel, gdzie, będąc na terytorjum francuskiem, niczego nie potrzebujemy się obawiać. Usłuchaliśmy rady: wyruszyliśmy, tego samego wieczora, o siódmej; mamusia, pod pozorem opłacenia koczowniczych kosztów, zaopatrzyła nieco szczupłą sakiewkę i koczowniczą torbę, co, jak sądzą, bardzo mu się przydało. Klau-

djusz Anet, ogrodnik i ja, zanieśliśmy, z wielkim mozolem, skrzynię do najbliższej wsi, gdzie nas złuzowa najęty osiołek; tej samej nocy, udaliśmy się do Seyssel.

Zuważyłem, o ile mi się zdaje, że bywają okazy, w których tak jestem niepodobny do samego siebie, że można by mnie wziąć za innego człowieka o wręcz przeciwnym charakterze. Zaraz dam przykład. X. Reydelet, proboszcz w Seyssel, był kanonikiem kapituły w Pionniere, a tem samem znał Mistrza; był tedy człowiekiem przed którym w tej chwili najbardziej powinien się ukrywać. Ja wpadłem na concept, aby, przeciwnie, iść prosto do niego, i, pod jakimś pozorem, poprosić o nocleg. Tak jakgdybyśmy tu byli za zezwoleniem kapituły. Mistrzowi spodobał się ten pomysł, który zemście jego dawał pieprzyk złośliwego figla. Idziemy tedy bezczepnie do X. Reydeleta, który przyjął nas bardzo dobrze. Mistrz powiedział mi, że wędrujemy do Bellay, aby, na życzenie biskupa, objąć część muzyczną w uroczystościach Wielkanocnych i że, za kilka dni, mamy nadzieję być z powrotem. Ja, na poparcie tego kłamstwa, nawiązałem do setki innych w sposób tak naturalny, iż X. Reydelet, ujęty moją werwą i humorem, nabrał dla mnie sympatii i okazywał mi ją w tysiączne sposoby. Podjedliśmy smacznie, wyspali się jeszcze smaczniej. X. Reydelet wiedział wprost jak nas ugościć; rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni, z przyrzeczeniem zatrzymania się dla nas w drodze powrotnej. Zaledwie mogliśmy się doczekać chwili gdy znajdziemy się sami, aby się wyśmiać do siebie, przyznając, że dotąd jeszcze chce mi się śmiać gdy o tym pomyślę; trudno bowiem wyobrazić sobie lepiej i ze szlachliwszym rezultatem odegraną psotę. Byłaby nam

była za zabawę na długo, gdyby nie to, iż Mistrz, nieustannie w czasie drogi zaglądający do dzbanka, dostał dwa czy trzy razy swoich napadów, które nawiedzały go coraz częściej, a były bardzo podobne do epilepsji. To wprawilo mnie w wielkie przerażenie i wtedy już zacząłem myśleć, jakby się zręcznie wycofać z kłopotu.

Wędrowaliśmy do Bellay, aby tam spędzić czas świąt Wielkiej nocy, jak to oznajmił mi X. Reydelet. Mimo iż nas nie oczekiwano, znaleźliśmy u miejscowego kapelmistrza i wogóle u wszystkich najlepsze przyjęcie. Mistrz szanował w swojej sztuce wielkiego poważania, na które w zupełności zasługiwał. Kapelmistrz z Bellay wystąpił ze swymi najlepszymi dziełami i dokładał wszelkich starań, aby pozyskać uznanie tak dobrego sędziego: oprócz tego bowiem że Mistrz znał się doskonale na rzeczy, sąd jego był zawsze wolny od zawiści jak i od pochlebstwa. Przekonał on o tyle wszystkich tych prowincjonalnych muzyków, i oni sami czuli to tak dobrze, że uważali go nie tyle za kolegę ile za swoją głowę.

Spędziwszy bardzo przyjemnie kilka dni w Bellay, wyruszyliśmy wreszcie i ciągnęliśmy dalej bez przypadków. Przybywszy do Lyonu, ulokowaliśmy się w Notre-Dame-de-Pitié. W oczekiwaniu przybycia skrzyni, którą, za pomocą innego kłamstwa, wyprawiliśmy Rodanem z pomocą naszego dobrego gospodarza, księdza Reydeleta, Mistrz wybrał się odwiedzić znajomych, między innymi Ojca Laton, Franciszkanina, o którym będzie mowa w przyszłości, i X. Dortan, hrabiego Lyonu. Jeden i drugi przyjęli go dobrze, ale zdradzili go, jak zaraz się pokaże: zawiść nasze wyczerpało się u X. Reydeleta.

W dwa dni po przybyciu do Lyonu, kiedyśmy prze-

chodzili uliczką niedaleko oberży, Mistrz dostał nowe ataku: a tym razem był tak gwałtowny, iż przerażało mnie ogarnęło. Zacząłem krzyczeć; wołać na pomoc; wskazałem oberżę błagając aby go tam zanieśli; następnie, podczas gdy coraz większa ciżba gromadziła się koło człowieka leżącego bez życia i toczącego pianę w środku ulicy, opuścił go jedyny przyjaciel, na którego miał prawo liczyć. Skorzystałem z chwili, w której nikt na mnie nie zwracał uwagi; wykręciłem się na rogu i uciekłem. Dzięki niebu, dopełniłem tego trzeciego ciężkiego wyznania. Gdybym miał jeszcze dużo podobnych przykazań, poniechałbym raczej pracy którą podjąłem.

Wszystkie dotychczas skreślone zdarzenia pozostawiły jakieś ślady w miejscach w których bawiłem; ale to nie mam opowiedzieć w następnej księdze jest prawie zupełnie nieznane. Jest to okres największych szaleństw mojego życia; całe szczęście, że nie skończyły się gorzej. Moja głowa, nastrojona wówczas na ton obcego instrumentu, wyszła, na jakiś czas, ze swego diapazonu. Wróciła doń później sama przez się; wówczas poniechałem szaleństw, albo raczej przeszedłem do innych, bardziej zgodnych z moją naturą. Z tej epoki mojej młodości zachowałem najbardziej mętne wspomnienia. Nie próbowałem w niej nie zaszło dość interesującego dla mego serca aby mi żywo utrwalić jej szczegóły; trudno przyznać abym, wśród ciągłej włóczki, wśród tylu kolejnych podróży, nie pomięszał niekiedy czasu i miejsca. Pamięć najzupełniej z pamięci, bez dokumentów, bez materiałów któreby mogły ją wesprzeć. Są wypadki w moim życiu, które mi są tak obecne w pamięci, jakgdyby zdarzyły się wczoraj; ale są przerwy i próżnie, dla wypełnienia

których muszę nieraz uciekać się do niemniej mętnych opowiadań. Mogłem tedy popełnić omyłki i mogłem na przyszłość popełnić je w jakiej drobnostce, aż do okresu w którym mam co do siebie pewniejsze informacje; ale co się tyczy samej treści, jestem pewien iż jestem wierny faktom: co do tego, czytelnik może mi zaufać.

Zaledwie opuściłem Mistrza, od razu powziąłem postanowienie i ruszyłem z powrotem do Annecy. Niezwyczajne okoliczności i tajemniczość naszego wyjazdu sprawiły, iż, z początku, bardzo byłem przejęty tą całą wyprawą; obecnie, uczucie przeważające w mem sercu odnosiło swoje prawa. Nic mnie nie obchodziło, nie nęciło, nie miałem innego pragnienia, jak tylko wrócić do mamusi. Wierność i szczerłość przywiązania do niej wyrugowały mego serca wszystkie fantastyczne projekta, wszystkie szaleństwa ambicji. Nie widziałem innego szczęścia, jak tylko żyć koło niej; z każdym krokiem jaki czyniłem, oddalałem się od tego szczęścia. Wróciłem tedy najspieszniej jak tylko było możliwe. Powrót mój odbywał się tak szybko, a myśl była tak pochłonięta jego myślą, że, mimo iż z taką przyjemnością przypominam sobie inne podróże, z tej jednej nie mam żadnego wspomnienia: nie pamiętam literalnie nic, oprócz chwili opuszczenia Lyonu i powrotu do Annecy. Zato ta ostatnia chwila, ach, niechaj czytelnik osądzi, czy mogła ulecieć z mojej pamięci! Za powrotem, nie zastałem pani de Waréns; wyjechała do Paryża.

Nigdy nie znałem dobrze sekretu tej podróży. Była mi go wyznała, jestem tego najpewniejszy, gdybym bardzo nalegał; ale nie było chyba człowieka mniej skłonnego do ciekawego sekretów przyjaciół. Serce moje,

jedynie zaprzątnięte terażniejszością, wypełnia nią całą przyjemność, całą przestrzeń: oprócz minionych uciech, których wspomnienie stanowi teraz miłą radość, niema w nim ani kącika wolnego na to co nie jest. Z paru słów, które mi mamusia rzekła, mogłem domyślić się jedynie, iż lękała się, aby, w zamieszaniu rewolucji spowodowanej w Turynie abdykacją króla Sardynji, nie zapomniano o niej. Pragnęła, przy pomocy zabiegów pana d'Aubonne, zająć to samo stanowisko przy dworze francuskim; co, jak nieraz mi mówiła, by dzieje przypadłoby jej do smaku, ile że obfitość ważnych toczących się tam spraw wyklucza możliwość tak czelnego dozoru. Jeśli to jest prawda, dziwnem mi się wydaje, iż, wróciwszy stamtąd, nie doznała z tego powodu żadnych dokuczliwości, i zawsze korzystała ze swojej pensji bez żadnej przerwy. Wielu ludzi mniema, iż podróż ta miała za cel jakąś sekretną misję, być może z ramienia biskupa, który miał wówczas sprawy na dworze francuskim, i sam musiał nawet często tam jeździć, bo też ze strony kogoś potężniejszego jeszcze, kto jej zabezpieczył spokojny powrót. To pewna, że, jeśli tak by posłanniczka nie była źle obrana i że, będąc wówczas w pełni młodości i urody, posiadała wszystkie potrzebne talenty, aby się dobrze wywiązać z negocjacji.

KSIEGA IV

(1731—1732). Przybywam i nie zastaję jej. Można sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść! Wówczas dopiero zaczął mnie dręczyć żal, iż tak niegodnie opuściłem Mistrza. Żal mój stał się żywszy jeszcze, skoro się dowiedziałem o nieszczęściu, jakie mu się przytrafiło. Skrzynię z nutami, która zawierała cały jego majątek, tę nieopieczoną skrzynię, uwieczoną z takim trudem, przejęto na rogatkach Lyonu, a to za sprawą hrabiego Dortan, do którego napisano z kapituly, aby go uprzedzić o tajemnej ucieczce Mistrza. Napróżno Mistrz upominał się o swój dobytek, swój chleb, pracę całego życia. Prawo własności skrzyni powinno było stać się conajmniej kwestją procesu: nie było żadnego. Sprawę rozstrzygnięto z miejsca, prawem silniejszego, i biedny Mistrz postradał, w ten sposób, owoc swych talentów, pracę młodości i zabezpieczenie na starość.

Wszystko składało się na to, aby ów cios uczynić mi jak najdotkliwszym. Ale byłem w latach, w których wielkie zgryzoty niełatwo chwytają się człowieka. Liczyłem na to, iż, w niedługim czasie, otrzymam wiadomości od pani de Warens, mimo że nie znałem jej adresu, ona zaś nie wiedziała że jestem z powrotem. Co zaś do mej dezercji, to, ostatecznie, nie uważałem jej za taką zbrodnię.

Byłem użyteczny Mistrzowi w czasie jego ucieczki: jedyną usługą, która była w mej mocy. Gdybym został z nim we Francji, nie uleczyłbym go z choroby, nie ocaliłbym skrzyni, podwoiłbym jeno wydatki nie będąc przydatny na nic. Oto jak wówczas przedstawiały mi się rzeczy: dziś patrzę inaczej. Szpetny uczynek ma to do siebie, iż nie wówczas najbardziej dręczy, kiedy się go świeżo popełni, ale dopiero później, kiedy sobie przypomnimy o nim, wspomnienie bowiem takiego czynu nie wygasa nigdy.

Jedyną drogą do jakichś wiadomości o mamusi było poprostu czekać na nie; gdzie bowiem szukać jej w Paryżu i z kim puścić się w taką podróż? Annecy było jedynym miejscem, w którym miałem nadzieję dowiedzieć się wcześniej lub później gdzie ona bawi. Zostałem tedy, ale prowadziłem się dosyć nietego. Nie poszedłem odwiedzić biskupa, który zaszczycał mnie protekcją i jeszcze mógłby mi jej użyzyć: pozbawiony opiekunki, nie czułem się dość pewny siebie i lękałem się wyrzutów za ucieczkę. Tembardziej nie pokazałem się w seminarjum: Gross już tam nie było. Nie zaszedłem do nikogo ze znajomych: byłbym wprawdzie chętnie złożył wizytę pani intendentowej, ale brakło mi śmiałości. Postąpiłem sobie jeszcze gorzej: szukałem Wenturę, o którym, mimo całego uwielbienia, nie pomyślałem ani razu od chwili wyjazdu. Zostałem go w świetnej pozycji, fetowanego w całem Annecy, damy wydierały go sobie poprostu. To powodzenie do reszty zawróciło mi głowę; nie widziałem już nic poza Wenturą: nieomal zasłonił w mej pamięci panią de Warens. Aby korzystać tem swobodniej z jego lekcji, zaproponowałem mu, by podzielił ze mną kwaterę; zgodził się

Mieszkał u pewnego szewca, zabawnego i wesołego kompana, który, w gwarze swojej, nie nazywał swej żony inaczej jak maciorką: imię zresztą dość trafnie dobrane. Był z nią w nieustannych kłótniach, które Wentura, pod pozorem łagodzenia ich, podsycił z wielką troskliwością. Chłodnym na pozór tonem, rzucił im, od czasu do czasu, swoim prowansalskim akcentem słówka, które działały jak oliwa dolana do ognia; można było skonać ze śmiechu patrząc na te sceny. Tak przechodził ranek, ani się złoźnik obejrzał kiedy; o drugiej lub trzeciej trzeba było coś przetrącić; potem Wentura wędrował po znajomych domach, gdzie zostawał zwykle na kolacji; ja zaś przechadzałem się sam, rozmyślając nad tym niepospolitym człowiekiem, podziwiając go, zazdroszcząc rzadkich talentów, i przeklinając nieżyciową gwiazdę, która nie pozwoliła mi do tego rozkosznego życia. Ach, jakże fałszywie oceniałem je wówczas! Moje własne byłoby mi płynęło sto razy rozkoszniej, gdybym był mniej głupi i gdybym lepiej umiał go używać.

Pani de Warens zabrała ze sobą tylko Klaudjusza; zostawiła w domu Merceret, dziewczynę pokojową, o której wspominałem: zastałem ją rozgoszczoną w apartamencie pani. Panna Merceret była to dziewczyna nieco starsza odemnie, nieładna ale dość ponętna; pocziwa i dobrodusza Fryburżanka, bez innych przywar prócz tej, iż była niekiedy dość zuchwała względem chlebobdawczyni. Była to więc dawna moja znajomość; widok jej, który przypominał mi inną, droższą osobę, sprawił mi szczerą przyjemność. Miała różne przyjaciółki między innymi pannę Giraud, genewkę, której, za moje grzechy, wpadło do głowy zadurzyć się trochę we mnie. Nalegała ciągle

na Merceret, aby mnie przyprowadziła: pozwalałem się ciągnąć, ponieważ dość lubiłem Merceret i ponieważ były tam inne osoby, które rad widywałem. Co do panny Giraud, która starała się mnie wieść na pokuszenie wszelkimi sposobami, miałem zawsze do niej nieprzewycięzoną odrazę. Kiedy zbliżała do mej twarzy swoją suchą i czarną mordkę, wiecznie ubabraną hiszpańską tabaką, musiałem się wstrzymywać, aby w nią nie napluć. Ale znosiłem to cierpliwie, pozatem bowiem dobrze mi było w towarzystwie tych wszystkich dziewcząt; one zaś, czy to aby przypodobać się pannie Giraud, czy też dla mnie samego, fetowały mnie na wyścigi. Widziałem w tem jedynie objawy przyjaźni; nieraz, później, przychodziło mi na myśl, że może tylko odemnie zależało dopatrzeć się czegoś więcej: ale wówczas nie powstało mi to nawet w głowie.

Zresztą szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusily mnie wcale; trzeba mi było wykwinnych panien. Każdy ma swoje fantazje: moja była zawsze taka, i nie godzę się bynajmniej z Horacym na tym punkcie. To co mnie w tem pociąga wszelako, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu: nie, to lepiej utrzymana pleć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor wykwinu i schludności w całej osobie, więcej smaku w obejściu i wysławianiu się, cieńsze i lepiej skrojone suknie, zgrabniejszy trzewiczek, wstążki, koronki, lepiej utrefione włosy. Dałbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byłaby miała to wszystko. Sam uważam to za śmieszne, ale serce nie pyta mnie o zdanie.

I otóż mogłem mieć to wszystko! Wszystkie te urosły mi w ręce i odemnie tylko zależało, aby z nich korzystać. Jakże lubię zachodzić czasami myślą w szczęśliwe

chwile młodości! Jakże mi były słodkie! Były tak krótkie, tak rzadkie i korzystałem z nich tak niewinnie! Ach, samo ich wspomnienie napawa jeszcze me serce czystą rozkoszą, tak potrzebną by skrzepić odwagę do życia i podtrzymać mnie w pasmie smutnych dni, które mi pozostały.

Jednego ranka, brzask wydał mi się tak piękny, iż, obrawszy się spiesźnie, co żywo pomknąłem w pole, by oglądać wschód słońca. Syciłem się tą rozkoszą w całym jej powabie; było to w tydzień po św. Janie. Ziemia, w największej swej krasie, okryła się zielonością i kwieciami; słowiki, wyciągając ostatnie trele, zdawały się lubować w sile i wibracji swego głosu; wszystkie ptaki, chóralnym koncertem żegnając wiosnę, opiewały narodziny dnia letniego, jednego z owych pięknych dni, których nie widuje się już w moim wieku i których nigdy nie widziano w smutnej ziemi będącej dziś mem schronieniem.

Nieznacznie, oddaliłem się od miasta. Upał wzmagal się, przechadzałem się w cienistej dolinie nad strumieniem. Wtem, slysze tentent koni i głosy dziewcząt; zdawały się niby zakłopotane, ale, mimo to, śmiały się ze szczerzego serca. Obracam się, ktoś woła mnie po imieniu; zbliżam się, widzę dwie młode osoby, znajome, pannę de Graffenried i pannę Galley, które, nie będąc zbyt mocne w sztuce amazonek, nie umiały zmusić rumaków do przejścia przez strumień. Panna de Graffenried, była to młoda Bernenka, bardzo miła, która, w przystępie jakiegoś młodocianego szaleństwa opuściwszy ziemię rodzinną, poszła za przykładem pani de Warens: ale, nie posiadając, jak ona, pensji, szczęśliwa była, iż znalazła schronienie u panny Galley. Ta ostatnia, zaprzyjaźniwszy się z nią

serdecznie, skłoniła matkę, aby wzięła przyjaciółkę w dom w charakterze towarzyszki, póki nie znajdzie się dla niej czegoś trwalszego. Panna Galley, o rok młodsza, była jeszcze ładniejsza: miała coś delikatniejszego, wytworniejszego. Kształty jej były zarazem bardzo dziecięce i bardzo kobiece: najpiękniejsza faza urody młodej dziewczyny. Kochały się czule, a dobra ich natura pozwalała wróżyć, iż przyjaźń ta będzie trwała, o ile jaka miłość nie stanie jej w drodze. Powiedziały mi, że jadą do Toune, starego zamku należącego do pani Galley; błagały o pomoc w przeprowadzeniu koni, z czem same nie umiały sobie dać rady. Chciałem popędzić konie, ale obawiałem się iż zaczną wierzeć i kopać. Uciekłem się do innego środka; ująłem konia panny Galley za wędzidło, i, ciągnąc go za sobą, przebyłem strumień, prawie po kolana w wodzie. Drugi koń przeszedł sam bez trudności. Dokonawszy tego, chciałem się skłonić pannom i oddalić jak daleko; wymieniły parę słów po cichu, poczem panna de Graffenried rzekła: „Nie, nie, nie uda się panu wymknąć w ten sposób. Przemoczył się pan w naszych usługach, obowiązkiem naszym jest pana osuszyć: proszę, jeśli łaska, z nami; bierzemy pana do niewoli.“ Serce mi biło, spoglądałem na pannę Galley. „Tak, tak, dodała, śmiejąc się z mej przerażonej miny, jest pan naszym jeńcem wojennym; proszę siadać na konia za nią; rozrządzamy pana losem. — Ależ, rzekłem, nie mam zaszczytu być znanym szanownej matce pani; co ona powie na to zjawienie? — Pani Galley niema w Toune, rzekła panna de Graffenried, jesteśmy same, wracamy dziś wieczór i pan z nami“.

Słowa te podziały na mnie jak iskra elektryczna.

Drżałem z radości, wskakując na konia panny de Graffenried; a kiedy trzeba było ją objąć aby się utrzymać, serce biło mi tak mocno, że aż ona to spostrzegła: rzekła, że i jej bije serce, z obawy przed spadnięciem. W położeniu w jakim znajdowaliśmy się, była to prawie zachęta do sprawdzenia: nie miałem odwagi. Przez całą drogę ręce moje obejmowały jej kibić dość wprawdzie ciasno, ale nie zmieniając położenia. Sądzę iż niejedna kobieta, przeczytawszy to, spoliczkowałaby mnie chętnie, i nie bez słuszności. Przybyliśmy do Toune; osuszyłem się gruntownie, zjedliśmy śniadanie. Następnie, trzeba było przystąpić do ważnej sprawy obiadu. Panny, krzątając się koło kuchni, raz po raz rozdawały buziaki dzieciom szafarki; a biedny improwizowany kuchta patrzył na to, żyzając się z zazdrości. Posłano po zapasy do miasta, i wkrótce było z czego sporządzić dobry obiad, szczególnie pod względem lakoci: ale, nieszczęściem, zapomniano o winie. Zapomnienie to nie miało w sobie nic dziwnego ze strony dziewcząt, które nie używały tego trunku; ale mnie było to dość nie na rękę, ponieważ liczyłem nieco na jego ośmielające działanie. One zdawały się również zmartwione, może dla tej samej przyczyny, choć nie sądzą. Żywa i uroczą ich weselość oddychała niewinnością, a zresztą cóżby, we dwie, zrobiły ze mną jednym? Posłały po wino w sąsiedztwo: nigdzie nie można było znaleźć, tak mieszkańcy tej okolicy są ubodzy i wstrętni. Kiedy panny ubolewały nad tem, odparłem, iż niema się czem kłopotać i że nie trzeba im wina by mnie upoić. Oto jedyna dworność, z jaką ośmieliłem się wyruszyć przez cały dzień; ale sądzą, że te szelmutki widziały dobrze po mnie, jak dalece było to prawdą.

Zasiedliśmy do obiadu w kuchni: przyjaciółki na ławkach, po dwóch bokach podłużnego stołu, gość między nimi, na zydelku o trzech nogach. Co za obiad! co za uroczne wspomnienie! Poco, mogąc równie tanim kosztem smakować tak czystych i prawdziwych rozkoszy, ludzie uganiają się za innemi? Nigdy żadna wieczerza paryskich modniś nie dorównała temu obiadowi, nie tylko co do wesołości, słodczy uciech, ale także co do upojenia zmysłów.

Po obiedzie, uchwaliliśmy małą oszczędność; miast wypić kawę, która została od śniadania, zachowaliśmy ją na podwieczorek wraz ze śmietanką i ciastkami, które panienki przywiozły ze sobą; dla podsycenia zaś apetytu, udaliśmy się do sadu spożyć na deser trochę wiśni. Wszedłem na drzewo i rzucałem im całe garście owocu; one odrzucały mi pestki poprzez gałęzie. Raz, panna Galley, wysuwając fartuszek i przechylając wtył głowę, nadszawiła się tak dobrze, że bukiecik wisień wpadł prosto za gors; dopieroż było śmiechu! Mówiłem sam do siebie w duchu: Czemuż usta moje nie są wiśnią! jakżebyśmy chętnie cisnął im je, z jak szczerego serca!

Dzień upłynął w ten sposób na igraszkach pełnych swobody, a zarazem niewinności. Ani jednego dwuznacznego słowa, ani jednego ryzykowanego żartu; a skromność ta nie była jakimś narzuconym przymusem; wynikała sama z siebie; ton ten poddawały nam serca. Słowem, skromność moja — kto inny powie głupota — była taka, iż największą poufałością, na którą sobie pozwoliłem, był jeden jedyny pocałunek w rękę panny Galley. Prawdą, iż okoliczności, w których się to stało, dodawały ceny temu lekkiemu faworowi. Byliśmy sami;

ja oddychałem z trudnością, ona miała spuszczone oczy. Usta moje, miast szukać wyrazów, ośmieliły się przycisnąć do jej dłoni, którą cofnęła natychmiast uczuwszy pocałunek, patrząc na mnie wszelako oczyma bynajmniej nie wyrażającemi gniewu. Nie wiem, cobym jej powiedział; ale weszła przyjaciółka, która w tej chwili wydała mi się szpetną.

Wkońcu, panny przypomniały sobie, iż nie należy czekać nocy z powrotem do miasta. Zaledwo mieliśmy czas zdążyć przed zapadnięciem dnia; ruszyliśmy spiesźnie sadowiać się tak jakieśmy przyjechali. Gdybym miał odwagę, odmieniłbym ten porządek; spojrzenie bowiem panny Galley zapadło mi w serce; ale nie śmiałem nic powiedzieć, a nie jej rzeczą było to podsuwać. W drodze, powtarzaliśmy sobie, że szkoda iż ow dzień się skończył; nie mogliśmy wszelako rzec, aby nam się wydał krótkim, umieliśmy go bowiem przedłużyć tysiącem zabaw, wypełniających go w najmilszy sposób.

Rozstałem się z dziewczętami mniej więcej tam skąd mnie zabrały. Z jakimż żalem rozłączyliśmy się! Z jakąż radością układaliśmy projekty nowego spotkania! Dwanaście godzin spędzonych razem stanowiły dla nas wieki całe zbliżenia. Słodkie wspomnienie tego dnia nie kosztowało tych łubych dziewczątek żadnej ofiary; tkliwa łączność między nami trojgiem warta była pewnie bardziej żywych rozkoszy i przy nich nie mogłaby się ostać: kochaliśmy się bez tajemnicy i wstydu i chcieliśmy się zawsze tak kochać. Czystość obyczajów ma swą rozkosz, wyższą może od innej, ponieważ nie podlega zamięnieniom i ponieważ odczuwa się ją ciągle jednako. Co do mnie, wiem, że wspomnienie tak pięknego dnia wzrusza, czaruje

mnie więcej, bardziej przypada mi do serca, niż wspomnienie jakichkolwiek rozkoszy zakosztowanych w życiu. Nie zdawałem sobie zbyt jasno sprawy, jakie były moje żądania w stosunku do tych dwóch uroczych istot, ale pociągały mnie obie w wysokim stopniu. Nie powiadam, iż, gdybym był mocen pokierowania wypadkami, serce me stanęłoby na rozdrożu; owszem, czułem w mych skłonnościach niejakię wyróżnienie. Bylbym szczęśliwy, gdybym mógł być kochankiem panny de Graffenried; ale mogąc wybierać, sędzę, że wolałbym ją jako powiernicę. Jakbądź się rzeczy miały, rozstając się z niemi, miałem uczucie, iż nie potrafiłbym już żyć bez jednej i drugiej. Któżby mi powiedział, że nie ujrzę ich już w życiu i że na tem się skończy ta ulotna miłośćka?

Ci, którzy będą czytać te karty, nie omieszkają uśmiechnąć się z mych przygód miłosnych, widząc, jak, po wielkich wstępach, najdalej posunięte kończą się pocałunkiem w rękę. O czytelnicy! nie dajcie się zmylić pozorom! Więcej może zaznałem rozkoszy w moich miłościach, kończąc na owym pocałunku ręki, niżeli wy zakosztujecie kiedykolwiek, zaczynając conajmniej od tego.

Wentura, który położył się poprzedniego dnia bardzo późno, wrócił do domu wkrótce po mnie. Tym razem, ujrzałem go z mniejszą przyjemnością niż zwykle, i nie powstało mi w myśli spowiadać mu się z przygód dnia. Panienki wyrażały się o nim z niewielkim szacunkiem i zdawały się nierade, dowiedziawszy się iż znajduję się w tak niedobrych rękach: to mnie zraziło nieco; zresztą, wszystko co mnie odrywało od myśli o nich, mogło mi być tylko przykre. Wentura przywołał mnie niebawem do opamiętania, uświadamiając mi położenie. Było ono

był krytyczny aby móc trwać. Jakkolwiek wydawałem sobie bardzo mało, zapasik mój miał się ku końcowi; poczem zostawałem bez środków. Żadnych wiadomości od mamusi; nie wiedziałem co ze sobą począć, i czułem skrutne ścisnięcie serca, widząc, iż przyjaciela panny Galley czeka, w perspektywie, życie z jałmużny.

Wentura powiedział mi, że wspomni o mnie sędziemu powiatowemu, że jutro chce mnie doń zaprowadzić na obiad: twierdził, iż człowiek ten będzie mi mógł oddać usługi przez swoich przyjaciół. Zresztą, znajomość była korzystna sama przez się: człowiek piśmienny, wykształcony, miły w pożyciu, sam utalentowany i ceniący talent w drugich. Następnie, mięszając, wedle swego obyczaju, rzeczy poważne do najpłochszej swywoli, pokazał mi ładny kuplecik, przysłany mu z Paryża, na nutę aryjki z opery Moureta, którą podówczas dawano. Kuplet ten tak spodobał się p. Simon (nazwisko sędziego), że pragnął ułożyć nowy, niejako w odpowiedzi na ten, na tę samą melodję: polecił Wenturze, aby napisał drugi, ten zaś sparł się, bym ja skomponował trzeci: powiadał, że to będzie bardzo zabawne taka wojna na kuplety.

W nocy, nie mogąc usnąć, skleciłem jak umiałem kuplet. Jak na pierwsze wiersze w życiu, były one wcale słabsze; lepsze z pewnością, a przynajmniej ułożone z większym smakiem, niżbym to był zdolny uczynić na dobę przedtem, ile że przedmiot kręcił się koło bardzo ciekawego tematu, do którego serce moje wybornie było nastrojone. Pokazałem rano kuplet Wenturze, który, znalazłszy go udatnym, schował do kieszeni, nie mówiąc, czy sam również co ułożył. Udał się na obiad do p. Simon, który przyjął nas nader uprzejmie. Roz-

mowa była przyjemna: nie mogło być inaczej w towarzystwie dwóch ludzi pełnych dowcipu i czytania. Co do mnie, trzymałem się swojej roli: przysłuchiwałem się i milczałem. Ani jeden ani drugi nie wspomnieli o kucie; ja również nie wspominałem o tem, i nigdy, o ile mi wiadomo, nie było mowy o moim utworze.

P. Simon zdawał się zadowolony z mego zachowania; to było mniej więcej wszystko, co mógł ze mnie poznać podczas tej wizyty. Spotykał mnie już poprzednio parę razy u pani de Warens, nie zwracając na mnie większej uwagi. Tak tedy, dopiero ten obiad mogę liczyć za datę naszej znajomości, która, biorąc praktycznie, nie przysłała mi się na nic, ale z której wyciągnąłem inne, cenniejsze może korzyści; i dla nich wspominam ją zawsze ze szczerą przyjemnością.

Nie mogę pominąć milczeniem wyglądu tej osobistości; znając go bowiem, jedynie z tego co tu mówię o charakterze jego jako urzędnika, oraz o talentach które stanowiły przedmiot jego ambicji, niktby się nie domyślił zewnętrznej postaci. Sędzia Simon miał z pewnością nie więcej niż dwie stopy wysokości. Nogi jego, proste, drobne i nawet dość długie, byłyby mu przydały wzrostu, gdyby były prostopadłe; ale rozchodziły się ukośnie jak ramiona bardzo otwartego kompasu. Korpus był nietylko krótki, ale szczupły i niesłychanie drobny. Wyobrażam sobie, iż, nagi, musiał być podobny do szarańczy. Głowa, naturalnej wielkości, z twarzą o regularnych rysach, szlachetnem wejrzeniu, z dość ładnymi oczyma, zdawała się sztuczną głową osadzoną w kikucie. Mógłby sobie oszczędzić wydatków na ubranie, ile że wielka peruka ubierała go sama doskonale od stóp aż do głowy.

Miał dwa rodzaje głosu, zupełnie odmienne, które przeplatały się bez ustanku kiedy rozmawiał, wywołując mi zabawne zrazu, ale wkrótce bardzo nieprzyjemne kontrasty. Jeden głos był poważny i dźwięczny; był to, jeżeli można tak określić, głos jego głowy. Drugi, jasny, czysty i przenikliwy, to był głos jego ciała. Kiedy bardzo wrażał na siebie, kiedy mówił z namysłem, oszczędzając głębiech, mógł mówić stale swym głębokim głosem; ale ilekroć ożywił się nieco i przybrał akcent nieco żywszy, głos brzmiał jak świstanie na kluczu i z największą trudnością przychodziło mu wrócić do basu.

Przy tej postaci, którą tu odmalowałem bez najmniejszej przesady, p. Simon był nadskakujący damom, wielki complemencista i aż do kokieteryj dbały o swój wygląd. Ponieważ chciał się zawsze wydać jaknajkorzystniej, całował chętnie audjencji rano, w łóżku; widząc bowiem taką piękną głowę na poduszkach, nikt nie przypuszczał nawet, że to jest wszystko. To dawało niekiedy powód do scen, które, jestem pewien, całe Ancecy przypominają sobie jeszcze.

Jednego dnia, leżąc w łóżku, lub raczej na łóżku, sędzia oczekiwał stron, strojny w cienki i biały czepek nocny, ozdobiony dwoma grubymi pomponami z różowej wstążki. Przychodzi jakiś wieśniak i puka. Służąca gdzieś wyszła. Sędzia, słysząc powtórne pukanie, woła: Proszę! Słowo to, wymówione zbyt głośno, wymknęło mu się z dyskanowego rejestru. Człowiek wchodzi; szuka skąd wyszedł ten głos kobiecy; a widząc w łóżku czepek z fontaziem, chce wyjść, tłómacząc się uniżenie przed jasnie panią. P. Simon wpada w złość, krzycząc przez to jeszcze cienie. Chłopak, utwierdzony w pomyłce, i czując się obrażony,

bierze z innego tonu, wymyśla rzekomej pani od ulicznych i ścierek, i wykrzykuje, iż pan sędzia nie świeci u siebie w domu zbyt dobrym przykładem. Sędzia, wściekły, mając za jedyną broń nocnik stojący przy łóżku, już miał go rzucić nieborakowi na głowę, kiedy wbiegła służąca.

Ten karzelek, tak upośledzony przez naturę, otrzymał od niej hojne odszkodowania pod względem umysłu, który z natury miał pełen wdzięku, a zadał sobie trud, by go przyozdobić. Mimo iż, wedle powszechnego zdania, był dość dobrym prawnikiem, nie lubił swego zawodu. Rzucił się w literaturę i nie bez powodzenia. Zdobył w niej ten błyszczący polor, ten kwiat który daje tyle uroku w obcowaniu, zwłaszcza z kobietami. Umiał na pamięć wszystkie anegdotki z kulis światowych: umiał je znakomicie podać, opowiadając z przejęciem, tajemniczo, jak o nowalje ostatniego dnia, rzeczy, które zdarzyły się przed sześćdziesięciu laty. Uprawiał nieco muzykę i śpiewał przyjemnie swoim męskim głosem; słowem, jak na biurokratę, posiadał wiele miłych talentów. Tak wytrwale wdzięczny był do wszystkich pań w Annecy, aż wreszcie zyskał wśród nich prawo obywatelstwa; dreptał za ich spódniczką niby piesek. Miał nawet pretensje zdobywcy, serce, co je serdecznie bawiło. Niejaka pani d'Epagny powiadała, iż naturalnym dlań kresem szczęśliwości było pocałować kobietę w kolano.

Ponieważ znał wiele dobrych książek i chętnie o nich mówił, rozmowa z nim była nie tylko zajmująca, ale i pouczająca. Później, kiedy nabrałem zamilowania do nauk, pielegnowałem tę znajomość, z wielką dla siebie korzyścią. Chodziłem często odwiedzać go z Chambéry, gdzie mies-

zam wówczas. Chwalił i podsycił mój zapal, dając mi, do lektury, dobre wskazówki, z których nieraz korzystałem. Na nieszczęście, w tym wątłym ciele mieszkająca dusza. W kilka lat później dotknęło go jakieś nagle wydarzenie i z tego umarł. Szkoda go, był to tak poezji człeczyna, który bawił zrazu, ale którego wkońcu musiało się pokochać. Mimo iż stykaliśmy się niewiele, otrzymałem odeń sporo użytecznych wskazówek; sądziłem tedy, iż mogę, przez wdzięczność, położyć mu tych parę słów wspomnienia.

Skończyłem chwilę czasu, pobiegłem na ulicę, gdzie mieszkała panna Galley, pieszcząc nadzieję, iż znajdę kogoś wchodzącego lub wychodzącego, albo że przynajmniej jakieś okno się uchyli. Nic, ani żywej duszy; przez cały czas wyczekiwania dom był tak cichy i zamknięty, jak gdyby w nim nikt nie mieszkał. Ulica była pusta i odludna; łatwo było na niej zauważyć człowieka: z czasu do czasu ktoś przechodził, wchodził lub wychodził w sąsiedztwie. Zacząłem mieć bardzo głupią minę: myślałem, że każdy zgaduje poco tu sterczę, i ta myśl doprowadzała mnie o tortury, zawsze bowiem, nad własną przyjemnością, przekładałem honor i bezpieczeństwo osób, które mi były drogie.

Wreszcie, znużony rolą hiszpańskiego kochanka i nie mając gitary, postanowiłem napisać do panny de Graffenried. Bylbym wolał napisać wprost do jej przyjaciółki, ale nie śmiałem; bardziej przytem wypadało mi pisać do niej, przez którą zawarłem tę znajomość i z którą byłem bliżej poufale. Napisawszy list, poszedłem go zanieść do panny Giraud, tak jak się umówiłem z panienkami przy pożegnaniu. Panna Giraud była hafciarką i, pracując

niekiedy u pani Galley, miała wstęp do domu. Pośredniczka nie wydała mi się szczęśliwie dobrana; ale bałam się, że, gdybym robił trudności co do tej drogi, nie wskazała mi żadnej innej. Co więcej, nie śmiałem się przyznać, że ta brzydula miała na mnie jakieś widoki na własną rękę. Poniżało mnie to, iż ona, w stosunku do mnie mogła uważać się za osobę tej samej płci co moje uroczyste przyjaciółki. Ostatecznie, wolalem to pośrednictwo niż żadne i puściłem się na hazard.

Za pierwszym słowem, panna Giraud odgadła mnie, co zresztą nie było trudno. Gdyby nawet list przeznaczony dla młodych panien nie mówił sam za siebie, zdradziłaby mnie moja głupia i zakłopotana mina. Można się domyślić, że to zlecenie nie sprawiło jej zbytnej przyjemności: podjęła się go wszelako i dopełniła wiernie. Nazajutrz rano, pobiegłem do niej i znalazłem odpowiedź. Jakże mi pilno było wyjść, by ją odczytać i ucałować dowoli! nie potrzebuję tego powiadać; uważam natomiast, iż trzeba mi podnieść zachowanie się panny Giraud, która okazała w tem więcej delikatności i umiarkowania, niżbym się spodziewał. Mając dość zdrowego rozsądku, aby widzieć, że, w swoich trzydziestu siedmiu latach, ze swemi zajęczemi oczami, zatabaczonym nosem, chrypliwym głosem i czarniawą cerą nie miała wielkich szans powodzenia wobec dwóch młodych osób pełnych wdzięku i w rozkwicie piękności, nie chciała ani zdradzić ich ani im służyć, i wolala raczej mnie stracić, niż oddać mnie w ich ręce.

(1732). Już od pewnego czasu, Merceret, nie mając żadnej wiadomości o pani, wybierała się z powrotem do Frybarga; panna Giraud wpłynęła na jej decyzję. Zrobiła

więcej, podsunęła jej myśl, że byłoby dobrze aby ją ktoś doprowadził i poddała mnie. Merceret, która również nie czuła do mnie wstrętu, zasmakowała odrazu w pomysle. Umajmiły mi o tem tegoż samego dnia jako o ubitej krowie; że zaś ten sposób rozrządzania moją osobą był dosyć po myśli, zgodziłem się, uważając całą podróż za sprawę najwyżej tygodnia. Panna Giraud, która miała inne poglądy, zajęła się przygotowaniami. Trzeba było wyznać stan moich finansów. Zaradzono i na to; Merceret podjęła się opędzić koszt, aby zaś odbić tę nadwyżkę, wydziedzicowano, na mą prośbę, że wysle naprzód mój nieduży pakunek i że drogę odbędziemy wędrując dowoli pieszo. Tak się też stało.

Przykro mi, że muszę się chwalić miłością tylu dziewcząt; ale ponieważ nie mam powodu zbyt się chwalić w dumę z korzyści które wyciągnąłem z tych wszystkich amatorów, sądzę, iż mogę mówić prawdę bez uprzedzenia. Merceret, młodsza i mniej szczerwana niż Giraud, nigdy nie była ze mną tak otwarcie zalotna; ale naśladowała mój ton, sposób mówienia, powtarzała moje odezwania, miała dla mnie względy jakie ja powinienem był mieć dla niej, i obstawiała zawsze przy tem (jako że była bardzo bojaźliwa) abyśmy sypiali w jednym pokoju: wspólność, która rzadko pozostaje w tych skromnych warunkach w czasie podróży dwudziestoletniego chłopca i dwudziestopięcioletnią dziewczyną.

Mimo to, nie przekroczyła ich tym razem. Naiwność moja sięgała tak daleko, iż, mimo że Merceret wcale była warta grzechu, podczas całej tej podróży nie przyszła mi do głowy myśl, nie mówię pokusa, ale nawet najdalsza idea możliwości. Gdyby nawet ta idea wpadła mi do

głowy, byłem zbyt głupi aby z niej skorzystać. Nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób dziewczyna i chłopiec mogą dojść do tego momentu, aby się razem położyć do łóżka; myślałem, że trzeba całych wieków, by doprowadzić do tego straszliwego zbliżenia. Jeżeli biedna Merceret, podejmując moje koszty, rachowała na jakieś tego rodzaju odszkodowanie, przeliczyła się grubo; przybyliśmy do Fryburga zupełnie tak jak wyruszyliśmy z Annecy.

Przechodząc przez Genewę, nie wstępowałem do nikogo, ale, gdy znalazłem się na moście, byłem wprost blisko omdlenia. Nigdy nie zdarzyło mi się oglądać murów tego błogosławionego miasta, nie zdarzyło mi się ich przestąpić, żeby nie doznawać jakiejś omdłości serca, wynikającej ze zbytku rozczulenia. Szlachetny obraz wolności podnosił mą duszę, a zarazem wizje równości, jedności, prostoty obyczajów wzruszały mnie do łez i budziły najwyższą żalność, iż utraciłem te wszystkie skarby. W jakimż byłem błędzie, ale jakże błąd ten był naturalny! Zdawało mi się, iż widzę w mej ojczyźnie to wszystko dobro, ponieważ nosiłem je w sercu.

Trzeba było przechodzić przez Nyon. Minąć, nie oglądając ojca! Gdybym miał odwagę to uczynić, umarłbym chyba z żalu. Zostawiłem Merceret w oberży i poszedłem odwiedzić ojca na los szczęścia. Ach! jakież płonące były me obawy! Na mój widok, dusza jego dała upust ojcowskim uczuciom, któremi była wezbrana. Heż leż wylaliśmy obejmując się wzajem! Mniemał zrazu, iż wróciłem na stałe. Opowiedziałem mu swoje dzieje i zwierzyłem zamysły. Zwalczał je dość miękko. Ukazał mi niebezpieczeństwa, na które się narażam, mówił że, im

prześniej człowiek opamięta się z szaleństwa, tem dlań śpiej. Pozatem, nie kuśił się nawet zatrzymywać mnie siłą; i w tem uważam że miał słusność: ale to pewna, nie próbował wszystkiego co było w jego mocy by mnie przyciągnąć do siebie, czyto, po tem co uczyniłem, mniemał iż niema dla mnie powrotu, czy że sam był w kłopotcie, począc z chłopakiem w moim wieku. Dowiedziałem się później, iż powziął on o mej towarzyszcze wyobrażenie bardzo niesprawiedliwe i odległe od prawdy, ale zresztą dość naturalne. Macocha, poczciwa kumoszka, nieco głębsza, próbowała nibyto zatrzymać mnie na wieczery. Nie zostałem; ale rzekłem, że mam nadzieję zatrzymać się dłużej wracając i zostawiłem u nich mały pakunek, który przybył za mną statkiem i który sprawiał mi kłopot. Ruszyłem w drogę bardzo wczesnym rankiem, niecierpienie rad, iż widziałem ojca i że miałem odwagę spełnić powiązek.

Przybyliśmy szczęśliwie do Fryburga. Pod koniec podróży, czułość panny Merceret osłabła nieco. Od chwili przybycia, odnosiła się już do mnie bardzo chłodno; ojciec, który nie opływał w dostatki, również nie okazywał zbyt serdecznej twarzy: wobec tego, ulokowałem się w oberży. Odwiedziłem ich nazajutrz; zaprosili mnie na śniadanie, przyjąłem. Rozstaliśmy się bez łez; wieczorem, wróciłem do mej nory i ruszyłem z powrotem, na trzeci dzień po przybyciu, nie wiedząc sam dobrze, dokąd się udać.

Oto jeszcze jedna okoliczność w mojem życiu, w której nadzieja podsuwała mi właśnie to, czego mi było trzeba iść do końca szczęśliwe i spokojne dni. Merceret była to bardzo dobra dziewczyna, bez jakichś świetnych

zalet, nie ładna, ale też wcale nie brzydka; spokojna, bardzo rozsądna, pomijając przelotne napady humorów, które wyładowywały się w płaczu i nigdy nie miały burzliwych następstw. Miała dla mnie szczerą skłonność; byłbym ją mógł zaślubić bez trudności i uprawiać rzemiosło jej ojca. Moje zamiłowanie do muzyki pozwoliłoby mi polubić ten zawód¹⁾. Byłbym się osiedlił we Fryburgu, małej mieścinie nie ładnej, ale zamieszkałej przez dobrych ludzi. Postradałbym przez to z pewnością wielkie rozkosze życia, ale żyłbym w pokoju aż do ostatniej godziny, a mogę lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieć, że niema co i wahać przy takiej zamianie.

Wróciłem nie do Nyonu, ale do Lozanny. Chciałem się nasycić widokiem tego pięknego jeziora, które stamtąd można oglądać w najszerszym widnokręgu. Istotne mąty, od których bywały zależne me postanowienia, zazwyczaj były niewiele poważniejszej natury. Odległe horyzonty rzadko działają na mnie dość silnie, by mnie pobudzić do czynu. Niepewność przyszłości zawsze kazała mi patrzeć na rzeczy wykonalne jedynie na dalekiej metę, jako na czece mamidla. Mogę, jak każdy inny, poddawać się złudom nadziei, byleby to mnie nie kosztowało; ale gdy trzeba długo się mozolić, oho! ja nie mam niema. Najmniejsza przyjemnostka, która nawinę się po drodze, kusi mnie więcej, niż wszystkie rozkosze raj. Wyjątek stanowi przyjemność, po której następuje troska: ta mnie nie kusi, lubię bowiem jedynie radość czyste, takich zaś nigdy nie można zakosztować, kiedy się wie, iż czeka po nich zgryzota.

1) Rousseau nie mówi jaki; może organisty?

Pragnąłem zresztą dostać się do jakiegokolwiek zamieszkałej miejscowości, i to im bliżej tem lepiej; zabłądawszy się bowiem w drodze, znalazłem się wieczorem w Moudon, gdzie wydałem resztkę pieniędzy, z wyjątkiem dziesięciu centów, które poszły nazajutrz na obiad. Przybywszy wieczorem do wioski w pobliżu Lozanny, wszedłem do karczmy, nie mając grosza na zapłacenie noclegu i nie wiedząc co ze sobą porządzić. Byłem bardzo głodny; przybrałem minę pewną siebie i zażądałem wieszery, jakgdybym miał czem zapłacić. Udałem się spokojnie na spoczynek, nie myśląc o niczem; rano, pośniadawszy i obliczywszy się z gospodarzem, chciałem, za mą należność, oddać w zastaw kamizelkę. Zaczny człowiek nie przyjął ofiary; powiedział, że dzięki niebu, nie obdarł nigdy nikogo, że zaś nie chce zaczynać tego dla kilkudziesięciu groszy, mogę przeto zachować kamizelkę, a zapłacę, kiedy będę mógł. Rozczulem się wzruszony jego dobrocią, ale mniej niżbym powinien i niż byłem nieraz później, wspominając to zdarzenie. Odesłałem mu pieniądze z podziękowaniem, kiedy, w piętnaście lat później, wracając z Włoch przedzielałem przez Lozannę, bardzo żałowałem, iż zapomniałem nazwiska karczmy i gospodarza. Byłbym go musiał dowiedzieć; sprawiłoby mi szczerą przyjemność przypomnieć mu jego dobry uczynek i dowieść, że nie trafił na niedzięcznika. Usługi, ważniejsze z pewnością, jakich doświadczałem od ludzi, ale świadczone z mniejszą prostotą, nie wydały mi się tak godne wdzięczności, jak prosta skromna ludzkość tego zacnego człowieka.

Zbliżając się do Lozanny, rozmyślałem nad swem rozczuliwem położeniem, oraz nad środkami wydobyć się

zeń bez zdradzenia swej nędzy wobec macochy. W ciągu tej pieszej pielgrzymki nieraz porównywałem się w myśli do przyjaciela Wentury w chwili jego przybycia do Annecy. Rozpaliłem się tak tą ideą, że, nie myśląc o tem iż nie mam ani jego uroku, ani talentów, nabiłem sobie głowę konceptem, by odegrać w Lozannie małego Wenturę, dawać lekcje muzyki, której sam nie umiałem, i podać się za przybywającego z Paryża, gdzie nigdy w życiu nie byłem. Powziąwszy ten piękny zamiar, ale mając jeszcze na tyle zastanowienia by się nie pchać pomiędzy zawodowych muzyków, zacząłem się, na początek, wywiadywać o jaką oberżę, gdzieby można żyć dobrze i tanio. Wskazano mi niejakiego p. Perrotet, który odnajmował stancję z utrzymaniem. Ów Perrotet okazał się najpocziwszym człowiekiem w świecie, i przyjął mnie bardzo dobrze. Wytrząsałem przed nim swoje kłamstewka, tak jak ja sobie ułożyłem. Obiecał, że będzie o mnie mówił i że się postara znaleźć mi uczniów; powiedział, iż mogę mu zapłacić dopiero wówczas, gdy sam coś zarobię. Pensja wynosiła pięć talarów; samo w sobie nie było to wiele, ale bardzo wiele dla mnie. Poradził mi, bym się zgodził na początek na pół-pensji, która obejmowała na obiad dobrą supę bez dalszego ciągu, ale zato dostatnią wieczną. Przystałem. Ten dobry Perrotet ofiarował mi te wszystkie ułatwienia najserdeczniej w świecie i nie oszczędzał starań, aby mi być użytecznym.

Czem się dzieje, iż, spotkawszy tylu dobrych ludzi w młodości, tak mało znajduję ich w późniejszym wieku. Czyżby rasa ich się wyczerpała? Nie; ale sfera, w której zmuszony jestem szukać ich dziś, nie jest tą samą w której znajdowałem ich wówczas. Wśród ludu, gdzie wielki

umiętności odzywają się jedynie zrzadka, naturalne uczucia częściej przychodzą do głosu. W wyższych stanach, zduszone są one zupełnie, i, pod maską uczucia, przemawia zawsze jedynie interes lub próżność.

Napisałem z Lozanny do ojca; odesłał mi tobolek i dołączył wyborne rady, z których powinienem był lepiej skorzystać. Zaznaczyłem już, iż zdarzały się w mojem życiu chwile niepojętego obłądzenia, w których przestawałem być sobą. Oto jeszcze jeden wybitny przykład. Aby zrozumieć, jak bardzo miałem przewrócone w głowie, do jakiego stopnia byłem niejako *zwenturyzowany*, trzeba tylko się przypatrzeć, ile szaleństw nagromadziłem razem. Jestem tedy nauczycielem śpiewu, nie umiejąc odczytać z nut jednej melodji; gdybym bowiem nawet skorzystał z sześciu miesięcy spędzonych u Mistrza, nigdyby to nie mogło wystarczyć: a, prócz tego, uczyłem się tam z cudzą pomocą: to dość dla mnie abym się uczył licha. Występując tak jako genewski Paryżanin i jako katolik w kraju protestanckim, uważałem, iż, wraz z religją i ojczyzną, należy odmienić nazwisko. O ile mogłem, ciągle się starałem zbliżyć do pierwowzoru. On nazywał się Venture de Villeneuve, ja zrobiłem z mego nazwiska Rousseau na Vaussore i nazywałem się Vaussore de Villeneuve. Wentura posiadał zasady kompozycji, choć nikomu o tem nie wspominał; ja, nie posiadając ich wcale, chwaliłem się przed całym światem tą umiętnością, i, niezdolny sklecić najmniejszej melodji, podawałem się za skończonego muzyka. To nie wszystko: przedstawiony panu de Treytorens, profesorowi prawa, który lubił muzykę i urządził u siebie koncerty, chciałem dać próbkę swego talentu i zacząłem

komponować utwór na jego koncert, tak bezczelnie, jakgdybym miał o tem pojęcie. Miałem wytrwałość porania się przez dwa tygodnie z tem pięknem dziełem, skopjowałem na czysto, rozpisałem partje i rozdałem je z taką pewnością, jakgdyby to było arcydzieło harmonji. Wreszcie — rzecz trudna do wiary, a jednak prawdziwa — aby godnie uwieńczyć tę wzniosłą produkcję, umieściłem w niej na końcu ładny menuet, który obiegał podówczas ulice i który może wszyscy przypomną sobie jeszcze po tych tak znanych słowach:

Quel caprice!

Quelle injustice!

Quoi! ta Clarisse

Trahirait tes feux! etc.

Wentura nauczył mnie tej melodji z akompanjamentem i z innym plugawym tekstem, dzięki któremu zachowałem ją w pamięci. Umieściłem tedy na końcu utworu ten menuet i akompanjament, usuwając słowa i podając go za własną kompozycję z takim tupetem, jakgdybym miał do czynienia z mieszkańcami księżycy.

Zgromadzają się tedy wszyscy, aby wykonać mój utwór. Tłómaczę każdemu rytmikę, sposób wykonania, prowadzenie głosów; krzątam się jak mogę. Strojenie instrumentów trwa pięć czy sześć minut, które były dla mnie sześcioma wiekami. Wreszcie, wszystko gotowe, uderzam rulonem papieru o pulpit na znak rozpoczęcia. Robi się cisza. Poważnie dają takt batutą, zaczynają... Nie, odkąd istnieją na świecie francuskie opery, w życiu nie słyszał nikt podobnego harmideru. Cokolwiekby ktoś mógł myśleć o mym rzekomym talencie, efekt przeszedł oczekiwanie. Grajkowie dusili się od śmiechu, słuchacze

otwierali szeroko oczy: zatkali by chętnie w zamian uszy, ale nie było sposobu. Nielitościwi symfoniści, chcąc sobie uczynić zabawę, rzekli tak swoje partje, iż mogli przypisać o pęknięcie błonę bębenkową grubości polszczy. Miałem odwagę dyrygować bez przerwy dalej, pocąc się cprawda wielkimi kroplami, ale powstrzymywały wstydem, nie śmiejąc rzucić wszystkiego i uciec gdzie pieprz rośnie. Na pociechę, słyszałem dokola, jak słuchacze powtarzali sobie, a raczej mnie do ucha: „Toć to czyste blażeństwo!“, albo: „Cóż za opętana muzyka!“ „Cóż za sabat piekielny!“ Biedny Janie Jakóbie! W tym okrutnym momencie, nie spodziewałeś się pewnie, że pewnego dnia, wobec króla Francji i całego dworu, dźwięki twoje wywołają szmery zdumienia i oklaski zachwyty, i że, we wszystkich łóżach dokola, uroczne kobiety będą szeptać półgłosem: „Cóż za czarowne dźwięki! Co za czarodziejska muzyka! jak te melodje wnikają do serca!“

Ale co wprawilo wszystkich w doskonały humor, to menuet. Zaledwie rozpoczęto pierwsze takt, usłyszałem ze wszystkich stron głośnie wybuchy śmiechu. Wszyscy wieszowali mi gustu tej melodji; zapewniano, że ten menuet rozślawi me imię i że godzien jest, by go wszędzie śpiewano. Nie potrzebuję chyba malować swego ulżenia i dodawać, iż sumiennie na nie zasłużyłem. Nazajutrz, jeden z symfonistów, nazwiskiem Lutold, przyszedł mnie odwiedzić i był tyle pocziwy, iż nie winował mi przynajmniej sukcesu. Głębokie poczucie mego blażeństwa, wstyd, żal, rozpacz z powodu położenia do jakiego się doprowadziłem, niemożność stłumienia głosu serca w chwilach ciężkiej próby, wszystko to spra-

wilo, iż otworzyłem mu duszę; dałem folę Izom i, miast zadowolić się wyznaniem nieuctwa, powiedziałem mu wszystko, prosząc o sekret, który mi przyrzekł i którego dochował tak jak można się spodziewać. Tego samego dnia, cała Lozanna wiedziała kim jestem: ale, co szczególnie, nikt tego mi nie okazał, nawet poczciwy Perrotet, który, mimo wszystko, nie zaprzestał mnie darzyć dachem i posiłkiem.

Żyłem tedy, ale bardzo smutnie. Taki początek kariery nie uczynił mi pobytu w Lozannie nader przyjemnym. Uczniowie nie cisnęli się zbyt tłumnie; uczenicy ani jednej; a nikogo z miasta. Miałem wszystkiego dwóch czy trzech tępych szwabów, których niezdarstwo dorównywało memu nieuctwu i którzy, w moich rękach, nie wyrosli na zbyt wielkich znawców sztuki wokalne. Wezwano mnie do jednego domu, gdzie panna, mała żmijka, zrobiła sobie uciechę znosząc całe mnóstwo partycyj, z których nie umiałem odczytać ani nuty, później zaś miała złośliwość odśpiewania tego wszystkiego przed „panem nauczycielem“, aby mu pokazać jak się to robi. Tak dalece nie byłem zdolny czytać *a vista*, że, w owym wspaniałym koncercie, który opisałem, nie umiałem ani przez chwilę podążać za wykonaniem, bodaj natyle aby zdać sobie sprawę, czy w istocie grano to, co miałem przed oczyma i co sam napisałem.

Wśród tylu upokorzeń, czerpałem bardzo słodką pociechę w wiadomościach, które otrzymywałem od czasu do czasu od dwóch uroczych przyjaciółek. Zawsze spotykałem w pleci niewieściej wielką zdolność pocieszenia; toteż, nie tak nie łagodzi mych strapień w przeciwnościach losu, jak gdy czuję, iż jaka luba istota bierze

o nich udział. Prawda, iż korespondencja urwała się niebawem i nigdy się już nie nawiązała: ale to było z mojej winy. Zmieniając miejsce pobytu, zapomniałem podać adres, a niebawem, zmuszony okolicznościami do myślenia o sobie samym, zapomniałem o nich zupełnie.

Długo już nie mówiłem słowa o mej najlepszej mamusi: ale kto by mniemał, iż zapomniałem o niej, myliłby się bardzo. Nie przestałem o niej myśleć i pragnąć ją odszukać, nie tylko dla potrzeb egzystencji, ale daleko więcej dla potrzeby serca. Przywiązanie do niej, mimo iż tak było i serdeczne, nie przeszkadzało mi kochać się w innych; ale nie było to w ten sam sposób. Niewątpliwie, i ona i inne zawdzięczały pierwotnie mą czułość swym pobodom; ale u innych, rzeczy te były ściśle ze sobą związane i miłość nie byłaby zdolna przetrwać straty wdzięku; podczas gdy mamusia mogłaby się zestarzeć i zbrzydzać, nie tracąc nic z mego przywiązania. Hold, który raz oddało jej urodzie, serce moje przelało w całość na jej osobę i, mimo wszelkich przeobrażeń, byleby ona zawsze była ona, uczucia moje nie mogły się zmienić. Wiedziałem dobrze, iż byłem jej winien wdzięczność; ale, wprawdy, nawet nie myślałem o tem. Cokolwiekby uczyniła czy nie uczyniła dla mnie, w niczem nie zmniejszałoby to istoty rzeczy. Kochałem ją nie z obowiązku, ani z interesu, ani z przywiązania; kochałem, ponieważ stworzony byłem aby ją kochać. Kiedy zdarzyło mi się kochać w innej, rozpraszało mnie to nieco, przyznaję, myślałem wówczas o niej mniej często; ale myślałem z tą samą przyjemnością, i nigdy, czy byłem zakochany w kim innym czy nie, nie zdarzyło mi się wspomnieć mamusi, iż bym natychmiast nie uczuł, że nie może

być dla mnie prawdziwego szczęścia w życiu, o ile będę zdala od niej.

Mimo iż nie miałem o niej wiadomości od tak dawna, ani na chwilę nie wierzyłem abym miał zupełnie ją postradać, ani żeby ona mogła o mnie zapomnieć. Powiedziałem sobie: Prędzej czy później, dowie się o mej włóczędce i da mi jakiś znak życia; odnajdę ją, pewien jestem. W oczekiwaniu tego, słodko mi było przebywać w kraju który był jej krajem, chodzić po ulicach po których ona chodziła, koło domów w których ona mieszkała; a wszystko na podstawie przypuszczeń, jednym bowiem z mych niedorzecznych dziwactw było to, iż nie śmiałem się nigdy dowiadywać o nią, ani też wymawiać jej imienia bez absolutnej konieczności. Zdawało mi się, że, wymawiając jej imię, obnażam wszystkie uczucia które ona sama budzi we mnie, że usta moje odsłaniają tajemnicę mego serca, i że narażam, do pewnego stopnia, ją samą. Sądzę nawet, iż mieszała się do tego i pewna obawa, by ktoś nie powiedział o niej czegoś złego. Mówiono dużo o jej postąpieniu, a trochę także o sposobie życia. Z obawy by nie powiedziano czegoś, czego bym nie chciał usłyszeć, wolałem, aby nie mówiono mi o niej wcale.

Ponieważ uczniowie nie zabierali mi zbyt wiele czasu, miasto zaś rodzinne mamusi odległe było tylko o cztery mile od Lozanny, zrobiłem tam wycieczkę na dwa czy trzy dni, podczas których nie opuszczało mnie ani na chwilę najśłodsze wzruszenie. Widok genewskiego jeziora i jego wspaniałych wybrzeży miał zawsze w moich oczach szczególny urok, którego nie umiałbym wytłómaczyć, i który nie wypływa jedynie z piękności krajobrazu, ale z czegoś tkwiącego głębiej, czegoś co mnie przejmując

rozczula. Za każdym razem, kiedy zbliżam się do Vaud, mam jakiegoś zmieszanego uczucia: wchodzi w nie wspomnienie pani de Warens, która się tam urodziła, mego który tam żył, panny de Vulson która miała pierwociny mego serca, różnych uroczych wycieczek które odbyłem w dzieciństwie i, zdaje mi się, jakaś inna przychyna, tajemniejsza jeszcze i silniejsza. Kiedy żarowa tęsknota za tem szczęśliwym i słodkim życiem, które mi ucieka a dla którego byłem zrodzony, rozpłoni mi wyobraźnię, zawsze wówczas zatrzymuję się w Vaud, nad jeziorem, w tych uroczych wioskach. Trzeba mi koniecznie sadu nad brzegiem jeziora, nie gdzieindziej, trzeba mi dobrego, pewnego przyjaciela, miłej kobiety, kłopotliwej krówki, małego czółenka. Nie znam prawdziwego na ziemi szczęścia, póki nie będę miał tego wszystkiego. Śmiać się muszę z naiwności, z jaką, wiele razy, szukałem się w te okolice, poto jedynie, by szukać tam tego urojonego szczęścia. Zawsze byłem zdziwiony, znajdując u mieszkańców, zwłaszcza u kobiet, zupełnie inny typ niż ten, którego szukałem. Jakże często raził mnie ten dysonans! Ziemia i ludzie którzy tam zamieszkały, nigdy nie wydawali mi się stworzeni dla się wzajem. W czasie tej podróży do Vevay, wędrując wzdłuż mego wybrzeża, poddawałem się najśłodziej melanholii: serce moje wybiegało z zapalem po tysiąc nieznanych rozkoszy; rozrzewniałem się, wdychałem i płakałem jak dziecko. Ileż razy, zatrzymawszy się aby się odpakać do woli, siedząc na dużym kamieniu, przyglądałem się, jak moje łzy kapały do wody!

W czasie dwóch dni, które spędziłem w Vevay nie znajdując nikogo, nabrałem dla tego miasta uczucia miłości,

które nie opuszczało mnie nigdy w moich wędrowkach, i które tam mi kazalo wreszcie umieścić bohaterów mego romansu¹⁾. [Rad byłbym powiedzieć wszystkim, którzy umieją czuć i patrzeć: Idźcie do Vevay, zwiedźcie kraj, przebiegnijcie okolice, przewieźcie się po jeziorze i powiedzcie czy natura nie stworzyła tych uroczych stron dla takiej Julji, dla takiej Klary i dla takiego Saint-Preux, ale nie szukajcie tam ich samych! Wracam do opowieści.

Ponieważ byłem katolikiem i podawałem się zań, dopełniałem bez tajemnicy i bez skrupułu obrządków mego przybranego wyznania. W niedzielę, gdy czas był ładny, chodziłem na mszę do Assens, o dwie mile od Lozanny. Odbywałem zwyczajnie tę drogę w towarzystwie innych katolików, zwłaszcza pewnego paryskiego hacciarza, którego imienia zapomniałem. A nie był to Paryżanin taki jak ja, ale prawdziwy Paryżanin z Paryża, arcy-Paryżanin z bożej łaski, przytem najpocziwszy człowiek w świecie. Kochał tak swoje rodzinne miasto, iż nigdy nie pozwolił sobie wątpić że ja zeń pochodzę, z obawy utracenia sposobności do rozmowy o niem. P. de Crouzas, zastępca gubernatora, miał ogrodnika również z Paryża, ale ten był mniej wyrozumiały i uważał za zniewagę dla chwały swego miasta, by ktoś ważył się podawać za jego mieszkańca, nie mając tego zaszczytu. Zadawał mi pytania z miną człowieka pewnego iż mnie na czemś wylapie, a potem uśmiechał się złośliwie. Zapytał mnie raz, co znajduje się godnego uwagi na Nowym Targu. Zreje-terowałem naturalnie, jak można sobie wyobrazić. Przeżywszy dwadzieścia lat w Paryżu, muszę teraz chyba

¹⁾ *Nowa Heloisa.*

znac to miasto; mimo to, gdyby mi kto dziś zadal podobne pytanie, odpowiedź na nie byłaby mi równie kłopotliwą; z tego zakłopotania, mógłby ktoś tak samo wnosić, że nigdy nie byłem w Paryżu. Do tego stopnia, nawet kiedy człowiek spotyka się z prawdą, z łatwością buduje ją na złudnych podstawach.

Nie umiałbym ściśle powiedzieć, jak długo zostałem w Lozannie. Nie mam z tego miasta żadnych wytycznych wspomnień. Wiem tylko, że, nie mając z czego żyć, udałem się do Neuchâtel, gdzie spędziłem zimę. W tem czasie powiodło mi się znacznie lepiej; znalazłem uczniów, zapracowałem tyle, że mogłem się uiścić z długu memu dawnemu przyjacielowi, p. Perrotet, który wiernie odesłał mi tobolek, mimo iż winien mu byłem sporo pieniędzy.

Nieznacznie, nauczając muzyki, sam się jej podurylem. Życie płynęło mi dość przyjemnie; rozsądny człowiek byłby się niem zadowolił; ale moje niespokojne serce domagało się czego innego. W niedzielę, i w dnie które byłem wolny, szedłem waleśać się po wsiach i lasach okolicznych, wciąż błędząc, marząc, wzdychając; kiedy raz wydostałem się z miasta, nie wracałem aż wieczór. Jednego dnia, w Bondry, wstąpiłem na obiad do jakiejś karczemki: ujrzałem tam mężczyznę z wielką brodą, w fioletowym ubraniu greckiego kroju, w fantazyjnej czapce, odzianego i wyglądającego dość szlachetnie. Przybysz ów zaledwie mógł się porozumieć, mówił bowiem szwargotem prawie niepodobnym do schwytnia uchem, ale bardziej zbliżonym do włoskiego niż do jakiegokolwiek innego języka. Rozumiałem prawie wszystko, ale tylko ja jeden; z gospodarzem i miejscowymi żłmami porozumiewał się jedynie na migi. Rzekłem po

włosku kilka słów, które rozumiał doskonale: wstał i zbliżył się do mnie, by mnie uściskać z zapamiętaniem. Wkrótce zapieczętowaliśmy przyjaźń i od tej chwili służyłem mu za tłumacza. Obiad, przy którym siedział, był smaczny i obfity; mój, więcej niż skromny. Zaprosił mnie do stołu, czego nie dałem sobie dwa razy powtarzać. Pijąc i gwarząc, zbliżyliśmy się jeszcze bardziej; pod koniec obiadu byliśmy już nierozłączni. Opowiedział mi, że jest prałatem greckim i jerozolimskim archimandrytą i że podjął się zbierać po Europie składkę na odrestaurowanie Grobu Zbawiciela. Pokazał mi patenty carowej i cesarza; miał je także i od innych panujących. Był dość zadowolony z tego co zebrał dotąd, ale, wedle tego co mówił, spotkał się z nadzwyczajnymi trudnościami w Niemczech, nie rozumiejąc ani słowa po niemiecku, po francusku i po łacinie, i skazany na język turecki, grecki i frankoński za cały ratunek; co wszystko nie na wiele zdało mu się w tym kraju. Zaproponował mi, bym mu towarzyszył jako sekretarz i tłumacz. Mimo świeżo nabytego fioletowego ubranka, które dość harmonizowało z moją nową pozycją, wyglądałem tak mało pokaźnie, iż liczył snadź że bez trudności przyjdzie mu mnie pozyskać, w czem zresztą się nie omylił. Łatwo dobiliśmy targu; ja nie żądałem nic, on przyrzekał wiele. Bez poręki, bez pewności, bez znajomości, oddałem się cały w jego ręce i oto, z dnia na dzień, puszczałem się na wędrówkę do Jerozolimy.

Zaczęliśmy kwestę od kantonu fryburskiego, gdzie mój prałat utargował niezbyt wiele. Godność biskupia nie pozwalała puszczać się na żebranie i kwestować u osób prywatnych; ale przedłożyliśmy pełnomocnictwa senatowi, który ofiarował niedużą sumkę. Stamtąd,

szliśmy się do Berna. Stanęliśmy pod Sokołem, wówczas dobrej oberży, gdy schodziło się lepsze towarzystwo. Stół był liczny i dobrze zaopatrzony. Oddawna już z jadłem mojem było nader krucho; bardzo trzeba mi było skrzepić się pod tym względem: nadarzyła się sposobność, korzystałem z niej. Jego Wielebność pan archimandryta był to człowiek dość światowy, lubiący swobodną pogawędkę przy stole, wesoły, dowcipny (dla tych, którzy go rozumieli), nie bez pewnego wykształcenia i dość przyjemnie zaprawiający rozmowę swą grecką erudycją. Jednego dnia, rozłupując przy węgach orzechy, zaciął się głęboko w palec; krew popłynęła obficie, on zaś pokazał palec kompanji i rzekł w śmiechem: *Mirate, signori, questo e sangue pelasgo.*

W Bernie, usługi moje nie były mu wcale zbyt cenne. Wywiązałem się z nich nie tak źle, jak się obawiałem. Czułem się o wiele śmielszy i wymowniejszy, niżbym umiał być dla samego siebie. Sprawa nie odbyła się tak gładko jak we Fryburgu; trzeba było długich i częstych konferencji z naczelnikami rządu, a sprawdzanie tytułu archimandryty też nie dało się ubić w jednym dniu. Wkońcu, znalazłszy wszystko w porządku, dopuszczono prałata do audjencji w senacie. Wszedłem z nim jako tłumacz; polecono mi mówić. Była to ostatnia rzecz, której się spodziewałem, nie przyszło mi bowiem na myśl, iż, po tak długich naradach z poszczególnymi członkami, trzeba będzie zwracać się znowu do „ciała“, tak jakby nic nie było powiedziane. Można sobie wyobrazić moje zakłopotanie! Dla człowieka tak nieśmiałego, przemawiać nie tylko publicznie, ale wobec senatu Berna i to z miejsca, nie mając ani minuty na przygotowanie, to chyba dość by mnie unicestwiło. Tymczasem, nawet się nie zmie-

szalem. Wyłożyłem treściwie i jasno sprawę archimandryty. Pochwalilem pobożność monarchów, którzy przy czynili się ofiarą do składki. Pobudzając Ich Ekscelencję do szlachetnej emulacji, rzekłem, iż zwyczajna ich wspa niałomyślność pozwala i w nich niemniejsze pokładać nadzieje; następnie, przeprowadziwszy wywód iż to szlachetne dzieło równie drogiem być winno wszystkim chrześcijanom bez różnicy sekty, zakończyłem przyrze czeniem błogosławieństwa niebios tym, którzy zechcą się przyczynić do składki. Nie powiem, aby mój wywód wywarł silne wrażenie, ale zrobił swoje i, z końcem audjencji, archimandryta otrzymał dość okazały prezencik, a za razem sporo komplementów pod adresem talentów sekretarza, komplementów, których miałem przyjemność być tłómaczem, nie śmiejąc ich wszelako przy toczyć w dosłownem brzmieniu. Oto jedyny raz w życiu przemawiałem publicznie i przed Najwyższą Władzą i jedyny raz może także mówiłem dobrze i śmiało. Co za różnice w charakterze tego samego człowieka! Przed trzema laty, wybrawszy się do Yverdun, do mego starego przyjaciela, p. Roguin, musiałem przyjąć deputację, która przybyła podziękować za parę książek ofiarowanych bibliotece tego miasta. Szwajcarzy są wielcy oratorzy, toteż panowie ci wypalili do mnie orację. Czulem się zmuszony odpowiedzieć; ale poplątałem się tak w od powiedzi i w głowie mi się tak zmaciło, że utknąłem w połowie i naraziłem się tylko na drwiny. Mimo iż lek liwy z natury, bywałem niekiedy śmiały w młodości, nigdy w późniejszym wieku. Im dłużej żyłem na świecie, tym trudniej mi było dostroić się do jego tonu.

Opuściwszy Berno, udaliśmy się do Solury; zamiarem

bowiem archimandryty było skierować się znów ku Niemcom i wrócić przez Węgry i Polskę, co stanowiło dla niego drogę; ale, ponieważ wśród drogi sakwy raczej przecinały niż się wypróżniały, nie obawiał się nazbyt tego okrażenia. Co do mnie, który podróż konną lubilem tak samo jak pieszą, nie miałbym nic przeciw temu aby podróżować tym kształtem całe życie: ale było pisane że nie zawędruję tak daleko.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniliśmy przybywszy do Solury, było pokłonić się p. ambasadorowi francuskiemu. Nieszczęściem dla biskupa, stanowisko ambasadora zajmował margrabia de Bonac, który był, w swoim czasie, ambasadorem u Porty, i który, tem samem, musiał być dobrze poinformowany o wszystkim co się tyczyło w. Grobu. Archimandryta otrzymał audjencję trwającą blisko kwadrans, ponieważ ambasador rozumiał język frankoński, a po włosku mówił conajmniej równie dobrze jak ja. Skoro Grek wyszedł, chciałem iść za nim; zatrzymano mnie i wzięto z kolei na spytki. Ponieważ podałem się za Paryżanina, podpadałem jako taki pod jurysdykcję Jego Ekscelencji. Zapytał, kto jestem, upominając bym mówił prawdę; co też przyrzekłem, prosząc o osobną audjencję, której mi udzielono. Ambasador zabrał mnie do oddzielnego gabinetu i zamknął drzwi; tam, rzuciwszy się do nóg, dotrzymałem słowa. Toż samo byłbym uczynił bez żadnego przyrzeczenia, nieustanna bowiem potrzeba zwierzania się i wynurzeń należy do właściwości mego charakteru. Skoro mogłem się tak bez zastrzeżeń wypowiadać owemu muzykantowi Lutoldowi, nie miałem przyczyny bawić się w sekrety z margrabią de Bonac. Był tak rozbawiony moją historyjką i naiwnem wyłaniem

z jakim ją opowiadałem, że wziął mnie za rękę, zaprowadził do pani ambasadorowej i przedstawił, powtarzając w skróceniu me dzieje. Pani de Bonac przyjęła mnie z dobrocią i rzekła, że nie trzeba mi pozwolić iść z tym mnichem greckim. Postanowiono, że zostanę na razie w pałacu, a później pokaże się, co ze mną począć. Chciałem pożegnać się z biednym archimandrytą, do którego przywiązałem się potrosze: nie pozwolono. Posłano doń z wiadomością iż mnie zatrzymano, i, w kwadrans potem, otrzymałem moje zawiniątko. Panu de la Martinière, sekretarzowi ambasady, polecono zaopiekować się mną na razie. Prowadząc mnie do przeznaczanego pokoju, rzekł: Ten pokój zajmował, za hrabiego de Luc, sławny człowiek, tego samego nazwiska co ty: od ciebie jedynie zależy, aby we wszelakim sposobie wstąpić w jego ślady i sprawić, by kiedyś mówiono „Rousseau pierwszy, Rousseau drugi“. Ta wróżba, której ziszczenia nie spodziewałem się wówczas wcale, byłaby mniej lubo pogłaszała me pragnienia, gdybym mógł przewidzieć, jak drogo przyjdzie mi kiedyś okupić jej spełnienie.

Odezwanie się pana de la Martinière, obudziło we mnie ciekawość. Przeczytałem dzieła tego którego pokój zajmowałem i, podniecony tym komplementem, mniemając iż mam zamiłowanie do poezji, skomponowałem, jako pierwszą próbę, kantatę na cześć pani de Bonac. Ta skłonność nie okazała się opartą na głębszych podstawach. Składałem, od czasu do czasu, dość mierne wiersze: jest to niezłe ćwiczenie aby się zaprawić w wykwintnej składni i nauczyć się lepiej pisać prozą; ale nigdy poezja francuska nie przedstawiała dla mnie dość uroku, abym się jej zapragnął poświęcić całkowicie.

P. de la Martinière chciał poznać mój styl i zażądał na piśmie mojej szczegółowej historji, tak jak ją opowiedziałem p. ambasadorowi. Wypisałem długi list, będący, jak się dowiaduję, dotąd w przechowaniu u pana de Marianne, który długi czas przebywał przy margrabi de Bonac i który później był następcą p. de la Martinière, za ambasady pana de Courteilles. Prosiłem pana de Malesherbes, aby się postarał uzyskać dla mnie kopję tego listu. Jeśli zdołam go wydostać przez niego albo przez kogo innego, znajdzie miejsce w małym archiwum, które ma być dołączone do tych Wyznań.

Doświadczenie, którego zaczynałem nabierać, łagodziło potrosze moje romantyczne projekty; tak naprzykład, nie tylko nie zakochałem się w pani de Bonac, ale zrozumiałem odrazu, iż nie mogę dojść do niczego wielkiego w domu jej męża. Wobec tego, że miejsce było zajęte przez p. de la Martinière, który miał już następcę w osobie p. de Marianne, jedynym losem, który mógł mnie oczekiwać, byłoby stanowisko jakiegoś podsekretarza, co nie kusilo mnie zbyt. To było powodem, iż, kiedy mnie spytano co pragnę począć z sobą, objawiłem wielką ochotę dostania się do Paryża. P. ambasador zasmakował w tej idei, która miała bodaj tę zaletę, iż uwalniała go odemnie. Pan de Merveilleux, sekretarz-tłumacz ambasady, powiedział, że jego przyjaciel, p. Godard, pułkownik Szwajcarów w służbie Francji, szuka kogoś, kogoby mógł umieścić przy swoim siostrzeńcu, bardzo młodo rozpoczynającym karierę wojskową: otóż, pomyślał, iż mógłbym się nadać. W myśl tego postanowienia, powziętego dość sobie lekko, zdecydowano mój wyjazd. Co do mnie, który widziałem w tem per-

spektywę podróży z Paryżem u kresu, puściłem się w drogę z wielką radością. Dano mi parę listów, sto franków na drogę wraz z wieloma zbawieniami naukami, i ruszyłem.

Podróż ta zajęła mi dwa tygodnie, które mogę zaliczyć do najszcześniejszych w życiu. Byłem młody, czułem się zdrow, miałem dość pieniędzy, dużo nadziei, podróżowałem pieszo i sam. Mógłby się czytelnik zdziwić, słysząc że wymieniam to ostatnie jako dodatnią okoliczność, gdyby nie to, że musiał się już chyba zapoznać z mem usposobieniem. Słodkie chimery dotrzymywały mi towarzystwa, a nigdy w mej rozplamionej wyobraźni nie legły się one wspanialej niż wówczas. Kiedy mi ktoś ofiarował miejsce w wehikule, albo przyczepił się do mnie w drodze, sarkalem, widząc, jak rozsypują się fantastyczne zamki które budowałem sobie wędrując samotnie. Tym razem, myśli moje miały charakter marsowy. Miałem zająć stanowisko przy osobie wojskowego i sam wstąpić do wojska; ułożono bowiem, że, na początek, mam zostać kadetem. Zdawało mi się, że już się widzę w oficerskim mundurze z białym pioropuszem. Serce moje wzdykało się na ten szlachetny obraz. Miałem trochę pojęcia o geometrii i o sztuce fortyfikacyjnej; miałem wujka inżynierem; byłem tedy poniekąd dzieckiem obozu. Krótki wzrok sprawiał niejaki trudności, ale to mnie nie kłopotowało; liczyłem, iż zimna krew i nieustraszona odwaga zrównoważą tę drobną ułomność. Czytałem gdzieś, że marszałek Schomberg miał wzrok bardzo krótki; dlaczegoż marszałek Rousseau nie mógłby mieć tego samego braku? Tak rozpaliałem się temi wszystkimi szaleństwami, że widziałem jedynie same wojska, szanie, okopy, baterie, i siebie, wśród ognia i dymu, z lunetą w dłoni, wydających

spokojnie rozkazy. Mimo to, kiedy przechodziłem przez proce wioski, kiedy widziałem strumienie i gaiki, ten wzruszający widok wyrывał mi westchnienie żalu; czułem, w pełni chwały, że serce me nie jest stworzone do bitewnego rzekunku; i oto, w jednej chwili, sam nie wiedząc jak, znów majdowałem się na łonie mej pasterskiej sielanki, wyrekając się na zawsze czynów Marsa.

Jakże doszczętnie pierwszy widok Paryża obalił wszystko co o nim roilem! Zewnętrzna wspaniałość którą podziwiałem w Turynie, piękność ulic, symetria i uszeregowanie domów, kazały mi spodziewać się po Paryżu czegoś o wiele wspanialszego jeszcze. Wyobrażałem sobie miasto równie piękne jak duże, o imponującym kształcie, gdzie spotyka się jeno same pyszne ulice, pałace z marmuru i złota. Wchodząc przez przedmieście Saint-Marceau, ujrzałem, przeciwnie, brudne i cuchnące uliczki, brzydkie i czarne domy, obraz niechlujstwa, ubóstwa, żebraków, przekupniów, cerowaczki pończoch, handlarki limonady i starych kapeluszy. Wszystko to uderzyło najpierw moje oczy, a wrażenie było tak silne, że wszystkie prawdziwe wspaniałości które później widziałem w Paryżu, nie mogły zatrzeć tego wrażenia i na zawsze został mi pewien tajemny wstręt do mieszkania w tej stolicy. Mogę powiedzieć, że cały czas który spędziłem później w Paryżu obracałem jedynie na zdobycie środków, któreby mi pozwoliły żyć zdala od niego. Taki jest owoc nazbyt czynnej wyobraźni, która przesadza jeszcze wszelką ludzką przesadę i widzi zawsze więcej niż ktoś jej powiada. Tak mi wysławiano Paryż, że wyobraziłem go sobie niby dawny Babilon, który, gdybym go mógł widzieć, tak samoby mnie może zawiódł

w stosunku do pojęć jakie sobie o nim wytworzyłem. Toż samo zdarzyło mi się w Operze, gdzie pospieszyłem zaraz na drugi dzień po przybyciu; toż samo później w Wersalu; toż samo za pierwszym widokiem morza; i zdarzy mi się zawsze, ilekroć przyjdzie mi oglądać rzeczy zbyt zapowiadane; niepodobna bowiem ludziom, a trudno nawet samej naturze, przewyższyć, co do bogactwa, mają wyobraźnię.

Wnosząc ze sposobu w jaki mnie przyjęto u wszystkich osób do których miałem listy, sądziłem, iż los mój jest zapewniony. Człowiekiem, któremu najgoręcej mnie polecono, a który najmniej okazał mi przychylności, był p. de Surbeck, wycofany ze służby i pędzący filozoficzny żywot w Bagneux. Odwiedziłem go tam kilkakrotnie, przyczem nie poczęstował mnie nigdy ani szklanką wody. Lepszego doznałem przyjęcia u pani de Merveilleux, bratowej tłumacza, i u jego bratanka, oficera gwardji. Nietylko matka i syn przyjęli mnie życzliwie, ale zaprosili mnie do swego stołu, z którego nieraz korzystałem w ciągu pobytu w Paryżu. Pani de Merveilleux musiała być niegdyś piękna; miała bujne czarne włosy, zakręcone, wedle starej mody, w różyczki na skroniach. Zostało jej to, co nie przemija wraz z urodą: żywy i bystry umysł. Zdawała się nawzajem smakować w moim, i zrobiła co mogła aby mi w czem dopomóc; ale nikt jej nie poparł i niebawem rozczarowałem się zupełnie co do zainteresowania które mi zrazu okazywano. Trzeba wszelako oddać sprawiedliwość Francuzom: nie wysilają się oni tak bardzo, jak to o nich powiadają, na oświadczenia i obietnice, a jeśli je czynią, to prawie zawsze szczerze; ale mają pewien żywy sposób okazywania swego zajęcia, który

bardziej ludzi niż słowa. Ciężkie komplementa Szwajcarów mogą zwieść jedynie głupca: przyjęcie Francuzów jest przez to samo bardziej pociągające, że jest nader proste: myślelibyście, że oni nie mówią wszystkiego co chcą dla was uczynić, aby wam sprawić tem miłą niespodziankę. Powiem więcej, nie są wcale fałszywi w swych wyznaniach; są z natury uczynni, ludzcy, życzliwi, i nawet, mimo wszystko co o nich mówią, szczerzy od innych: ale są letcy i zmienni. Wierzą w istocie w uczucia, które objawiają, ale te uczucia odchodzą równie łatwo jak przychodzą. Mówiąc z wami, pełni są was niejako; zejście im z oczu, zapomną natychmiast. Nie trwałego w ich sercu; wszystko jest dziełem chwili.

Doznałem tedy mnóstwa grzeczności, a bardzo mało pomocy. Pułkownik Godard, którego bratankowi mnie przydano, okazał się paskudnym starem skąpcym, który, mimo iż nadziany złotem, widząc mnie w ciężkiem położeniu, chciał mnie kupić za nic. Pragnął uczynić ze mnie przy swoim siostrzeńcu raczej cś w rodzaju służącego, niż to bez zasług w dodatku. Będąc nieustannie przywiązany do jego osoby, a tem samem wolny od czynnej służby, musiałbym żyć jedynie z mej nędznej płacy kadeta, to znaczy żołnierza: zaledwie że zgodził się sprawić mi mundur; chciał, bym się zadowolił pułkowym. Pani de Merveilleux, oburzona tymi warunkami, sama odradziła mi przyjęcie; syn jej również podzielał to zdanie. Szukano dla mnie czegoś innego: nie nie można było znaleźć. Tymczasem zaczęło być około mnie kuso: sto franków, z których już opędziłem podróż, nie mogły mnie zaprowadzić daleko. Na szczęście, otrzymałem od ambasadora jeszcze małą przesyłkę, która mnie bardzo wspomogła;

sądę, że i nadal nie byłby mnie opuścił, gdybym miał więcej cierpliwości: ale czekać, znosić, prosić, wszystko to były dla mnie rzeczy niemożliwe. Zrazilem się, przestałem się pokazywać i wszystko się urwało. Nie zapomniałem mej drogiej mamusi: ale jak ją znaleźć? gdzie szukać? Pani de Merveilleux, która znała moje dzieje, pomagała mi w poszukiwaniach; przez długi czas bez skutku. Wreszcie, powiadomiła mnie, iż pani de Warens opuściła miasto przed przeszło dwoma miesiącami, ale niewiadomo, czy udała się do Sabaudji czy do Turynu; wiele osób twierdziło, iż wróciła do Szwajcarii. Nie trzeba było więcej, by mnie skłonić do puszczania się w jej ślady, w tej nadziei, iż, gdziekolwiek bawi, łatwiej mi będzie odnaleźć ją na prowincji niż w Paryżu.

Nim opuściłem miasto, dałem upust świeżo obudzonej wrażliwości poetyckiej w epistole do pułkownika Godard, w której osmarowałem go jak umiałem. Pokazałem też bazgroty pani de Merveilleux, która, miast osądzić je jak należało, uśmieła się serdecznie z mych sarkazmów; toż samo syn, który, jak mniemam, nie lubił p. Godard: trzeba też przyznać że nie był przyjemny. Ogarnęła mnie pokusa, by mu posłać owe wiersze: oboje podsycali mnie w tej myśli: zwinąłem je w pakiecik, zaadresowałem, a że wówczas nie było jeszcze w Paryżu miejskiej poczty, włożyłem do kieszeni i wysłałem po drodze z Auxerre. Śmieję się jeszcze czasem, gdy sobie wyobrażę, jaką minę musiał robić czytając ten panegiryk, gdzie był odmalowany do nadrobniejszego rysu. Zaczynał się tak:

Więcś, stary ty kutwo, myślał że się skuszę,
By twojego bratanka torturować duszę?

Ten drobny utwór, lichy napisany w gruncie, ale nie obawiony soli i i zdradzący pewien talent do satyry, był wszelako jedynem pismem satyrycznem które wyszło pod mego pióra. Posiadam serce zbyt mało dostępne dla nawiązań, aby robić użytek z podobnego talentu; ale, ile mi się zdaje, z niektórych utworów polemicznych, które zmuszony byłem pisać od czasu do czasu w swej obronie, można wnosić, że, gdybym był bardziej wojowniczego usposobienia, napastnicy moi rzadko mieliby śmiesz-
tów po swej stronie.

Ze wszystkich szczegółów zagubionych w mej pamięci, pamięć której żałuję najbardziej jest to, iż nie spisywałem dziennika moich podróży. Nigdy tyle nie myślałem, nie czułem, nie żyłem, nie byłem tak sobą, jeśli można się tak wyrazić, jak w czasie tych wędrówek, które odbywałem sam i pieszo. Chodzenie ma w sobie coś, co pobudza i ożywia moją myśl; nie jestem prawie zdolny myśleć kiedy siedzę w miejscu; trzeba, by ciało było w ruchu, by pobudzić mój umysł. Widok wsi, przesuwanie się nowych krajobrazów, świeże powietrze, dobry apetyt, zdrowie które wdycham w siebie w takiej pieszej wędrówce, podobne popasy po karczemkach, oddalenie od wszystkiego co daje mi uczuć zależność, co przywodzi na pamięć moje położenie, wszystko, to wyzwała mą duszę, dawała większą śmiałość myślenia, rzuca mnie niejako w nieograniczoną swobodę bytów, aby je kombinować, wybierać, brać w siebie wedle woli, bez troski i obawy. Rozrządzam wówczas jak władca całą przyrodą; serce, błędząc z przedmiotu na przedmiot, łączy się, zespala z tymi które są mi mile, otacza się czarownymi obrazami, upaja rozróżną czucia. Jeżeli, dla utrwalenia ich, przyjdzie mi

ochota zabawić się notowaniem ich w duszy, jakąż nadaje im siłę pędzla, jakąż świeżość kolorytu, jakąż energię wyrazu! Wszystko to, powiadają, przejawia się w mych dziełach, jakkolwiek pisanych na schyłku lat. Ach, gdyby kto mógł znać dzieła pierwszej młodości, te, które były poczęte podczas mych podróży, te które tworzyłem a których nie spisałem nigdy!... Czemuż, powiecie, było nie pisać ich? A poco? odpowiem: poco ujmować sobie upożyczenia doraźnej rozkoszy, by opowiedzieć drugim że je doznałem? Co mnie obchodzili czytelnicy, publiczność, ziemia cała, podczas gdy duszą szybowałem w niebie? Zresztą, czyż miałem ze sobą papier, pióra? Gdybym myślał o tem wszystkiem, nicby mi nie przyszło do głowy. Nie przewidywałem zgóry, że będę miał natchnienie; przychodzi, kiedy jemu się podoba, a nie kiedy ja bym pragnął. Myśli albo nie przychodzą wcale, albo przychodzą tłumnie, przysięgają mi mnogością i siłą. Dziesięć tomów na dzień nie byłoby mi starczyło. Skąd wziąć czas do napisania ich? Przybywając na popas, myślałem jedynie o tem, by się pokrzepić dobrym obiadem. Ruszając w drogę, tylko o tem, aby dobrze maszerować. Czułem, że nowe raje czekają mnie u bramy. Myślałem tylko, aby się do nich dostać.

Nigdy nie czułem tego tak dobrze, jak w owej powrotnej drodze. Wędrując do Paryża, ograniczałem się do myśli odnoszących się do przyszłych planów. Rzucałem się w karierę, której miałem się poświęcić i przebiegłem ją dość chlubnie; ale karjera owa nie była tą do której serce mnie ciągnęło; rzeczywistość zawadzała wyobraźnię. Pułkownik Godard i jego bratanek zbyt mało nadawali się do kompanji takiego jak ja bohatera. Dzięki

temu, byłem teraz wolny od wszystkich przeszkód: mogłem zanurzyć się do syta w krainę chimery, to jedynie mi zostało przedemną. Toteż, zagłębiłem się w niej tak skutecznie, iż, niejednokrotnie, dosłownie zgubiłem się w drodze; byłbym zresztą bardzo nierad trzymał się zbyt ściśle, czując bowiem, że w Lyonie będę musiał znaleźć się na ziemi, wołałbym nigdy tam nie dotrzeć. Jednego dnia, między innymi, zboczywszy umyślnie z drogi, aby obejrzeć zbliska jakąś okolicę która wydała mi się cudowna, upodobałem sobie w niej tak bardzo, że tak długo krążyłem po niej w rozmaitych kierunkach, że wreszcie zabląkałem się na dobre. Po kilku godzinach przemnej wędrówki, zmęczony i konający z głodu i pragnienia, wszedłem do domku jakiegoś wieśniaka. Chałupa nie przedstawiła się zbyt okazała, ale była to jedyna jaką widziałem w okolicy. Mniemałem, że jest tu tak, jak w Genewie albo Szwajcarji, gdzie wszyscy mieszkańcy mają się nieźle i, w danym razie, nie są w zbyt wielkim niedopociu, gdy trzeba ugościć przybysza. Poprosiłem go, aby, za wynagrodzeniem, przyrządził mi jakiś obiad. Ofiarował kubek kwaśnego mleka i kromkę jęczmiennego chleba, powiadając iż to jest wszystko co posiada. Wybrałem mleko z rozkoszą i zjadłem chleb ze słomą, z otrębinami, ze wszystkiem; ale nie było to zbyt świetne pociepienie dla człowieka upadającego ze znużenia. Chłopak, który mi się przyglądał tymczasem, ocenił szczerotę moich intencyj ze szczeroci apetytu. Oświadczywszy mi, iż widzi¹⁾ że jestem porządnym chłopakiem, który nie ma zamiaru go podejść, otworzył skrytkę przy kuchni,

¹⁾ Widocznie nie miałem wówczas jeszcze fizjognomji, jaką mi dawano później w moich portretach.

puszczył się do niej, i wrócił za chwilę z pięknym bochenkiem chleba z czystej pszenicy, bardzo apetyczną szynką i buteleczką wina, której fizjognomja, bardziej niż wszystko inne, rozweseliła mi serce: do tego dołączył się omelet o uczciwej konsystencji; słowem, obiad, jakiego nikt, kto nie podróżował pieszo, nie zaznał w życiu. Kiedy przyszło do płacenia, oto na nowo chwytą go obawa i niepokój: nie chce przyjąć pieniędzy, odpycha je z niezmiernym pomieszaniem; a najzabawniejsze było, że zupełnie nie mogłem się domyślić, czego on się tak obawia. Wreszcie, wymówił ze strasliwym drżeniem miano komisarzy i *po-borców*. Dał mi do zrozumienia, że z obawy przed ich drapieżnością ukrywa tak starannie swój dobytek, i że byłby zgubiony, gdyby ktoś mógł podejrzewać że nie umiera z głodu! To, co mi powiedział w tym przedmiocie, a o czem nie miałem najmniejszego pojęcia, zrobiło na mnie wrażenie, które nigdy się nie zatrze. To był zarodek nieugaszonej nienawiści, jaka rozwinęła się później w me sercu przeciwko prześladowaniom, które cierpi ten nie-szczęśliwy lud i przeciw jego ciemnościom. Ten człowiek, mimo iż wcale dostatni, nie śmiał jeść chleba, który zdobył w pocie czoła! ratował się od ruiny, przybierając niejako pozory nędzy która panowała wokoło niego. Opuściłem chatę oburzony i rozczulony zarazem, bolejąc nad losem pięknego kraju, który natura obsypała darami jedynie poto, by się stały lupem barbarzyńskich publicanów.

Oto jedyne wyraźne wspomnienie z tego co mi się zdarzyło w ciągu drogi. Przypominam sobie jeszcze tylko to, iż, zbliżając się do Lyonu, skusiłem się, by przedłużyć drogę dla odwiedzenia brzegów Lignon; pomiędzy roman-

ami bowiem które pochłaniałem z ojcem, nie brakło *Astrei*, i ona to najczęściej wracała mi na pamięć. Zapytałem o drogę do Forez; gospodyni, wdawszy się w gawędę, powiedziała, że jest to okolica gdzie bardzo rzadzi widzą robotników, obfitująca w kuźnie i słynna z pięknych wyrobów żelaznych. Ta pochwała zgasiała w jednej chwili mą romantyczną ciekawość; nie wydało mi się właściwem iść na poszukiwanie Dyan i Sylwandrów wśród narodu kowali. Dobra kobiecina, która zachęcała mnie w ten sposób, wzięła mnie z pewnością za czeladnika krawieckiego.

Nie szedłem do Lyonu zupełnie bez celu. Przybywszy do miasta, wybrałem się najpierw do Chasottes w ódrzędziny do panny du Châtelet, przyjaciółki pani de Wams, do której mamusia dała mi nawet list kiedy puściłem się do Lyonu z mistrzem: była to już tedy stara znajomość. Panna du Châtelet, powiedziała mi że, w istocie, przyjaciółka jej przejeżdżała przez Lyon, ale niewiadomo czy dotarła aż do Piemontu: sama nawet, wyjeżdżając, nie była pewna, czy nie zatrzyma się w Sabaudji. Zaproponowała mi, że, jeżeli chcę, może napisać do niej, aby zasięgnąć wiadomości; najlepiej zaś będzie, jeżeli zaczekam w Lyonie. Przyjąłem propozycję, ale nie śmiałem wyznać pannie du Châtelet, że pilno mi mieć odpowiedź, że stan mej szczupłej sakiewki nie pozwala na zbyt długie wyczekiwanie. Nie wstrzymała mnie od tego obawa tego przyjęcia: przeciwnie, panna du Châtelet okazała mi wiele serdeczności, traktując mnie na zupełnie równej stopie. To właśnie odebrało mi odwagę: lękałem się, że roli milego znajomego, spaść do roli nieszczęśliwego bratka.

Zdaje mi się, że czytam dość jasno w porządku wydarzeń zanotowanych w tej księdze. Wszelako, jeśli się nie mylę, przypominam sobie, w tej samej epoce, inną podróż do Lyonu, której czasu nie mogę oznaczyć i w ciągu której było koło mnie bardzo kuso. Mała przygoda, dość trudna do opowiedzenia, utrwaliła mi w pamięci ten pobyt. Jednego dnia, siedziałem na ławce na Bellecour po bardzo chudej kolacyjce, kiedy jakiś człowiek w czapce siadł koło mnie. Z miny, wyglądał na jednego z owych robotników, zatrudnionych w przemyśle jedwabniczym, których w Lyonie nazywają *tafciarzami*. Odzywa się z cześć do mnie, odpowiadam mu. Tak pogadaliśmy sobie z kwadrans, kiedy, z tą samą zimną krwią i nie zmieniając tonu, człowiek ten proponuje, byśmy się zabawili wspólnie. Czekalem wytłómaczenia, co to ma być za zabawa; ale on, bez żadnych objaśnień, uważał za stosowne pouczyć mnie przykładem. Siedzieliśmy prawie ramię w ramię, a noc nie była dość ciemna bym nie mógł widzieć jakiego rodzaju zabawie się oddawał. Nie miał żadnych zamiarów na moją osobę: przynajmniej nie nie zdradzało tej intencji i miejsce nie było sposobne ku temu; chciał jedynie, jak powiedział, „zabawić się“ i żebym ja się zabawił, każdy sobie. To zdawało mu się tak proste, że nawet nie przypuszczał, bym ja się mógł patrzeć inaczej na rzeczy. Przerażony tym bezwstydem, nie odpowiadając, zerwałem się spiesźnie i zacząłem uciekać pędem, mając ciągle uczucie, iż ten nieszczęśnik goni za mną. Byłem tak pomięszany, że, miast skierować się do mej kwatery przez ulicę św. Dominika, pobiegłem wzdłuż wybrzeża i zatrzymałem się aż za drewnianym mostem, drżąc tak, jakgdybym popełnił zbrodnię. Byłem

podległy temu samemu nałogowi: wspomnienie to wy-
decyzyło mnie na długo.

W czasie tej podróży, miałem przygodę mniejwięcej tego samego rodzaju, ale grożącą większem niebezpieczeństwem. Czując, iż gotowizna zbliża się ku końcowi, oszczędzałem jak mogłem szczupłe resztki. Coraz rzadziej przechodziłem na posiłek do oberży, a wkońcu przestałem tam jadać zupełnie, znalazłszy jakąś norę, w której, za pięć czy sześć soldów, mogłem nasycić się tak samo dobrze, jak tam za dwadzieścia pięć. Nie jadając w domu, wahałem się czy mogę tam iść spać; nie iżbym był dużo winien, ale wstyd mi było zajmować pokój, nie dając nic utar-
gować gospodyni. Pora była ładna. Jednego wieczora, było tak ciepło, iż postanowiłem spędzić noc na placu; położyłem się na ławce, kiedy jakiś przechodzący ksiądz, widząc mnie tak spoczywającego, zbliżył się do mnie i zapytał czy nie mam noclegu. Wyznałem mu moją sytuację, którą zdawał się wzruszony. Usiadł koło mnie, zaczęliśmy rozmawiać. Mówił przyjemnie: wszystko, co mówił uprzyatniało mi jak najlepiej. Spostrzegłszy, iż pozyskał moje zaufanie, zwierzył mi się, iż nie posiada zbyt obszernego pomieszczenia, ma bowiem tylko jeden pokój, ale że pewnością nie pozwoli mi tak spać pod gołym niebem, że zaś jest za późno by szukać noclegu, tedy, na tę noc, ofiaruje mi połowę łóżka. Przyjąłem ofiarę, rojąc już sobie, że oto znalazłem przyjaciela, który będzie mi mógł być użyteczny. Idziemy. Pokój szczupły, ale schludny; gospodarz bardzo uprzejmy. Wydobył ze szklanego słoja wódkę; zjedliśmy po dwie i położyliśmy się spać. Okazało się, iż ten człowiek miał takie same upodobania do owego żyd w przytulisku, tylko że nie objawił ich równie

brutalnie. Czy że, w obawie iż mogę narobić hałasu, lękał się mego oporu, czy w istocie mniej był gorącego temperamentu, dość że nie ośmielił się czynić otwartych propozycji, tylko starał się mnie wzruszyć łagodniejszymi środkami. Bardziej świadomy rzeczy niż pierwszym razem, zrozumiałem wkrótce jego chęci i zadrżałem. Nie widząc ani w jakim domu, ani w czyich rękach się znajduję, lękałem się, iż, w razie gwałtownej opozycji, mogę to przypłacić życiem. Udawałem że nie rozumiem czego żąda; ale, okazując wielkie zniecierpliwienie jego pieszczotami i zdecydowany nie ścierpieć dalszego ciągu, opierałem się tak skutecznie, iż był zmuszony przestać. Wówczas, zacząłem doń przemawiać z całą słodyczą i stanowczością do jakiej byłem zdolny. Udaając, że nie nie podejrzewam, niepokój mój wytlómaczyłem dawniejszą przygodą, którą odmalowałem mu umyślnie w wyrazach tak pełnych grozy i wstrętu, że w nim samym, jak sędzę, musiałem wywołać obrzydzenie. Wreszcie odstąpił zupełnie od brudnych zamiarów. Spędziliśmy spokojnie resztę nocy; powiedział mi nawet wiele rzeczy bardzo zacnych, bardzo rozsądnych; był to z pewnością człowiek nie bez zalet, mimo iż wielki świętuch.

Rano, księżyk, który nie chciał okazać swego zawodu, wspomniawszy o śniadaniu i poprosił córkę gospodyni, ładną dziewczynę, aby nam coś przyniosła. Odparła, iż nie ma czasu. Zwrócił się do jej siostry: nie raczyła nawet odpowiedzieć. Czekaliśmy ciągle, śniadania ani śladu. Wreszcie, przeszliśmy do pokoju panienek. Przywitały księżykę w sposób bardzo mało uprzejmy. Ja jeszcze mniej miałem powodu do zadowolenia ze sposobu przyjęcia. Starsza, wykręcając się na pięcie, wbiła mi szpiczasty obcas w ko-

niec nogi, właśnie w miejsce, w którym bardzo bolesny uderisk zmusił mnie do przecięcia trzewika. Druga usunęła gwałtownie krzesło, na którym miałem właśnie usiąść; matka, wylewając wodę oknem, skropiła mi po drodze ścieżkę. Gdziekolwiek się usadowilem, spędzano mnie natychmiast pod jakimś pozorem: w życiu nie byłem w podobnych opalach. Widziałem w ich zelżywych i drwiących spojrzeniach tajoną wściekłość, której przy czyni, w głupocie swojej, zgola nie pojmowałem. Oslupiały, zdumiony, bliski mniemania iż te kobiety poszalały, zacząłem już lękać się na dobre, kiedy ksiądz, który udawał iż tego wszystkiego nie widzi i nie słyszy, osądziwszy trafnie iż niema już co spodziewać się śniadania, zdecydował się opuścić mieszkanie: pospieszyłem za nim, bardzo rad iż wymknąłem się tym trzem furjom. Po drodze, zaproponował mi, by wstąpić na śniadanie do kawiarni. Mimo że byłem bardzo głodny, nie przyjąłem ofiary, na którą zresztą i on nie bardzo nastawał. Na którejś ulicy rozstaliśmy się; ja zachwycony iż tracę z oczu wszystko co mi przypominało to przekłęté domostwo, on, jak sędzę, bardzo rad iż odprowadził mnie odeń dość daleko dla umylenia śladu. Ponieważ ani w Paryżu ani w żadnym innem mieście nie trafiło mi się nic podobnego do tych dwóch wydarzeń, zostało mi z nich mało pochlebne wrażenie o mieszkańcach Lyonu i zawsze uważałem to miasto za najbardziej podlegle ohydnemu zepsuciu ze wszystkich w Europie.

Pamięć smutnych ostateczności w które popadłem również nie przyczynia się do uprzyjemnienia wspomnień tego pobytu. Gdybym umiał poczynąć sobie tak jak ludzie, gdybym miał talent pożyczania i zadłużenia się

w oberży, z łatwością dalbym sobie radę; ale odznaczam się równą odrazą jak niezdadnością do tych rzeczy. Aby dać pojęcie do jakiego stopnia, wystarczy powiedzieć, iż, mimo niedostatku w którym spędziłem całe życie, nieraz wprost braku chleba, nie zdarzyło mi się ani razu, by wierzyciel, upomniawszy się o pieniądze, nie był natychmiast zaspokojony. Nigdy nie umiałem lawirować wśród niedoborów i wołałem cierpieć niż być dłużnym.

Z pewnością że można chyba nazwać cierpieniem konieczność spędzenia nocy pod gołym niebem, a to mi się wiele razy przytrafiło w Lyonie. Tych parę groszy, które mi zostały, wołałem obrócić na chleb niż na opłatę noclegu; ostatecznie mniej groźną była mi śmierć z niedospania niż z głodu. Co dziwne, to że w tym okrutnym stanie nie czułem się niespokojny ani smutny. Nie miałem najmniejszej troski o przyszłość; odpowiedzi którą miała otrzymać panna du Châtelet czekałem śpiąc pod gołym niebem, ułożywszy się na ziemi, albo na ławce, równie spokojnie jak na posłaniu z róż. Z rozkoszą poprostu przypominam sobie noc, spędzoną poza miastem, przy drodze ciągnącej się wzdłuż Rodanu czy Saony, nie pamiętam już bliżej. Ogrody wznoszące się terasowato opuszczały się łagodnie ku drodze. Było bardzo gorąco tego dnia. Wieczór był uroczy; rosa zwilżyła przywiedłą trawę; ani śladu wiatru, noc spokojna; powietrze świeże a nie chłodne; słońce, schowane już za horyzontem, zostawiło na niebie czerwone opary, których odbicie barwiło wodę różowym kolorem; drzewa tarasów dawały schronienie mnóstwu słowików, które odpowiadały sobie wzajem. Błądziłem po alejach w jakimś upojeniu, poddając zmysły i serce tym słodkim wrażeniom, i wzdry-

chając jedynie z żalu, iż muszę się niemi napawać samotny. Pochłonięty słodkimi marzeniami, przechadzałem się aż do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy iż jestem zmęczony. Wreszcie uczulem znużenie. Ułożyłem się rozkosznie na płycie jakiejś niszy czy framugi w murze terasy. Baldachim mego łóżka tworzyły wierzchołki drzew; słowik śpiewał tuż nad moją głową; usnąłem kołysany jego śpiewem. Sen był mi słodki, obudzenie bardziej jeszcze. Był jasny dzień: oczy moje, otwierając się, wjrzały wodę, zieloność, cudowny krajobraz. Wstałem, otrząsałem się; uczulem głód: ruszyłem wesoło ku miastu postanawiając obrócić na dobre śniadanie dwie drobne sztuki srebra, które mi jeszcze zostały. Byłem w tak dobrym humorze, iż idąc śpiewałem kantatę Batistiniego, pod tytułem *Kąpiel w Thomerzy*, którą umiałem na pamięć. Błogosławiony niech będzie Batistini i jego kantata, której zawdzięczam śniadanie lepsze od tego na które liczyłem i obiad, wspanialszy jeszcze, na który nie liczyłem wcale! Tak sobie idąc i wyśpiewując w najlepsze, słyszę za sobą kroki: obracam się i widzę mnicha, antonina; siedł za mną, i zdawał się przysłuchiwać przyjemności. Zbliża się, pozdrawia, pyta czy znam muzykę. Odpowiadam: *trochę*, aby dać do zrozumienia *dużo*. Wypytuje dalej, opowiadam mu coś niecoś z mych dzieł. Pyta czy kopjowałem kiedy nuty. *Często*, odpowiadam. Była to prawda; najlepszym sposobem uczenia się było dla mnie kopjować. „Chodź tedy ze mną, powiedział mi: mogę ci dać zajęcie na kilka dni, podczas których nie będzie ci zbywać na niczem, bylebyś się zgodził nie opuszczać pokoju“. Przystałem bardzo chętnie i udałem się za nim.

Ów antonin nazywał się p. Rollichon; lubił muzykę, znał się na niej i śpiewał w małych koncertach, które urządzał z przyjaciółmi. Była to godziwa i przyzwoita zabawa; ale upodobanie to graniczyło u niego z szałem, z którym się musiał potrosze ukrywać. Zaprowadził mnie do małego pokoiku, gdzie znalazłem mnóstwo nut przepisanych przez niego. Dał mi do przepisywania inne, zwłaszcza kantatę którą śpiewałem po drodze, a którą on sam miał śpiewać za kilka dni. Zostałem tam kilka dni, poświęcając kopjowaniu cały czas który nie był wypełniony jedzeniem; w życiu bowiem nie byłem tak zgłodniały, ani tak dobrze karmiony. Przynosił moje posiłki sam z kuchni klasztornej; sądząc po mojej ordynarji, musiała być niezgorsza. Jak żyję, nie znajdowałem w jedzeniu takiej rozkoszy; trzeba bowiem przyznać że ta gratka trafiła mi się bardzo w porę i że byłem wyschnięty jak drewno. Pracowałem i jadłem niemal z równym zapalem; a to wiele! Prawda iż dokładność moja nie była równa pilności. W kilka dni potem, p. Rollichon, którego spotkałem na ulicy, powiedział mi, iż moje partycje uniemożliwiły wykonanie utworu, tyle w nich było błędów, opuszczeń i przestawień. Trzeba przyznać, iż rzemiosło to, które obrałem sobie w przyszłości za stałe zajęcie, jak najmniej było dla mnie stosowne. Wprawdzie mam ładny charakter pisma i kopuję bardzo czysto, ale, kiedy pracuję nad tem dłużej, podlegam takim roztargnieniom, że więcej zajmuje mi czasu wykrobywanie niż pisanie i że, jeśli z największą uwagą nie skolacjonuję partyj, wykonanie ich staje się zawsze niemożliwe. Chcąc zatem rzecz odrobić dobrze, wywiązałem się z niej bardzo źle; pośpiech popsuł wszystko. Mimo to, p. Rollichon aż do

tego końca obchodził się ze mną bardzo łaskawie, jeszcze na rozstanie dodał jakiegoś talara, który mi z pewnością nie należał, ale który zupełnie mnie pościł na nogi. W kilka dni później, otrzymałem wiadomość od mamusi, która znalazła się w Chambéri, wraz z małą sumką i wezwaniem abym tam pospieszył, co uczyniłem z zapalem. Od tego czasu, często bywało mi krucha z pieniędzmi, ale nigdy do tego stopnia, abym był zmuszony pościć. Podkreślam tę epokę z sercem pełnem wdzięczności dla opieki Opatrzności. Ostatni to czas w życiu zaznałem nędzy i głodu.

Zostałem w Lyonie jeszcze jakiś tydzień, czekając na ułatwienie poleceń, które mi mamusia obdarzyła panną du Châtelet. W tym czasie odwiedzałem ją częściej niż poprzednio, zawsze gotów z rozkoszą rozmawiać o jej przyjaciółce, a przytem nie będąc już zmuszony ukrywać przed nią z mą rozpaczliwą sytuacją. Panna du Châtelet nie była ani młoda, ani ładna, ale miała pewien urok; była serdeczna i łatwa w pożyciu, a zalety jej umysłu podnosiły wartość tej poufalości. Miała zamiłowanie do obserwowania ludzi i zastanawiania się nad ich charakterem; i niej to, w pierwszym rzędzie, nabrałem tego upodobania. Lubila romanse Le Sage'a, a zwłaszcza Gil Blas, mówiła mi o tej książce, pożyczyła mi jej, przeżytałem z przyjemnością; ale nie byłem jeszcze dojrzały do tego rodzaju lektury: trzeba mi było romansów z wielkimi namietnościami. W ten sposób spędzałem czas w towarzystwie panny du Châtelet, z równym pożytkiem jak przyjemnością; to pewna, iż żywa i światła rozmowa młodego człowieka, niż cała pedantyczna książkowa filo-

zofja. W klasztorze, gdzie mieszkała, poznałem też i inne pensjonariuszki oraz ich przyjaciółki, między innymi młodą czternastoletnią osobę, pannę Serre, na którą wówczas nie zwróciłem uwagi, ale którą zaproszyłem sobie serce w ośm czy dziewięć lat potem; i słusznie: była to bowiem urocza dziewczyna.

Upojony nadzieją oglądania niebawem najlepszej mamusi, dałem nieco spoczynku mym chimerym. Prawdziwe szczęście, które mnie oczekiwało, tłumilo potrzebę szukania go w złudach wyobraźni. Nietylko odnalazłem moją mamusię, ale miałem znaleźć przy niej i przez nią przyjemne zatrudnienie; donosiła mi bowiem, iż wyszukała zajęcie, co do którego ma nadzieję że mi się nada i które nie oddali mnie od niej. Łamałem sobie głowę w przypuszczeniach, co by to mogło być za zajęcie i w istocie musiałbym chyba zgadnąć, aby trafić w sedno. Miałem dość pieniędzy, aby wygodnie odbyć drogę. Panna du Châtelet chciała abym najął konia; nie mogłem się na to zdobyć i miałem słuszność: byłbym stracił przyjemność ostatniej podróży pieszej, którą odbyłem w życiu: nie mogę bowiem dać tej nazwy wycieczkom, jakie czynilem często mieszkając w Motiers.

Jestto rzecz bardzo osobliwa, że wyobraźnia moja nastraja się zawsze tem przyjemniej, im mniej przyjemne jest położenie w którym się znajduję; a przeciwnie najmniej jest uśmiechnięta, kiedy wszystko śmieje się dokoła mnie. Moja niesforna głowa nie umie być niewolnicą przedmiotów i zdarzeń. Nie umie upiększać: chce tworzyć. Przedmioty realne malują się w niej zaledwie tak, jak są; umie stroić w czary jedynie przedmioty zrodzone z wyobraźni. Kiedy chcę malować wiosnę, muszę mieć dokoła

nią; kiedy chcę opisać piękny krajobraz, muszę być zamknięty w murach. Mówilem po sto razy, że, gdyby nie kiedy zamknięto w Bastylji, stworzyłbym tam obraz przyrody. Wyruszając z Lyonu, widziałem przyszłość w samych przyjemnych barwach: byłem tak rad i tyleż miałem przyczyn do radości, ile powodów do smutku i niepokoju wędrując do Paryża. Mimo to, nie snulem ciągu tej podróży owych rozkosznych marzeń, których miałem w poprzedniej drodze. Zbliżałem się z rozmieleniem do najlepszej przyjaciółki, którą miałem zobaczyć niebawem. Napawałem się zawczasu, ale bez upojenia, wycieczką życia w jej pobliżu. Zawsze spodziewałem się czego; było to dla mnie tak, jakgdyby nie zaszło nic nowego, oczekiwałem się o me przyszłe zatrudnienie, tak jakby była rzecz warta troski. Myśli moje były łagodne i spokojne, a nie anielskie i upojone. Oczy moje widziały coraz nowe przedmioty; zwracałem uwagę na krajobrazy; uważałem drzewa, domy, strumienie; zastanawiałem się o skrzyżowaniu dróg, bałem się zabił się i umiałem tego chronić. Słowem, nie bawiłem już w empirejskim marzeniu; byłem to tam gdzie byłem, to tam dokąd szedłem, szedłem dalej.

W opowiadaniu moich podróży przytrafia mi się to samo, co w nich samych: nie umiem przybyć do miejsca. Serce biło mi z radości, kiedym się zbliżał do mojej mamusi, a mimo to nie przyspieszałem kroku. Nie umiałem wędrować sobie wedle upodobania i zatrzymywać się kiedy mi przyjdzie ochota. Życie włóczęgi, oto najmilsza dla mnie forma życia. Wędrować pieszo w piękną pogodę, w piękną okolicą, nie spiesząc się, mając wszelako, jako kres drogi, przedmiot pełen uroku: oto, ze wszystkich sposobów

życia, ten który najbardziej przypada mi do smaku. Wiadomo już czytelnikowi, co rozumiem pod piękną okolicą. Nigdy krajobraz równy, chociażby najpiękniejszy, nie wydaje się pięknym w mych oczach. Trzeba mi strumieni, skał, świerków, czarnych lasów, gór, stromych dróg po których się to wchodzi to zstępuje, przepaści przyprawiających o drżenie. Miałem tę przyjemność i zadowolony jej w całym uroku zbliżając się do Chambéri. Niedaleko góry przeciętej wąwozem, nazwanej *Pas-de-l'Échelle*, nad gościńcem wykutym w skale, w okolicy zwanej Chailles, biegnie i pieni się w straszliwych czeluściach rzeczka, która chyba tysiące wieków musiała żłobić swoje koryto. Ogrodzono jej brzeg parapetem, aby zapobiec wypadkom; dzięki temu, mogłem patrzeć w jej dno i nabawiać się zawrotu głowy do syta. W zamilowaniu mojem do stromych miejsc szczególne jest to, iż przyprawiają mnie o zawrót; bardzo lubię to uczucie, byle w bezpiecznym miejscu. Silnie oparty o parapet, wychylałem się nad przepaścią i trwałem tak godziny całe, oglądając, od czasu do czasu, tę pianę i tę niebieską wodę, której ryk słyszałem poprzez krzyk kruków i drapieżnych ptaków, latających od skały do skały i od gęstwiny do gęstwiny sto sążni nademną. W okolicach, gdzie spadek był dość równy i zarośla dość rzadkie by przepuścić kamienie, wyszukiwałem glazy tak wielkie jak tylko mogłem udźwignąć, znosiłem je na kupę koło parapetu; następnie, ciskając jeden po drugim, rozkoszowałem się patrząc jak się toczą, skaczą i fruują w tysiącnych odłamkach, nim dosięgną dna.

Koło Chambéri miałem podobne zjawisko w odwrotnym sensie. Droga przechodzi u stóp najpiękniejszego wodo-

adu, jaki widziałem w życiu. Góra jest tak podcięta, że woda spada wolno, tworząc łuk o takim wygięciu, że można przejść między kaskadą a skałą, niekiedy bez moczenia; ale, jeśli się dobrze nie obliczy, można się pomylić na tem, jak też mnie się stało; spadając bowiem z ogromnej wysokości, woda rozpryskuje się i opada jakby pyłem, i, kiedy się nadto zbliżyć do tej chmury, nie widać chwili, ani wiedząc kiedy, nasiąka się całkiem wilgocią. Przybywam wreszcie: widzę ją znowu! Nie była sama. Generalny intendent był u niej właśnie, gdy wszedłem do salonu. Nie mówiąc do mnie nic, bierze mnie za rękę i przedstawia z tem wdziękiem, który zdobywał jej wszystkie serca: „Oto właśnie on, ów biedny młody człowiek, któremu mówiłam; jeśli pan raczy użyć mu poparcia, to tak długo, jak długo na nie zasłuży, spokojna oń jestem do końca życia.“ Następnie, zwracając się do mnie, dodała: „Moje dziecko, oto wchodzisz w służby króla; dziękuj panu intendentowi za chleb, który ci daje za rękę“. Otwarłem wielkie oczy, nic nie mówiąc, już stałem na falach wyobraźni. Niewiele brakło, bym, poruszony narkotykiem budzącej się ambicji, nie zaczął w tym miejscu odgrywać małego intendenta. Los okazał się dla mnie szlachetnym, niż sobie po tem wstępie roilem; ale, jak na teraz, było to dosyć aby żyć, a to było dla mnie dużo. Co, o co mianowicie chodziło:

Król Wiktor Amadeusz, sądząc z wyniku poprzednich wojen i z położenia dawnej dziedziny ojców, zdając sobie sprawę, że, prędzej czy później, ten kraj wymknie się spod jego berła, myślał jedynie o tem, aby go wycisnąć. Stanowiwszy, przed kilku laty, obłożyć szlachtę po-

całego kraju, aby, gdy przyjdzie do wymierzenia kontybutcji, móc ją sprawiedliwie rozdzielić. Pracę tę, zaczęłą za panowania ojca, dokończono za syna. Dwustu lub trzystu ludzi, tak mierników, których nazywano geometrami, jak skrybów, którzy nosili tytuł sekretarzy, użyto do tej pracy; mnie, dzięki poparciu mamusi, wpisano w liczbę tych ostatnich. Pozycja nie była zbyt intratna, zapewniała jednak w tym kraju dostatnie życie. Ujemna strona była w tem, że zajęcie było tylko czasowe. Bądźcobądź, pozwalało czekać i rozglądać się za czem innym; toteż, przewidująca mamusia zawczasu starała się pozyskać mi osobiste względy intendenta, bym mógł z czasem przejść na jakie trwalsze stanowisko.

Objąłem funkeje w niewiele dni po przybyciu. Praca nie była trudna i niebawem włożyłem się do niej. W ten sposób, po kilku latach włóczęgi, szaleństw i niedoli, pierwszy raz od czasu ucieczki z Genewy, zacząłem uczciwie zarabiać na chleb.

Te obszernie szczegóły mej młodości wydadzą się zapewne nader blade; bardzo mi przykro, że tak jest; mimo że pod niektórymi względami wcześniej stałem się człowiekiem, pod innymi znowuż długo byłem i jestem jeszcze dzieckiem. Nie przyrzekłem przedstawić czytelnikowi jakichś wielkich kolei; przyrzekłem odmalować się takim, jakim jestem. Aby mnie poznać w późniejszym wieku, trzeba mnie znać dobrze w mej młodości. Ponieważ, wogóle, przedmioty słabiej odciskają się w mych wrażeniach niż ich wspomnienia, a wszystkie myśli kształtują mi się w obrazach, pierwsze rysy, które wyryły się w mej głowie, pozostały w niej trwale, te zaś, które w dalszym ciągu się w niej wycisnęły, raczej skombino-

wały się z pierwszymi, niż je zatary. Istnieje pewne nadzichenie uczuć i myśli, które wpływa na proces ich kolejnego następstwa i z którego trzeba dobrze sobie uważać sprawę. Dlatego, staraniem mem jest dobrze rozwinąć wszędzie pierwsze przyczyny, aby tem wyraźniej wydatnić zahaczanie się następstw o siebie. Chciałbym więc, w jakiś sposób, uczynić duszę moją przezroczystą dla oczu czytelnika: dlatego, staram mu się ją pokazać we wszystkich punktów, oświecić wszelakiem światłem, stawiać by nie było najmniejszego drgnienia któreby dlań stało niewidzialne, iżby mógł sobie wyrobić własny sąd o pierwiastku, będącym ich źródłem.

Gdybym wziął odrazu gotowy rezultat i powiedział: taki jest mój charakter“, czytelnik byłby zdolny mniemac, że mogę ludzi, jeśli nie jego, to samego siebie. Ale, skoro mu opowiem poprostu wszystko co mi się zdarzyło, działałem, myślałem, czułem, nie mogę go wprowadzić w błąd, chyba żebym chciał; a nawet mając ten zamiar, łatwo mógłbym go urzeczywistnić przy tej metodzie. Zatem czytelnika jest zestawić te składniki i określić ich rolę, na którą się składają. Rezultat winien być jego własnym; jeśli wówczas się omyli, sam będzie odpowiedzialny za pomyłkę. Otóż, do swego celu, nie wystarczy opowiadanie było wierne; trzeba także, aby było dostrzeżalne. Nie do mnie należy sądzić o wadze faktów; mieniem wymienić wszystkie, innym zostawić troskę o wybór. Oto staranie, w które wkładałem aż dotąd całą moją usilność i w dalszym ciągu z pewnością w niej nie osłabnę. Ale wspomnienia wieku średniego są zawsze mniej żywe, niż pierwszej młodości. W początku mej pracy wyzyskałem je jak mogłem najlepiej. Jeżeli później-

sze przychodzić mi będą na pamięć z tą samą siłą, mniej cierpliwy czytelnik znudzi się może trochę, ale ja nie będę nierad z mej pracy. Jednej rzeczy tylko się obawiam: nie tego, iż mogę powiedzieć za wiele i powiedzieć kłamstwa, ale że mogę nie wszystko powiedzieć i przemilczeć coś z prawdy.

KSIEGA V

(1732—1736.) Było to, zdaje się, w r. 1733, kiedy przybyłem do Chambéri i zacząłem urzędować w katedrze, w służbie królewskiej. Liczyłem lat przeszło dwadzieścia, blisko dwadzieścia jeden. Umysł miałem, na swój wiek, dość ukształcony, ale rozsądek i znajomość życia nie szły z nim w parze; toteż, bardzo potrzebowałem kobiety, któraby mną pokierowała. Kilka lat doświadczeń nie mogło mnie jeszcze radykalnie uleczyć z romantycznych złamer i, mimo wszystkich niedoli jakie wycierpiałem, miałem o świecie i o ludziach tak słabe wyobrażenie, kiedybym nie opłacił drogo tej nauki.

Mieszkałem w domu, to znaczy u mamusi, ale nie znalazłem dawnego pokoju z Annecy. Przepadły ogrody, grumienie, krajobrazy! Dom, który zajmowała, był smutny i ponury, a mój pokój najbardziej z całego domu. Mur zamiast horyzontu, zaulek miast ulicy, mało powietrza, mało światła, mało przestrzeni, świerszcze, szczury, gnilne deski, wszystko to nie składało się na zbyt powabne mieszkanie. Ale byłem u niej, przy niej; bezustanku przy mojem biurku albo w jej pokoju, niewiele zwracałem uwagi na szpetotę kwatery; nie miałem czasu zajmować się tem w swych marzeniach. Wyda się dziwne, że mamusia przeniosła się do Chambéri umyślnie aby zamieszkać

w tym brzydkim domu: to właśnie był z jej strony rys zrzeczności, którego nie powinienem zamilczeć. Jechała do Turynu z niechęcią, czując dobrze, że, po tak świeżych przewrotach, wśród zamieszania na dworze, chwila nie była zbyt sposobna aby się pokazywać. Interesy wszelako wymagały tego: lękała się, iż może się stać ofiarą zapomnienia lub intrygi. Wiedziała zwłaszcza, że hrabia de Saint-Laurent, generalny intendent finansów, nie był jej przychylny. Miał on w Chambéri stary dom, lichy zbudowany i w tak nieładnem położeniu że zawsze stał pustką; najęła go i zamieszkała. To poskutkowało lepiej niż cała podróż: nie skasowano pensji, a hrabia de Saint-Laurent był odtąd zawsze jej przyjazny.

Zastąłem skład gospodarstwa mniej więcej taki sam jak poprzednio i wiernego Klaudjusza Anet zawsze przy jej boku. Był to, zdaje mi się już wspominałem, wieśniak z Moutru, który, w dzieciństwie, zbierał zioła w górach Jura, aby z nich sporządzać szwajcarską herbatę. Pani de Warens przyjęła go w służbę właśnie z przyczyny tych ziół, uważając, iż wygodnie będzie mieć pod ręką lokaja herborystę. Stopniowo, on tak się zapalił do studjowania roślin, ona zaś tak skutecznie podsycala to zamiłowanie, że stał się prawdziwym botanikiem i gdyby nie umarł młodo, zdobyłby zaszczytne imię w tej nauce, tak jak zasłużył sobie na nie wśród uczciwych ludzi. Ponieważ był to człowiek poważny, nawet surowy, a ja byłem młodszy odeń, stał się dla mnie jakgdyby opiekunem, co mnie uchroniło od wielu szaleństw; miałem bowiem przed nim respekt i nie śmiałbym mu uchybić. Imponował nawet swojej pani, która znała jego wielki rozsądek, jego prawość, niezłomne przywiązanie do niej,

opłacane szczerą wzajemnością. Klaudjusz Anet był to zupełnie niecodzienny człowiek; jedyny nawet, jakiego miałem tego typu. Powolny, stateczny, rozważny, oględny w postępowaniu, chłodny w obojętności, mało mówny i zwięzły w odezvaniach, odznaczał się w uczuciach swoich gwałtownością, która nigdy nie wydobywała się na wierzch, ale trawiła go wewnątrz. Gwałtowność ta przyprawiła go do życia o szaleństwo jedno, ale straszliwe, mianowicie popchnęła go do zażycia trucizny. Tragiczna scena miała miejsce niedługo po mem przybyciu: trzeba było aż tego, aby mnie pouczyć o rodzaju stosunków, jakie łączyły Klaudjusza z jego panią: gdyby mi sama bowiem nie powiedziała, nigdybym się nie domyślił. Z pewnością, jeśli przywiązanie, gorliwość i wierność mogły wysłużyć jakie podobną nagrodę, należała mu się słusznie; a że był jej godny, dowodzi, że nigdy nie nadużył tego faworu. Niekiedy zachodziły między nimi sprzeczki i zawsze kończyły się dobrze. Zdarzyła się wszelako jedna, która obróciła się źle; pani de Warens rzuciła mu w gniewie wielkie słowo, którego nie mógł strawić. Usłuchał jedynie głosu rozpacz i, znalazłszy pod ręką flaszeczkę opianum, połknął jej zawartość, poczem ułożył się spokojnie do spoczynku, jak mniemał wiecznego. Na szczęście, pani de Warens, niespokojna i sama wzburzona, błądząc po domu spostrzegła pusty flakon i domyśliła się reszty. Wzywając na pomoc, wydała krzyk, który mnie ściągnął na miejsce wypadku. Wyznała mi wszystko, wezwwała na pomoc i doprowadziła Aneta z wielką trudnością do tego, iż zrzucił opium. Będąc świadkiem tej sceny, zdziwiałem mą głupotę, iż nigdy nie powziąłem najmniejszego podejrzenia co do tego stosunku. Ale Klaud-

djusz Anet był tak dyskretny, że i ktoś bardziej przenikliwy odemnie mógłby się nie spostrzedz. Pojednanie było takie, iż sam uczulem się wzruszony; od tego czasu, pomnażając w dwójnasób mój szacunek, stałem się jakby wychowankiem Klaudjusza, co mi wyszło jedynie na dobre.

Nie bez przykrości wszelako było dla mnie dowiedzieć się, że istnieje ktoś, kto żyje z mamusią bliżej odemnie. Nie przeszło mi nigdy nawet przez myśl pożądać dla siebie tego miejsca, ale ciężko mi było wiedzieć, że zajmuje je ktoś, to bardzo naturalne. Mimo to, miast nienawisć do tego kto mi ją zabrał, uczulem, zupełnie szczerze, że przywiązanie, które miałem dla mamusi, rozciąga się na niego. Pragnąłem przede wszystkim, by ona była szczęśliwą; a skoro potrzebny był do jej szczęścia jego współudział, cieszyłem się że i on jest szczęśliwy. On, ze swej strony, wszedł najzupełniej w intencje pani i pokochał serdeczną przyjaźnią przyjaciela, którego ona wybrała. Nie przybierając ze mną tonów powagi, na które pozwalałoby mu stanowisko, nie szukał w naszym stosunku innych przewag, prócz tych, jakie rozsądek jego dawał mu nad moim. Nie śmiałem uczynić nic, co onby potępiał, on zaś potępiał jedynie to, co było w istocie złe. Żyliśmy, w ten sposób, w najserdeczniejszej spójni, która dawała szczęście wszystkim trojgu i którą chyba śmierć mogła zniweczyć. Jednym z dowodów zalet charakteru tej uroczej kobiety jest to, iż wszyscy, którzy ją kochali, kochali się między sobą. Zazdrość, współzawodnictwo nawet, ustępowało przeważającemu uczuciu, które ona budziła, i nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z tych co ją otaczali, odnosił się z nieprzyjaźnią do drugiego. Niechaj czytelnik przerwie na chwilę czytanie przy tej

chwale, i jeśli, zastanowiwszy się, znajdzie w myśli drugą kobietę, o której mógłby powiedzieć to samo, niechaj złoży w jej ręce spokój swego życia, choćby to była zresztą najostatniejsza z ladacznic.

Tutaj, od mego przybycia do Chambéri aż do wyjazdu do Paryża w r. 1741, następuje okres ośmiu lub dziewięciu lat, w ciągu których mało mam do opowiedzenia. Życie moje płynęło równie spokojnie jak słodko; i ta właśnie jednostajność była bardzo potrzebna, aby dokończyć kształtowania charakteru, który, wśród ustawicznego rozróżnienia, nie miał sposobności się ustalić. Podczas tego długiego czasu, wykształcenie moje, dotąd bezładnie nieporządne, nabrawszy większej konsystencji, uczyniło mnie tem, czem nie przestałem już być wśród burz które mnie czekały. Postęp ten, odbywający się powoli i nieznacznie, nie był obfity w jakieś pamiętne wypadki; zasługuje wszelako by go tu nakreślić i rozwinąć.

Z początku, zajęty byłem jedynie pracą; przymus biurowy nie pozwalał myśleć o czem innem. Trochę swobodnych chwil, które pozostawały, spędzałem przy drogiej mamusi. Nie miałem czasu nawet na czytanie; zresztą nie było mi to w głowie. Ale kiedy, później, otrząskawszy się z zajęciem, mniej byłem niem pochłonięty, dawne niepokoje ogarnęły mnie na nowo; czytanie stało mi się koniecznem; że zaś upodobanie to zawsze podniecały trudności spotykane w jego zaspokojeniu, byłoby się niewinnie stało namiętnością, jak niegdyś za czasów terminu, gdyby inne, nowe zamięłowania nie odciągnęły mnie od niej. Jakkolwiek zatrudnienia nasze nie wymagały zbyt wysokiej matematyki, i to wystarczało aby mnie nieraz uprawiać w kłopot. Chcąc zwyciężyć te trudności, za-

kupiłem książki z zakresu arytmetyki i nauczyłem się jej dobrze, ile że uczyłem się sam. Arytmetyka praktyczna, jeśli się chce ją stosować z drobiazgową ścisłością, sięga dalej, niżby się zdawało. Istnieją długie i zawiłe operacje, wśród których, jak sam widziałem, tegiemu geometrze zdarzy się nieraz zagubić. Refleksja połączona z wprawą rozjaśnia pojęcia: wówczas wynajduje się metody skrócone, których pomysłowość głaszcze miłość własną, trafność zadawała umysł i które pozwalają znaleźć przyjemność w niewdzięcznej samej przez się pracy. Zagłębiłem się w tem tak skutecznie, iż, niebawem, nie było kwestji dającej się rozwiązać przez same cyfry, któraby mnie wprawiała w kłopot; i teraz, kiedy wszystko co kiedyś umiałem zaciera się z każdym dniem w mej pamięci, ta zdobycz przechowała się w niej, po trzydziestoletniej przerwie, bodaj w części. Właśnie przed kilku dniami, w czasie wycieczki do Davenport, będąc obecny przy lekcji dzieci mego gospodarza, rozwiązałem bez błędu, z niewypowiedzianą przyjemnością, jakieś bardzo skomplikowane zagadnienie. Kreśląc cyfry na papierze, miałem uczucie, że jestem w Chambéri za mych szczęśliwych dni.

Praca nad kolorowaniem map wróciła mi pasję do rysunku. Kupiłem farby i zacząłem malować kwiaty i krajobrazy. Szkoda, w istocie, iż tak mało objawiłem talentu do tej sztuki; zamilowania bowiem mi nie brakło. Wśród pędzli i ołówków byłbym zdolny przepędzić całe miesiące, nie ruszając się z domu. Zajęcie to zaczęło mnie pochłaniać do tego stopnia, że, w końcu, trzeba mnie było od niego oderwać. Tak się dzieje z każdym upodobaniem które mnie ogarnie: potęguje się, staje się namiętnością; niebawem, przestaje widzieć cokolwiek na

wiecie poza zabawą która mnie w danej chwili zaprzęta. Wiek nie uleczył mnie z tego narowu, nie złagodził go nawet; w chwili gdy to piszę, zaciętrzewiłem się oto, jak stary manjak, w innej bezużytecznej nauce, o której nie mam żadnego pojęcia¹⁾ i którą nawet ci, co ją uprawiali w młodości, zmuszeni są porzucić w wieku gdy ją chcą zaczynać.

Wówczas, byłaby ona na swojem miejscu. Sposobność była dobra i miałem nawet nieco pokusy, aby z niej korzystać. Zadowolenie, jakie widziałem w oczach Aneta, gdy wracał obładowany pękami świeżych roślin, skłoniło mnie, iż, parę razy, miałem się z nim wybrać na zioła. Jestem prawie pewny, że, gdybym poszedł choć raz, wyłoby mnie to wciągnęło. Byłbym może dzisiaj wielkim botanikiem; nie znam bowiem w świecie studjum, któreby lepiej łączyło się z memi naturalnemi upodobaniami. Życie jakie pędzę od dziesięciu lat na wsi, jest jedynie niestanną herboryzacją, co prawda bez celu i planu. Ale, nie mając wówczas pojęcia o botanice, odczuwałem dla niej niejaką wzdargę, a nawet wstręt; uważałem ją jedynie za studjum aptekarskie. Mamusia, lubiąc tę naukę, nie posuwała jej wszelako istotnie poza ten użytek; chodziło jej o zioła, które mogła użytkować dla swoich ordjałów. Tak tedy, botanika, chemja i anatomja, zebrane w mym umyśle pod nazwą medycyny, służyły mi jedynie jako temat do uciésznych sarkazmów, które, powtarzane przez cały dzień, ściągaly na mnie, od czasu do czasu, policzki, wymierzone kochaną rączką. Zresztą, moje zamilowanie, nazbyt przeciwne temu, wzrastało we mnie stopniowo i niebawem pochłonięło wszystkie inne.

¹⁾ Botanika.

Mówię o muzyce. Muszę być chyba stanowczo zrodzony do tej sztuki, skoro zacząłem ją kochać od dzieciństwa, i ją jedną kochałem jednakowo w każdej epoce życia. Zaskakujące jest, iż sztuka, do której byłem zrodzony, kosztowała mnie wszelako tyle trudu, i to z postępem tak powolnym, że, po ćwiczeniu całego życia, nigdy nie mogłem dojść do tego, aby wszystko móżdżek pewnie wyśpiewać *à vista*. Ale największego wdzięku przydawało wówczas tej nauce to, iż mogłem uprawiać ją z mamusią. Przy zupełnej rozbieżności innych upodobań, muzyka była dla nas punktem styczonym, z którego lubilem korzystać. Mamusia chętnie poddawała się moim życzeniom; byliśmy oboje wówczas mniej więcej równej siły; odcyfrowywaliśmy razem melodję na dwa lub trzy zawody. Czasem, widząc ją krzątającą się z zapalem koło jakiegoś tygla, mówiłem: „Mamusiu, oto cudowny duecik, który z pewnością doda smaku twym kordjałom. — Poczekaż, odpowiadała, jeśli spalę przez ciebie, będziesz musiał wszystko zjeść”. Tak przekomarzając się, pociągałem ją do klawikordu; zasiadywaliśmy się przy nim: ekstrakt jałowcu albo piolunu wysuszał się na popiół; mamusia mazała mi nim twarz; wszystko to było bardzo rozkoszne.

Widąc z tego, że, przy niewielkiej ilości wolnego czasu, miałem mnóstwo sposobów zapelnienia go. Niebawem, przybyła mi jeszcze jedna rozrywka, która dodała uroku wszystkim innym.

Mieszkaliśmy w tak ponurej i zacieśnionej norze, że czasem odczuwało się potrzebę świeżego powietrza. Anet namówił mamusię, aby wynająć na przedmieściu ogród i uprawiać go. Do tego ogrodu należał domek, który mamusia kazała umeblować potrosze: wstawiono doń

łóżko. Często wybieraliśmy się tam z obiadem, czasem nawet sypiałem tam. [Nieznacznie, rozkochałem się w mojem schronieniu; przeniosłem tam sobie nieco książek, dużo sztychów; spędzałem godziny całe zdobiąc domek i gotując jakąś miłą niespodziankę dla mamusi, aby się wybrać spacerem. Rozstawałem się z nią, aby jej tam poświęcić, aby myśleć o niej bardzo rozkosznie: niewiactwo, którego nie tłumaczę, ani nie objaśniam, ale przyznaję się doń, ponieważ tak było. Przypominam sobie, iż raz, księżna de Luxembourg opowiadała z przejęciem o człowieku, który rozstawał się z kochanką, aby nie do niej pisać. Odparłem, że łatwo mógłbym być tym człowiekiem; mogłem dodać, że bywałem nim niekiedy. Nigdy wszelako nie uczuwałem koło mamusi tej potrzeby oddalenia się od niej, aby ją lepiej kochać. Sam na sam z nią, czułem się zupełnie tak samo swobodny jakdybym był sam, co mi się nigdy nie zdarzyło wobec żadnej innej osoby, mężczyzny ani kobiety, choćbym był do niej najbardziej przywiązany. Ale często mamusia była otoczona, i to ludźmi, którzy mnie tak niecierpliwi, iż złość i nuda wypędzały mnie do mego schronienia, gdzie miałem ją tak jak pragnąłem, bez obawy iż jaki natręt może nas zaskoczyć.

Podczas gdy tak, pochłonięty naprzemian pracą, zabawą i nauką, zażywałem błogiego wywczasu, Europa nie cieszyła się równym spokojem. Francja i cesarz wypowiedzieli sobie wojnę: król Sardynji wniósł się do wojny, i armja francuzka pomykała przez Piemont, aby wkroczyć do Medjolanu. Jeden korpus przeciągał przez Chambéri; między innymi pułk szampański, którego pułkownikiem był książę de la Trimouille. Zostałem mu

przedstawiony, przyrzekł mi wiele pięknych rzeczy, poczem z pewnością w życiu więcej nie pomyślał o mnie. Nasz ogródek był właśnie na końcu przedmieścia przez które wchodziły wojska: mogłem tedy do syta napatrzeć się ich przemarszowi. Przejmowałem się wynikiem wojny tak, jakgdyby istotnie miał dla mnie jakieś znaczenie. Aż dotąd, nigdy nie przyszło mi na myśl zastanawiać się nad sprawami publicznymi: pierwszy raz zacząłem czytać gazety, ale z taką stronniczością na korzyść Francji, że serce biło mi z radości na jej najmniejsze przewagi, a klęski jej martwiły mnie tak, jakgdyby dotyczyły mnie osobiście. Gdyby szaleństwo to było jedynie przelotnem, nie wartoby o niem wspominać; ale wkorzeniło się ono w moje serce bez najmniejszej przyczyny tak głęboko, że, kiedy później w Paryżu występowałem jako wróg despotów i hardy republikanin, czułem, na przekór samemu sobie, tajemną predylekcję dla tegoż samego narodu którego służalczość potępiałem, i dla tego rządu, przeciw któremu niby to walczyłem. Zabawne jest, iż, wstydząc się skłonności tak przeciwnej mym maksymom, nie śmiałem przyznać się do niej przed nikim, i szydziłem z Francuzów w dni ich klęsk, podczas gdy serce krwawiło mi się bardziej niż im samym. Jestem pewno jedynym człowiekiem, który, żyjąc wśród narodu okazującego mu przychyłność i ubóstwiając go w duchu, przybierał, względem tegoż narodu, fałszywe pozory wzgardy. Słowem, skłonność ta okazała się we mnie tak bezinteresowną, tak silną, tak stałą, tak nieprzewycięzoną, że nawet kiedy opuściłem Francję, odkąd rząd, urzędnicy, pisarze zaczęli się prześcigać w znęcaniu się nademną, odkąd zaczęło należeć do dobrego tonu obrzucanie mnie zniewagami i potwarzą,

nie mogłem się wyleczyć z mego szaleństwa. Kocham Francję naprzekór samemu sobie, mimo iż tak lichu mi to odplaca.

Długo szukałem przyczyny tej skłonności; nie mogłem znaleźć wytłómaczenia gdzieindziej, jak tylko w okolicznościach, które ją zrodziły. Wzmagające się zamięłowania literackie przywiązywały mnie do francuzkich książek, do autorów, i do ich ojczyzny. W chwili, gdy przed memi oczami przeciągała armja francuzka, czytałem *Wielkich* *cytaty* Brantoma. Miałem głowę pełną Klissonów, Bayardów, Lautreków, Colignych, Montmorencyów, Trimoillów, i przywiązywałem się do ich potomków, jako do spadkobierców ich zasług i męstwa. Za każdym pulkiem, który ciągnął przez miasto, zdawało mi się, że widzę owe sławne czarne bandy, które niegdyś tyle dokonały w Piemontcie. Słowem, do tego co widziałem przykładałem pojęcia znalezione w książkach; nieustannie czytałem, ciągle czerpane z tego samego narodu, podrywały moje przywiązanie dla niego, zmieniając je wreszcie w ślepą namiętność, której nic nie mogło przewyciężyć. W podróżyach swoich miałem sposobność zauważyć, że nie ja jeden ulegam tego rodzaju wpływom i że, działając mniej albo więcej we wszystkich krajach na cześć narodu majojścieńszą, zamięłowaną w książkach i oddającą się naukom, Francja równoważyła tem niejako powszechną niechęć, jaką budzą aroganckie pozory Francuzów. [Romanse ich, bardziej niż mężczyźni, podbijają dla nich serca kobiet wszystkich krajów: arcydzieła dramatyczne rozpalają w teatrach umysły młodzieży. Sława teatrów paryzkich ściaga tłumy cudzoziemców, którzy wracają przejęci zachwytem. Wreszcie, doskonaly smak ich

literatury jedna im wszystkie wykwintniejsze umysły; sam patrzałem na to, jak, w czasie nieszczęśliwej wojny którą świeżo przebyli, autorowie ich i filozofowie podtrzymywali nadwątloną przez najeźdźników chwałę francuzkiego imienia.

Byłem tedy zażartym Francuzem, i to zrobiło mnie chciwym nowin. Chodziłem, wraz z tłumem gapiów, oczekiwać na placu przybycia gońców: głupszy niż osiel w bajce, niepokoiłem się bardzo tem, jakiego pana będę miał zaszczyt dźwigać; twierdzono wówczas bowiem, że będziemy należeć do Francji i czyniono z Piemontu zamianę za Medjolan. Trzeba wszelako przyznać, iż miałem niejake przyczyny do obawy; gdyby ta wojna bowiem źle się obróciła dla sprzymierzonych, pensja mamusi narazona była na wielkie niebezpieczeństwo. Ale byłem pełen ufności w mych dobrych przyjaciół; jak na ten raz, mimo niespodzianki ze strony p. de Broglie, zaufanie to nie zawiodło mnie, a to dzięki królowi Sardynji, na którego wcale nie liczyłem.

Podczas gdy toczono boje we Włoszech, śpiewano we Francji. Opery Rameau zaczęły robić hałas i dobyły z ukrycia jego teoretyczne dzieła, dostępne wskutek swej zawilgości, jedynie dla niewielu. Przypadkiem, zasłyszałem coś o jego *Wykładzie harmonji* i nie miałem spokoju, póki nie nabyłem tej książki. Zrządzeniem nowego wypadku, rozchorowałem się. Choroba była natury zapalnej; gwałtowna i krótka, ale rekonwalescencja trwała długo: miesiąc nie wolno mi było wychodzić. Przez ten czas, obrobiłem z grubsza, połknąłem *Wykład harmonji*; ale był on tak rozwlekły, niejasny, źle ułożony, że czułem, iż trzebaby długiego czasu, by go przestudjować i roz-

nikać. Dla wytchnienia, zabrałem się do żywej muzyki. Kantaty Berniera, na których się ćwiczyłem, nie wychodziły mi z głowy. Nauczyłem się kilku z nich na pamięć, między innemi jednej p. t. *Śpiące amorki*, którą, mimo iż nie miałem jej w rękach od tego czasu, umiem i dotąd prawie całą, tak samo jak *Amorka ukąszonego przez pszczołę*, bardzo ładną kantatę Clérambaulta, której nauczyłem się mniej więcej w tym samym czasie.

Aby mi do reszty zawrócić głowę, przybył wówczas Val-d'Aost młody organista, nazwiskiem X. Palais, dobry muzyk, dobry człowiek i bardzo biegle akompaniujący na klawikordzie. Zaznałomiłem się z nim; odrazu ustatkowaliśmy się nierozłączną parą. Był uczniem pewnego włoskiego mnicha, wielkiego organisty. Zapoznał mnie z jego zasadami: porównywałem je z książką Rameau; nadawałem sobie głowę akompanjamentem, akordami, harmonją. Trzeba było kształcić ucho aby strawić to wszystko. Podsunałem mamusi myśl urządzenia małego koncertu raz na miesiąc: przystała. I oto już głowę mam tak nabitą tym koncertem, że, w dzień ni w noc, nie zajmuję się niczem innem. W istocie, dawało mi to niemało zajęcia: zgromadzić nuty, koncertantów, instrumenty, napisać partycje itd. Mamusia śpiewała; O. Caton, którym wspominałem i wspomnę jeszcze, śpiewał także; nauczyciel tańca nazwiskiem Roche i jego syn grali na krzypcach; Canawas, piemontczyk, który pracował w kafejce i później ożenił się w Paryżu, grał na wiolonczeli; X. Palais towarzyszył na klawikordzie; ja miałem zaszczyt dyrygować tą orkiestrą. Można sobie wyobrazić jakie to wszystko było piękne! nie całkiem tak jak u p. de Treytorens, ale mało do tego brakowało.

Koncertik pani de Warens, świeżo nawróconej i żyjącej, jak mówiono, z jałmużny królewskiej, budził szmeranie w klice dewotów; ale zarazem stał się miłą rozrywką dla wielu godnych ludzi. Nie zgadłby nikt, kogo, przy tej sposobności, postawię na ich czele: otóż, mnicha, ale zarazem bardzo tegiego i miłego człowieka, którego późniejsze nieszczęścia bardzo mię wzruszyły, i którego pamięć, złączona ze wspomnieniem owych pięknych dni, jest mi, dziś jeszcze, drogą. Mam tu na myśli O. Catona, Franciszkanina, który, na spółkę z hr. Dortan, dopomógł przejąć nuty biednego Mistrza; nie był to, z pewnością, najpiękniejszy uczynek w jego życiu. Był to ukończony bakałarz Sorbony: żył długo w Paryżu w największym świecie, a zwłaszcza bardzo serdecznie z margrabią d'Antremont, wówczas ambasadorem Sardynji. O. Caton był to duży mężczyzna, dobrze zbudowany, o pełnej twarzy, wydatnych oczach, czarnych włosach, kręących się w pukle na skroniach; o szlachetnem, otwartem i skromnem zarazem wejrzeniu. Czulo się w nim odrazu coś prostego i dobrego; ani nie miał typu obłudnego lub bezczelnego mnicha, ani też zbyt pewnego siebie zachowania wziętego bywalca (mimo że miał do tego prawo). Była w nim spokojna pewność siebie godnego człowieka, który, nie wstydząc się sukni mniszey, świadom jest swej wartości i zna miejsce należne mu w każdym towarzystwie. O. Caton, nie mając może dosyć nauki na uczonego doktora, miał jej wszelako dużo na światowego człowieka; nie roztaczając zbyt skwapliwie swego dobytku, umieszczał go tak trafnie i w porę, że pomnażało to jego wartość. Spędziwszy wiele lat w paryzkich salonach, większą przywiązywał wagę do miłych talentów niż do poważnej

rozumu. Był dowcipny, składał wiersze, dobrze mówił, jeszcze lepiej śpiewał, miał ładny głos, grał na organach i na klawikordzie. To wystarczało aż nadto, aby go rozprawiano w towarzystwach; jakoż i tak było: mimo to, tak pilnie przestrzegał obowiązków swego stanu, iż czasem, naprzekór zabiegom zawistnych współzawodników, wybrano go definitorem co stanowi jedno z najcięższych odznaczeń zakonu.

Ów O. Caton zapoznał się z mamusią u margrabiego d'Antremont. Słyszał o naszych koncertach, zapragnął w nich udział: tak się też stało, a jego obecność znacznie przyczyniła się do ich blasku. Wkrótce zbliżyliśmy się przez wspólne upodobania muzyczne, które u obu było istną namiętnością; z tą różnicą, że on był naprawdę muzykiem, a ja tylko partaczem. Schodziliśmy z Canavasem i X. Palais, aby muzykować w jego pokoju, a niekiedy, w dnie świąteczne, przy organach. Często zatrzymywał nas na obiedzie, jako iż — rzecz osobliwa jak na mnicha — był gościnny, hojny i lubiący dobre życie, wszelako z pewnym wykwintem. W dnie koncertów, wszyscy wieczerali u mamusi. Wieczery te były bardzo wesołe, bardzo przyjemne. Rozmowa toczyła się najswobodniejszym torem, śpiewało się duety; czulem jak wniebowzięty; ożywiałem się, sypałem dowcipy; O. Caton był przemiły, mamusia czarująca, X. Palais, ze swym wolim głosem, był uciechą całego zebrania. Słodkie chwile igraszek młodości, ileż-to czasu, odkąd nie miałyście bezpowrotnie!

Ponieważ nie będę miał już sposobności mówić o białym Ojcu Catonie, niech mi będzie wolno uzupełnić te dwóch słowach jego smutną historję. Inne mnichy,

zawistne a raczej wściekle o jego talenty, o jego światowe obycie tak dalekie od mniszego niechlujstwa, zienawidziły go serdecznie. Wpływowe figury sprzysięgły się przeciw niemu, podburzyły czerń klasztorną zazdroszczącą mu poicchu. Zaczęto mu robić tysiące afrontów, złożono z urzędu, odebrano własny pokój, umeblowany przezeń z prostotą ale z gustem, przeniesiono go nie wiem już gdzie; słowem, nędznicy zwalili nań brzemień takiego przesładowania, że dusza jego, uczciwa i dumna, nie mogła tego przenieść. Człowiek, który stanowił ozdobę najwytowniejszych towarzystw, umarł z boleści na nędznym barłogu w głębi jakiejś celi czy więzienia, żalowany, oplakiwany przez wszystkich godnych ludzi którzy go znali i którzy nie widzieli w nim żadnej wady, chyba że że był mnichem.

Wśród tych miłych igraszek, zwydrzyłem się niebawem do tego stopnia, iż, cały pochłonięty muzyką, stałem się niezdolny wogóle myśleć o czem innem. Do biura uczęszczałem ze wstrętem; przymus i jednostajność pracy czyniły mi z niej torturę nie do zniesienia: w końcu przyszło do tego, iż umyśliłem porzucić miejsce, aby się poświęcić wyłącznie muzyce.

Można sobie wyobrazić, iż szalony ten projekt nie przeszedł bez oporu. Porzucić uczciwą i dającą stały dochód pozycję, aby uganiać za niepewnymi lekcjami, był to pomysł zbyt mało roztropny, aby się mógł podobać mamusi. Nawet w przypuszczeniu, iż postępy moje w przyszłości będą tak wielkie jak sobie wyobrażałem, było to bardzo skromnem ograniczeniem ambicji, skazywać się na całe życie na rzemiosło muzyka. Mamusia, która tworzyła projekty tylko na wielką skalę i która nie brała

z dosłownie wyroczni pana d'Aubonne, z przykrością strzała na to, że zajmuję się tak poważnie sztuką, którą uważała za dość blahą. Powtarzała mi nieraz prowincjonalne przysłowie, może nieco mniej trafne w Paryżu, że kto dobrze tańczy i dobrze śpiewa, niech się wielkiego losu nie spodziewa. Widziałam, z drugiej strony, iż popęd mój jest nie do przecięięnia. Namietność moja do muzyki dochodziła do szalu; można się było słuszenie obawiać, iż praca do tego stopnia cierpieć będzie od tej dystrakcji, że ściągnięcie mnie wreszcie dymisję, którą lepiej było w takim razie uprzedzić samemu. Przedkładałem jej wreszcie, że moje zatrudnienie nie będzie trwało, że trzeba mi jakieś umiejętności z którejbym mógł żyć, i że pewniej-jest rzeczą wykształcić w sobie ćwiczeniem sztukę, do której mam powołanie i którą sama mi wybrała, niż szeszać się na niepewne wody protekcji, albo podejmować nowe próby, mogące się nie powieść, aby wreszcie, wyczerpując czas najspokojniejszy do nauki, zostać bez środków. Wkońcu, wymusiłem zezwolenie, więcej pomocą naprzykrzania się i przymilań, niż argumentów, aby były zdolne ją zaspokoić. Natychmiast po-gięm podziękować panu Coccelli, generalnemu dyrek-torowi katastru, z taką dumą, jakgdybym dokonał aktu najbardziej heróicznego w świecie. Tak opuściłem dobro-tnie posadę, bez przyczyny, bez racji, bez pozoru, i z taką, lub większą radością, z jaką obejmowałem ją przed niespełna dwoma laty.

Krok ten, mimo swego szaleństwa, zyskał mi w okolicy taki mir, co bardzo mi wyszło na pożytek. Jedni przypuszczali, że muszę posiadać jakieś środki; drudzy,

widząc że rzuciłem wszystko jedynie dla muzyki, oceniali talent z rozmiarów poświęcenia i uwierzyli, iż, przy takiej namiętności do tej sztuki, muszę nią władać mistrzowsko. W królestwie ślepych, jednooki jest królem; uchodziłem za dobrego nauczyciela, ile że nie było lepszych. Niepozbawiony pewnego gustu w śpiewie, mając zresztą za atuty wiek i powierzchowność, zyskałem wkrótce uczenie więcej niżli było trzeba aby zastąpić straconą płacę sekretarza.

To pewna, iż, co się tyczy przyjemności życia, nie można było gwałtowniej przejść z jednej ostateczności w drugą. W katastrofie, przykuty przez ośm godzin dzień nie do niezajmującej pracy, obok ludzi jeszcze mniej zajmujących, zamknięty w biurze ponurem, zapowietrzonym oddechem i wyziewami tych gryziopiórków, przeżwaźnie źle wyczesanych i bardzo niechlujnych, omdlewałem wprost niekiedy od wytężenia uwagi, złego powietrza, przymusu i nudy. W miejsce tego wszystkiego, oto, nagle, znalazłem się w eleganckim świecie, goszczony, rozrywany w najlepszych domach; wszędzie uprzejme, radosne przyjęcie, wszędzie wrażenie święta: miłe, pięknie przystrojone panienki, czekają na mnie, witają z zapalem; widzę jeno same urocze przedmioty, czuję sam zapach róż i pomarańczowego kwiatu: śpiew, rozmowa, śmiechy, zabawy; opuszczam jedno miejsce, by śpieszyć na te same gody w drugim. Każdy chyba przyzna, że, zwłaszcza przy równych korzyściach materialnych, nie można wahać się w wyborze. Toteż, byłem tak rad z decyzją, że nigdy mi nie przyszło na myśl jej żałować i nie żałuję nawet dziś, kiedy ważę postęпки mego życia na wadze rozsądku i kiedy wyzwolony jestem z płochych motywów, które mnie do nich popchnęły.

Oto prawie jedyny raz, iż, słuchając wyłącznie swych słabości, nie zawiodłem się w oczekiwaniach. Swobodna decyzność, łatwość obcowania, kordjalna wesołość mieszczaków tych stron sprawiły, iż z przyjemnością obrałem się w świat; ten okres życia przekonał mnie, że jeśli nie lubię żyć między ludźmi, to więcej z ich winy niż z własnej.

Szkoda, iż Sabaudczycy nie są bogaci, a może szkoda, gdyby byli bogaci, tacy bowiem jak są, jest to lepszy i najmiłszy w pożyciu naród jaki znam. Jeżeli nie na świecie miasteczko, gdzie można smakować życia w przyjemnym i pewnym towarzystwie, w Chambéri. Szlachta prowincjonalna która się tam posiada majątku tylko tyle ile trzeba aby żyć, dość aby się nadymać; nie mogąc tedy rozwinąć sobie ambicji, idzie, z koniecznością, za radą Cyneasza. Zdziwiony zazwyczaj młodość na służbie wojskowej, ona spokojnie starzeć się u siebie w domu.

Kobiety są ładne, a mogłyby nawet obejść się i bez pieniędzy, mając wszystko co trzeba by dodać ceny wdziękom, nawet by je zastąpić. Godne jest uwagi, że ja, który, powołania, widywałem mnóstwo dziewcząt, nie przyjmam sobie, bym widział w Chambéri bodaj jedną, która nie była czarującą. Powie ktoś, iż to zasługa mojej jakiemś na nie patrzałem, i może mieć słusność, że nie potrzebowałem wkładać aż tyle dobrej woli. Nie mogę wspomnieć bez miłego wzruszenia mych młodych. Czemuż nie mogę, wymieniając najbardziej, wskrzesić ich i siebie w szczęśliwym wieku w którym byłem wówczas, gdyśmy spędzali razem owe słodkie i winne chwile! Pierwsza nazywała się panna de Mella-

rède, moja sąsiadka, siostra wychowanka X. Gaima. Była to bardzo żywa brunetka, ale żywość jej, pełna uroku, a wolna od roztrzepania, miała w sobie coś dziwnie przymilnego. Była nieco szczupła, jak większość dziewcząt w tym wieku, ale jej błyszczące oczy, gibka kibić, powabna minka nie potrzebowały zaokrąglenia kształtów aby się podobać. Chodziłem tam rano; przyjmowała mnie zazwyczaj w negliżu, z włosami zaplecionymi niedbale, zdobnymi jakimś kwiatem, który wpinało się na moje przyjęcie, a zdejmowało po lekcji, aby się uczesać. Niema dla mnie nic niebezpieczniejszego, niż ładna osoba w negliżu; sto razy mniej obawiałbym się jej w pełnym stroju. Panna de Menthon, u której bywałem popołudniu, była zawsze wystrojona i robiła na mnie wrażenie równie mile, jakkolwiek odmienne. Włosy miała jasnopopielate: była bardzo drobna, bardzo płochliwa i bardzo biała; głos miała wdzięczny, czysty i miły, ale ledwie ważyła się go dobywać. Miała na piersi bliznę po oparzeniu wrzącą wodą. Znamię to, wysuwające się z pod niebieskiej jedwabnej chusteczki, ściagało niekiedy w tę stronę mą uwagę, a niebawem przedmiotem jej stawała się nie sama blizna. Panna de Challes, też moja uczennica, była to dziewczyna dobrze już dorosła; duża, okazała, pulchna, była niegdyś bardzo powabna. W owym czasie piękność jej minęła potrosze, ale został wdzięk, równie usposobienie, luba wesołość. Siostra jej, pani de Charly, najpiękniejsza kobieta w Chambéri, nie uczyła się już samej muzyki, ale kształciła w niej córkę, osobę młodziutką jeszcze, której rozwijająca się piękność byłaby z pewnością dorównała kiedyś matce, gdyby, na nie szczęście, nie była trochę ruda. Miałem też u Wizytek

modą panienkę, Francuskę, której imienia zapomniałem, która zasługuje na osobne miejsce wśród listy mych uczenic: Miała jakby ospały i rozwlekły sposobik mówienia, i tym apatycznym tonem wygłaszała rzeczy bardzo miłe, zupełnie nie godzące się z wyglądem. Zresztą, była bardzo leniwa i nie lubiła wysilań dowcipu: była to osoba, której nie każdego uznawała godnym. Dopiero w jakich dwóch miesiącach nauki, wśród częstych zażądowań z mej strony, wpadła na pomysł tej przynęty, aby mnie uczynić bardziej punktualnym; nigdy bowiem nie umiałem się nałamać do tej cnoty. Bawiły mnie lekcje, kiedy już siedziałem przy pulpicie, ale z trudnością znosiłem przymus punktualności i niewolę godzin: w każdej rzeczy niewola i przymus są mi tak nieznośne, iż przytrafiłyby mnie o znienawidzenie samej rozkoszy. Poprowadzają, że u mahometan strażnik obchodzi o świątyni, nawoływaniem przypominając mężom, aby oddali powinność żonom. Sądzę, iż byłbym bardzo złym Turkiem o tych godzinach.

Miałem także kilka uczenic w mieszczańskiejsferze, między innemi jedną, która stała się pośrednią przyczyną ważnej odmiany w mem życiu; odmiany, o której chcę mówić, skoro już postanowiłem wszystko powiedzieć. Była to córka korzennika; nazywała się panna Lard. Był to prawdziwy model greckiej statuy; rzekłbym najpiękniejszą kobietą jaką w życiu widziałem, gdyby mogła mieć prawdziwą piękność bez życia i duszy. Jej obojętność, chłód, niewrażliwość dochodziły niebываłych granic. Było równem niepodobieństwem zyskać jej sympatię jak pogniewać ją; jestem przekonany, iż, gdyby ktoś przypuścił do niej dość energiczny szturm, uległaby,

nie z ochoty ale głupoty. Matka, nie chcąc widocznie narażać jej na tę próbę, nie odstępowała córki na krok. Kładąc ją uczyć śpiewu i to pod kierunkiem młodego nauczyciela, czyniła co mogła by ją obudzić; ale na nie. Podczas gdy nauczyciel krzątał się koło córki, matka krzątała się koło nauczyciela, z nie lepszym powodzeniem. Pani Lard miała zato życia za siebie i za córkę. Była to nieduża kobietka ze sprytną, ruchliwą, nieco ospowatą twarzyszką. Oczy miała małe, bardzo wymowne i nieco czerwone, ponieważ prawie zawsze ją bolały. Co rano, kiedy się zjawiałem, czekała już na mnie kawa ze śmietanką. Matka witała mnie stale całusem sumiennie wyciśniętym na mej twarzy, który to całus, przez ciekawość, byłbym rad oddał córce, aby się przekonać jakby go przyjął. Zresztą, wszystko to działo się tak poprostu i tak nie miało znaczenia, że nieraz, kiedy pan Lard był obecny, całusy i przekomarzania odchodziły tak samo swoim trybem. Było to pocziwe człeczysko, prawdziwy ojciec swojej córki; nie można powiedzieć aby go żona oszukiwała, ponieważ nie było tego trzeba. Poddawałem się tym karesom z mem zwykłym niezdarstwem, biorąc je poprostu za objawy czystej przyjaźni. Mimo to, dawały mi się one we znaki, pani Lard bowiem bywała wymagająca: jeśli, w ciągu dnia, zdarzyło mi się minąć jej sklep bez zatrzymania, zaraz był powód do obrazy. Gdy mi się spieszyło, musiałem nakładać drogi i okrażać inną ulicą, wiedząc dobrze, iż łatwiej wejść do tego domu, niż się zeń wydostać.

Pani Lard nadto zajmowała się mną, abym mógł się jej poniekąd nie odwzajemniać. Uprzejmość jej rozczulała mnie bardzo. Mówiłem o tem mamusi jako

rzeczy nie wymagającej tajemnicy; a gdyby nawet była to tajemnica, i tak byłbym jej wszystko powiedział, niepodobieństwem było mi bowiem cokolwiek jej ukrywać; serce moje otwarte było przed nią jak przed Bogiem. Rzecz nie wydała się jej równie niewinną i prostą jak mnie. Tam, gdzie ja widziałem jedynie przyjaźń, mamusia dostrzegła inne, bardziej wyraźne intencje. Oszadziła, iż pani Lard, czyniąc sobie punkt honoru z tego by dokonać dzieła mego wykształcenia, w ten albo inny sposób postawi wreszcie na swoim. Pomijając to iż nie było sprawiedliwem aby inna kobieta miała dopełnić wykształcenia jej wychowanka, mamusia miała inne, godniejsze siebie motywy, aby mnie zabezpieczyć od zasadzek, na które byłem narażony z racji mego wieku i zawodu. W tym samym czasie, zastawiono mi inną pułapkę, bardziej niebezpiecznego rodzaju. Uniknąłem jej wprawdzie, ale dała ona uczuć mamusi, że, wobec niebezpieczeństw grożących mi co chwile, należy zastosować wszystkie środki ochronne, jakie miała do rozporządzenia.

Hrabina de Menthon, matka jednej z uczenic, była to osoba bardzo dowiepna i sprytna, a, jak mówiono, niemniej złośliwa. Jak fama głosiła, była ona przyczyną wielu nieporozumień, między innemi jednego, które miało fatalne następstwa dla domu d'Antremont. Mamusia żyła z nią w swoim czasie dość blisko; ale, wzbudziwszy bardzo mimowoli uczucia w kimś, na kogo pani de Menthon miała widoki, stała się w jej oczach winną tej zbrodni, mimo że ani nie zabiegala się o te holdy, ani ich nie przyjął. Od tego czasu, pani de Menthon starała się wyplatać swej rywalce wiele dokuczliwości, z których żadna

się nie udała. Przytoczę na próbkę jedną z bardziej komicznych. Obie panie bawiły razem na wsi z kilku młodymi panami z sąsiedztwa, między którymi był i ów nieśczęsny aspirant. Pani de Menthon powiedziała kiedyś jednemu z tych panów, że pani de Warens jest świętoszką, że nie ma smaku, że się źle ubiera i że zasłania sobie piersi jak mieszczałka. „To ostatnie,“ rzekł ów, który był facecjonistą, „ma swoje osobliwe przyczyny; wiem że ma na piersi znamię w kształcie szczura: poprostu jak żywy, możnaby powiedzieć że biegnie”. Nienawisć, zarówno jak miłość, czyni łatwowiernym. Pani de Menthon postanowiła skorzystać z okrycia: pewnego dnia, kiedy mamusia zabawiała się z niewdzięcznym oblubieńcem owej damy, ta zachodzi z ręcznie z tyłu swą rywalkę, następnie, przechylając wpół krzesło, odsłania nagłym ruchem chusteczkę: ale, w miejsce dużego szczura, wielbiciel ujrzał jedynie bardzo odmienny przedmiot, który równie trudno mu było zapomnieć jak ujrzeć: rezultat wcale nie po myśli pani de Menthon.

Nie byłem zgola osobistością zdolną zainteresować panią de Menthon, która lubiła widzieć koło siebie jedynie świetne towarzystwo. Mimo to, zwróciła na mnie niejaką uwagę, nie dla powierzchowności (tą z pewnością nie przyszło jej na myśl się interesować!) ale dla dowcipu, którego się we mnie dopatrywano, a który pragnęła zużytkować wedle swych celów i skłonności. Pani ta miała dość żywe upodobanie do satyry. Lubiała układać piosenki i wiersze na osoby, które nie były jej po myśli. Gdyby była znalazła we mnie dość talentu na to abym jej służył za pomocnika w tej zabawie, byłibyśmy, do spółki, z pewnością przewrócili całe Chambéri do góry

gami. Opinia dotarłaby wkońcu do źródła tych ulgłych pisemek, pani de Menthon wykreśliłaby się ze sprawy stawiając mnie na sztych, i byłbym może spędził w więzieniu resztę dni, pokutując za zbytnią usłużność dam.

Szczęściem, nie przyszło do tego wszystkiego. Pani Menthon zatrzymała mnie parę razy na obiedzie aby nie rozgadać i pociągnąć za język, przyczem stwierdziła, jestem prostaczek i głuptas. Czulem to sam doskonale. Bolałem nad tem, zazdroszcząc talentów przyjacielowi, podczas gdy powinienem błogosławić moją potęgę, dzięki której uratowałem się od takich niebezpieczeństw. Zostałem dla pani de Menthon nauczycielem lektury i niczem więcej; ale, w zamian, żyłem spokojny i ubiany w całym Chambéri. To warte było więcej, niż dowcipnisem w jej oczach, a zmiął w oczach całej gminy.

Jakbądź się rzeczy miały, mamusia spostrzegła, iż, mnie wyrwać niebezpieczeństwom młodości, czas był sprowadzić mnie na mężczyznę; co też uczyniła, ale w sposób najbardziej chyba osobliwy, w jaki kiedykolwiek kobieta postąpiła sobie w danych okolicznościach. Jednego dnia, zauważyłem, iż ma minę bardzo poważną, i przebiegała do mnie uroczyściej niż zazwyczaj. Miejsce w jej pustoty, którą przeplatała zazwyczaj swe nauki, stało się poważne i skupione; nie surowy wprawdzie, lecz zdający się przygotowywać jakieś wyjaśnienie. Siłąc długo czas daremnie aby odgadnąć przyczynę zmiany, wreszcie o nią: na to zdawała się czekać. Zapowiedziała mi na następny dzień wycieczkę do naszego sadka: wybraliśmy się od rana. Nakierowała okoliczno-

ści w ten sposób, abyśmy mogli zostać sami przez cały dzień; dzień ten obróciła na to, aby mnie przygotować do względów którymi chciała mnie obdarzyć; ale nie, jak inne kobiety, za pomocą zalotności, ale za pomocą rozmów pełnych statku i uczucia, bardziej mających na celu pouczenie mnie niż uwiedzenie, i bardziej trafiających do serca niż do zmysłów. Wszelako, mimo iż nauki jej były wyborne i użyteczne i zgola nie traciły pedantyzmem lub chłodem, nie słuchałem ich z taką uwagą na jaką zasługiwały, i nie wyryłem ich w pamięci tak, jakbym to uczynił w innych okolicznościach. Sam początek, ten przygotowania, obudziły we mnie jakiś niepokój: podczas gdy ona mówiła, ja, mimowoli roztargniony i pomięszany, mniej byłem zajęty słuchaniem tego co mówiła, niż dociekaniem dokąd zmierza. Skoro wreszcie zrozumiałem (co mi nie przyszło łatwo), niespodzianka tej myśli, która od czasu jak żyłem obok mamusi, nie powstała mi ani razu w głowie, pochłonęła mnie całego, i nie zostawiła możliwości zastanawiania się nad sensem słów. Myślałem tylko o niej i nie słuchałem jej.

• Starać się skupić uwagę młodych ludzi na to co im się ma do powiedzenia, ukazając im na końcu bardzo dla nich interesujący przedmiot, to nonsens bardzo częsty u pedagogów, którego ja sam nawet nie uniknąłem w Emiliu. Młody człowiek, uderzony celem który mu się pokazuje, zajmuje się jedynie nim, i skacze równemi nogami poprzez wstępne wywody, aby pędzić jednym susem tam gdzieście go chcieli zawieść zbyt wolno w stosunku do jego pragnień. Pani de Warens, z właściwą jej umysłową systematycznością, umyśliła, przez ostrożność (bardzo częstą zresztą), postawić mi warunki; ale, skoro tylko ujrzałem

cenę, nie słuchałem ich nawet, zgodziłem się na wszystko. Wątpię, aby, w podobnym wypadku, znalazł się na tej ziemi dość szczerzy albo dość odważny mężczyzna, aby się targować w takiej chwili, jak również czyby się znalazła jedna jedyna kobieta, któraby mu to przebaczyła. Ignając dalej te dziwaczne pertraktacje, mamusia obmyśliła nasz układ niezmiernie poważnemi formalnościami i dała mi do namysłu cały tydzień, jakkolwiek zażądałem ją obłudnie, że mi go nie trzeba. Faktem jest, że domiar tych wszystkich osobliwości, iż wielce byłem zdziwiony z odwołki, tak bardzo oszołomiła mnie nowość tej myśli, i tak bardzo potrzebowałem czasu, aby uporządkować nagły przewrót wszystkich dotychczasowych uczuć pojęć.

Pomyśli ktoś, że te ośm dni musiały mi się wydać latami wiekami. Całkiem przeciwnie: chciałbym, aby dni w istocie były. Niewiem jak opisać stan, w którym się znajdowałem, pełen jakiegoś dziwnego przerażenia mieszanego z niecierpliwością: pełen obawy i pragnienia. Dochodziło do tego, iż, chwilami, całkiem na dobre szukałem w głowie jakiegoś przyzwoitego sposobu uniknięcia szczęścia, które mnie czekało. Proszę sobie wyobrazić mój gorący i zmysłowy temperament, mą rozpaloną krew, serce pijane miłością, moje siły, zdrowie, młodość. Proszę pomyśleć, że, w tym stanie, dręczony nieustannie pragnieniem kobiety, nie poznałem jeszcze żadnej; że wyobraźnia, potrzeba, ambicja, ciekawość, doznaczały się, pożerając mnie palącym pragnieniem osiągnięcia pełni męskości i złożenia jej dowodów. Proszę dodać zwłaszcza (tego bowiem przedewszystkiem nie trzeba zapominać), że moje żywe i czule przywiązanie

do mamusi nie tylko nie ostygło, ale zwiększało się z każdym dniem; że czułem się dobrze tylko przy niej, a jeśli się od niej oddalałem, to tylko poto aby myśleć o niej; że miałem serce pełne nie tylko jej dobroci, jej miłego charakteru, ale jej kobiecości, postaci, osoby. Jej, jednym słowem, na każdy sposób w jaki kobieta może być komuś drogą. I proszę sobie nie wyobrażać, iż te dziesięć czy dwanaście lat różnicy między nami, odgrywały jakąś rolę i postarzały ją w mych oczach. Od pięciu czy sześciu lat, gdy, na jej pierwszy widok, doznałem tak słodkich wzruszeń, zmieniła się w istocie bardzo mało, a w moich oczach wcale. Była zawsze urocza dla mnie, a była nią jeszcze dla wszystkich. Kibić jedynie zaokrągliła się nieco. Poza tem, te same oczy, ta sama pleć, ten sam biust, rysy, te same piękne włosy blond, ta sama wesołość, wszystko, aż do głosu, tego srebrnego młodzieńczego głosu, który zawsze na mnie wywierał takie wrażenie, iż dziś jeszcze nie mogę bez wzruszenia usłyszeć dźwięku świeżego głosu dziewczęcia.

Naturalną tedy obawą, w pewności posiadania osoby tak mi drogiej, byłby lęk, iż nie zdołam doczekać tej chwili i nie zdołam zawiązać zmysłami i wyobraźnią tak, aby zostać panem samego siebie. Ujrzy czytelnik, jak, w swoim czasie, w późnych latach, sama myśl nieznacznych łask które mnie czekały od ukochanej osoby, rozpalala mi krew do tego stopnia, iż niepodobna mi było przebyć bezkarnie małego kawałka drogi, która dzieliła mnie od niej. Jakim sposobem, jakim cudem, teraz, w kwiecie młodości, tak mało kwapiłem się do tej pierwszej słodczy? Czem działo się, iż zbliżającej się godziny oczekiwałem raczej z uczuciem przykrości niż szczęścia?

W jaki sposób, miał przedsmaku rozkoszy, który powinien był mnie upajać, czułem niemal niechęć i obawę? Nie ma najmniejszej wątpliwości, iż, gdybym mógł się zmknąć, bez jej obrazy, swemu szczęściu, byłbym uczynił z całego serca. Przygotowałem czytelnika na niezwykłości w dziejach mego przywiązania do niej; oto jedna, której najmniej się pewnie spodziewano.

Czytelnik, już zgorszony zapewne, osądzi, iż, należąc do innego mężczyzny, poniżała się w mych oczach tym podziałem, że uczucie niejakiej wzdargi studziło inne uczucia; myli się. Podział ten, to prawda, sprawiał mi krutne cierpienie, tak przez zupełnie naturalną drażliwość jak i dlatego, iż w istocie uważałem go za dość niepodobny i jej i mnie, ale, co się tyczy uczuć, nie wpływał na nie zupełnie. Mogę przysiąc, iż nigdy nie kochałem mamusi bardziej tkliwie, niż wówczas, gdy tak mało pragnąłem ją posiadać. Znadto znałem jej czyste serce i łagodny temperament, aby wierzyć na chwilę, iż rozsądny zmysłów może odgrywać u niej jakąś rolę w tem oddaniu samej siebie. Byłem najzupełniej pewny, że jedynie troska uchronienia mnie od niebezpieczeństw, i raczej prawie nieuchronnych, i zachowania mnie całego dla mnie i dla mych obowiązków, była przyczyną, iż sama godziła się naruszyć obowiązek, na który zresztą, jak później będę miał sposobność wykazać, nie patrzyła tem samem okiem co inne kobiety. Litowałem się nad nią i litowałem nad sobą. Byłbym chciał jej powiedzieć: nie, mamusiu, nie trzeba; i bez tego ręczę ci za siebie. Ale nie śmiałem; popierwsze, ponieważ rzecz nie jest z tych, które się mówi, a powtórę, ponieważ, w głębi,

czulem, że to nieprawda, i że, w istocie, tylko kobieta mogła mnie ochronić od innych kobiet i zabezpieczyć przeciw pokusom. Nie pragnąc posiadania jej, rad byłem, iż uwolni mnie od pragnienia innych; do tego stopnia wydawało mi się nieszczęściem wszystko co mogłoby mnie od niej odciągnąć.

Długie przyzwyczajenie życia razem a jednak niewinnie, miało osłabić moje uczucia, przeciwnie wzmocniło je, ale równocześnie nadało im jakiś inny charakter, który wlewał w nie więcej tliwości, czułości może, ale mniej pożądań. Nazywając ją mamusią, przestając z nią na stopie synowskiej poufałości, przyzwyczałem się niejako uważać za syna. Myślę, iż to jest prawdziwa przyczyna, iż tak mało pragnąłem ją posiadać, mimo iż była mi tak drogą. Przypominam sobie doskonale, że pierwsze me uczucia dla niej, mimo iż nie bardziej żywe, bardziej były zmysłowe. W Annecy byłem upojony; w Chambéry już nie. Kochałem ją zawsze z całym możebnym przywiązaniem, ale więcej dla niej a mniej dla siebie, lub przynajmniej więcej szukałem przy niej szczęścia niż rozkoszy: była mi więcej niż siostrą, więcej niż matką, więcej niż przyjaciółką, więcej niż kochanką nawet; a to dlatego właśnie, że nie była kochanką. Słowem, kochałem ją nadto aby jej pożądać: oto może najjaśniejsze ujęcie mych uczuć.

Ów dzień, którego więcej lękałem się niż oczekiwałem, przybył wreszcie. Przysięgłem wszystko i nie skłamałem. Serce zatwierdzało me zobowiązania, nie pożądając ich nagrody. Otrzymałem ją wszelako. Znalazłem się pierwszy raz w ramionach kobiety, i kobiety którą ubóstwiałem. Czy byłem szczęśliwy? nie; poznałem rozkosz.

który niezwykły smutek zatrzymał mi jej urok. Miało uczucie jakgdybym spełnił kazirodztwo. Tuląc ją w ramionach, skrapiałem równocześnie jej łzami. Co do niej, nie była ani smutna ani upojona; była serdeczna i spokojna. Będąc z natury mało zmysłową, nie szukając rozkoszy, nie odczuła ani jej szalu ani nie zapiała po niej wyrzutów.

Powtarzam: wszystkie jej zblaknięcia wynikały z błędnych zasad a nie z namiętności. Była szlachetna z natury, serce jej było czyste, lubiła to co uczciwe, skłonności miała cnotliwe i zacne, smak delikatny; słowem, była porzeczona do wykwintu moralnego, za którym zawsze szukała a którego nigdy nie zaznała, zamiast bowiem szukać serca, które prowadziło ją dobrze, słuchała rozumu, który prowadził ją źle. Kiedy fałszywe zasady oginały ją na manowce, dobre instynkty zawsze stawały jej wbrew: ale, na nieszczęście, miała w głowie ówieka filozofji i zasady moralne, które sobie zbudowała, zniszczyły te które dyktowało jej serce.

P. de Tavel, jej pierwszy kochanek, był jej mistrzem filozofji i wszczepił te właśnie poglądy, które mu były potrzebne przy dziele uwodzenia. Widząc ją przywiązaną do męża, do obowiązków, zawsze chłodną, rozumną i niedostępną zmysłom, przypuścił do niej szturm logiką sofizmatów. Zdolał jej przedstawić obowiązki, do których była przywiązana, jako katechizmowe bajeczki, dobre do tumanienia dzieci; obcowanie płci, jako akt niezupełnej w sobie obojętności; wierność małżeńską, jako konwencjonalny pozór, którego cała moralność ograniczała do poszanowania opinji; spokój męża jako jedyne prawo powinnościi żony; tak iż (wedle niego) dobrze

zatajona niewierność, nie istniejąc dla tego kogo dotyka, nie istnieje również dla sumienia. Słowem, wytłómaczył jej, że rzecz sama w sobie jest niczem, że nabiera istnienia dopiero przez wyjście na jaw, i że każda kobieta z pozoru cnotliwa, tem samem jest nią w istocie. W ten sposób, nędznik doszedł do celu, pacząc umysł dziecka, którego serca zepsuć nie był w stanie. Został za to ukarany męką najokrutniejszej zazdrości, jaką podsycalo w nim podejrzenie iż ona postępuje względem niego tak samo, jak ją nauczył aby postępowała względem męża. Nie wiem, czy się mylił. Pastor Perret uchodził za jego następcę. Tyle wiem, iż chłodny temperament tej młodej kobiety, który, zdawałoby się, winienby ją ubezpieczyć od tych przewrotnych teoryj, przeciwnie utrwalił ją w nich jeszcze. Nie mogła zrozumieć, aby można było przywiązywać tyle wagi do tego, co dla niej nie miało prawie żadnej. Nigdy nie uczęła imieniem cnoty wstrzemięźliwości, która kosztowała ją tak niewiele.

Nie byłaby więc wcale nadużywała tej fałszywej zasady dla siebie samej: ale nadużywała jej dla drugih, a to znów dla innej zasady, prawie tak samo fałszywej, ale bardziej zgodnej z dobrocią jej serca. Zawsze mniemała, iż nie tak nie przywiązuje mężczyzny do kobiety jak posiadanie. Mimo że nie kochała swych przyjaciół inaczej niż przyjaźnią, przyjaźń ta była tak tkliwa, że używała wszelkich środków jakie miała w swej mocy, aby ich mocniej przywiązać. Co szczególne, to iż prawie zawsze się jej to powiodło. Była naprawdę tak uroczą, że, im bliżej się z nią żyło, tem więcej znajdowało się nowych przyczyn do kochania. Druga rzecz godna uwagi, to że, od czasu pierwszego błędu, przygarniała zawsze jedynie

niejaków. Ludzie uposażeni od losu daremnie trawili przy niej swe starania; ale człowiek, dla którego uczuła zrazu miłość, musiałby być bardzo odpychający aby go wkońcu nie pokochała. To zatem, iż nieraz umieszczala swe łaski w sposób tak mało jej godny, nietylko nie działo się wskutek niskich skłonności, którym nigdy szlachetne jej serce nie było dostępne, ale zawsze jedyną przyczyną był jej charakter zbyt wielkoduszny, ludzki, współczujący, drażliwy, nad którym nie panowała z dostateczną rozwagą.

Jeśli niektóre fałszywe zasady sprowadziły ją na bezdroża, ileż za to zdobyła cudownych przymiotów, którym się nigdy nie sprzeniewierzyła! Przez ile rzadkich błędów okupywała swoje słabości, jeśli można tem imieniem nazwać błędy, w których zmysły tak mało brały udziału! Ten sam człowiek, który ją tak szpetnie wprowadził w błąd, w jednym punkcie, oświecił znamienicie i ozdobił jej umysł co do tysiąca innych. Nie podlegając burzliwym zmienneściom i mogąc, tem samem, iść za wskazówkami sumienia, szła zawsze drogą dobrą, o ile sofizmaty nie sprowadzały jej na manowce. Nawet błędy jej płynęły z chwalebnych pobudek; mogła źle czynić przez zbłąkanie, ale nie mogła chcieć niczego, coby było złem. Nie znała fałszu, kłamstwa, była sprawiedliwa, wyrozumiała, ludzka, bezinteresowna, wierna swemu słowu, przyjaciółom, obojętną, o ile je uznała za takie, niezdolna do zemsty, nie nienawiści, nie pojmując nawet aby w przebaczeniu mogła tkwić jaka zasługa. Wreszcie (aby wrócić do tego, co najtrudniejsze do usprawiedliwienia), nie ceniąc swoich jak wedle ich wartości, nigdy nie czyniła ich przedmiotem szpetnego handlu; rozdawała je, ale ich nie

sprzedawała, mimo że niejednokrotnie cierpiała wprost niedostatek. Śmiem powiedzieć, iż, jeżeli Sokrates mógł cenić Aspazję, byłby z pewnością poważał panią de Warens.

Wiem zgóry, że, malując ją jako charakter tkliwy a temperament chłodny, spotkam się z zarzutami sprzeczności, jak zazwyczaj i z taką samą słusnością. Być może, iż natura popełniła błąd i że to skojarzenie nie powinno było istnieć; wiem tylko, że istniało. Wszyscy ci, którzy znali panią de Warens i których duża liczba żyje jeszcze, mogli wiedzieć, że tak było. Śmiem nawet dodać, że znała ona jedną tylko prawdziwą rozkosz na świecie, a mianowicie dawać ją tym, których kochała. Wolno wszelako każdemu rozprawiać i argumentować dowoli i dowodzić uczenie że to nieprawda. Mojem zadaniem jest mówić prawdę, ale nie przymuszać do wiary.

Wszystkiego, co powiedziałem w tej chwili, dowiedziałem się wśród rozmów, które mieliśmy ze sobą po naszym zbliżeniu; i one to jedynie uczyniły je rozkosznym. Słusznie spodziewała się pani de Warens, że dobroć jej wyjdzie mi na użytek; skorzystałem z niej w istocie bardzo wiele dla swego rozwoju. Aż dotąd, mówiła ze mną zawsze tylko o mnie, jak z dzieckiem. Teraz dopiero zaczęła odnosić się do mnie jak do mężczyzny, otwierając mi swoje serce. Wszystko, co mówiła, było dla mnie tak interesującym, poruszało mnie tak głęboko, iż zwierzenia jej o wiele żywiej trafiły mi do duszy niż poprzednie nauki. Kiedy się czuje w istocie że serce mówi, serce nasze otwiera się aby przyjąć jego wylewy; i nigdy żadne moralne nauki pedagoga nie będą warte serdecznej i tkliwej gawędy z rozumną i kochaną kobietą.

Zbliżenie, w jakim żyliśmy teraz, pozwoliło mamusi robić sobie o mnie korzystniejsze niż wprzód mnie. Osądziła że, mimo mej niezaradności, zasługuję na to, aby mnie kształcić do życia w świecie, i że, skoro kiedyś ukażę na tym teatrze w odpowiednim rynsztunku, będę umiał sobie dać radę. Przejęta tą myślą, dokładała starań, nie tylko aby ukształtować wnętrze, ale także zewnętrzny pozór, i uczynić mnie, przez moje zalety, dla mnie godnym sympatji co szacunku. Jeśli prawdą jest, że można połączyć powodzenie w świecie z cnotą (w co ja szalenie nie wierzę), pewien jestem, że istnieje do tego jedna jedyna droga, to jest ta, którą ona obrała i na którą chciała mnie skierować. Pani de Warens znała ludzi i popierała znakomicie sztukę obcowania z nimi bez kłamstwa i bez zbędnej szczerości, nie oszukując ich i nie drażniąc. Ta umiejętność tkwiła raczej w charakterze niż w zachowaniu; umiała lepiej ją stosować niż jej nauczyć, a ja nie byłem człowiekiem najmniej na świecie sposobnym do korzystania z tych nauk. Toteż, wszystkie starania w tej sprawie poszły niemal że zupełnie na marne, tak samo jak moja taktowność, z jaką zaopatrzyła mnie w nauczycieli tańca i w sztuki. Mimo że byłem lekki i zgrabnej postawy, nie byłem w stanie nauczyć się kroku menueta. Cierpiałem na odciski, z której-to przyczyny tak nawykłem chociaż na obcasach, iż mój pedagog nie mógł mnie od tego nauczyć, i nigdy, mimo dość zwinnego wyglądu, nie byłem w stanie przeskoczyć najmniejszego rowu. Jeszcze gorzej było z tańcem. Po trzech miesiącach lekcji, machałem nogami jak cepami, nie umiając wykonać prawidłowego kroku, i nigdy nie doszedłem do takiej giętkości przegubu i siły ramienia, aby utrzymać floret, kiedy mistrzowi

memu spodobało się wyważyć mi go z ręki. Dodajcie do tego, iż miałem śmiertelną odrazę do tego ćwiczenia i do nauczyciela który usiłował mnie z nim obznajmiać. Nigdybym nie uwierzył, że można tak się czuć dumnym ze sztuki zabicia człowieka. Aby swój wysoki geniusz zastosować do mego poziomu, wyrażał się tylko porównaniami czerpanemi z muzyki, o której nie miał pojęcia. Znajdował uderzające analogie między tercją a kwartą w fechtunku, a interwałami muzycznymi tej samej nazwy. Kiedy chciał zrobić fintę, ostrzegał mnie abym uważał na die z e, dawniej bowiem diezy nazywały się fin t a m i; kiedy mi wytrącał z ręki floret, mówił, śmiejąc się rubasznie, że to p a u z a. Słowem, w życiu nie widziałem nieznowniejszego pedanta niż ten biedny człeczyna, dumny ze swej kitki i plastronu.

Czynilem tak małe postępy w mych ćwiczeniach, że, niebawem, porzuciłem je z czystego wstrętu; większe natomiast zdobycze uczynilem w bardziej użytecznej sztuce, mianowicie tej, aby być zadowolonym ze swej doli, nie pragnąc świetniejszego losu, do którego zaczynałem czuć że nie jestem stworzony. Cały pochłonięty pragnieniem uprzyjemniania życia mamusi, podobałem sobie coraz więcej przy jej boku; a kiedy mi trzeba było oddalić się od niej, aby uganiać po mieście, mimo całej namiętności do muzyki zaczynałem odczuwać ciężar mych lekcyj.

Nie wiem, czy Klaudjusz Anet spostrzegł zmianę naszego stosunku. Mam powody przypuszczać, że nie był jej nieświadom. Był to człowiek bardzo przenikliwy, ale bardzo dyskretny, który nie mówił nigdy wbrew swej myśli, ale nie zawsze ją objawiał. Mimo iż nigdy nie zdradził wobec mnie aby wiedział o czem, postępowanie jego

awalo się za tem przemawiać; a postępowanie to nie wynikało z pewnością z niskich pobudek, ale z tego, iż, przejawiając się poglądami swej pani, nie mógł potępiać za to, że działa w ich duchu. Mimo iż nie był starszy od niej, był on tak dojrzały i poważny, że patrzył na nas prawie jako na dwoje dzieci godnych pobłażania, a my trzymaliśmy nań oboje jako na statecznego mężczyznę, którego szacunku nam zależało. Dopiero wówczas gdy mu się stała niewierną, poznałem dobrze jak bardzo musiała być do niego przywiązana. Ponieważ wiedziała moją myślę, czuję, oddycham jedynie przez nią, okazywała mi się jak bardzo go kocha, abym i ja go kochał tak samo; a więcej jeszcze niż na przyjaźń dla niego, kładła wielki nacisk na swój szacunek, ponieważ było to uczucie które najszerszej mierze mogłem podzielać. Ileż razy wzruszała nasze serca i ścisła nas obu ze łzami, powiadając iż ja jestem potrzebny dla szczęścia jej życia! I niechaj kobiety czytając te słowa nie uśmiechają się złośliwie, na jej temperament, a raczej jego braku, potrzeba nam była dwuznaczną; była jedynie potrzebą serca. Tak wytworzyła się między nami trojgiem spójnia, której przykładu nie było może na ziemi. Wszystkie nasze troski, wprost nasze serca, były wspólne; nie miało poza granicami tego małego kółka. Przyzwyczajenie życia razem i życia wyłącznie ze sobą stało się dla nas silne, że kiedy, w godzinie posiłku, brakło jednego z trojga, albo też przybył ktoś czwarty, wszystko było nie na miejscu; mimo naszych poszczególnych związków, same były nam mniej słodkie niżeli wspólne zebrania. Nieograniczone wzajemne zaufanie usuwało z nich wszelki wymus, nudę zaś wykluczało to, iż byliśmy bardzo za-

jęci. Mamusia, zawsze snująca plany i zawsze czynna, nie pozwalała żadnemu z nas próżnować; prócz tego każdy oddzielnie dość miał sposobów wypełnienia czasu. Według mnie, bezczynność nie w mniejszym stopniu jest plagą życia społecznego jak samotności. Nic bardziej nie zaciężnia umysłu, nie płodzi więcej małostek, plotek, obmowy, sprzeczek, kłamstw, niż kiedy ludzie siedzą wspólnie zamknięci w pokoju, skazani, za całe zatrudnienie, na konieczność ustawnego paplania. Kiedy wszyscy są zajęci, każdy mówi tylko wówczas kiedy ma coś do powiedzenia; ale kiedy się nic nie robi, trzeba koniecznie mówić ciągle; oto, ze wszystkich rodzajów przymusu, najbardziej uciążliwy i niebezpieczny. Śmiej się nawet iść dalej, i twierdź, że, aby zebranie mogło być naprawdę przyjemnem, trzeba nie tylko aby każdy był zajęty, ale do tego zajęty czemś, co wymaga nieco uwagi. Robić szydełkiem, to znaczy nic nie robić, i tyleż trzeba trudu aby zabawić kobietę robiącą szydełkiem, jak wówczas gdy siedzą z założonymi rękami. Ale kiedy haftuje, to co innego: zajęcie to wystarcza aby wypełnić przerwy milczenia. Śmieszne i drażniące jest poprostu patrzeć na półtuzina wałkon, jak wstają, siadają, idą, wracają, okręcają się na pięcie, obracają dwieście razy figurkę na kominku i dręczą mózgownice aby podtrzymywać nieustający potok słów: w istocie ładne zajęcie! Tacy ludzie, cokolwiek by czynili, zawsze będą ciężarem dla siebie i drugich. Kiedy byłem w Motier, chodziłem robić siatki do moich sąsiadek; gdybym znów zaczął żyć w świecie, miałbym zawsze w kieszeni swój bilbokecik, i bawiłbym się nim cały dzień, aby się uwolnić od potrzeby mówienia, kiedybym nie miał nic do powiedzenia. Gdyby każdy czynił tak

samo, ludzie staliby się mniej źli, stosunki między nimi bezpieczniejsze, a myślę że i przyjemniejsze. Słowem, niech żartownisie śmieją się jeśli mają ochotę, ale ja twierdzę, że jedyna moralność dostępna dla naszej epoki, to moralność bilboketu.

Zresztą, nie zostawiano nam zbyt wiele sposobności chronienia się od nudów; zbyt wiele nam ich zadawali natręci swemi uprzykrzonymi wizytami, abyśmy mieli czas nudzić się, zostawszy w swoim kółku. Niecierpliwosć, o którą przyprawiali mnie niegdyś wieczni goście, nie zmniejszyła: jedyna różnica była ta, iż miałem mniej czasu na wyrażenie jej. Biedna mamusia nie wyzbyła się wcale dawnej namiętności do przedsięwzięć i projektów: przeciwnie, im bardziej domowe potrzeby stawiały się naglące, tembardziej, chcąc im wydolać, ścigała swoje chimery. Im mniej miała środków obecnie, tem więcej dawała folgę fantazji na przyszłość. Postęp lat jedynie powiększał w niej tę manję; w miarę jak traciła zamięłowanie do uciech świata i młodości, zastępowała je rozkoszami tajemnic i projektów. Z domu nie wychodzili szarlatani, fabrykanci, alchemicy, awanturnicy wszelakiego rodzaju, którzy, rozdając fortuny milionami, zawsze wkońcu potrzebowali jakiegoś talara. Żaden nie wyszedł od niej z próżnemi rękami, i tylko dziwię się, że tak długo mogła nastarczyć tej rozrzutności, bez wyczerpania jej źródła a zarazem cierpliwości wierzycieli.

Projekt, którym najbardziej była pochłonięta w owej epoce, a który nie był najbardziej niedorzeczny ze wszystkich jakie tworzyła, to było założenie w Chambéri królewskiego ogrodu botanicznego, z posadą płatnego demonstratora; można odgadnąć, dla kogo miejsce to było prze-

znaczone. Położenie miasta, w samym wnętrzu Alp, było bardzo pomyślne dla studjów botanicznych; a mamusia która zawsze, na poparcie jednego projektu, stwarzała drugi, dołączyła do owego ogrodu instytut farmaceutyczny, który, w istocie, mógł być użyteczny w tym kraju tak biednym, gdzie aptekarze są prawie jedynymi lekarzami.

Okolicznością, która zdawała się sprzyjać temu projektowi i może nasunęła go nawet, był fakt, iż protomedyk Grossi, po śmierci króla Wiktora, osiedlił się w Chambéri. Na wszelki wypadek, mamusia zaczęła sidłać swemi uprzejmościami Grossiego, który nie bardzo był uprzejmościom dostępny; był to bowiem najbardziej cierpki i brutalny człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem. Można osądzić z paru rysów, które przytoczę na próbkę.

Jednego dnia, znajdował się on na konsylium z paru lekarzami, między innymi jednym, sprowadzonym z Annecy, lekarzem domowym chorego. Ów młody człowiek śnać jeszcze niedość zaprawiony w zawodzie lekarza, ośmielił się nie podzielać zdania pana protomedyka. Ten, za całą odpowiedź, zapytał go, którędy będzie przejeżdżał wracając do domu i jakiego rodzaju lokomocji ma zamiar użyć. Lekarz, zaspokoivszy jego ciekawość, pyta z kolei, czy może mu w czem usłużyć. „Nic, nic, rzecze Grossi, chciałem tylko wyjrzeć z okna w czasie pańskiego przejazdu, aby mieć przyjemność oglądania osła jadącego na mule”. Był równie skąpy, jak bogaty i nieużyty. Jeden z przyjaciół chciał raz pożyczyć od niego pieniędzy na dobrą hipotekę. „Mój przyjacielu,” rzekł ściskając mu ramię i zgrzytając zębami, „gdyby św. Piotr zstąpił z nieba, aby pożyczyć odemnie dziesięć pistoli i dawał mi w za-

w Tróję świętą, nie pożyczylbym.” Jednego dnia, proszony na obiad do hrabiego Picon, gubernatora Sardynii, wielkiego dewota, przybył zawczasie; Jego Ekscecja, zajęta odmawianiem różańca, proponuje mu tę kawę. Nie wiedząc co powiedzieć, wykrzywia się strasznie i klęka; ale, zaledwie odmówił dwa Ave, nagle, nie mogąc dłużej wytrzymać, zrywa się, chwyta laskę i oddala bez słowa. Hrabia Picon biegnie za nim i krzyczy: panie Grossi! panie Grossi! zostań pan, mamy na rożnie gotową kuropatkę. — Panie hrabio, odparł tamten, odwołując się, choćbyś mi pan dawał pieczonego anioła, nie zostanę.” Oto co za człowiek był p. protomedyk Grossi, którego mamusia zamierzyła i zdołała wreszcie oblaskać. Mimo iż bardzo zajęty, przyzwyczaił się zachodzić do niej nader często, polubił Aneta, zaznaczał iż ceni jego mądrość, mówił o nim z uznaniem, i, czegoby się nikt nie dziwił po takim niedźwiedziu, traktował go z wyszukanymi względami, aby zatrzeć wrażenie jego przeszłości. Ono bowiem iż Anet oddawna nie pozostawał na stopie tego, wiadano że był nim dawniej; trzeba było do tego przykładu i powagi p. protomedyka, aby poddać stosunku do niego, ton, któregooby z pewnością komu innemu nie udało się narzucić. Klaudjusz Anet, w swem prostym ubraniu, starannie uczesanej peruce, z przyzwoitą i poważną fizjognomją, statecznem i roztropnem usposobieniem, dość rozległemi wiadomościami w zakresie medycyny i botaniki oraz poparciem głowy fakultetu, mógł sobie mieć nadzieję chlubnego wywiązania się z obowiązków królewskiego demonstratora roślin, w razie gdyby zamierzony instytut doszedł do skutku. W istocie, Grossi zasmakował w tym planie, pochwalił go, i, aby go

przedłożyć u dworu, oczekiwał jedynie chwili, gdy zawarcie pokoju pozwoli myśleć o użytecznych rzeczach i rozrządzać jakąś sumką potrzebną dla ich wykonania.

Ale ten projekt, którego urzeczywistnienie byłoby mnie pewnie pchnęło w kierunku botaniki, do czego zdaje mi się iż byłem stworzony, chybił, wskutek jednego z owych nieoczekiwanych ciosów, które burzą najlepiej pomyślane plany. Było mi przeznaczone stać się, spadając ze szczybla na szczybel, przykładem ludzkich niedoli. Rzekłby ktoś, iż to Opatrzność, która powołała mnie do tych wielkich prób, usuwała rękę od wszystkiego, co by mnie mogło wstrzymać na drodze ku mej Golgocie. W czasie wycieczki, którą Anet podjął w wysokie góry po genipi, rzadką roślinę znajdującą się tylko w Alpach, a potrzebną panu Grossi, biedny chłopak zmęczył się tak, iż dostał pleurezji, z której owo genipi nie mogło go uleczyć, jakkolwiek jest, jak powiadają, specyfikiem na tę chorobę. Mimo całej sztuki Grossiego, który z pewnością był bardzo biegłym lekarzem, mimo najpiętszyczych starań jakiemiśny go otoczyli, umarł piątego dnia, w naszych rękach, po okrutnej agonji, w czasie której ja tylko krzepiłem go swemi exhortarjami. Udzielałem mu ich w wybuchach boleści i przywiązania, które, jeśli był w stanie mnie zrozumieć, musiały mu być pewną pociechą. Oto jak straciłem najpewniejszego przyjaciela, jakiego miałem w życiu; szacownego i rzadkiego człowieka, w którym szlachetność natury zastąpiła wychowanie, który w stanie służebnym pielęgnował wszystkie cnoty niepospolitych ludzi i który, być może, zaśnąłby niemi przed światem, gdyby okoliczności powołały go na szerszą arenę.

Nazajutrz, rozmawiałem o nim z mamusią z najbardziej żywym i szczerem zmartwieniem, kiedy nagle, wśród rozmowy, przemknęła mi przez głowę niska i szpe- ma myśl, że, z kolei rzeczy, mnie przypadnie dziedziczyć go Anecie jego manatki, a zwłaszcza piękne czarne ubranie, które mi wpadło w oko. Pomyślałem to, temsamem powiedziałem; w stosunku do mamusi było to dla mnie jedno i to samo. Nic tak dotkliwie nie dało jej odczuć straty którą poniosła, jak to wstrętne i nikezemne odezwanie: bezinteresowność bowiem i szlachetność duszy, były to przymioty, które zmarły posiadał w najwyższym stopniu. Biedna kobieta nie odpowiedziała, odwróciła się i zaczęła płakać. Drogie i kosztowne lzy! Zrozumiałem, że wszystkie spłynęły do mego serca; splukały w niem, aż do ostatnich śladów, wszelkie niskie i pospolite uczucie. Nigdy, od tego czasu, już się doń nie wślizgnęło.

Ta strata stała się dla mamusi nie tylko wielką boleścią, ale również i wielką szkodą. Od tego czasu, interesy jej coraz bardziej zaczęły podupadać. Anet, był to człowiek kciśy i rządny, i on jeden utrzymywał jaki taki ład w domu pani. Obawiano się jego czujności; stąd i marnotrawstwo było mniejsze. Ona sama lękała się jego nagany i powścią- gała się bardziej w rozrzutności. Nie dość było dla niej podupadać jego przywiązanie, dbała także i o jego szacunek i lękała się słusznych wymówek, które odważał się jej kiedy czynić, gdy trwonila cudze dobro na równi z własnem. Myślałem jak on, przemawiałem nawet, ale nie miałem wobec niej tej powagi i przestrogi moje nie czyniły wrażenia. Kiedy go nie stało, byłem zmuszony objąć jego rolę, do czego miałem równie mało zdolności jak powołania; toteż, wypełniałem ją bardzo lichy. Byłem

mało staranny, a przytem bardzo nieśmiały; niby gderając coś pod nosem, cierpiałem, iż wszystko rozlaży się na cztery wiatry. Zresztą, zażywałem wprawdzie u mamusi tego samego zaufania, ale nie tej samej powagi. Widziałem nierząd, biadałem nad nim, uskarżałem się: nie zyskiwałem posłuchu. Byłem zbyt młody i zbyt żywy, aby mieć prawo być rozsądnym; kiedy chciałem bawić się w cenzora, mamusia dawała mi pieszczotliwe klapsy po twarzy, nazywała swoim Mentorem i zmuszała do objęcia roli, która mi lepiej przystała.

Zdawałem sobie sprawę, iż nieumiarkowane wydatki muszą, prędzej czy później, wtrącić ją w najgłębszą nędzę. Czulem to tem wyraźniej, odkąd, objąwszy niejako zarząd domu, własnymi oczami mogłem osądzić nierówność szali pomiędzy ma i winien. Od tej epoki datuje skłonność do skąpstwa, która się we mnie rozwinęła. Nigdy, poza jakimś chwilowym wybrykiem, nie byłem szalenie rozrzutny; ale, aż dotąd, nie troszczyłem się zbyt o to, czy miałem mało czy dużo. Obecnie, zacząłem zastanawiać się nad tem i troszczyć o stan mej sakiewki. Stawałem się brudasem z bardzo szlachetnego motywu; w istocie bowiem jedynym mym celem było zabezpieczyć mamusi jakiś fundusik, na wypadek katastrofy, którą przewidywałem. Lękałem się, aby wierzyciele nie zajęli pensji lub aby pensji tej zupełnie nie zniesiono; wyobrażałem sobie, wedle mych ciasnych horyzontów finansowych, iż mój skarbczyk może się wtedy stać wielką pomocą. Ale, aby go uskladać, a zwłaszcza uchować, musiałem się kryć po cichu; nie wypadało bowiem, aby mamusia, szamocąc się sama z kłopotami, wiedziała, że ja tymczasem duszę pokątnie pieniądze.

Wyszukiwałem tedy kryjówki, w które wsuwałem ukradkiem jakieś parę ludwików, z nadzieją nieustannego powiększania tego skarbu aż do chwili, w której będę go mógł złożyć u jej stóp. Ale byłem tak niezręczny w wywarzaniu kryjówek, że mamusia zawsze je wypatrzyła; potem, aby mi dać znać że znalazła, zabierała złoto umieszczane przezemnie, kładąc sunkę większą jeszcze zwykle, ale w innej monecie. Szedłem, zawstydzony, złożyć do wspólnej kasy mój mały skarb, który mamusia zazwyczaj obracała dla mnie, na jakieś fatalaszki lub stroiki, jak np. srebrna szpada, zegarek, albo coś w tym rodzaju. Przekonawszy się dowodnie, iż oszczędzanie nie pożydzie mi się nigdy i nie na wiele przyda się mej opiekunce, zdałem sobie sprawę, iż jedyną drogą dla mnie jest starać się, abym we własnych talentach mógł kiedyś znaleźć środki do życia dla obojga, wówczas gdy jej może zabraknie chleba dla siebie i dla mnie. Na niebezpieczeństwo, kierując projekty w stronę upodobań, upieściłem się w szalonej myśli szukania losu w muzyce. Czując w głowie kielkujące pomysły i melódje, uwierzyłem, że skoro tylko będę mógł je wyzyskać, stanę się zaraz sławnym człowiekiem, nowożytnym Orfeuszem, którego niewiarki sprowadzą na mnie deszcz złota. Doszedłem do tego, iż nauczyłem się czytać jako tako nuty: obecnie, najważniejszą rzeczą było nauczyć się kompozycji. Trudność była w tem, aby znaleźć kogoś ktoby mnie jej nauczył; sam bowiem, tylko przy pomocy mego Rameau, nie spodziewałem się tego osiągnąć, a, od wyjazdu Mistrza, nie było w Sabaudji nikogo, ktoby bodaj trochę rozumiał na harmonji.

Tu okaże się jeszcze jedna z tych niekonsekwencyj,

od których roi się w mem życiu, i które tak często kazały mi iść nawspak celowi, wówczas właśnie, gdy, na pozór, zmierzałem prosto do niego. Wentura mówił mi wiele o księdzu Blanchard, swoim mistrzu kompozycji, człowieku wielkiej nauki i talentu, który wówczas był kapelmistrzem przy katedrze w Besançon, obecnie zaś zajmuje także stanowisko w Wersalu. Wbiłem sobie w głowę jechać do Besançon uczyć się u księdza Blanchard. Myśl wydała mi się tak rozsądna, że zdołałem do niej przekonać i mamusię. Natychmiast zabrała się do przygotowania małej wyprawki, i to z zapalem, jaki wkładała we wszystko. Tak oto, wciąż z zamiarem zapobieżenia bankructwu i naprawienia w przyszłości skutków marnotrawstwa mamusi, zacząłem, na razie, od tego, iż przysporzyłem jej wydatku ośmiuset franków: przyspieszyłem ruinę, aby zdobyć środki dla złagodzenia jej następstw. Mimo całego szaleństwa tego postępu, działaliśmy, ja i ona nawet, w najlepszej wierze. Ja byłem przekonany, iż, w ten sposób, pracuję z pożytkiem dla niej, ona, że z pożytkiem dla siebie samego.

Spodziewałem się, iż zastanę jeszcze Wenturę w Anecy i poproszę o list do księdza Blanchard. Już go nie było. Za całą informację trzeba mi się było zadowolić mszą na cztery głosy, jego kompozycji i pióra, którą mi zostawił. Z tym listem polecającym puszczam się do Besançon, przejeżdżając przez Genewę, gdzie odwiedziłem krewnych, i przez Nyon, gdzie wstąpiłem do ojca. Przyjął mnie jak zwyczajnie i podjął się wyprawić za mną tobolek, który miał przyjść dopiero po mnie, ile że podróż odbywałem konno. Przybywam do Besançon. Ksiądz Blanchard przyjmuje mnie dobrze, obiecuje wskazówki

fiaruje usługi. Już mieliśmy rozpoczynać, kiedy dowiaduję się z listu ojca, że tobolek mój przytrzymano konfiskowano w Rousses, komorze francuskiej na granicy Szwajcarii. Prerażony tą nowiną, poruszam wszystkie stosunki jakie porobiłem sobie w Besançon, aby się dowiedzieć o motywach konfiskaty: pewny, że nie miałem żadnej kontrabandy, nie mogłem pojąć, na jakim pozostawili ją ugrunтоваć. Dowiaduję się wreszcie: trzeba było dowiedzieć rzecz całą, wypadek bowiem jest, w istocie, śmieszny.

Widywałem w Chambéri starego Lyonczyka, poczciwego człowieka, nazwiskiem p. Duvivier, który urzędował w w i z a c h za regencji, i który, w braku innego miejsca, zgodził się pracować w katastrze. Niegdyś był światowy człowiek; posiadał talenty, nieco wykształcenia, miłe obejście; znał się na muzyce; że zaś pracowałem z nim w jednej kwaterze, wśród niedźwiadków, którzy nas otaczali, zbliżyliśmy się ze sobą naturalną siłą przyjaźni. Zachował on pewne stosunki w Paryżu: z nich wypłynęły owe przyjemne fraszki, owe ulotne nowości, które nie wiadomo skąd, umierają niewiadomo jak, i których nikt nie pomyśli, skoro się przestanie o nich mówić. Ponieważ od czasu do czasu prowadziłem go na spacer do mamusi, zabiegał się potrosze o moje względy, aby się wypłacić niejako, starał się obudzić we mnie pamięć do tych ramot, do których zawsze miałem taką straszę, że nigdy nie zdarzyło mi się w życiu przeczytać memu bodaj jednej. Na nieszczęście, jeden z tych przebiegłych świstków został w kieszeni od kamizelki nowego ubrania, które włożyłem na siebie parę razy aby być w popłasku z celnikami. Ten świstek, była to dość płaska

jansenistyczna parodia pięknej sceny z *Mitrydata* Racine'a. Nie przeczytałem ani dziesięciu wierszy i zostawiłem papier, przez zapomnienie, w kieszeni. Oto, co spowodowało konfiskatę. Urzędnicy pomieścili na czeluży inwentarza walizki wspaniały protokół, w którym, w przypuszczeniu iż pismo to przemyca ktoś z Genewy potajemnie, aby je wydrukować i rozszerzać we Francji, rozwinęli się w świętem oburzeniu przeciw nieprzyjaciołom Boga i Kościoła i w pochwałach nad swą pobożną czujnością, która wstrzymała wykonanie piekielnego zamysłu. Uwaga widocznie, że i moje koszule również trąca herezję, gdyż, na rachunek tego strasznego papieru, wszystko uległo konfiskacie i nigdy nie otrzymałem ani żadnego wyjaśnienia ani wiadomości o mym biednym tobołku. Urzędy, do których się zwracano, wymagały tylu szczegółów, informacji, certyfikatów, dokumentów, iż, zgubiwszy się sto razy w tym labiryncie, zmuszony byłem do wszystkiego poniechać. Żałuję szczerze, iż nie zachowałem protokołu z komory w Rousses: był to dokument godzien zajmować zaszczytne miejsce wśród tych, których zbiór ma być dołączony do niniejszego rękopisu.

Ta strata sprowadziła mnie z powrotem do Chambéry, nim zdążyłem cośkolwiek zacząć z księdzem Blanchardem. Widząc, iż nieszczęście jakieś ściga mnie we wszystkich przedsięwzięciach, postanowiłem wreszcie trzymać się jedynie mamusi, dzielić jej dołę, i nie troskać się próżno o przyszłość, której nie mogłem zaradzić. Przyjęła mnie, jakgdybym wrócił obładowany skarbami, odnowiła powoli mą skromną garderobę, i całe to nieszczęście, dość znaczne dla nas obojga, poszło w niepamięć prawie natychmiast po przybyciu.

Mimo iż ta katastrofa ostudziła mnie w projektach muzycznych, nie przestałem wszelako dalej studjować Rameau. Dzięki wysiłkom, doszedłem wreszcie do tego, iż zacząłem go rozumieć. Skleilem parę kompozycji, których powodzenie zachęciło mnie. Hrabia de Belleval, syn margrabiego d'Antremont, wrócił z Drezna po śmierci króla Augusta. Długo mieszkał w Paryżu: lubił niemiennie muzykę, zwłaszcza Rameau. Brat jego, hrabia de Nangis, grywał na skrzypcach; hrabina de la Tour, siostra, śpiewała trochę. Wszystko to wprowadziło Chambéry muzykę w modę. Stworzono rodzaj pułkownego koncertu, którego zrazu ja miałem objąć dyktando: ale spostrzeżono niebawem, iż przechodzi to moje i ułożono rzecz inaczej. Bądź co bądź, udało mi się skonać parę drobnych utworów swojej kompozycji, między innemi kantatę, która się bardzo podobała. Nie był to utwór dobrze zbudowany, ale pełno w nim było różnych melodyj i efektów, jakich nie spodziewano się u mnie. Oba panowie nie mogli uwierzyć, iżbym, czytając tak lichy nuty, mógł, mimo to, komponować wcale nieźle, i ani wątpili iż ustroiłem się w cudze piórka. Aby sprawdzić rzecz, jednego ranka, przyszedł do mnie p. de Nangis z kantatą Clérambaulta, którą przetransponował, i mówił, dla swego głosu; chodziło o to, aby dobrać akompanjament, ponieważ oryginalny nie dał się łatwo zgodzić z transpozycją. Odpowiedziałem, iż to jest ciężka praca i że nie da się jej wykonać od ręki. Myślał, że się chcę wykręcić i prosił, bym ułożył akompanjament bodaj do jednej melodji. Ułożyłem go tedy, lichy, pewne, aby bowiem coś zrobić dobrze, trzeba mi każdej rzeczy czasu i swobody; ale ułożyłem, w każdym

razie, podług reguł: że zaś p. de Nangis był przytem obecny, nie mógł dłużej wątpić o mej znajomości prawideł kompozycji. Dzięki temu, nie straciłem lekcyj, ale ostrygłem nieco do muzyki, widząc iż złożył się koncert i że obszedł się bez mego współudziału.

W tym-to mniejwięcej czasie, po zawarciu pokoju, armja francuska wracała przez góry. Wielu oficerów odwiedziło mamusię, między innymi hrabia de Lautrec, pułkownik pułku Orleańskiego, później ambasador w Genewie i wreszcie marszałek Francji. Zostałem mu przedstawiony. Z tego co mu mamusia o mnie powiedziała, wydawał się bardzo mną przejęty; poczynił mi różne nadzieje, o czem przypomniał sobie dopiero w ostatnim roku swego życia, wówczas kiedy już nie potrzebowałem jego usług. Młody margrabia de Senneckerre, którego ojciec był wówczas ambasadorem w Turynie, przejeżdżał w tym samym czasie przez Chambéri. Był na obiedzie u pani de Menthon: ja również obiadowałem tam tego dnia. Po obiedzie, rozmowa zesła na muzykę, w której był kuty na cztery nogi. Opera *Jephthé* była wówczas nowością; wspomniał o niej, przyniesiono nuty. Zadrżałem, kiedy mi zaproponował, abyśmy, we dwóch, wykonali tę operę. Otwierając, natrafił na ten sławny ustęp na dwa chóry:

Ziemia, niebo, piekło samo,
Wszystko korzy się przed Panem.

Rzekł do mnie: „Ile pan chcesz objąć partyj? Ja podejmuję się tych sześciu“. Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do tej francuskiej werwy; mimo iż niekiedy zdarzyło mi się odstękać jaką partycję, nie mogłem zrozumieć w jaki sposób jeden człowiek może wykonać sześć partyj, a nawet dwie. Nie było dla mnie uciążliwszej rzeczy

niż muzyki, niż takie lekkie przeskakiwanie z jednej do drugiej, i równoczesne ogarnianie okiem całej partytury. Ze sposobu, w jaki wywiązałem się z zadania, Senneckerre musiał nabrać podejrzania, że nie mam z nią o muzyce. Może dla sprawdzenia tej wątpliwości, proponował mi spisanie melodji, którą chciał ofiarować pani de Menthon. Nie mogłem się wymówić. Zaspiewałem piosenkę, ja notowałem, nie żądając nawet zbyt wielu powtórzeń. Odczytał ją następnie, i znalazł, że jest poprawnie zanotowana, bo też tak było. Widząc przednio me zakłopotanie, podkreślał teraz z przyzwoistością ten mój drobny tryumf. Była to wszelako rzecz bardzo prosta. W gruncie, posiadałem muzykę bardzo prostą; brakło mi jedynie tego błyskawicznego rzutu oka, którego nie miałem nigdy w nieczem, a który w muzyce ma nabyć jedynie długą praktykę. Bądź co bądź, wspaniały mu byłem za tę miłą gorliwość, z jaką starał się dostrzec w oczach drugich i moich własnych mały wstyd, którego doznałem poprzednio. W dwanaście czy piętnaście lat później, spotykając się z nim w salonach pałacowych, miałem wiele razy pokusę przypomnieć mu to zdarzenie i okazać, iż zachowałem pamięć o niem. Ale, w tym czasie, stracił oczy: lękałem się odnowić jego ranę, przypominając mu ich dawniejszą sprawność, zmilczałem o to.

Dotykam tutaj momentu, który stanowi poniekąd punkt mej minionej egzystencji z obecną. Niektóre przyzwyczajenia i stosunki z tamtej epoki, przeciągając się w późniejszą, stały mi się bardzo cenne. Często przyszło mi żałować tego szczęśliwego czasu skromnej mierności, kiedy niektórzy głosili się mymi przyjaciółmi, byli nimi i kochali

mnie dla mnie samego, przez prostą życzliwość, a nie przez próżność utrzymywania stosunków z głośnym człowiekiem, albo też przez tajemną chęć znalezienia sposobności szkodenia mi. Od owego to czasu, datuje pierwszą znajomość z moim starym przyjacielem Gauffecourt, który pozostał nim zawsze, mimo wszelkich starań, jakie czyniono, aby go odemnie odwrócić. Zawsze pozostał! nie. Niestety! straciłem go niedawno. Ale nie przestał mnie kochać póki żył i przyjaźń nasza zgasła dopiero z nim samym. P. de Gauffecourt był to jeden z najmilszych ludzi jacy istnieli. Niepodobna go było poznać, aby go nie polubić, a żyć z nim bliżej, aby się nie przywiązało doń na zawsze. W życiu nie widziałem fizjognomji bardziej otwartej, serdecznej, pogodnej, bardziej tryskającej uczuciem i rozumem, bardziej budzącej zaufanie. Choćby się było jak najbardziej powściągliwym, mimo woli, od pierwszego zetknięcia, było się z nim tak poufale, jakgdyby się go znało od lat dwudziestu. Ja, który się tak trudno oswajam z widokiem nowych twarzy, z nim czułem się swobodny natychmiast. Jego ton, akcent, rozmowa były w zupełnej zgodzie z fizjognomją. Dźwięk głosu miał jasny, pełny; dźwięczny, piękny głos basowy, jędrny i wnikliwy, który radował ucho i wibrował w sercu. Niepodobna, by mogła istnieć bardziej równa i miła wesołość, prostszy i naturalniejszy wdzięk, miłsze i pielęgnowane z większym smakiem talenty. Dołączył do tego serce kochające, ale kochające nieco nadto cały świat, charakter uczynny bez wyboru, z zapalem gotowy oddać się na usługi przyjaciół, albo raczej czyniący przyjaciół z ludzi którym mógł służyć; przytem umiemy zrecznie załatwiać własne sprawy, załatwiając bardzo go-

sprawy drugih. Gauffecourt był synem prostego mistrza i sam także był zegarmistrzem. Ale talenty, jak i warunki zewnętrzne, powoływały go do innej, gdzie też niebawem znalazł poczesne miejsce. Znał znajomość z p. de la Closure, posłem francuskim w Genewie, który nabrał dlań sympatji. Polecił go w Pa- przyjacielom; dzięki stosunkom, zyskał sobie do- w Valais, co równało się dwudziestu tysiącom w rocznie. Ale, o ile mężczyźni darzyli go sym- co się tyczy kobiet, te poprostu cisnęły się do niego: ot miał tylko z wyborem. Rzeczą rzadką i najbardziej cennie o nim świadczą było to, iż, mając stosunki w wszystkich sferach, wszędzie był lubiany, rozrywany w towarzystwie, a nigdy nie ściągnął na siebie więcej zazdrości ani nienawiści: sądzę, że umarł, nie czyniwszy sobie w życiu ani jednego nieprzyjaciela. Zęśliwy człowiek! Odwiedzał co roku kąpiele w Aix, nie się zbiera wykwinne okoliczne towarzystwo. Bę- zażyły z całą szlachtą sabaudzką, przybył z Aix do ambéri odwiedzić hrabiego de Bellegarde i ojca jego hrabiego d'Antremont, w którego domu mamusia nie z nim zapoznała. Znajomość ta, która zdawała się mieć żadnych widoków i na szereg lat się przerwała, nowiła się przy sposobności o której powiem i zmieniła się w prawdziwą przyjaźń. Ale, gdyby nawet wspomnienie jego nie dotyczyło mnie tak blisko osobiście, to człowiek tak uroczy i tak obdarzony przez naturę, dla samej czci rodzaju ludzkiego, uważałbym, iż godzi przechować jego pamięć. Ten tak czarujący człowiek al zapewne swoje wady, jak się okaże w dalszym ciągu, gdyby ich nie miał, nie byłby może miał takiego uroku,

Druga przyjaźń, datująca z tego czasu, jeszcze nie wygasła i mam i mnie dotąd tą nadzieją doczesnego szczęścia, która tak trudno zamiera w sercach ludzi. Pan de Conzié szlachcic sabaudzki, wówczas młody i ujmującej postaci powziął kaprys uczenia się muzyki, albo raczej wejść w zażyłość z tym, który jej uczył. Z bystrością i smakiem, w rzeczach sztuki, pan de Conzié łączył słodczy charakter, który byłem oczarowany. W jakiś czas potem, pojawiły ru, która czyniła go bardzo miłym i serdecznym w postęgu życia: cnoty, które i ja posiadam w wysokim stopniu, o ile je czuję u drugich. Niebawem, zaprzyjaźniliśmy się¹⁾. Zarodek literatury i filozofji, który zaczynał fermentować w mej głowie i potrzebował jedynie nieco uprawy i podniecia współzawodnictwa aby się rozwinąć, znalazł w tem zbliżeniu. Pan de Conzié mało miał zdolności do muzyki; to było dla mnie wielkie szczęście; godzinne lekcje schodziły nam na czem innem niż na solfedżowaniu. Śniadaliśmy razem, rozmawiali, czytali to i owo z nożem z księciem pruskim napełniała wówczas świat rozgłosem, rozmawialiśmy często o tych dwóch sławnych ludziach z których jeden, od niedawna na tronie, zapowiadał takim jakim miał się niebawem okazać, drugi zaś, równie mieszany z błotem jak dziś jest otoczony podziwem, budził w nas szczerze współczucie z powodu nieszczęścia, które zdawały się go prześladować, a które tak często spotykały wielkich talentów. Książę pruski nie zaznał szczęścia w młodości; Wolter zdawał się stworzony aby go nie

kosztować nigdy. Zainteresowanie, które budził w nas i drugi, rozciągało się na wszystko, co ich dotyczyło. Wszystko, co Wolter napisał, wertowaliśmy natychmiast. Przyjemność, jaką znajdowałem w tej lekturze, obudziła mnie chęć opanowania sztuki wykwinnego władania piórem; starałem się naśladować piękny styl autora, którym byłem oczarowany. W jakiś czas potem, pojawiły się *Listy filozoficzne*. Mimo iż nie są z pewnością najlepszym dziełem Woltera, one to pchnęły mnie najdalej ku studjom literackim, i to zamilowanie, raz zrodzone, nigdy, od tego czasu, nie wygasło. Nie nadeszła wszelako chwila, aby się mu na serjo poświęcić. Tkwiła we mnie jeszcze jakaś zmienność uspołobienia, jakiś koczowniczy pęd, raczej hamowany niż wypiony, podsycany zresztą trybem domu pani de Warens, zbyt hałaśliwym dla mego samotniczego charakteru. Ta nieznajomych, którzy napływali tam codziennie z wszystkich stron; do tego przekonanie, iż wszyscy ci ludzie starają się ją jedynie wyzyskać i wywieść w pole, na swój sposób, wszystko to czyniło mi mieszkanie u pani prawdziwą torturą. Od czasu, jak, objąwszy miejsce Klaudivszu Anet w ufności jego pani, patrzałem zbliżony stan jej interesów, widziałem, iż zło postępuje w sposób dla mnie przerażający. Po sto razy przedkładałem, prosiłem, nalegałem, zaklinałem, zawsze naopróżno. Rzucałem się do jej stóp, przedstawiałem, w energicznych słowach, wiszącą katastrofę; upominałem żywo, aby ograniczyła wydatki, zaczawszy odemnie samego, aby raczej przecierpiała trochę, póki jeszcze jest młoda, niżby miała, mnożąc długi i wierzyteli, narażać schyłek lat na nędzę i utrapienia. Wzruszona szczerością mego zapалу, roz-

¹⁾ Spotkałem go, później i znalazłem zupełnie przeobrażonym. O, jakim wielkim czarodziejem jest p. de Choiseul! Żadna z moich dawnych znajomości nie umknęła się jego metamorfozom. (Przyp. Rousseau'a.)

tkliwiała się wraz ze mną i przyrzekała najpiękniejsze rzeczy w świecie. Ale zjawiał się jakiś wydrwigrosz, i oto już zapominała o wszystkim. Po tysiącnych próbach bezużyteczności mych przestróg, cóż mi pozostawało, jak odwracać oczy od złego, któremu nie mogłem zapobiec? Wydalałem się z domu, którego drzwi nie byłem mocen ustrzec; robiłem wycieczki do Nyonu, Genewy, Lyonu, podróże, które, odrywając mnie od mej tajemnej zgryzoty, pomnażały zarazem jej przyczynę, przez wydatki, które były z nimi połączone. Mogę przysiąc, iż byłbym z radością ścierpiał wszelkie ograniczenia, gdyby mamusia istotnie miała jakąś korzyść z tej oszczędności; ale pewny, iż to, czego ja sobie odmawiam, przechodzi w ręce hultajów, korzystałem z jej rozrzutności, cisnąc się niejako wraz z nimi do podziału. Podobny owemu psu, wracającemu z rzeźni, unosiłem swój ochłap z kawałka mięsa, którego nie mogłem ocalić.

Nie brakowało zresztą pozorów do wszystkich tych podróży. Mamusia sama mogła mi ich dostarczyć pod dostatkiem, tyle wszędzie miała stosunków, spraw, negocjacji, poleceń wymagających kogoś pewnego. Chętnie korzystała z mych usług, ja skwapliwie chwytałem sposobności; co, wszystko razem, składało się na życie dość wędrowne. Tym podróżom zawdzięczam parę dobrych znajomości, które, w przyszłości, okazały mi się użyteczne lub przyjemne, między innemi, w Lyonie, znajomość z panem Perriehon; żałuję, iż niedość ją pielegnowałem, zważywszy iż okazywał mi wiele łaskowości; znajomość z dobrym Parisotem, o którym wspomnę jeszcze; w Grenobli z panią Deybens i z prezydentową de Bardouche, kobietą wielkiego rozumu i która byłaby nabrała dla mnie

przyjaźni, gdybym miał sposobność częściej ją widywać. W Genewie poznałem się z panem de la Closure, który powiadał mi o mojej matce, ile że, mimo śmierci i upływ lat, serce jego nie mogło jej zapomnieć. Takż z dwoma panami Barillot, synem i ojcem: ojciec, który nazywał mnie wnukiem, był to człowiek niezmiernie miły, jeden z najzaczniejszych jakich wogóle znałem. Podczas zamieszek Rzeczypospolitej, ci dwaj obywatele wmięszali się w dwie przeciwne partje; syn w partję mieszczańską, ojciec w urzędniczą: i kiedy chwycono za broń w roku 1737, widziałem, będąc w Genewie, jak ojciec i syn wychodzili uzbrojeni z tego samego domu, jeden udając się na ratusz, drugi na swą kwaterę, w tem poczuciu, iż, za dwie polziny, znajdują się naprzeciw siebie, aby się mordować wzajem. Ten okropny widok wywarł na mnie takie wrażenie, że przysiągłem sobie nie przykładąć nigdy ręki do żadnej wojny domowej i nie obstawać nigdy wewnątrz państwa za wolnością z bronią w ręku, ani swoją osobą ni mojem zdaniem, jeślibym kiedykolwiek wrócił do praw obywatela. Oddaję sobie świadectwo, iż dotrzymałem tej przysięgi w dość drażliwej sytuacji i sądzę, iż powściągliwość ta powinna mi się liczyć za pewną zasługę. Ale wówczas daleko jeszcze byłem od owej pierwszej fermentacji patriotyzmu, jaką widok Genewy pod bronią zmienił w mem sercu. Jak bardzo byłem od tego oddległy, można osądzić z obciążającego dla mnie faktu, którego zapomniałem umieścić w swoim miejscu, a którego nie powinienem był opuścić.

Wuj Bernard wyjechał przed kilku laty na Karolinę, aby tam budować miasto Charlestown, wedle stworzonego przez siebie planu: wkrótce potem tam umarł. Mój biedny

krewniak również zginął w służbie króla pruskiego; w ten sposób, ciotka, prawie w tym samym czasie, straciła męża i syna. Straty te odgrzały nieco w jej sercu czulość dla mnie, najbliższego krewnego jaki jej pozostał.

Kiedy bawilem w Genewie, mieszkalem u niej i bawilem się szperaniem i przeglądaniem książek i papierów po wuju. Znalazłem tam wiele dokumentów, i listy, jakich z pewnością niktby się nie domyślał. Ciotka, która niewiele dbała o te szpargały, pozwoliłaby mi wszystko zabrać z sobą, gdybym zechciał. Zadowolilem się paru dziełami komentowanemi ręką dziadka, pastora Bernard. Między innemi były tam pisma pośmiertne Rohaulta in 4^o, a margines ich zapelniony był doskonałymi przypiskami, które obudziły we mnie smak do matematyki. Księga ta została między książkami pani de Warens; zawszem żałował, że jej sobie nie zachowałem. Do tych dzieł, dołączyłem kilka pamiętników w rękopisie i jeden drukowany; był pióra słynnego Micheliego Ducret, człowieka wielkiego talentu, głębokiej wiedzy, ale niespokojnego umysłu. Ścigany nader okrutnie przez rząd Genewy, umarł niedawno w fortecy Arbergu, gdzie był zamknięty od długich lat, za udział, jak mówiono, w spisku Bernerskim.

Pamiętnik ten, była to dość bystra krytyka owego wielkiego i śmiesznego planu fortyfikacyj, które częściowo przeprowadzono w Genewie, ku wielkiemu pośmiwisku ludzi fachowych, nie znających tajemnego celu, jaki Rada miała w wykonaniu tego olbrzymiego przedsięwzięcia. P. Micheli, wykluczony z komisji fortyfikacyjnej za to, iż zganil ten plan, mniemał, jako członek Rady Dwustu, a nawet jako obywatel, iż ma prawo rozwinąć

swe zdanie. Uczynił to w owym memorjale, który miał nieostrożność wydrukować, jakkolwiek go nie wydał, każał bowiem wybić tylko pewną ilość egzemplarzy, które rozesłał Radzie Dwustu i które wszystkie przejęto na polecenie na rozkaz Rady Mniejszej. Znalazłem ten memorjał w papierach wuja, wraz z odpowiedzią jaką polecono mu sporządzić, i zabrałem jedno i drugie. Owa podróż wypadła niedługo po mojem wystąpieniu z katastrof; utrzymywałem jeszcze pewne stosunki z adwokatem Coccelli, który stał na jego czele. W jakiś czas potem, dyrektor komory wpadł na pomysł zaproszenia mnie, abym mu trzymał dziecko do chrztu: kumą miała być pani Coccelli. Te honory zawróciły mi w głowie; dumny z tak bliskiej zażyłości z panem adwokatem, starałem się nadrabiać ważnością, aby się stać godnym tej chwały.

W tym celu, uważałem, że nie mogę zrobić nic lepszego, niż pokazać mu drukowany memorjał pana Micheli, egzemplarz w istocie rzadki. Chciałem go tem przekonać, że należę do sfery dygnitarzy genewskich, znających sekrety Stanu. Wszelako, przez jakąś wstrzemięźliwość, której motywy trudno by mi wytłómaczyć, nie pokazałem odpowiedzi wuja na memorjał: może dlatego, że była w rękopisie, jedynie zaś czcionki zdawały mi się godne pana adwokata. Zrozumiał wszelako tak dobrze wartość tego pisma, które, w głupocie swej, mu powierzyłem, że nigdy już nie zdołałem ujrzeć go na oczy, ani tem mniej odzyskać. Wreszcie, przekonany o bezużyteczności swych wysiłków, uczynilem sobie zasługę z konieczności i zmieniłem kradzież w darowiznę. Nie wątpię ani chwili, że dobrze wyzyskał wobec dworu w Turynie ten okaz, bardziej ciekawy wszelako niż użyteczny, i że postarał się,

aby mu, w ten lub w inny sposób, dobrze odszkodowano pieniądze, które rzekomo musiał go kosztować ten na-
bytek. Na szczęście, ze wszystkich przyszłych kon-
junktur, najmniej prawdopodobną jest, aby kiedyś król
Sardynji miał oblegać Genewę; że jednak niema w tem
niemożliwości, przez całe życie będę sobie wyrzucał głupią
próżność, przez którą odsłoniłem najsłabsze strony miasta
jego odwiecznemu nieprzyjacielowi.

Przebyłem w ten sposób dwa czy trzy lata pośród
muzyki, lekarstw, projektów, podróży, bujając nieustannie
z jednej rzeczy na drugą, próbując się ustalić ale nie wie-
dząc na czem, stopniowo wszelako wciągając się w nauki,
odwiedzając koła literatów, słysząc rozmowy o literaturze,
niekiedy samemu odważając się głos zabierać, i przy-
swajając sobie raczej gwarę książek, niżeli ich zawartość.
W wycieczkach do Genewy, odwiedzałem, do czasu do
czasu, po drodze, mego dawnego dobrego przyjaciela,
pana Simon, który bardzo podsycił mą rodzącą się emu-
lację świeżutkimi nowinami z Rzeczypospolitej litera-
tury, zaczerpniętymi ze starych kalendarzy. Widywałem
także w Chambéri pewnego jakobina, profesora fizyki,
pocziwego mnicha, którego nazwiska zapomniałem. Po-
kazywał mi często małe doświadczenia fizyczne, które
mnie szalenie bawiły. Postanowiłem, za jego przykładem,
sporządzić sympatyczny atrament. W tym celu, napeł-
niwszy butelkę więcej niż do połowy niegaszonym wapnem,
aurypigmentem i wodą, zatkałem ją dobrze. Natych-
miast, zawartość flaszki zaczęła się burzyć bardzo gwał-
townie. Rzuciłem się ku flasce, aby ją otworzyć, ale
już było zapóźno; wybuchła mi przed nosem jak bomba.
Nalękałem się aurypigmentu, wapna: o mało nie przy-

placiłem tego życiem. Zaniewidziałem przeszło na sześć
tygodni; to mnie nauczyło, aby się nie brać do fizyki
doświadczalnej, nie znając pierwszych jej zasad.

Przygoda ta wypadła bardzo nie w porę ze względu
na moje zdrowie, które, od jakiegoś czasu, wybitnie się
psuło. Nie wiem skąd pochodziło, że, będąc z natury
silnej kompleksji i nie dopuszczając się żadnych ekscen-
sów, nikłem w oczach. Jestem dość dobrej budowy, pierś
mam szeroką, płuca mają gdzie oddychać swobodnie:
mimo to, cierpiałem na krótki oddech, czułem jakiś ucisk,
wdychałem mimowoli, miewałem bicie serca, plułem
krwią; do tego przyłączyła się trawiąca gorączka, której
się nigdy dobrze nie wyzbyłem. Jak można popaść w ten
stan w kwiecie wieku, bez uszkodzenia żadnego organu,
nie nie uczyniwszy dla zniszczenia zdrowia?

Miecz zużywa pochwę, powiada przysłowie. Oto i moje
dzieje. Namiętności dawały mi życie, namiętności też
mnie zabiły. Jakie namiętności? powie ktoś. Nic, bla-
hostki, rzeczy najbardziej nikłe pod słońcem, ale które-
mi przejmowałem się jakgdyby chodziło o posiadanie
Heleny, albo tronu wszechświata. Przedewszystkiem, ko-
biety. Odkąd posiadałem jedną, zmysły moje uspokoiły
się, ale serce nigdy. Potrzeba miłości pożerała mnie na
samem łonie rozkoszy. Miałem tkliwą matkę, ukochaną
przyjaciółkę, ale trzeba mi było kochanki. Wyobraża-
łem ją sobie w mych objęciach na miejscu mamusi; kształ-
towałem ją w tysiączne sposoby, aby się nasycić tą od-
mianą. Gdybym, obejmując mamusię, miał świadomość,
że ją właśnie trzymam w ramionach, uściski moje nie
byłyby z pewnością mniej żywe, ale wszystkie żądze moje
byłyby zagasły; szlochałem z czułości, ale nie czułym

się szczęśliwym. Szczęście! czyż ono jest kiedy udziałem człowieka? Ach! gdybym jeden jedyny raz w życiu zaskosztował, w całej pełni, rozkoszy miłości, nie wyobrażał sobie aby moje realne istnienie mogło jej nastarczyć; wyzionałbym ducha na miejscu.

Trawiłem się tedy w miłości bez przedmiotu; a w ten właśnie sposób wyczerpuje ona najwięcej. Byłem niepokojny, dręczyłem się złym stanem interesów mamusi, jej nierozważnem postępowaniem, które nieuchronnie musiało w krótkim czasie sprowadzić na dom ruinę. Moja okrutna wyobraźnia, która zawsze idzie naprzeciw nie-szczęścia, ukazywała mi nieustannie tę ostateczność w całej okropności i wszystkich następstwach. Widziałem z góry siebie, rozdzielonego przymusem nędzy z tą, której poświęciłem życie, i bez której nie miało ono dla mnie powabu. Oto, jakie wzruszenia nieustannie miotają mą duszę. Pragnienia i obawy pożerały mnie kolejno.

Muzyka stanowiła inną namietność, mniej gwałtowną, ale nie mniej wyczerpującą, przez zapal z jakim się jej oddawałem; przez uparte zaciekanie się w zawilich książkach Rameau; przez mój niezłomny upór w tem aby ogarnąć je pamięcią, która wzdragała się uparcie; przez moje nieustanne wędrówki i olbrzymie kompilacje, jakie gromadziłem, trawiąc całe noce na kopjowaniu. Czy ja wiem zresztą, co jeszcze? Lada szaleństwo, które przemknęło przez niesforną głowę, lada przelotne jednodniowe zachcenie, podróż, koncert, kolacja, zamierzona przechadzka, przeczytana powieść, komedja, wszystko stawało się dla mnie natychmiast gwałtowną namietnością, która, w śmiesznem zacierzwieniu, rzucała mnie na pastwę najprawdziwszego cierpienia! Lektura urojonych nie-

szczęść Klewelandy, podjęta z furją i często przerywana, więcej, przypuszczam, zepsuła mi krwi, niż wszystkie własne niedole.

Bawił w miasteczku pewien Genewczyk, nazwiskiem Bagueret, który dawniej, za czasu Piotra Wielkiego, był urzędnikiem przy dworze w Rosji; licha figura, przytem jeden z największych szaleńców jakich zdarzyło mi się oglądać, zawsze pełen projektów równie warjackich jak ja sam, u którego miliony leciały z nieba jak deszcz, ile zera nic go nie kosztowały. Ten człowiek, przybywszy do Chambéri dla jakiegoś procesu, opętał, jak łatwo sobie wyobrazić, mamusię, i, za bogactwa swoich zer, któremi kusił ją hojnie, wyciągał z niej, sztuka po sztuce, jej ładne talary. Nie lubilem go: widział to; ze mną nie było to trudno: otóż, nie było służalstwa, którego by nie próbował by mnie ugłaskać. Wpadł na pomysł nauczania mnie szachów, w które grywał nieco. Spróbowałem prawie obrew woli; ale, skoro tylko nauczyłem się jako tako poszezeń, czyniłem tak szybkie postępy, że, pod koniec pierwszego seansu, dawałem mu wieżę, którą on mi dawał na początku. Nie trzeba było więcej: zwarjowałem na bankie szachów. Kupuję sobie szachownicę, podręcznik, zamkam się w pokoju, trawię dnie i noce, usiłując się nauczyć na pamięć wszystkich partyj, wpakować je sobie w głowę dobrowolnie lub przemocą, grywając sam ze sobą bez wytechnienia i końca. Po dwóch czy trzech miesiącach tej pięknej pracy i niepojętych wysiłków, idę do kawiarni, wychudły, żółty, niemal ogłupiały. Próbuję się z p. Bagueret, ponawiam próbę: bije mnie raz, dwa razy, dwanaście razy. Tyle kombinacyj pomieszało mi się w głowie: mózg miałem tak osłabiony, że ciemno mi się po-

prostu robiło przed oczami. Za każdym razem, kiedy, z książką Filidora albo Stammy, chciałem ćwiczyć się w rozgrywaniu partyj, przytrafiło mi się to samo; wyczerpawszy się wysiłkiem, zamiast grać lepiej, grałem gorzej niż wprzód. Zresztą, czy zaniedbywałem szachy, czy też, grywając więcej, znowu przypominałem je sobie, nigdy o włos nie postąpiłem poza ten pierwszy sukces i zawsze odnalazłem się w tym samym punkcie. Gdybym się ćwiczył przez tysiące wieków, wszystko co mógłbym osiągnąć, byłaby wieża for dana Bagueretowi i nic więcej. To mi nielada użycie czasu! powiecie. A wierząc mi, zużyłem go niemało. Przerwałem tę pierwszą próbę dopiero wówczas, kiedy mi już zupełnie sił nie stało. Kiedy wyszedłem wreszcie z pokoju, wyglądałem jak nieboszczyk i z pewnością, przy tym trybie życia, byłbym nim został niedługo. Przypomniecie, że, z taką głową, trudno, zwłaszcza w zapalnej młodości, cieszyć się zawsze jednostajnie dobrem zdrowiem.

Zaburzenia w zdrowiu oddziaływały wybitnie na mój humor i ostudziły zapale fantazji. Czując się słabszym, stałem się spokojniejszym i wyzbyłem się nieco podróŜomanji. Bardziej siedzący tryb życia sprowadził na mnie nie nudę, ale melancholję. Miejsce dawnych wybuchów zajęły wapory; omdlałość przeszła w jakiś smutek; płakałem i wdychałem bez powodu; miałem uczucie, że życie mi ucieka, nim go pokosztowałem; wdychałem nadzieję, w jakim zostawiam biedną mamusię, nad niedolą, która niebawem ją czeka; mogę powiedzieć, że opuścić ją i wydać na łup nieszczęścia było jedynym mym żalem. Wreszcie, popadłem w zupełną chorobę. Pielęgnowała mnie tak, jak żadna matka nie pielęgnowała dziecka,

co i jej samej wyszło na pożytek, odrywając ją od projektów i usuwając z domu wyzyskiwaczy. Jakże słodką byłaby mi śmierć, gdyby przyszła w tej chwili! Jeśli mało pokosztowałem słodczy życia, niewiele też zaznałem jego nieszczęść. Dusza moja mogła spokojnie odejść, bez okrutnego uczucia niesprawiedliwości ludzkiej; uczucia, które trawia zarówno życie jak śmierć. Miałem tę pociechę, że przetrwam, w lepszej mej polowie, samego siebie: czyż to można nawet nazwać śmiercią! Gdyby nie niepokój o los mamusi, byłbym umarł tak jak się zasypia: a i ten niepokój nawet miał za przedmiot istotę serdeczną i czułą, która czyniła co mogła aby złagodzić jego gorycz. Mówiłem jej: „Oto w twe ręce składam całe me istnienie; spraw, aby było szczęśliwe“. Kilka razy, kiedy czułem się najgorzej, zdarzyło mi się wstać w nocy i powlec do pokoju mamusi, aby udzielać wskazówek postępowania, pełnych łaski i rozsądku, ale w których troska o jej los przejęła przed wszystkim innem. Łzy zdawały się być mem pożywieniem i lekarstwem; skrzepiałem się, wylewając je obficie przy niej, z nią, siedząc na jej łóżku i tuląc jej ręce w moich. Godziny upływały w tych nocnych rozmowach, a wracałem z nich w lepszym stanie niż przedtem. Uspokojony i rad z przyrzeczeń które mi uczyniła, nadziei jakie mi dała, zasypiałem z błogością w sereu ufnością w Opatrzność. Dalby Bóg, aby, przy tylu przyznanych nienawidzenia życia, po tylu burzach jakie strząsnęły mem istnieniem, czyniąc mi je okrutnym ciężarem, śmierć, która ma je zakończyć, zamknęła mi oczy równie łagodnie, jak to mogła uczynić w owej chwili!

Przy pomocy starań, czuwania, i wysiłków wprost nie do pojęcia, ocaliła mnie; to pewna, że ona jedna mogła

mnie ocalić. Niewiele mam wiary w medycynę lekarzy, ale wiele w medycynę prawdziwych przyjaciół; nad tem, od czego zależy nasze szczęście, czuwamy zawsze z troskliwością, której nic nie zastąpi. Jakież rozkoszne uczucie ogarnęło nas, skorośmy się uczuli wróceniu sobie wzajem! Wzajemne przywiązanie nie wzmogło się od tej chwili; to nie możliwe; ale nabrało czegoś bliższego jeszcze, wzruszającego w swej wielkiej prostocie. Stałem się całkowicie jej dziełem, jej dzieckiem, więcej niż gdyby była moją prawdziwą matką. Zaczęliśmy bezwiednie unikać wszelkiej rozłąki, stapać niejako nasze sympatje w jedną wspólną; czując, że nie tylko jesteśmy sobie potrzebni, ale i wystarczamy sobie, przyzwyczailiśmy się nie myśleć o niczem poza sobą, ograniczać zupełnie szczęście nasze i pragnienia do tego wzajemnego posiadania, jedynego może w dziejach ludzkości, które nie było, jak powiedziałem, pożądaniem miłości, ale jakimś innem, głębszem; które, nie wspierając się na zmysłach, płci, wieku, powierzchnowości, płynęło z głębi tego wszystkiego, przez co się jest sobą, i czego nie można stracić, chyba przestając istnieć.

Czem się stało, iż to szacowne przesilenie nie zdołało nam szczęścia na resztę dni? Nie przezemnie, mogąc sobie oddać to pocieszające świadectwo. Nie przez nią, przynajmniej nie z jej woli. Było snadź tak zapisane, iż, niebawem, niezwykła natura odzyska swe władztwo. Ale ten fatalny powrót nie przyszedł odrazu. Był, dzięki niebu, czas przerwy. Krótkie i cenne chwile: skończyły się nie z mojej winy, i nie potrzebuję sobie wyrzucać, abym z nich źle skorzystał!

Mimo iż uleczony z ciężkiej choroby, nie odzyskałem

właśnych sił. Piersi nie wygoiły się jeszcze; resztką gołębki utrzymywała się ciągle, i była źródłem długiej niemocy. Nie miałem pociągu do niczego; jedynem marzeniem było dokończyć dni przy tej, która mi była drogą, utrzymać ją w dobrych postanowieniach, dać jej poznać, a czem polega prawdziwy urok szczęśliwego życia i sprawnie, o ile to zależało odemnie, aby jej życie było właśnie takim. Ale widziałem, czułem wprost, że w smutnym ponurym domu owo nieustanne nasze sam-na-sam stanie się wkońcu również smutne. Lekarstwo nastęczyło się takby samo z siebie. Mamusia przepisała mi mleko i chciała bym odbył tę kurację na wsi. Przystałem, pod warunkiem, że ona zamieszka ze mną. Nie trzeba jej było długo namawiać; jedyną kwestję stanowił wybór miejsca. Nasz przedmiejski ogródek to nie była właściwie wieś; otoczony domami i innymi ogrodami, nie miał uroków wiejskiego ustronia. Zresztą, po śmierci Aneta, pozbyliśmy się tego ogrodu, nie mając już interesu w hodowaniu roślin i zaprzatnięci innymi projektami.

Korzystając teraz z odrazy, jaką mamusia miała do miasta, podsunąłem jej myśl, aby je zupełnie opuścić i osiedlić się w jakiejś milej ustroni, w małym domku dość odległym aby odstraszyć natrętów. Byłaby się zgodziła; to postanowienie, którem jej i mój dobry anioł mnie namówił, byłoby nam prawdopodobnie zapewniło szczęśliwe i spokojne dni, aż do chwili w której śmierć miała nas rozdzielić. Ale snadź inne losy były nam przeznaczone! Mamusia miała poznać wszystkie zgryzoty nędzy i niedoli, po życiu spędzonym w dostatku, aby je opuścić z mniejszym żalem; ja zaś, przez nagromadzenie nie-
szczęść wszelakiego rodzaju, miałem kiedyś być przy-

kładem dla każdego, kto, ożywiony jeno miłością dobrego publicznego i sprawiedliwości, ośmiela się, dufny w swą niewinność, mówić otwarcie prawdę ludziom, nie licząc się z intrygą i nie zabiegając się o stworzenie partii dla własnej obrony.

Nieszczęśliwa obawa wstrzymała ją. Nie śmiała porzucić swego szpetnego domostwa z obawy gniewu właściciela. „Twój projekt zamknięcia się w ustroni jest uroczy, rzekła, i bardzo mi trafia do serca; ale i w tej ustroni trzeba żyć. Opuszczając moje więzienie, lękam się utracić chleb; a kiedy zabraknie go nam w lasach, i tak trzeba nam będzie wracać szukać go do miasta. Aby uprzędzić tę potrzebę, lepiej nie opuszczajmy go całkowicie. Płaćmy tę małą pensyjkę hrabiemu de Saint-Laurent, aby wzajem zostawił mi moją. Poszukajmy jakiegoś schronienia, dość daleko od miasta aby tam żyć spokojnie, a dość blisko aby móc wrócić za każdym razem gdy będzie trzeba.“ Tak się stało. Po niedługich poszukiwaniach, osiedliliśmy się w Charmettes, majątku pana de Conzié, położonym tuż u bram Chambéri, ale tak cichym i samotnym, jakgdyby się było o sto mil. Między dwoma dość wysokimi wzgórzami leży dolinka, której dnem, wśród drzew i kamieni, splywa rzeczka. Wzdłuż tej doliny, w połowie wzgórza, jest parę rozrzuconych domków, bardzo mile położonych dla kogoś kto lubi dzikie nieco i ustronne mieszkanie. Przepatrzywszy parę z tych domostw, wybraliśmy wreszcie najładniejsze, własność pewnego szlachcica służącego w wojsku, nazwiskiem p. Noiret. Dom był bardzo wygodny. Na froncie ogród i terasa, wyżej winnica, niżej sad; naprzeciw mały laszek kasztanowy, źródło opodal; powyżej, na wzgórzu, łąki

na hodowli bydła; słowem, wszystko co trzeba dla małego wiejskiego gospodarstwa, które chcieliśmy założyć. Nie mogę sobie przypomnieć czas i daty, objęliśmy je posiadanie pod koniec lata, roku 1736. Byłem upojony pierwszym dnem, którego sprowadziliśmy się tam na noc. „O mamusiu! rzekłem drogiej przyjaciółce, ściskając ją i oblewając łzami rozczulenia i radości, oto miejsce stworzone dla niewinności i słodyczy. Jeśli tu nie znajdziemy ich we dwoje, nie mamy co szukać ich już gdziekolwiek.“

KSIĘGA VI.

*„Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus,
„Hortus ubi et tecto vicinus jugis aquae fons,
„Et paullum sylvae super his foret.“¹⁾*

(1736). Nie mogę dodać,

*„Auctius atque
„Di melius fecere“;²⁾*

ale to mniejsza, nie trzeba mi było więcej, nie trzeba mi było nawet własności, wystarczało mi prawo używania. Oddawna już wiedziałem i miałem świadomość, że posiadanie a korzystanie bywa często udziałem dwóch różnych osób, nawet jeśli pozostawimy na stronie mężów i kochanków.

Tutaj zaczyna się krótkie szczęście mego życia; tutaj przychodzą spokojne, ale szybko mknące chwile, które dały mi prawo powiedzenia, że żyłem. Chwile szacowne i tak oplakiwane! ach, powtórzcie dla mnie swój luby bieg, płyniecie, jeśli możebne, wolniej w mem wspomnieniu, niż się to działo w istocie w waszem zbyt rąchem pomysłowaniu! Jak uczynić, aby przedłużyć, wedle ochoty,

¹⁾ „Oto wszystko czego pragnąłem: niewielki kawał ziemi, ogród, źródło żywej wody koło domu, a nieco opodal mały laszek“.

²⁾ „Bogowie przewyższyli moje życzenia!“

to tak wzruszające a proste opowiadanie, aby powtarzać ciągle te same rzeczy, i tak samo nie znudzić czytelników powtarzając je, jak ja nie nudziłem się, przeżywając je bez przerwy? Gdybyż choć wszystko rozgrywało się w faktach, w czynach, w słowach, mógłbym opisać je i oddać poniekąd: ale jak powiedzieć to, co nie było ani powiedziane, ani wykonane, ani pomyślane nawet, ale odczute, ale kosztowane, bez możności przytoczenia innego dokumentu mego szczęścia, jak samo to uczucie? Wsta- wałem razem ze słońcem i byłem szczęśliwy; przechadza-łem się i byłem szczęśliwy; rozstawałem się z nią i byłem szczęśliwy; przebiegałem lasy, pagórki, błądziłem po do-łkach, czytałem, siedziałem bezczynny; pracowałem w ogrodzie, zrywałem owoce, pomagałem w gospodar- stwie i szczęście szło za mną wszędzie; nie było ono w żadnej rzeczy możebnej do nazwania, było całe we mnie, nie opuszczało mnie ani na chwilę.

Nic z tego, co mi się zdarzyło w czasie tej kochanej epoki, nic z tego co czyniłem, mówiłem i myślałem przez cały czas jej trwania, nie wymknęło się z mej pamięci. To, co było przedtem i co nastąpiło, odbija się w niej jedynie z przerwami; wspomnienia moje są nierówne i mętne: ale ten czas przypominam sobie tak doskonale i żywo, jakgdyby trwał jeszcze. Wyobraźnia, która, w młodości mej, wyprzedzała mnie zawsze, a teraz ciągnie się za mną leniwo, oplaca swemi słodkimi przypomnie- niami nadzieje utracone na wieki. Nie widzę już nic, co by mnie kusilo na przyszłość; jedynie nawroty prze- szłości mogą mnie rozgrzać jeszcze, i te tak żywe i szczerze nawroty z epoki o której mówię, pozwalają mi niekiedy kosztować szczęścia mimo mych niedoli.

Ze wspomnień tych przytoczę jeden jedyny przy-
kład, który pozwoli ocenić siłę ich i prawdę. Pierwszego
dnia kiedy udaliśmy się na nocleg do Charmettes, ma-
musia odbywała drogę w lektyce, ja towarzyszyłem jej
piechotą. Droga wznosiła się pod górę: mamusia była
dosyć ciężka; toteż, bojąc się nazbyt zmęczyć ludzi, wy-
siadła mniej więcej w połowie drogi, aby resztę przebyć
piechotą. Wsiadając, zobaczyła coś niebieskiego w ży-
wopłocie i rzekła: „O, patrz, barwinek jeszcze kwitnie“.
Nigdy nie widziałem barwinka, nie schyliłem się by mu
się przyjrzeć, a mam wzrok zbyt krótki, aby, stojąc,
rozróżnić rośliny rosnące na ziemi. Mimochodem rzuci-
łem jedynie okiem. Upłynęło lat prawie trzydzieści; od
tego czasu ani nie widziałem barwinka, ani nie zwróci-
łem nań uwagi. W r. 1764, będąc w Cressier z moim przy-
jacielem, panem du Peyrou, drapaliśmy się na górkę,
na której szczycie mieści się mały pawilon, słusznie na-
zwany Belle-vue. Zaczynałem już wówczas herbory-
zować potrochu. Wchodząc i rozglądając się po zaroś-
łach, wydają nagle krzyk radości: „O c h , b a r w i n e k !“
i był to w istocie barwinek. Du Peyrou zauważył moje
wzruszenie, ale nie wiedział przyczyny: zrozumie ją, mam
nadzieję, skoro kiedyś przeczyta te karty. Z wrażenia
tak drobnego przedmiotu czytelnik może osądzić, jakie
musiało na mnie zrobić wszystko, co się odnosi do tej
epoki.

Mimo to, powietrze wiejskie nie wróciło mi dawnego
zdrowia. Wprzód, czułem osłabienie, omdlałość; stan
ten pogorszył się jeszcze. Nie mogłem znosić mleka;
trzeba go było zaniechać. Wówczas była w modzie woda,
jako uniwersalne lekarstwo; zabrałem się do wody, ale

taką przesadą, że o mało nie wyleczyła mnie nie z cier-
pień, ale z życia. Co rano, po wstaniu, szedłem do źródła
wielkim kubkiem i, przechadzając się, wysącałem,
krótkim czasie, zawartość dwóch butelek. Zaniecha-
łem całkowicie wina przy posiłkach. Woda, którą piłem,
była nieco twarda i ciężka do strawienia, jak przeważnie
wody górskie. Krótko mówiąc, dokazałem tyle, że, w nie-
pełna dwa miesiące, zniszczyłem sobie doszczętnie żo-
łądek, dotąd najzdrowszy w świecie. Nie mogąc prawie
pełnie trawić, zrozumiałem, że trzeba się wyrzec na-
dziei wyleczenia. W tym samym czasie zdarzył mi się
wypadek równie szczególny sam w sobie, jak dla swych
następstw, które skończą się aż ze mną.

Jednego rana (miałem się tego dnia nie gorzej niż
zazwyczaj), uczulem, podnosząc z ziemi mały stoliczek,
wrażenie i prawie niepojęte wstrząśnienie w całym ciele.
Mógłbym je porównać chyba do jakiejś burzy, która
wyszczyła się we krwi i ogarnęła w jednej chwili wszystkie
członki. Arterje zaczęły mi bić z taką siłą, że nie tylko
czułem ich pulsowanie, ale słyszałem je nawet, zwłaszcza
w tętnicach na szyi. Do tego dołączył się wielki szum
w uszach; szum ten był trojakiemu a nawet czworakiemu
rodzaju, a mianowicie: głuche i rozlane huczenie, szmer
ostrzejszy, jakgdyby bieżącej wody, bardzo ostry świst,
bicie, o którym wspomniałem, a którego uderzenia mo-
głem łatwo policzyć nie macając pulsu ani nie dotykając
błona rękami. Ten wewnętrzny szmer był tak silny, że
odjął mi dawniejszą bystrość słuchu i uczynił nie cał-
kowicie głuchym, ale tępo słyszącym; i to zostało mi od
tego czasu na trwałe.

Można sobie wyobrazić moje zdumienie i przestrah.

Myślałem, że umieram; położyłem się do łóżka; przywołano lekarza; opowiedziałem wszystko, cały drżąc i nie mając nadziei ratunku. Zdaje mi się, że on podzielał tę obawę; ale zrobił co do niego należało. Zaaplikował mi długie wywody, z których nie zrozumiałem ni słowa, następnie, wprowadzając w praktykę swe wzniosłe teorie, rozpoczął *in anima vili* kurację eksperymentalną, która spodobało mu się na mnie zastosować. Była tak przykra, tak odrażająca, a skutkowała tak mało, że znużyłem się nią niebawem. Po upływie kilku tygodni, widząc że nie jest mi ani lepiej ani gorzej, opuściłem łóżko i wróciłem do zwykłych zajęć z ciąglem biciem arterji i szumem w uszach, które odtąd, to jest od trzydziestu lat, nie opuściły mnie ani na minutę.

Byłem, aż do tego czasu, wielkim śpiochem. Zupełna bezsenność, która dołączyła się do tych objawów i która, aż dotąd, nieustannie im towarzyszy, przekonała mnie do reszty, że niewiele czasu zostało mi do życia. To przekonanie ostudziło mnie na jakiś czas w gorliwości leczenia. Nie mogąc przedłużyć życia, postanowiłem wyzyskać jak najlepiej tę resztkę, która mi została; a było to możliwe, dzięki szczególnej łaskawości natury, która, w stanie tak opłakanym, oszczędziła mi przynajmniej wszelkich cierpień. Szum w głowie dokuczał mi, ale nie sprawiał bólu; nie towarzyszyła mu żadna trwała dolegliwość, prócz bezsenności w nocy i krótkiego oddechu, który nie dochodził wszelako aż do duszności i dawał się uczuć tylko wtedy, kiedy próbowałem biec albo podjąć jaki wysiłek.

Ten wypadek, który miał zabić moje ciało, zabił jedynie moje namiętności; i codziennie błogosławię niebo

za szczęśliwe skutki, jakie wywarł na mą duszę. Mogę powiedzieć, iż rozpocząłem żyć dopiero od tego czasu, kiedy się zacząłem uważać za umarłego. Oceniając wedle prawdziwej wartości rzeczy które miałem porzucić, zwróciłem umysł ku szlachetniejszym troskom, jakoby w przygotowaniu do tych, których mi będzie trzeba rychło dopełnić, a które, aż dotąd, bardzo zaniedbywałem. Często przekształcałem religję wedle własnych poglądów, ale nigdy nie byłem zupełnie bez religji. O tyle mniej przeto kosztowało mnie wrócić do tego przedmiotu, tak smutnego dla tylu ludzi, ale tak słodkiego dla kogoś, kto sobie zeń uczyni przedmiot pociechy i nadziei. Mamusia była mi w tej okoliczności pomocną bardziej niż wszyscy możebni teologowie.

Ona, która wszystko na świecie porządkowała w system, nie omieszkala również ująć weń religji. Na system ten składały się idee bardzo różnorakie; jedne bardzo zdrowe, drugie dziwaczne; uczucia wypływające z jej charakteru i przesady związane z wychowaniem. Naogół, ludzie wierzący tworzą sobie Boga na swoje podobieństwo; dobrzy czynią go dobrym, źli złym; bigoci, pełni nienawiści i żółci, widzą jedynie piekło, bo chcieliby skazać na nie świat cały; dusze kochające i łagodne nie wierzą w nie wcale. Nie mogę się nadziwić, że dobry Fenelon mówi o niem w swoim Telemaku tak, jakby w nie wierzył w istocie: ale mam nadzieję, że wówczas kłamał. Choćby się było niewiem jak prawdopodobnym, trzebaż przyklamać czasem, kiedy się jest biskupem. Mamusia nie kłamała ze mną; ta dusza bez żółci, która nie mogła sobie wyobrazić Boga mściwego i wiecznie zagniewanego, widziała łagodność i miłosierdzie tam, gdzie dewoci widzą

jedynie sprawiedliwość i karę. Mówiła często, że nie byłoby ze strony Boga sprawiedliwością być sprawiedliwym względem nas, ponieważ, skoro nie dał nam sił, nie może żądać od nas więcej, niż sam udzielił. Szczególne jest, iż, nie wierząc w piekło, wierzyła, mimo to, w czyściec. To pochodziło stąd, iż nie wiedziała co począć z duszami złych, nie mogąc ani ich potępić ani pomieścić wraz z dobrymi, póki ich nie dościgną; trzeba w istocie przyznać, że, tak na tym świecie jak na tamtym, źli przyczyniają zawsze niemało kłopotu.

Inny ciekawy rys. Łatwo dostrzec, iż system ten niszczy całą naukę o grzechu pierworodnym i o odkupieniu, że podkopuje całą podstawę urzędowego chrześcijaństwa i że, conajmniej, katolicyzm nie może się przy nim utrzymać. Mimo to, mamusia była dobrą katoliczką, lub głosiła się nią, a jestem pewny, iż czyniła to w najlepszej wierze. Uważała tylko, iż wyklada się zbyt dosłownie i zbyt twardo Pismo święte. Twierdziła, iż wszystko co tam czytamy o mękach wiecznych, trzeba pojmować jedynie jako przenośnię. Śmierć Chrystusa uważała za przykład iście boskiego miłosierdzia, mającego nauczyć ludzi, aby kochali Boga i kochali się między sobą. Jednem słowem, wierna religii którą obrała, przyjmowała szczerze jej wyznanie wiary; ale, kiedy przychodziło do dyskusji poszczególnych artykułów, okazywało się, iż wierzy zupełnie inaczej niż Kościół, ciągle poddając się jego powadze. Miała w tem prostotę serca, szczerłość, wymowniejsze niż wszystkie komedje bigotów. Często wprawiała w zakłopotanie nawet spowiednika, nie bowiem przed nim nie tała: „Jestem dobrą katoliczką, mówiła, chcę nią być zawsze; uznaję całą po-

teją duszy postanowienia świętej matki Kościoła. Nie jestem panią mej wiary, ale jestem panią mej woli. Podaję ją bez zastrzeżeń i pragnę we wszystko wierzyć. Czego chcecie więcej?”

Gdyby nie istniała moralność chrześcijańska, sądzę, że byłaby i tak postępowała wedle niej; tak dobrze zgadzała się ona z jej charakterem. Robiła wszystko co nakazane ale robiłaby tak samo, gdyby nie było nakazane. W rzeczach obojętnych, lubiła być posłuszną; gdyby jej nie było pozwolone, przepisane nawet jądanie z mięsem, byłaby pościła dla siebie, bez świadków, ze szczerzej chęci, nie z ostrożności. Ale cała ta moralność była poddana zasadom pana de Tavel, albo raczej ona sama siła się nie widzieć w tem żadnej sprzeczności. Mogłaby oddawać się dwudziestu mężczyznom z najczystszym sumieniem, równie mało doznając wyrzutu co pragnienia. Wiem, że wiele dewotek niewiele więcej czyni sobie skrupułu: różnica jest ta, że tamte działają pod wpływem namiętności, ona zaś jedynie pod wpływem sofizmatów. Wśród najbardziej wzruszających, śmiem powiedzieć najbardziej budujących rozmów, była zdolna skierować rozmowę na te śliskie tory, nie zmieniając miny ani tonu, nie uważając wcale by popadła w sprzeczność sama z sobą. Byłaby wręcz przerwała w potrzebie swe budujące wykłady dla samego uczynku, aby je podjąć później z tym samym spokojem co wprzód: tak była głęboko przekonana, że wszystko to jest jedynie zasadą społecznego konwenansu, którą każda rozumna osoba może wykladać, stosować, kierować, wedle ducha rzeczy, bez najmniejszej obawy obrażenia Boga. Jakkolwiek, co do tego punktu, stanowczo byłem odmiennego zdania, przyznaję, że nie

śmiałem jej zwalczać, wstydząc się mało rycerskiej roli któraby mi przypadła. Bylbym przynajmniej chętnie próbował utrzymać surowszą regułę w odniesieniu do drugich, starając się siebie samego z niej wyłączyć; ale prócz tego iż chłodny temperament chronił mamusię dostatecznie od nadużywania tych zasad, wiedziałem iż nie jest kobietą dającą się omamić półśrodkami, i że żądać wyjątku dla siebie, znaczyło uprawnnić go dla wszystkich, dla których się jej spodoba. Zresztą, zaznaczam mimochodem ten rys zasad i charakteru, mimo iż wogóle mało się odbijał w jej postępowaniu, a wówczas nawet wcale; ale, ponieważ przyrzekłem wiernie przedstawić jej zasady, chcę dotrzymać. Wracam do siebie.

Znajdując w sercu mamusi wszystkie maksymy, których mi było trzeba aby ubezpieczyć mą duszę od grozy śmierci i jej następstw, czerpałem ze spokojem w tem źródle ufności. Przywiązywałem się do niej więcej jeszcze niż wprzódy; bylbym chciał przenieść na nią całe życie, czując iż opuszcza mnie ono z każdą chwilą. Z tego zdwojonego przywiązania, z przekonania że niewiele czasu zostało mi do życia, z głębokiego spokoju co do przyszłego losu, wynikał stan ducha przepełniony jakąś błogością a nawet rozkoszą. Stan ten, stępując wszystkie namietności, które przenoszą w dalekie strefy nasze obawy i nadzieje, pozwalał mi używać bez niepokoju i zmęczenia tych niewielu dni które mi pozostały. Jedna rzecz przyczyniła się jeszcze do ich uprzyjemnienia. Starając się w mamusi obudzić zamiłowanie do wsi, do ogrodu, dziedzińca, gołębi, krów, przywiązywałem się sam do tego wszystkiego; te drobne zatrudnienia, które wypełniały mi dzień nie mącąc spokoju, lepiej niż mleko i niż wszelkie

lekarstwa pomogły mi podtrzymać mój biedny organizm, nawet odrestaurować go o tyle, o ile to było możliwe.

Winobranie, zbiórka owoców, zabawiły nas przez resztę roku, i przywiązały coraz to więcej do sielskiego życia wśród poczciwych ludzi którzy nas otaczali. Z żalem pa-
rzyliśmy na zbliżającą się zimę. Wróciliśmy do miasta jak, jakgdybyśmy szli na wygnanie; ja zwłaszcza, który, wątpiąc bym doczekał wiosny, mniemałem iż na zawsze ugnam nasze Charmettes. Opuściłem je, ucalowawszy wprzódy drzewa i ziemię i kilkakrotnie odwracając głowę za siebie. Rozstawszy się oddawna z memi uczeniami, straciwszy smak do miejskich uciech i towarzystw, nie wychodziłem wcale z domu, nie widywałem nikogo, wyjąwszy mamusię i p. Salomona, który od niedawna stał się jej i moim lekarzem: zacny, rozumny człowiek, wielki kartezyjanin, który dość dobrze rozprawiał o systemie świata, i którego przyjemne i pouczające gawędy więcej mi się zdawały niż jego recepty. Nigdy nie mogłem pościć głupiego i pustego balastu zwyczajnych rozmówek; ale kształcące i poważne rozmowy zawsze sprawiały mi wielką przyjemność. Bardzo zasmakowałem w konwersacji pana Salomona: zdawało mi się, że, w jego towarzystwie, zawczasu już kosztuję czegoś z owej wysokiej wiedzy, jaką dusza moja miała posiąść wyzwoliwszy się ze swych więzów. Sympatja moja do niego, rozciągała się i na przedmioty które poruszał. Zacząłem szperać za książkami, któreby mogły mi dopomóc do lepszego zrozumienia go. Najbardziej odpowiadały mi te, w których traktowano problematy wiary i wiedzy zarazem, zwłaszcza dzieła Oratorjańskie i z *Port-Royal*. Zacząłem się roz-
żytywać w nich, a raczej je pożerać. Wpadło mi w rękę

dzieło O. Lamy pod tytułem *Rozmowy o umiejętnościach*. Był to niby wstęp do poznania książek, które o nich traktują. Przeczytałem to dzieło mało że sto razy; umyśliłem uczynić zeń sobie przewodnika. Słowem, mimo a raczej może wskutek mego stanu, stopniowo czulem, że coś mnie wciąga w wiedzę z nieodpartą siłą; ciągle patrząc na każdy dzień jako na ostatni dzień życia, kształciłem się z takim zapalem, jakgdybym miał żyć wiecznie. Mówiono, że mi to szkodzi: ja sądzę, że raczej bardzo mi to szło na dobre, i to nie tylko duszy ale i ciału; zajęcie to bowiem, opanowawszy mnie całego, stało się tak rozkoszne, że, przestawszy myśleć o swych cierpieniach, o wiele mniej je odczuwałem. Poprawdzie, w niczem nie podobna mi było znaleźć realnej ulgi; ale, nie doświadczając dotkliwych boleści, przyzwyczaiłem się cherlać, nie sypiać, myśleć miast działać, słowem patrzeć na powolny i stopniowy zanik swego organizmu jako na nieunikniony proces, który śmierć jedynie może powstrzymać.

Przeświadczenie to nie tylko oderwało mnie od wszystkich próżnych trosk życiowych, ale uwolniło także od całej mitregi lekarstw, które, aż dotąd, narzucono mi wbrew woli. Salomon, zwątpiwszy aby jego specyfiki mogły mnie ocalić, oszczędził mi tej męki i zadawał się jedynie tem, aby oszukiwać boleść biednej mamusi przy pomocy owych obojętnych przepisów, które mamia nadzieję chorego i podtrzymują wiarę w lekarza. Zaniechałem ścisłej diety, zacząłem kosztować wina i wróciłem stopniowo do trybu człowieka zdrowego, używając, wedle sił, wszystkiego z umiarkowaniem. Zacząłem nawet wychodzić i odwiedzać potrosze znajomych, zwłaszcza pana de Conzié, w którego towarzystwie znajdo-

wałem wielką przyjemność. Przytem, czyto że wydawało mi się pięknem kształcić się aż do ostatniej godziny, czy to resztką nadziei życia kryła się w mem sercu, to oczekiwanie śmierci nie tylko nie osłabiło mego zamiłowania do studjów, ale spotęgowało je jeszcze. Starałem się nagromadzić jak najwięcej zapasów na tamten świat, jakgdybym mniemał, iż tyle tylko będę posiadał tam wiedzy, ile jej stąd ze sobą wyniosę. Upodobałem sobie sklep pewnego księgarza, nazwiskiem Bouchard, gdzie się schoziło paru literatów; zarazem, wobec zbliżającej się wiosny, której nie miałem jakoby doczekać, zaopatrzyłem się w parę książek przeznaczonych do Charmettes, na wypadek gdybym miał szczęście je oglądać.

Posiadłem to szczęście i korzystałem zeń w całej pełni. Nie da się opisać radości, jaką uczulem na widok pierwszych pączków. Oglądać znów wiosnę, znaczyło dla mnie zmartwychwstać w raju. Ledwie śniegi zaczęły topnieć, puściliśmy nasze więzienie i znaleźliśmy się w Charmettes, dość wcześnie by posłyszeć pierwsze pienia słowika. Z tą chwilą, uwierzyłem że nie umrę. W istocie, niezgólna rzecz, nigdy nie przechodziłem ciężkich chorob na wsi. Cierpiałem nieraz dużo, ale nigdy nie byłem kładzany na łóżko. Często mawiałem, czując się gorzej niż zwyczajnie: „kiedy ujrzycie, że jestem bliski śmierci, umiście mnie w cień dębu, a przyrzekam że ozdrowię“.

Mimo że osłabiony, wróciłem do wiejskich zatrudnień, ale w sposób dostosowany do sił. Wielkiem zmartwieniem było dla mnie, iż nie mogłem sam uprawiać ogrodu; wystarczyło mi parę razy zamachnąć się łopatą, a już traciłem oddech, zlewałem się potem i musiałem ustać. Kiedy się schylałem, pulsowanie tętna wzmagало się

i krew uderzała do głowy z taką siłą, że trzeba było co-rychlej się prostować. Zmuszony ograniczyć się do mniej męczących prac, zająłem się, między innemi, gołębnikiem, i nabrałem takiego zamiłowania, że często spędzałem w jego pobliżu kilka godzin z rzędu, nie nudząc się ani przez chwilę. Gołąb jest bardzo lękliwy i trudny do oswojenia; mimo to, zdołałem tak dobrze pozyskać zaufanie mego stadka, że chodziły za mną wszędzie i pozwalały się brać w rękę kiedy chciałem. Nie mogłem zjawić się w ogrodzie ani na dziedzińcu, aby nie mieć natychmiast dwóch albo trzech na ramieniu, na głowie; wreszcie, mimo przyjemności jaką w tem znajdowałem, świta ta stała mi się tak uciążliwa, że byłem zmuszony oduczyć je od tej poufalości. Zawsze znajdowałem szczególną przyjemność w oblaskawianiu zwierząt, zwłaszcza tych które są lękliwe i dzikie. Miało dla mnie wielki urok zyskiwać ich zaufanie, którego nigdy nie zawiodłem. Pragnąłem aby mnie kochały na swobodzie.

Wspomniałem, iż miałem ze sobą książki. Korzystałem z nich, ale w sposób zmierzający raczej do tego aby zagwoździć głowę, niż aby ją rozjaśnić. Wskutek fałszywych pojęć o rzeczach, nabrałem przekonania, że aby czytać z korzyścią jakąś książkę, trzeba posiadać wiadomości o wszystkim co w niej jest natrącone; nieświadom wówczas jeszcze, że często sam autor ich nie posiadał i że je czerpał w innych książkach w miarę jak mu były potrzebne. Wiedziony tą niedorzeczną myślą, za-trzymywałem się co chwilę, zmuszony biec nieustannie od jednej książki do drugiej; niekiedy, nim doszedłem do dziesiątej stronicy, byłbym musiał wyczerpać całą biblioteki. Mimo to, upierałem się tak wytrwale przy

oblędnej metodzie, że traciłem przy niej nieskończoną ilość czasu i o mało nie zmaciłem sobie głowy aż do zupełnego zatumanienia. Na szczęście, spostrzegłem się, że idę fałszywą drogą, która wciąga mnie w olbrzymi labirynt, i wycofałem się zeń, zanim jeszcze zdążyłem się zbłąkać całkowicie.

O ile ktoś ma choć trochę prawdziwego zamiłowania do nauk, pierwszą rzeczą jaką czuje zagłębiając się w nich, jest ich związek, który sprawia iż się przyciągają, wspomagają, objaśniają wzajem i że jedna nie może się obejść bez drugiej. Mimo iż umysł ludzki nie może wystarczyć na wszystkie i trzeba zawsze wybrać sobie jedną jako główną, to, o ile się nie ma jakichś wiadomości o innych w swojej nawet natrafi się nieraz na ciemności. Czulem, że moje poprzednie dążenia były dobre i użyteczne same w sobie, i że tylko metodę trzeba było zmienić. Wziąwszy raz *Encyklopedję*, posuwałem się, dzieląc ją na gałęzie. Spostrzegłem, iż trzeba robić całkiem przeciwnie, brać każdą gałąź z osobna i posuwać się w każdej oddzielnie aż do punktu w którym się jednoczą. W ten sposób, wróciłem do pospolitej syntezy, ale wróciłem jak człowiek który wie co robi. Rozmyślanie zastępowało mi w tem wiadomości, a proste zastanowienie pomogło znaleźć dobry kierunek. Czy była mi pisana śmierć czy życie, w obu wypadkach nie miałem czasu do stracenia. Nie umieć nic w blisko dwudziestu pięciu latach chcieć się wszystkiego nauczyć, to wymagało tego samego śpieszchu. Nie wiedząc w jakim punkcie los albo wąż może zatrzymać mój zapal, chciałem, na wszelki wypadek, nabyć pojęcia o każdej rzeczy, tak aby się nie okazało że nie znam w mych przyrodzonych zdolnościach, jak też

aby osądzić sam przez się, która z nich najbardziej zasługuje na to by ją uprawiać.

W wykonaniu tego planu znalazłem inną korzyść, o której nie myślałem, mianowicie iż pozwala on dużo lepiej wyzyskać czas. Muszę widocznie nie być stworzony do nauki, długie bowiem przykładanie się do niej nuży mnie niezmiernie. Niepodobna mi przez pół godziny zajmować się z natężeniem jedną rzeczą, zwłaszcza gdy trzeba iść przytem za myślą cudzą; własnymi bowiem myślami zdarzyło mi się niekiedy zaprzętać i dłużej, i nawet z dość pomyślnym rezultatem. Kiedy przez parę stron zagłębiam się w autorze, którego trzeba czytać z wielką ścisłością, uwaga opuszcza mnie i gubi się w chmurach. Jeśli się upieram, dochodzę do zupełnego wyczerpania, wszystko zaczyna mi tańczyć przed oczami, nie widzę wprost nic. Ale, jeśli rozmaite przedmioty następują kolejno po sobie, nawet bez przerwy, jeden daje mi wypoczynek po drugim i łatwiej mogę zdążyć za nimi myślą, nawet bez wypoczynku. Zastosowałem to spostrzeżenie w swoim planie nauk i przeplatałem je w taki sposób, że byłem zajęty cały dzień, a nie nużyłem się nigdy. Prawda, iż wiejskie i domowe zajęcia stanowiły użyteczne wytechnienie; ale w mym rosnącym zapale znalazłem wkrótce sposoby zdobycia jeszcze nieco czasu dla nauki i zajmowania się dwiema rzeczami naraz, nie myśląc o tem, iż każdej z osobna wychodzi to na szkodę.

Wszystkie te drobne szczegóły, które dla mnie mają tyle uroku, muszą zapewne często nużyć czytelnika; ale i tak postępuję w tem z powściągliwością, którejby nikomu nie ocenił, gdybym sam nie pokwapił się zwrócić na nią uwagi. W tem miejscu na przykład, przypominam sobie

rozkoszą wszystkie najrozmaitsze próby, które czynilem, by rozdzielić czas w sposób pozwalający go wyzyskać do największym pożytkiem i przyjemnością. Mogę powiedzieć, że ten okres, który przeżyłem w odosobnieniu ciągle chory, był epoką mego życia, w której byłem najmniej bezczynny i najmniej się nudziłem. Parę miesięcy płynęło w ten sposób na wymacywaniu skłonności mego myślu i rozkoszowaniu się, w najpiękniejszej porze roku w najmilszej w świecie miejscowości, czarem życia, którego tak dobrze uczulem wartość, powabem towarzyswa równie miłego jak niekrępującego swobody, jeśli można nazwać „towarzystwem“ związek tak doskonały; alej urokiem pięknych wiadomości, które zamierzyłem sobie przyswoić; było to bowiem dla mnie tak jakbym już posiadał; a raczej lepiej jeszcze, ile że przyjemność czucia się dużą odgrywała rolę w mem szczęściu.

Trzeba mi pominąć te próby, które wszystkie były dla mnie źródłem rozkoszy, ale rozkoszy zbyt prostych, by je można wytłómaczyć. Prawdziwego szczęścia, jeszcze raz muszę stwierdzić, nie da się opisać: czuje się je, i czuje tem lepiej, im mniej się je da wyrazić, znaczy bowiem iż nie wynika ono ze zbiegu wydarzeń, ale jest stanem trwałym. Powtarzam się często, ale powtórzyłbym się o wiele częściej jeszcze, gdybym mówił tę samą rzecz tyle razy, ile razy przychodzi mi na myśl. Kiedy wreszcie mój tryb życia, wielokroć odmieniany, przybrał bieg jednostajny, oto, mniejwięcej, jego podział: Wstawalem co rano przed wschodem słońca. Wychoziłem, przez sąsiedni sad, na bardzo ładną drogę, ciągnącą się ponad winnicą i prowadzącą, wzdłuż zbocza, aż do Chambéri. Tam, przechadzając się, odmawiałem po-

ranną modlitwę, która nie polegała na pustem poruszaniu wargami, ale na szczerem podniesieniu serca ku Stworzycielowi tej uroczej natury, której piękności rozciągały mi się przed oczami. Nigdy nie lubilem modlić się w pokoju; mam uczucie, że mury i wszystkie te drobne dzieła ludzi wciskają się między Boga a mnie. Lubię podziwiać go w jego dziełach, podczas gdy serce wznosi się ku niemu. Modły moje, mogę powiedzieć, były czyste i przez to godne aby je wysłuchano. Nie żądałem dla siebie i dla tej z którą chęci moje nie rozłączały się nigdy, niczego innego, jak tylko życia płynącego w niewinności i spokoju, wolnego od występku, bóleści, niedostatku; następnie zaś, śmierci sprawiedliwych i losu ich w życiu przyszłym. Zresztą, akt tej modlitwy wyrażał się raczej w podziw i kontemplacji, niż w prośbach; wiedziałem, że, u rozdawcy prawdziwych dóbr, najlepszym sposobem otrzymania tego czego nam trzeba, jest nie tyle prosić, co zasłużyć. Wracalem następnie, czyniąc duże kolo, rozglądając się z ciekawością i rozkoszą wśród sielskich przedmiotów które mnie otaczały, jedynych którymi oko i serce nigdy się nie nuży. Wypatrywałem zdaleka, czy u matki już jasno: kiedy widziałem że żaluzje odsłonięto, doznawałem drżenia radości i spieszyłem do niej. Jeśli okna były zasłonięte jeszcze, wstępowałem do ogrodu, czekając na jej przebudzenie: tymczasem, zabawiałem się powtarzaniem tego co nauczyłem się poprzedniego dnia, albo grzebaniem się w ogrodzie. Żaluzja otwierała się, szedłem uściskać mamusię w łóżku, często jeszcze w pół uśpioną; uścisk ten, równie czysty jak tkliwy, czerpał w samej swej niewinności urok, którego nigdy nie dał upojenie zmysłów.

Na śniadanie, piliśmy zazwyczaj kawę z mlekiem. Była to pora dnia, w której byliśmy najbardziej spokojni i najswobodniej mogliśmy gawędzić. Te posiedzenia, ciągnące się zazwyczaj dość długo, zostawiły mi żywe zamiłowanie do śniadań. O wiele miłszy mi jest obyczaj Anglii i Szwajcarii, gdzie śniadanie jest prawdziwym połączaniem do którego się wszyscy zgromadzają, niż moda francuska, wedle której każdy śniada sam w swoim pokoju, a najczęściej nie śniada wcale. Pogwarzywszy tak pod zinkę lub dwie, szedłem do książek aż do obiadu. Zaczynałem od jakiegoś dzieła z zakresu filozofii, jak *Logika*, *Port Royal*, *Zarysy* Locke'a, Malebranche, Leibnitz, Kartezjusz etc. Spostrzegłem niebawem, że wszyscy ci autorowie są ze sobą w nieustannych prawie przecznościach i powziąłem chimeryczny projekt pogodzenia ich; które to próby bardzo mnie zmęczyły i kosztowały dużo czasu. Miałem chaos w głowie, a nie posuwałem się naprzód. Wreszcie, dając jeszcze raz pokój tej metodzie, obrałem inną, o wiele lepszą, i jej to przypisuję postępy, jakie zdołałem uczynić mimo braku potężności, nie ulega bowiem kwestji, że miałem jej do naukawsze bardzo mało. Otóż, postanowiłem sobie, czytać każdego autora, przyjmować wszystkie jego idee i iść za nimi, nie miesząc do nich swoich własnych, ani też żadnego innego pisarza, i nigdy nie dysputując. Powiedziałem sobie: Zaczynijmy od tego, aby nagromadzić zapas idei, prawdziwych czy fałszywych, ale jasnych, w oczekiwaniu aż głowa będzie dość zaopatrzona, aby je porównywać z sobą i wybierać. Ta metoda ma swoje jemne strony, wiem o tem, ale okazała się dobrą do celów mego wykształcenia. Po upływie kilku lat, w ciągu

których myślałem jedynie ściśle według myśli cudzej, nie zastanawiając się niejako i prawie nie rozumując, przyzwoilem sobie zapas pojęć dość znaczny, aby odtąd wystarczać samemu sobie i myśleć bez pomocy drugih. Wówczas kiedy podróże i zatrudnienia pozbawiły mnie możliwości zaglądania do książek, zabawiałem się często przechodzeniem w myśli i zestawianiem tego co niegdyś czytałem, ważeniem każdej rzeczy na szali własnego rozumu i niekiedy sądzeniem swoich mistrzów. To, że tak późno zacząłem się posługiwać mą zdolnością sądu, nie przypuszczam by wpłynęło ujemnie na jej sprawność; kiedy ogłosiłem swoje własne myśli, nie zarzucono mi, że jestem powolnym uczniem i że przysięgam jeno *in verba magistri*.

Przechodziłem z kolei do geometrii elementarnej; nigdy bowiem nie posunąłem się dalej. Upierając się przy tem aby zwyciężyć swój brak pamięci, wracałem po sto razy do tego samego i podejmowałem nieustannie tę samą drogę. Nie smakowałem w geometrii Euklida, która zestawia raczej łańcuch demonstracji, niżeli łączność myśli; wolałem geometrię O. Lamy, który, od tego czasu, stał się jednym z mych ulubionych autorów i którego dzieła dziś jeszcze odczytuję z przyjemnością. Potem następowała algebra, przyczem ciągle O. Lamy służył mi za przewodnika. Kiedym już nieco postąpił, wziąłem *Naukę rachunku* O. Reynaud, następnie jego *Analizę*, której jednak tylko po wierzchu dotknąłem. Nigdy nie zaszedłem dość daleko, aby zrozumieć zastosowanie algebry do geometrii. Nie lubiłem tego sposobu operowania bez widzenia tego co się robi; zdawało mi się, że rozwiązując problem geometryczny zapomocą zrównań, to jest gra-

melodję kręcąc korbką. Pierwszy raz kiedy doszedłem zapomocą rachunku, że kwadrat dwumianu składa się z kwadratu każdej jego części i podwójnego ich ilorazu, mimo iż rachunek mój wykonany był zupełnie ściśle, wierzyłem dopiero wówczas, kiedy wykreśliłem sobie figurę. To nie przeszkadza, iż bardzo byłem zamilowany z algebrze, o ile miała ona za przedmiot ilości oderwane; ale gdy chodziło o zastosowanie do wymiarów, chciałem widzieć operację wykreśloną linjami, inaczej nie rozumiałem nic zgoła.

Potem, następowała łacina. Była to nauka dla mnie najuciążliwsza i nigdy nie zrobiłem w niej wielkich postępów. Zrazu, wziąłem się do metody łacińskiej z Port-Royal, ale bezowocnie. Te ostrogockie wiersze budziły drazę w mem sercu i nie chciały mi wchodzić do ucha. Nie lubiłem się w tem mnóstwie reguł; ucząc się ostatniej, zapominałem wszystkiego co ją poprzedzało. Nauka słów, to nie jest rzecz bardzo wygodna dla człowieka pozbawionego pamięci; otóż, właśnie dla tego, aby przezwyciężyć brak pamięci, upierałem się przy tej nauce. Trzeba mi było poniechać jej wkońcu. Pożegnałem na tyle składnię, aby czytać łatwego autora przy pomocy słownika. Trzymałem się tej drogi i dobrze na niej wyszedłem. Ćwiczyłem się w tłómaczeniu, nie piśmiennem ale w myśli, i poprzestałem na tem. Z dużym nakładem czasu i pracy doszedłem do tego, iż mogłem dość płynnie czytać łacińskich autorów, ale nigdy nie nauczyłem się mówić ani pisać. Wprawiało mnie to często w zakłopotanie później, kiedy, sam nie wiem jaką drogą, znalazłem się w szeregach ludzi pióra. Drugą niedo-
godnością, na którą się natknąłem przy tej metodzie,

było to, że nigdy nie nauczyłem się prozodji, a jeszcze mniej prawideł wierszowania. Pragnąc, mimo to, odczuć harmonję języka w wierszu i w prozie, czynilem niemałe wysiłki aby to osiągnąć; doszedłem wkońcu do przekonania, iż, bez nauczyciela, jest to prawie niemożliwe. Nauczwszy się budowy najłatwiejszego ze wszystkich rodzajów wierszy, to jest hexametru, miałem cierpliwość przeszkandować prawie całego Wergilego, znacząc stopy i wartości; następnie, kiedy miałem wątpliwość czy jakaś sylaba jest długa czy krótka, szedłem się radzić mego Wergiljusza. Łatwo pojąć, iż musiałem przy tem popełniać wiele błędów, z przyczyny wyjątków dopuszczalnych w prawidłach wierszowania. Jeśli uczenie się samemu daje wiele korzyści, przedstawia ono także i wiele braków, a zwłaszcza połączone jest ze straszliwymi trudnościami. Wiem o tem lepiej niż ktokolwiek.

Przed południem, wstawałem od książek; jeżeli obiad nie był gotów, odwiedzałem moich przyjaciół z gołębnika, albo też szedłem pracować w ogrodzie, czekając godziny posiłku. Usłyszawszy, że mnie wołają, przybiegałem pełen dobrego humoru i jeszcze lepszego apetytu; jestto bowiem okoliczność godna zanotowania, iż, choćbym był jak najbardziej chory, na apetycie nie zbywa mi nigdy. Obiadowaliśmy bardzo przyjemnie, rozmawiając o domowych sprawach, w oczekiwaniu aż mamusia będzie się mogła zabrać do jedzenia. Parę razy na tydzień, kiedy było ładnie, piliśmy kawę w ogrodzie, w cienie i chłodnej altanie, którą obsadziłem chmielem i która była nam wielką pociechą w czasie upałów; tam spędzaliśmy jaką godzinkę, oglądając jarzyny, kwiaty, rozmawiając o rzeczach dotyczących naszego życia i w ten sposób jeszcze

piej karmiąc się jego słodyczą. Miałem drugą małą dzinkę w końcu ogrodu, mianowicie pszczoły. Nie omiekałem nigdy — a często mamusia ze mną — złożył wizyty; interesowałem się bardzo ich pracą; bawilem się niezmiernie, widząc jak wracały z wyprawy przyróżem małe udko miały niekiedy tak obciążone, że zadłwie mogły się posuwać. Przez pierwsze dni, ciekawość moja posunęła się aż do niedyskrecji, jakoż ukłuły nie raz i drugi; ale później, zawarliśmy tak dobrą znajomość, iż mogłem podchodzić choćby najdalej zupełnie bezkarnie i żadna mnie nie ukłuła. Wszystkie zwierzęta mają nieufność do człowieka, i słusznie; ale z chwilą gdy raz obudzi w nich pewność, że nie chce im szkodzić, wybierają takiego zaufania, że trzeba by było więcej niż barbarzyńcą aby go nadużyć.

Wracałem do książek, ale owe popołudniowe zatrudnienia nietylko już zasługują na nazwę pracy i nauki, ile raczej zabawy i wytechnienia. Nigdy nie mogłem znośić ślęczenia w pokoju po obiedzie, i wogóle wszelki wysiłek w dzień — upał jest mi uciążliwy. Oddawałem się tedy, bez przymusu i prawie bez reguły, swobodnej lekturze. Umiejętnością, w którą zapuszczałem się najgłębiej, była historia i geografia; że zaś nie wymagały wytężenia umysłu, zrobiłem w nich postępy, o ile pozwalał mi mój brak pamięci. Chciałem przerobić O. Petau i zapuściłem się w odmęty chronologii; ale zniechęciłem się bezładną płytką częścią krytyczną, i chętniej zajmowałem się studjowaniem dokładnych miar czasu i biegiem ciał niebieskich. Byłbym nawet nabrał zamilowania do astronomji, gdybym miał instrumenty; ale trzeba mi było zawolować się podstawowymi wiadomościami zaczerpnięte-

mi w książkach, i paroma prymitywnymi obserwacjami, uczynionemi zapomocą lichej lunety, jedynie dla rozoznania się w ogólnej sytuacji nieba: ile że krótki wzrok nie pozwala mi gołym okiem rozróżniać dość wyraźnie gwiazd. Przypominam tu sobie przygodę, której wspomnienie nieraz wprawiło mnie w wesołość. Kupiłem sobie planisferę niebieską, aby studjować konstelacje. Umocowałem tę planisferę na ramie; kiedy niebo było pogodne, szedłem w nocy do ogrodu, umieszczałem ramę na czterech kijkach mniej więcej mojego wzrostu, obracając planisferę ku dołowi; aby móc oświetlać ją mimo wiatru, wstawiłem świecę w gliniany garnek ustawiony między słupkami, następnie zaś, patrząc na planisferę gołemi oczyma, a na niebo przez lunetę, ćwiczyłem się w poznawaniu gwiazd i rozróżnianiu konstelacji. Wspominałem, zdaje mi się, że ogród p. Noiret opuszczał się terasowato, zatem widać było z drogi co się w nim dzieje. Jednego wieczora, chłopci, przechodząc dość późno, ujrzeli mnie, w dziwnym stroju, oddanego memu zatrudnieniu. Blask padający na planisferę (źródła blasku nie widzieli, światło bowiem było zakryte ich oczom ścianami garnka), cztery słupki, wielki papier pokreślony figurami, rama, luneta która to wysuwała się to kurczyła, wszystko to podziało na nich przerażająco. Ubiór mój również nie mógł się przyczynić do ich uspokojenia; kapelusz z wielkimi brzegami, nasadzony na szlafmycę, watowany kaftanik mamusi (nałożyła mi go przemocą), wszystko to dawało obraz prawdziwego czarownika: że zaś było blisko północy, nie wąpili, że to początek sabbatu. Nieciekawiego dalszego ciągu, uciekli w popłochu, pobudzili sąsiadów, aby im opowiedzieć swoje widziadło, i historia poszła

ust do ust tak szybko, iż, nazajutrz, każdy w sąsiedztwie wiedział, że w ogrodzie p. Noiret odbywają się sabbały. Nie wiem co by wynikło z tych pogłosek, gdyby nie to, że jeden z chłopów, świadek moich czarnoksiężkich misterjów, pobiegł tego samego dnia na skargę do dwóch sznuitów, którzy nas odwiedzali niekiedy, i którzy, nie wiedząc o co chodzi, zgóry rozprószyli ich obawy. Opowiedzieli nam całą historję, wyjaśniłem przyczynę i usmiałem się szczerze. Wszelako, z obawy przed powtórzeniem wypadku, uchwalono, że, na przyszłość, będę badał niebo bez światła, do planisfery zaś będę chodził zaglądać do domu.

Taki był mój tryb życia w Charmettes, kiedy nie byłem zajęty żadną pracą polną; do tych bowiem miałem szczególne zamiłowanie. W zakresie który nie przechodził moich sił, pracowałem jak prosty wieśniak: ale, po prawdzie, byłem wówczas tak osłabiony, iż mogłem dawać jedynie dobre chęci. Przytem chciałem naraz spełniać dwie roboty i z tej przyczyny żadnej nie spełniałem dobrze. Ułożyłem sobie w głowie, iż, choćby przez gwałt, muszę wyrobić w sobie władzę pamięci; upierałem się najwięcej uczyć się na pamięć. W tym celu, miałem zawsze przy sobie jakąś książkę, z której, z okropnym trudem, czytałem i powtarzałem głośnie całę ustępy, ciągle przytem zajęty pracą ręczną. Dziwię się sam, iż uporeczność tych czezych i nieustannych wysiłków nie doprowadziła mnie do zupełnego ogłupienia. Eklog Wirgiljusza, z których nie umiem ani słowa, uczyłem się, zapominałem i na nowo uczyłem chyba ze dwadzieścia razy. Pogubiłem i zbrakowałem mnóstwo książek, nabrawszy zwyczaj noszenia ich wszędzie z sobą, do gołębnika, do ogro-

du, do sadu, do winnicy. Zajęty czem innem, kładłem książkę pod drzewem albo na żywopłocie; zapomniałem jej, i często, po upływie dwóch tygodni, znajdowałem ją zgniłą albo zjedzoną przez mrówki i ślimaki. Ta zarliwość w kształceniu się stała się manją, która doprowadzała mnie wręcz do oglupienia: bez przerwy mamrotałem coś między zębami.

Ponieważ najczęstszą mą lekturę stanowiły pisma z Port-Royal i Oratorjum, stałem się przez nie współjansenistą. Mimo całej mej pogody ducha, ta twarda teologia przerażała mnie niekiedy. Groza piekła, którego dotąd obawiałem się bardzo niewiele, mąciła nieco mój spokój; gdyby mamusia nie wpływała uspakajająco na mą duszę, ta przerażająca nauka byłaby mnie do cna opętała. Spowiednik mój, który był zarazem i jej spowiednikiem, dokładał starań, aby mi przywrócić równowagę. Był to O. Hemet, jezuita, dobry i mądry starszek, którego pamięć zawsze mi będzie szacowną. Mimo iż jezuita, posiadał on prostotę dziecka; a moralność jego, nietyle wolnomysłna ile nacechowana łagodnością, stanowiła dla mnie najlepszą przeciwwagę wrażeń jansenizmu. Ten pocziwiec, i towarzysz jego, O. Copier, zachodzili często do Charmettes, mimo iż droga była ciężka i dość daleka, jak na ich wiek. Odwiedziny ich były mi bardzo zbawienne: niech Bóg odplaci ich duszom! zbyt bowiem sędziwi byli wówczas, abym mógł przypuszczać, że jeszcze żyją. Zachodziłem także odwiedzać ich w Chambéri; oswajałem się potrosze w klasztorze; biblioteka ich stała otworem na moje usługi. Wspomnienie tych szczęśliwych chwil łączy się z jezuitami tak blisko, iż każe mi ich kochać dla tego wspomnienia; i mimo że ich nauka wyda-

ła mi się zawsze bardzo niebezpieczną, nie mogłem nigdy zdobyć się na to, aby ich szczerze nienawidzić.

Chciałbym wiedzieć, czy przez dusze innych ludzi przeżykają niekiedy dzieciństwa podobne moim. Wśród ciągłych studjów i życia tak niewinnego jak tylko być może, mimo wszystkich zapewnień i perswazyj, obawa przed piekłem dręczyła mnie ciągle. Często stawiałem sobie pytanie: w jakim stanie znajduję się w tej chwili? gdybym zmarł teraz nagle, czy byłbym potępiony? Wedle pism jansenistów, rzecz zdawała się nie ulegać wątpliwości, ale wedle mego sumienia zdawało mi się, że nie. Ciągłe niespokojny i miotany temi okrutnymi niepewnościami, szukając ratunku uciekałem się do najpocieszniejszych środków, za które, gdybym te same objawy widział u kogoś drugiego, byłbym skłonny zamknąć człowieka do domu warjatów. Jednego dnia, dumając nad tym smutnym przedmiotem, ćwiczyłem się machinalnie w ciskaniu kamieniami o pnie i to z mą zwykłą zręcznością, to znaczy chybiając prawie za każdym razem. W pełni tego piękniego ćwiczenia, przychodzi mi nagle myśl uczynić zeń protnostyk dla uśmierzenia obaw. Powiadam sobie: rzucę kamieniem o to drzewo nawprost mnie: jeśli trafię, to znakiem, iż będę zbawiony; jeśli chybię, potępiony. Tak sobie mówiąc, rzucam kamień drżącą ręką i ze strasliwym biciem serca, ale tak szczęśliwie, że ugodził w sam środek drzewa. Poprawdnie, nie było to trudno, ponieważ byłem na tyle ostrożny, aby wybrać pień dobrze grunty i bardzo blisko. Od tego czasu, nie wątpię już o mem zbawieniu. Przypominając sobie ten czyn, nie wiem czy zmieniać się, czy ubolewać nad sobą. Wy, wielcy ludzie, którzy z pewnością śmiejecie się, możecie być dumni ze

swej wyższości; ale nie urągajcie mej głupocie, przysięgam bowiem, że sam czuję ją dostatecznie.

Zresztą, te niepokoje, te przestrochy, nieodłączne mo-
że od pobożności, nie były stanem ciągłym. Zwyczajnie,
byłem dość spokojny; wrażenie, jakie myśl o bliskiej
śmierci czyniła na mej duszy, było nietylko smutkiem,
ile jakąś spokojną omdłością, nie wolną nawet od sł-
dyczy. Odnalazłem niedawno między starymi papierami
rodzaj exhortacji, jaką aplikowałem sobie samemu;
chwaliłem w niej sobie, iż umieram w wieku, w którym
ma się dość odwagi aby patrzeć w oczy śmierci, i że scho-
dzą ze świata, nie doświadczwszy, w ciągu mego życia,
żadnych większych męk ciała i ducha. Jakże miałem
słuszność! Przeczucie jakieś kazało mi się obawiać życia
i jego cierpienie. Zdawałoby się, iż przewidywałem los,
który mnie czekał na stare lata. Nigdy nie byłem tak
blisko mądrości, jak podczas tej szczęśliwej epoki. Bez-
wielkich wyrzutów z powodu przeszłości, wyzwolony od
trosk na przyszłość, trwałem w dominującym w mej
duszy uczuciu cieszenia się teraźniejszością. Dewoci mają
zazwyczaj odcień drobnej ale bardzo żywej zmysłowości,
dającej im z lubością wysysać niewinne rozkosze, z liczby
tych które są im dozwolone. Ludzie światowi czynią
im z tego zbrodnię, nie wiem czemu, albo raczej wiem
dobrze: dlatego, że zazdroszczą drugim słodczy czerpa-
nej w prostych przyjemnościach, których smak sami za-
tracili. Ja miałem ten smak, i znajdowałem wielki urok
w zaspakajaniu go z czystym sumieniem. Serce moje,
jeszcze świeże, oddawało się wszystkiemu ze szczęściem
dziecka, albo raczej, jeśli śmiem się tak wyrazić, z roz-
koszą anioła, w istocie bowiem te spokojne słodczye po-

ne są, z niewinności swojej, rajskim. Obiady przy-
gdzane na trawie, wieczerze w altance, zbiórka owoców,
wa, winobranie, darcie konopi wespół z naszymi ludź-
wszystko to było jednym szeregiem zabaw, w któ-
mamusia znajdowała tyleż radości co ja. Bardziej
motne przechadzki miały jeszcze większy urok, ponie-
ż serce wywnętrzało się z większą swobodą. Między
ymi, zrobiliśmy jeden spacer, stanowiący epokę w mych
pominiach: było to w dzień świętego Ludwika, któ-
mo imię nosiła mamusia. Wybraliśmy się rano, sami,
zesnym rankiem, po mszy, którą karmelita przyszedł
prawić o świcie w kaplicy koło domu. Podałem myśl,
się puścić na przeciwległe zbocze, którego nie zwie-
daliśmy jeszcze. Wysłaliśmy naprzód prowjanty, wy-
czka bowiem miała trwać cały dzień.

Mamusia, choć nieco okrągła i tłusciutka, była wcale
złą piechurką: wędrowaliśmy z pagórka na pagórek,
lasku do lasku, czasem słońcem, często cieniem, odpó-
ywając potrosze i zapamiętując się na całe godziny;
zmawiając o sobie, o naszym związku, o słodczych
szej doli, wyrażając życzenia iżby mogła trwać całe
cie; życzenia, które, niestety, nie zostały wysłuchane!
wszystko zdawało się sprzyjać, aby ten dzień upłynął
najszczęśliwiej. Niedawno padał deszcz, nie było
du, strumienie toczyły obficie wodę, chłodny wietrzyk
ruszał liśćmi, powietrze było czyste, widnokrąg bez
mur, pogoda panowała na niebie, jak w naszych ser-
ch. Obiad sporządziliśmy sobie w chałupie jakiegoś
miotka i podzieliliśmy go z jego rodziną, błogosławiącą
s z całego serca. Ci poczciwi Sabaudczycy to tacy
brzy ludzie! Po obiedzie, schroniliśmy się w cień, pod

wielkie drzewa, gdzie, podczas gdy ja gromadziłem suche gałązki aby przyrządzić kawę, mamusia zajmowała się zbieraniem ziół po zaroślach. Po drodze, nazrywałem mały bukiet kwiatów; pokazywała mi w ich budowie wiele eiekawych rzeczy, które mnie bawiły, i które powinny były obudzić we mnie zamiłowanie do botaniki. Ale pora jeszcze nie nadeszła: byłem zbyt zaprzątnięty innymi studjami! W tej chwili, przyszła mi myśl, która mnie oderwała od ziół i kwiatów. Stan duszy, w którym się znajdowałem, wszystko cośmy mówili i robili tego dnia, przedmioty które zwróciły moją uwagę, wszystko to przypominało mi rodzaj snu, jaki marzyłem na jawie w Annecy przed siedmiu czy ósmiu laty, a o którym wspominałem w swoim miejscu. Związek był tak uderzający, że, myśląc o tem, uczulem się wzruszony do łez. W wybuchu czułości uściskałem drogą przyjaciółkę: „Mamusiu, mamusiu, rzekłem z uniesieniem, ten dzień był mi przyrzeczony oddawna: oto ziściło się wszystko, o czem mogłem marzyć w życiu. Szczęście moje, dzięki tobie, jest u szczytu; oby mogło nigdy nie doczekać się zachodu! oby mogło trwać tak długo, jak długo będzie mi ono drogim! nie skończyłoby się aż z mem życiem.“

Tak płynęły mi szczęśliwe dni, tem szczęśliwsze, że, nie widząc nic coby je mogło zamącić, w istocie koniec ich widziałem jedynie z końcem życia. To nie znaczy, aby źródło trosk zupełnie się zatamowało; ale skierowało się ono w odmienne koryto, i starałem się zwrócić je, o ile mogłem, w stronę rzeczy użytecznych, tak iżby przyniosło z sobą wraz i lekarstwo. Mamusia z natury lubiała wieść, a moje towarzystwo mogło ją tylko utrwalić w tem

posobieniu. Stopniowo, nabrała zamiłowania do starań gospodarskich; lubiła wydobywać z ziemi ile się da; miała się na tem i zajęcie to robiło jej przyjemność. Nie wystarczał jej nawet kawałek gruntu przynależny do domu; wydzierżawiała, najmowała to półko jakieś, to kawałek łąki. Słowem, przenosząc swą pasję przedsięwzięć w zakres rolnictwa, zamiast próżnować i wypoczywać w domu, krzątała się tak, jakby miała zostać niebawem obywatelką wiejską. Nie podobał mi się ten bytni jej zapal i powściągałem ją ile mogłem, pewny, że zawsze wkońcu padnie ofiarą złudzeń, i że usposobie nie jej, szerokie i hojne, zawsze podniesie sumę wydatków ponad wysokość dochodu. Bądź co bądź, pocieszałem się tem, że przynajmniej dochód ten nie będzie zupełnie znikomy i dopomoże jej do życia. Ze wszystkich przedsięwzięć, jakie mamusia mogła podjąć, to wydało mi się najmniej rujnujące; nie dopatrując się w niem ryzyków, widziałem wszelako nieustanne zatrudnienie, które mogło odciągnąć ją od awanturniczych przedsięwzięć i zakusów hultai. W tej myśli, pragnąłem gorąco odwrócić tyle sił i zdrowia, ile było trzeba aby czuwać nad jej interesami, być dozorcą robotników, rodzajem plenipotentą. Siłą rzeczy, zajęcia do których się wkładałem w tym celu, odrywając mnie często od książek i każąc mi zapominać o moim stanie zdrowia, wpływały nań tem niem korzystnie.

(1737-1741). Następnej zimy, Barillot, wracając z Włoch, przywiózł mi kilka książek, między innymi *Bontempiego Cartella per musica* O. Banchieri, które obudziły we mnie zaciekawienie do historii muzyki i do teoretycznych badań nad tą piękną sztuką. Barillot zabawił jakiś

czas z nami; że zaś byłem od kilku miesięcy pełnoletni, postanowiliśmy, że, najbliższej wiosny, udam się do Genewy upomnieć się o mająteczek po matce, a przynajmniej o część, która na mnie przypada w oczekiwaniu wiadomości o losie brata. Stało się tak jakieśmy postanowili. Udałem się do Genewy, ojciec stawił się tam również. Od dłuższego czasu, bywał w tem mieście nie doznając przeszkód, mimo że sprawa jego nie została umorzona: ale ponieważ ceniono jego odwagę i szanowano charakter, patrzano przez palce na te dawne dzieje; prztem władze, zajęte wielkim projektem który wystrzelił niedługo później, nie chciały przed czasem drażnić mieszczanństwa, przypominając im nie w porę dawną stronniczość.

Lękałem się, aby mi nie czyniono trudności z powodu zmiany religii: nie doświadczyłem żadnych. Prawa Genewy są pod tym względem mniej surowe niż Berna, gdzie, ktokolwiek zmieni wyznanie, traci nietylko prawa obywatelskie, ale i majątek. Nie kwestjonowano tedy mej należności, ale okazało się, nie wiem jakim sposobem, iż stopniała ona do bardzo nieznacznej kwoty. Mimo iż było prawie pewnem, że brat nie żyje, nie było na to prawnego dowodu. Nie posiadając wystarczających tytułów aby się domagać jego części, zostawiłem ją, bez żalu, ojcu; jakoż korzystał z niej, dopóki żył. Skoro tylko załatwiono formalności i dostałem do rąk pieniądze, obróciłem część na książki, a resztę pospieszyłem zanieść do stóp mamusi. Serce biło mi z radości podczas drogi, a chwila, w której złożyłem te pieniądze w jej ręce, była mi tysiąc razy słodsza, niż ta, w której dostały się one do moich. Przyjęła je z całą prostotą szlachetnych dusz,

które, spełniając codziennie te rzeczy bez wysiłku, patrząc na nie bez podziwu. Pieniądze obróciła prawie całkowicie na moje potrzeby i to z tą samą prostotą. Na ten sam użytek byłyby poszły, gdyby były spadły skądinąd.

Mimo to, zdrowie moje nie polepszało się; przeciwnie, gasłem w oczach; byłem blady i chudy jak szkielet, pulsowanie tętnic nękały mnie straszliwie, palpitacje były coraz częstsze, czułem nieustanny ciężar, a osłabienie doszło w końcu do tego, iż z trudnością zdołałem się poruszać. Nie mogłem przyspieszyć kroku by zaraz nie dostać napadu duszności; nie mogłem schylić się bez zawrotu głowy; nie mogłem podnieść najmniejszego ciężaru, byłem skazany na bezczynność jakże nieznośną dla człowieka tak ruchliwego jak ja! To pewna, iż w tem wszystkim było dużo waporów. Wapory są chorobą ludzi szczęśliwych; i mnie tedy nie oszczędziły. Łzy, które wylewałem niekiedy bez przyczyny, napady przestachu z szelestem liścia albo ptaszka, zmienność humoru wśród spokoju najmilszego życia, wszystko to zwiastowało jakby przesycenie słodyczą, objawiające się ową nazbyt wybijającą wrażliwością. Jesteśmy tak nie stworzeni aby tu na ziemi kosztować szczęścia, że trzeba koniecznie, aby dusza lub ciało, o ile nie oba razem, spłaciły okup cierpieniu, a pomyślny stan jednego oddziałuje prawie zawsze ujemnie na drugie. Kiedybym mógł cieszyć się rozkoszą życia, organizm mój, wyniszczony i osłabły, nie dopuszczał tego, a co najgorsza, niepodobna było odnaleźć siedziby choroby. W późniejszym życiu, mimo lat i mimo bardzo prawdziwych i poważnych cierpień, ciało moje jakgdyby odzyskało siły, aby lepiej odczuwać me niedole. Teraz, kiedy piszę te słowa, chory, blisko sześćdzie-

sięcioletni, przygnieciony wszelkiego rodzaju nieszczęściami, czuję w sobie więcej siły i życia dla dźwignia cierpienia, niż ich miałem w kwiecie wieku dla kosztowania słodczy najprawdziwszego szczęścia.

Na dobitkę, liznąwszy w swoich lekturach nieco fizjologii, zabrałem się do studjowania anatomji; otóż, uświadamiając sobie całą mnogość różnorodnych i skomplikowanych części organizmu, dwadzieścia razy na dzień doznawałem uczucia, że to wszystko się we mnie rozpręga. Mniej dziwiłem się temu, iż czuję się umierającym, niż temu raczej, że jeszcze żyć mogę. Nie zdarzyło mi się przeczytać opisu choroby, abym natychmiast nie doszukał się w sobie jej objawów. Jestem pewny, że, gdybym nawet nie był chory, rozchorowałbym się wskutek tej nieszczęsnej nauki. Znajdując w każdej chorobie własne symptomy, gromadziłem je w sobie wszystkie; ponadto, przybyła mi nowa, niebezpieczniejsza jeszcze, z której zdawało się że już się wyzwoliłem, a mianowicie zapal do leczenia się. Jestto choroba nieunikniona prawie dla kogoś, kto zabrne w czytanie dzieł lekarskich. Po długich dociekaniach, namysłach, porównaniach, uroiłem sobie, że podstawą mego cierpienia jest polip w sercu; sam Salomon zdawał się uderzony tą ideą. Biorąc rzecz racjonalnie, przekonanie to powinno było tylko utwierdzić mnie w dawniejszej determinacji. Stało się przeciwnie. Wytężyłem wszystkie zasoby umysłu w dociekaniach, jak możnaby uleczyć polipa w sercu, z mocnem postanowieniem podjęcia tej cudownej kuraacji. W czasie podróży, jaką Anet odbył niegdyś do Montpellier aby poznać tamtejszy ogród botaniczny, powiedziano mu, że doktor Fizes uleczył kogoś z takiego

polipa. To wystarczyło, aby mnie natchnąć żądzą szukania porady u doktora Fizes. Nadzieja wyleczenia dodała mi siły i energii do podróży. Pieniądze przywiezione z Genewy dostarczyły środków. Mamusia nietylko nie odradzała mi, ale utwierdzała w zamiarze; i oto puściłem się do Montpellier.

Nie potrzebowałem wędrować tak daleko, aby znaleźć lekarza jakiego mi było trzeba. Nadto utrudzony podróżą konną, nająłem w Grenobli wehikuł. W Moirans spotkałem kilku innych, które nadjechały sznurkiem tuż za moim. Gwar, zamęt. Większość tych pojazdów należała do orszaku świeżo zamężnej damy, nazwiskiem du Colombier. Między innymi gośćmi, towarzyszyła pannie młodej niejaka pani de Larnage, nie tak młoda i piękna jak pani du Colombier, ale nie mniej urocza. Tamta zazwyczaj w Romans, ta zaś miała jechać dalej, do grodu Saint-Andiol, niedaleko Pont-Saint-Esprit. Może sobie czytelnik wyobrazić, że, przy mem znanem niedoświadczeniu, nie tak łatwo przyszło do znajomości z tak wietnymi damami i otaczającą je świtą; ale wreszcie, idąc tą samą drogą, stając w tych samych oberżach, zmuszony, o ile nie chciałem uchodzić za dzikiego człowieka, siadać u tego samego stołu, nie mogłem uniknąć obowiązkowej prezentacji. Przyszło zatem do tego, i to wcześniej nawet niżbym pragnął; cały bowiem ten zamęt nie bardzo odpowiedni był dla chorego z mojem uspo-
sobieniem. Ale ciekawość tak przypieka te szelmy kochanki, że, aby doprowadzić do znajomości z mężczyzną, zaczynają od tego, iż zawracają mu głowę. Tak stało się i ze mną. Pani du Colombier, zbyt otoczona zgrają młodych fircyków, nie miała czasu na kokietowanie mnie; ale

pani de Larnage, mniej oblegana i bardziej troskliwa o zapewnienie sobie rozrywki w drodze, zabrała się do mnie z miejsca. Bywaj zdrow, biedny Janie Jakóbie, a raczej bywaj zdrowa febro, wapory, polipy; wszystko gdzieś podziało się przy niej, z wyjątkiem pewnych palpitacji, które mi zostały i z których nie chciała mnie uleczyć.

Smutny stan mego zdrowia był pierwszą kanwą znajomości. Widziano, że jestem chory, widziano, że udaję się do Montpellier; widocznie z miny i z obejścia nie wyglądałem na rozpustnika, z dalszego ciągu bowiem, okazało się jasno, iż nie czyniono co do mnie żadnych hańbiących przypuszczeń. Mimo że naogół choroba nie jest dla mężczyzny zbyt dobrą rekomendacją u dam, w tym wypadku uczyniła mnie interesującym. Rano przysyłały dowiadywać się o moje zdrowie i zapraszały na czekoladę, wypytując się jak spędziłem noc. Jednego dnia, zgodnie z chwalebnym zwyczajem odpowiadania bez myśli, odrzekłem, że nie wiem. Sądziły, że mam źle w głowie; zaczęły mi się bliżej przyglądać i przegląd nie wypadł na moją niekorzyść. Usłyszałem raz, jak pani du Colombier mówiła do przyjaciółki: „Nieobyty jest trochę, ale miły“. To słówko dodało mi odwagi, uczyniło mnie miłym naprawdę.

W miarę jak postępowało zbliżenie, trzeba było mówić coś o sobie; kto zacz, skąd jedzie, dokąd spieszy. To wprowadzało mnie w zakłopotanie, czułem bowiem bardzo dobrze, że, w tem świetnym towarzystwie, wobec wykwintnych dam, to słowo „nowonawrócony“ będzie dla mnie zabójcze. Nie wiem jak mi ten concept wpadł do głowy, dość że, ni stąd ni zowąd, postanowiłem udawać anglika, nazwiskiem Dudding; a co osobliwsze, uwierzono w to.

Był w towarzystwie niejaki markiz de Torignan, chory jak i ja, do tego stary i dość zrzędny. Otóż, ten przelety nudziarz uparł się zawiązać rozmowę z p. Dudding. Zagaił o królu Jakóbie, o pretendencie, o dawnym dworze w Saint Germain. Siedziałem jak na szpilkach; wiedziałem o tem ledwie tyle, co przeczytałem w Hamiltonie w gazetach; mimo to, spożytkowałem te wiadomości tak dobrze, że wykręciłem się ze sprawy: szczęściem, ni komu nie przyszło na myśl brać mnie na egzamin z języka angielskiego, z którego nie znałem ani słowa.

Cała kompanja dobrze czuła się z sobą i z żalem patrzyła na zbliżający się czas rozstania. Wlekliśmy się ślimaczym krokiem. Pewnej niedzieli, znaleźliśmy się w Saint-Marcellin. Pani de Larnage chciała iść na mszę; towarzyszyłem jej, co o mało nie popsulo mojej sprawy. W kościele zachowywałem się tak, jak było moim zwyczajem. Z postawy mej, poważnej i skupionej, mniemała, iż ma do czynienia z bigotem i powzięła o mnie najgorszą opinię jak mi to wyznała w dwa dni potem. Trzeba mi było później dużo wysiłków galanterji aby zatrzeć to złe wrażenie; albo raczej pani de Larnage, jako kobieta doświadczona i nie łatwo dająca się zrazić, zechciała zażytkować pewne awanse, aby się przekonać jak się wywiąże ze sprawy. Istotnie, nie szczędziła mi ich, i to takich, iż ja, daleki o sto mil od męskiej próżności, myślałem, że sobie chce żartować ze mnie. Pod wpływem tego dzieciństwa, sadziłem głupstwo na głupstwo: gorzej niż margrabia w *Zapisie*¹⁾. Pani de Larnage nie dawała za wygraną, zachowywała się tak wyzywająco i mówiła mi

¹⁾ Komedja *Marivaux*.

rzeczy tak czule, że człowiekowi o wiele mniej niewinnemu trudnoby wziąć wszystko za dobrą monetę. Im dalej się posuwała, tem bardziej utwierdzała mnie w mojej idei, co mnie dręczyło tem więcej, ile że tymczasem sam zawróciłem sobie porządną głowę. Mówilem sobie w duchu i jej powtarzałem wzdychając: „Ach! czemuż to wszystko nie jest prawdą! byłbym najszczęśliwszym z ludzi!” Sądzę, iż naiwność nowicjusza podrażniła ją tylko w kaprysie; dość, iż zdecydowana była nie dać za wygraną.

Zostawiliśmy w Romans panią du Colombier z jej orszakiem. Ciągnęliśmy dalej naszą drogą najwolniej i najrozkoszniej w świecie: pani de Larnage, margrabia de Torignan i ja. Margrabia, mimo iż chory i zrzędnym, był w gruncie niezły człowiek, ale niezbyt zamilowany w roli biernego świadka cudzych przyjemności. Pani de Larnage tak mało ukrywała skłonność do mojej osoby, iż margrabia spostrzegł się na tem wcześniej odemnie. Jeżeli nie co innego, to same jego złośliwe sarkazmy powinny były wlać we mnie tę pewność siebie, której nie śmiałem nabrać z objawów przychylności mej damy. Ba, cóż, kiedy wpadłem na koncept, do jakiego jedynie ja byłem zdolny, że oni porozumieli się we dwoje, aby mnie brać na fundusz. Ten głupi pomysł do reszty mi zamącił w głowie i kazał odgrywać najgłupszą w świecie rolę, w sytuacji, w której serce moje, szczerze przejęte miłością, umiałoby podyktować mi o wiele wdzięczniejszą. Nie pojmuję, w jaki sposób pani de Larnage nie zraziła się mojami komedjami i nie odpędziła mnie z ostateczną wzgardą. Ale była to wytrawna osoba, która rozumiała się na ludziach i widziała dobrze, że źródłem mego umiarkowania jest bardziej głupota niżeli co innego.

Doprowadziła wreszcie do tego, żeśmy się porozumieli; ale nie przyszło to jej bez trudu. Przybyliśmy do Alençon, aby tam spożyć obiad i, wedle naszego chwałobnego zwyczaju, zostaliśmy tam już resztę dnia. Mieszkaliśmy w oberży za miastem; nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ta oberża i pokój, który pani de Larnage w niej zajmowała. Po obiedzie, zapragnęła przejść się nieco. Powiedziała, że z margrabiego nie wielki piechur; był to człowiek zyskający dla nas sam-na-sam, którego postanowiła sobie nie zmarnować; zważywszy bowiem bliski kres droży, niewiele mieliśmy, zaiste, czasu do stracenia. Wychadzałam się koło miasta wzdłuż wałów. Tam, odpocząłem na nowo swoje wzdychania, na które, przypominając, od czasu do czasu, do piersi me ramię, odpowiadała tonem tak tkliwym, że trzeba było iście mojej żupoty, aby nie spróbować doświadczaćnie sprawdzić szczerości jej słów. Najlepsze jest, iż ja sam byłem przytem w najwyższym stopniu wzruszony. Powiedziałem, że pani de Larnage była powabna: miłość uczyniła ją czarującą; dzięki niej odzyskała cały blask pierwszej miłości i rozwijała swe zalotne sztuczki z takim kunsztem, że byłaby uwiodła najwytrawniejszego gracza. Czulem tę tedy bardzo nieswój i ciągle o krok od granic ostatecznej miłości; ale obawa obrażenia jej lub zrażenia, jeszcze większy strach iż może mnie wyszydzić, wydrwić, wystrychnąć na dudka, ba, uczynić przedmiotem zabawy przy stole i ściągnąć na mnie drwiny nielitościwego margrabiego, wszystko to paraliżowało mnie do tego stopnia, że sam byłem wściekły na mą niewczesną wstydlivość, że nie umiałem jej przezwyciężyć. Byłem na torturach: nie chciałem westchnień Celadona, których śmieszność,

w podobnej sytuacji, na ustronnej drodze leśnej, sam rozumiałem; nie wiedząc już jak się zachować, ani co rzec, milczałem; miałem minę chmurną, nadąsaną; słowem, robiłem co w mej mocy, aby ściągnąć na siebie niełaskę której się tak obawiałem. Szczęście, pani de Larnage powzięła bardziej ludzkie postanowienie. Przerwała nagle to milczenie, oplatając mi rękę koło szyi, a zarazem usta jej przemówiły do moich, zbyt wymownie abym mógł dłużej trwać w błędzie. Przesilenie to nie mogło wypaść bardziej w porę. W mgnieniu oka przeszedłem do właściwej roli: a był czas. Obudziła we mnie to zaufanie, którego brak niemal zawsze przeszkadzał mi być sobą. Nigdy oczy moje, zmysły, serce i usta nie były tak wymowne; nigdy tak wspaniale nie okupiłem swych błędów. Jeśli to małe zwycięztwo kosztowało panią de Larnage nieco trudów, mogę sobie pochlebić, że nie miałam powodu ich żałować.

Choćbym żył sto lat, zawsze wspomnienie tej uroczej kobiety będzie mi szczerą rozkoszą. Powiadam uroczej, mimo że nie była ani młoda ani ładna; bądź co bądź, nie była również stara i brzydka, i nie było w jej postaci nic, coby przeszkadzało błyszczeć w całej pełni reszcie jej zalet. W przeciwieństwie do innych kobiet, twarz jej, zniszczona, jak sądzę, od rużu, była najmniej świeżym szczegółem jej postaci. Pani de Larnage miała przyczynę aby być łatwą: w ten jedynie sposób mogła dać poznać to, co w niej było najbardziej urocze. Można ją było ujrzeć, a nie pokochać, ale nie można było posiadać jej, a nie ubóstwiać; co dowodzi, o ile mi się zdaje, że nie zawsze była tak hojna swemi łaskami, jak ze mną. Karpys, który ją pchnął w moje ramiona, był zbyt nagły

żywy, aby go można było usprawiedliwić, ale serce miało nim conajmniej tyleż udziału co zmysły. Przez ten wótki i rozkoszny czas który przy niej spędziłem, mam prawo przypuszczać — a to ze starań jakich dokładała by mnie oszczędzać — iż, mimo że zmysłowa i łakoma rozkoszy, wyżej jeszcze stawiała względy mego zdrowia niż swojej przyjemności.

Nasze porozumienie nie ukryło się przed margrabią. Mimo to, nie zaprzestał docinków; przeciwnie, bardziej niż kiedy prześladował mnie jako biednego wdychającego kochanka, męczennika kobiecej srogości. Nigdy nie wymknęło mu się najmniejsze słowo, uśmiech, spojrzenie, któreby pozwoliło się domyślać, że nas odgadł. Bylbym aniemał, żeśmy go wywiedli w pole, gdyby pani de Larnage, bardziej ostrowidząca odemnie, nie powiedziała mi, że tak nie jest, tylko że margrabia jest człowiek rycerski; w istocie, nie można by się zachowywać dworniej, ani rozczuwać więcej uprzejmości, nawet ze mną (pomijając nieinne przyczynki), zwłaszcza od czasu mego tryumfu. Być może, przypisywał mi jego zasługę i uważał mnie za mniejszego dudka, niż na to wyglądałem. Mylił się, jak wiadomo czytelnikom; ale mniejsza, omyłka jego rychodziła mi na dobre. Pewny, że aplauz słuchaczy będzie po mojej stronie, dość wdzięcznie i chętnie podawałem się jego epigramom, odcinając się niekiedy nawet wcale szczęśliwie. Dumny byłem, iż mogę, w obecności pani de Larnage, popisywać się dowcipem, który ona ze mnie tehnęła. Stałem się wprost innym człowiekiem. Byliśmy w okolicy sławnej z dobrego stołu, zwłaszcza w tej porze; wszędzie też biesiadowaliśmy znakomicie, dzięki umiętnym staraniom margrabiego. Bylbym go chętnie

uwolnił w zamian od troskliwości o wybór pokoi, ale posyłał zawsze naprzód lokaja dla zatrzymania kwatery; ten hultaj, czyto z własnego konceptu, czy na rozkaz pana, umieszczał zawsze margrabiego obok pani de Larnage, a mnie wpychał na drugi koniec gospody. Ale to nie kłopotowało nas wcale, i schadзки miały przez to tem więcej pieprzyku. To rozkoszne życie trwało cztery czy pięć dni, podczas których pływałem w najśłodzych upojeniach. Piłem tę chwilę czystej i żywej słodyczy, bez żadnej domieszki zgryzot. Były to pierwsze i jedyne chwile, których kosztowałem w ten sposób i mogę powiedzieć, iż pani de Larnage zawdzięczam, że nie umrę, nie poznawszy rozkoszy.

Jeżeli to, co czułem dla niej, nie było, ściśle biorąc, miłością, było to w każdym razie tak czule odbicie miłości, którą ona mi okazywała, upojenie zmysłów tak palące w swej rozkoszy i poufalość w obcowaniu tak słodka, że posiadała cały urok namiętności, będąc zarazem wolna od jej szalu, który zamąca głowę i odejmuje zdolność cieszenia się użyciem. Raz tylko w życiu czułem prawdziwą miłość i nie ta osoba była jej przedmiotem. Nie kochałem jej również tak, jak pokochałem i kochałem jeszcze panią de Warens: ale dlatego właśnie, posiadałem ją sto razy lepiej. W ramionach mamusi, rozkosz moją mąciło zawsze uczucie smutku, jakieś tajemne ściśnienie serca, które nie bez trudności przychodziło mi przezwyciężyć: miast cieszyć się że ją posiadam, wyrzucałem sobie że ją kalam. Przy pani de Larnage, przeciwnie, dumny z własnej męskości i szczęścia, oddawałem się porywom zmysłów z radością, z ufnością w siebie; podzielałem upojenia, które dawałem mej kochance; mia-

łem dość świadomości samego siebie, aby spoglądać równą dumą jak rozkoszą na swój tryumf i czerpać z nim sily do mnożenia jego symbolów.

Nie przypominam sobie, w jakiej miejscowości opuścił nas margrabia, którego dobra leżały w tych stronach. Nie wiem iż znaleźliśmy się sami, nim dotarliśmy do Montélimart; z tą chwilą, pani de Larnage przeniosła pannę służącą do mego wehikułu, a mnie zabrała do swego. Mogę zapewnić, że droga odbywana w ten sposób nie wydała się nam nudną; trudnoby mi było zdać sprawę z wyglądu okolic, któreśmy przebiegali. W Montélimart, towarzyszka moja miała jakieś sprawy, które zatrzymały ją trzy dni. Przez cały ten czas wszelako opuściła mnie ledwie na kwadrans, dla jakiejś wizyty, która ściągnęła na nią nudne towarzyskie konsekwencje i zaproszenia, resztą nadaremne. Zasloniła się niedomaganiem; co nam nie przeszkodziło przechadzać się codziennie sam-na-sam w najcudniejszej okolicy i pod najcudniejszym niebem w świecie. Och! te trzy dni! nieraz przyszło mi ich żałować; nigdy odtąd nie przeżyłem podobnych!

Miłości podróże kończą się tak, jak się rozpoczęły. Trzeba było się rozdzielić, a wyznaję, że był czas. Nie żałbym być przesycony lub bliski przesyty, owszem, przywiązywałem się z każdym dniem więcej; ale, mimo całej głędości mej damy, już niewiele mogłem złożyć u jej stóp po za dobrą wolą. Staraliśmy się rozprószyć żale projektami spotkania. Zapadło postanowienie, że, skoro kuracja idzie mi na zdrowie, mam się jej jeszcze poddać, że przyjadę spędzić zimę w Saint-Andiol, pod opieką pani de Larnage. Miałem pobyć w Montpellier jakie pięć lub sześć tygodni, aby jej zostawić czas przygotowania

tego spotkania w sposób zapobiegający plotkom. Dała mi obszernie informacje o wszystkim co powinienem wiedzieć, co mówić, w jaki sposób się zachować. Tymczasem, mieliśmy do siebie pisywać. Zachęcała mnie obszernie i poważnie do pielegnowania zdrowia; upominała abym się udał do najlepszych lekarzy i troskliwie wypełniał wszystko co mi przepiszą. Zobowiązała się przypilnować mnie, wówczas kiedy będę bawił u niej, abym wypełniał ich przepisy, choćby nawet najsurowsze. Sądzę, że mówiła szczerze, kochała mnie w istocie; dała mi tego tysiąc dowodów bardziej przekonujących niż sam dar swej osoby. Osądziła z mego wyekwipowania, że nie muszę opływać w zbytki; mimo iż sama nie była bogatą, chciała mnie przy roztaniu zmusić, abym z nią podzielił zawartość jej sakiewki, wcale dobrze zaopatrzonej na drogę; z wielkim trudem przyszło mi się obronić. Wreszcie, rozstałem się z nią, z sercem pełnem mej towarzyszki, i zostawiając w niej, o ile mi się zdaje, szczere przywiązanie.

Wlokłem się dalej tą drogą, przeżywając ją na nowo we wspomnieniu, na razie bardzo rad, iż spoczywam w wygodnym wehikule, aby tem swobodniej dumać o rozkoszach jakich zakosztowałem i tych które mi przyrzeczono. Rozmyślałem tylko o zamku w Saint-Andiol i uroczem życiu, jakie mnie tam czeka; widziałem jedynie panią de Larnage i jej otoczenie: reszta świata była niczem dla mnie; o mamusi nawet zapominałem. Zabawiałem się kombinowaniem w głowie wszystkich szczegółów natrąconych przez panią de Larnage, starając się zgóry stworzyć sobie pojęcie o jej mieszkaniu, sąsiedztwie, towarzysztwie, całym sposobie życia. Miała córkę, o której mówiła często z bałwochwalstwem matki. Ta córka miała skoń-

zonych piętnaście lat, miała być śliczna, żywa i milego sposobienia. Pani upewniała mnie, że będę u niej w latach: nie zapominałem tej obietnicy i z wielką ciekawością roilem sobie, w jaki sposób panna de Larnage zachowa się wobec benjaminka swej mamy. Takie przedmioty anowily treść mych marzeń od Pont-Saint-Esprit aż do Remoulin.

Polecono mi, abym zwiedził most Gardyjski; nie mieszkalem uczynić tego. Było to pierwsze dzieło Rzymian jakie oglądałem. Spodziewałem się ujrzeć pomnik i ręk, które go wzniosły. Tym razem, przedmiot przeszedł moje oczekiwanie; był to jedyny raz w życiu. Jedynie Rzymianom dane było osiągnąć ten skutek. Uderzenie tego prostego i szlachetnego dzieła uderzyło nie tem więcej, ile że położone jest wśród pustyni, gdzie milczenie i samotność czynią przedmiot bardziej uderzającym a podziw tem żywszym. Ów rzekomy most był w istocie tylko wodociągiem. Zadawałem sobie pytanie, jaka siła przeniosła kamienie tak olbrzymie z tak daleka od wszelkiego łomu, i zgromadziła ramiona tylu tysięcy ludzi w miejscu zupełnie bezludnem. Przebiegiem trzy piętra tej wspaniałej budowli, którą, w uszanowaniu mojem, zaledwie że śmiałem deptać nogami. Od czasu moich kroków pod temi olbrzymiemi sklepieniami oddział we mnie wrażenie, iż słyszę silny głos tych którzy je wzniesli. Gubiłem się jak robak w tym ogromie. Czując, czyniąc się tak małym, coś nieokreślonego co mi działo w duszy; mówiłem sobie wzdychając: „Czemuż nie urodziłem się Rzymianinem!“ Trwałem tam kilka godzin w zachwyceniu kontemplacji. Wróciłem roztargniony i zadumany, a zaduma ta nie była korzystna dla pani

de Larnage. Pamiętała o tem, aby mnie ubezpieczyć przeciw dziewczętom w Montpellier, ale nie przeciw gardyjskiemu mostowi. Niesposób pamiętać o wszystkim.

W Nimes poszedłem zobaczyć cyrk: jestto dzieło o wiele wspanialsze niż most gardyjski, ale uczyniło na mnie o wiele mniejsze wrażenie, czy to że podziw mój się wyczerpał na pierwszym przedmiocie, czy że położenie cyrku w pośrodku miasta mniej było sposobne aby go pobudzić. Ten rozległy i wspaniały cyrk otoczony jest małymi domkami; inne domki, mniejsze jeszcze i szpetniejsze, zapełniają arenę, tak iż wszystko wywiera jeno niejednolite i zmaczone wrażenie, w którym żal i oburzenie dławią przyjemność i podziw. Widziałem, od tego czasu, cyrk w Weronie, nieskończenie mniejszy i mniej piękny niż ów w Nimes, ale utrzymany i zachowany z całą możliwą schludnością i przystojnością, i który, przez to samo, sprawił na mnie wrażenie silniejsze i miłsze. Francuzi nie dbają o nic i nie szanują żadnego pomnika. Są pełni zapалу gdy chodzi o podjęcie czego, ale nie umieją niczego kończyć ani zachować.

Zmieniłem się do tego stopnia, i zmyslewość moja, wprawiona w ruch, rozbudziła się tak doskonale, iż zatrzymałem się jednego dnia w Pont de Lunel, aby tam dać folgę memu apetytowi u gościnnego stołu. Gospoda ta, najwyżej szacowana ze wszystkich w Europie, zasługiwała wówczas na to wyróżnienie. Gospodarze umieli skorzystać z jej szczęśliwego położenia, aby utrzymywać zaopatrzoną obficie i doborowo. Była to, w istocie, ciekawa rzecz, znaleźć w domostwie stojącem samotnie i rzuconem wśród wsi, stół zaopatrzony w rybę morską i rzeczną, doskonałą dziczyznę, przednie wina,

obsłużony z owem wyszukaniem i pamięcią jakie znajduje się jedynie u możnych i bogaczy, a wszystko za małych trzydzieści pięć soldów. Ale Pont de Lunel długo wytrwał na tej stopie, i tak długo żył na konto swej reputacji, aż stracił ją wkońcu zupełnie.

Zapomniałem w ciągu drogi, że jestem chory; przypomniałem sobie o tem, przybywając do Montpellier. Wapory opuściły mnie, ale wszystkie inne cierpienia zostały; i, chociaż przyzwyczajenie stępiło mą wrażliwość, było tego dosyć, aby przyprowadzić o śmierć z samego prze-trachu kogoś, na kogo tyle chorób spadłoby odrazu. W rzeczywistości, były one mniej bolesne niż niepokojące i więcej dręczyły umysł niż ciało, któremu zdawały się grozić zniszczeniem. Stąd pochodziło, że, ogarnięty żywą namiętnością, przestałem myśleć o mym stanie; ale, ponieważ nie był on urojony, odczułem go natychmiast, skoro nieco ochłonąłem. Myślałem tedy poważnie nad radami pani de Larnage i nad celem mej podróży.

Udałem się szukać porady u najznamienitszych praktyków, a zwłaszcza u doktora Fizes. Na domiar ostrożności, umieściłem się u lekarza. Był to Irlandczyk, nazwiskiem Fitz-Moris. Stołował u siebie wielu studentów medycyny; dla chorego, przedstawiało to tę dogodność, że Fitz-Moris zadawał się przyzwoltą pensyjką za życie, nie żądał już od chorych za opiekę lekarską. Podjął się wykonania przepisów pana Fizes i czuwania nad mem zdrowiem. Wywiązał się z tego bardzo dobrze, przynajmniej co się tyczy diety; nie było na jego pensji obawy niestrawności z przeladowania żołądka. Mimo że nie jestem zbyt wrażliwy na takie ograniczenia; porównanie jakie się nastroczało z niedawną przeszłością było tak ra-

żące, że nieraz nie mogłem się wstrzymać w duchu od uwagi, że p. de Torignan był lepszym prowiantmistrzem od p. Fitz-Moris. Mimo to, ponieważ, ostatecznie, nie cierpiało się też i głodu, a cała ta młoda kompanja była wesola, życie jakie tam pędziłem bardzo mi w istocie posłużyło i nie dało mi popaść w dawne omdlenia. Ranek trawiłem na zażywaniu lekarstw, a zwłaszcza jakichś wód, zdaje mi się Vals, i na pisaniu do pani de Larnage; korespondencja bowiem szła swoim trybem, a p. Rousseau podejmował trud odbierania listów dla swego przyjaciela Duddinga. W południe, mały spacer z którymś z młodych współstolowników, pocziwych i chętnych chłopców. Następnie, obiadowało się wesoło. Po obiedzie, większość z nas zaprzętała się aż do wieczora bardzo ważną sprawą; mianowicie, udawaliśmy się za miasto, gdzie, po kilku partjach krykieta, czekał nas podwieczorek. Ja nie grywałem; nie miałem do tego dość siły ani zręczności, ale zakładałem się, i, przejęty swoim zakładem, uganiając za graczami, zażywałem milego i zbawiennego ruchu, który na mnie znakomicie oddziaływał. Podwieczorek spożywało się w karczemce za miastem. Nie potrzebuję nadmieniać, że podwieczorki te były wesołe; ale dodam, iż były niewinne, mimo że dziewczęta w karczmie były wcale niczego. P. Fitz-Moris, wielki amator krykieta, był naszym przewodniczącym. Naprzekór reputacji jakiej zażywają studenci, mogę powiedzieć, iż, wśród całej tej młodzieży, znalazłem więcej obyczajności i przyzwoitości, niżby można było znaleźć w równie licznej kompanji ludzi dorosłych. Byli więcej hałaśliwi niż wyuzdani, bardziej weseli niż rozpustni. Co do mnie, tak łatwo dostrajam się do każdego trybu życia, o ile

jest oparty na swobodzie, że niebym nie miał przeciw temu, aby ten pobyt trwał wiecznie. Było pomiędzy tymi studentami paru Irlandczyków, od których starałem się nauczyć kilku słów po angielsku, dla zabezpieczenia się na pobyt w Saint-Andiol; zbliżał się bowiem czas, że miałem się tam udać. Pani de Larnage nalegała na mnie w każdym liście; nie powstało mi w myśli być nieposłusznym. Jasne jest, iż lekarze, którzy nic nie rozumieli z mej choroby, patrzyli na mnie jako na chorego z urojenia i odpowiednio do tego traktowali mnie swoją chiną, wodami i serwatką. Całkiem przeciwnie do teologów, lekarze i filozofowie przyjmują za prawdziwe tylko to, co mogą wytłómaczyć, a własną zdolność zrozumienia czynią miarą możebności. Ci panowie nic nie pojmowali z mojej choroby: ergo nie byłem chory; jak bowiem przypuścić, aby doktorzy nie wiedzieli wszystkiego? Spotrzegłem, iż starają się jeno zabawić mnie i uwolnić od ciężaru zbytnej ilości ludwików; sądząc tedy, że ich subtytut w zamku Saint-Andiol wywiąże się z tego równie dobrze jak oni a o wiele przyjemniej, postanowiłem dać mu pierwszeństwo i opuściłem Montpellier z tem rozropnem postanowieniem.

Wyjechałem z końcem listopada, po sześciu lub ośmiu tygodniach pobytu w tem mieście, gdzie zostawiłem jakie dwanaście ludwików bez żadnego pożytku dla zdrowia ani dla nauki, chyba żebym jako taki liczył kurs anatomji, który zacząłem pod kierunkiem p. Fitz-Morisa, który zmuszony byłem przerwać z przyczyny ohydnej zaduchu trupów, wprost dla mnie nie do zniesienia. Nie będąc wewnątrznie w zupełnej zgodzie z samym sobą co do powziętego postanowienia, biłem się z myśla-

mi, posuwając się ciągle ku Pont-Saint-Esprit, które leżało po drodze zarówno do Saint-Andiol jak do Chambéri. Wspomnienia mamusi i listy jej, mimo że mniej częste niż pani de Larnage, obudziły na nowo w mem sercu wyrzuty, które stłumiłem w czasie mej podróży. W tej powrotnej drodze stały się one tak żywe, że, przeważając instynkt rozkoszy, pozwoliły mi dać ucho głosowi rozsądku. Przedewszystkiem, rola awanturnika na którą się puszczałem, mogła obecnie powieść się mniej szczęśliwie niż za pierwszym razem. Wystarczało, by w całem Saint-Andiol, znalazła się jedna osoba która była w Anglii, znała Anglików lub umiała po angielsku, aby mnie zde-maskowano. Rodzina pani de Larnage mogłaby patrzeć krzywym okiem na mnie i czynić mi afronty. Córka, o której, mimo woli, myślałem więcej niżby należało, również stanowiła dla mnie przedmiot niepokoju: drżałem, iż mogę się w niej zakochać, a obawa ta popychała mnie już na pół drogi ku niebezpieczeństwu. Miałem tedy, w nagrodę względów matki, starać się uwodzić jej córkę, wchodzić w najbardziej naganne i występne stosunki, wprowadzać waśń, niesławę, zgorszenie i piekło do domu! Ta myśl przejęła mnie grozą; powziąłem niezłomne postanowienie przewyciężenia się i zduszenia tej nieszczęśliwej miłości, w razie gdyby się miała obudzić. Ale poco narażać się na taką walkę! Cóż za nędzne istnienie: żyć z matką, którą byłbym już przesycony, a pałać uczuciem do córki, nie śmiejąc go jej okazać! Pocóż gonić za tem szaleństwem, poco się wystawiać na nieszczęścia, afronty, wyrzuty, dla rozkoszy, których największy urok wyczerpałem zgóry? to pewna bowiem, iż skłonność moja nie zachowała już pierwszej żywości; chęć rozkoszy

przetrwala jeszcze, ale namiętność uleciała. Do tego mieszały się refleksje przypominające mi moje położenie, obowiązki, mamusię tak dobrą, tak bezinteresowną, która, mimo iż przygnieciona długami, rujnowała się jeszcze dla mych wydatków, krwi sobie utaczała dla mnie, a ja ją zdradzałem tak niegodnie! Wyrzut ten stał się tak żywy, iż wreszcie odniósł zwycięstwo. Zbliżając się do Saint-Esprit, postanowiłem minąć drogę ku Saint-Andiol i ruszyć prosto. Wypełniłem to mężnie, nie bez paru westchnień, przynaję, ale zarazem z tem wewnętrznem zadowoleniem, odczuwanem po raz pierwszy w życiu, iż mogłem sobie powiedzieć: zasłużyłem na własny szacunek, umiałem obowiązkowi dać pierwszeństwo przed rozkoszą. Oto pierwsza prawdziwa zdobycz, którą zawdzięczam nauce: ona to nauczyła mnie zastanawiać się, porównywać. W obliczu zasad tak czystych, które przyswoilem sobie przed niedawnym czasem, regul roztropności i cnoty, które sobie postawiłem i z których przestrzegania czulem się tak dumny, wstyd stania się niekonsekwentnym wobec samego siebie, sprzeniewierzenia się tak jaskrawo własnym zasadom, przeważał pokusę rozkoszy. Być może, ambicja odgrywała w mem postanowieniu takąż rolę co cnota; ale, jeśli ta ambicja nie jest samą cnotą, skutki jej są tak podobne, że omyłka w tym względzie jest do wybaczenia.

Jedną z korzyści dobrych uczynków jest to, iż podnoszą one duszę i czynią ją skłonną do wspinania się na szczeble dalszej doskonałości. Tak wielką jest słabość ludzka, iż samo wstrzymanie się od złego mamy prawo pomieścić w liczbę dobrych uczynków. Skoro tylko po-wziąłem owo zbawienne postanowienie, wraz stałem się

innym człowiekiem, albo raczej stałem się znowu tym, którym byłem przedtem, a który zatracił się przez chwilę odurzenia. Pełen dobrych uczuć i postanowień, wędrowałem dalej tą drogą w najlepszych intencjach okupienia błędu, pragnąc odtąd budować życie jedynie na prawidłach cnoty, poświęcić się bez zastrzeżeń w służbach najlepszej z matek, zachować jej tyleż wierności ile miałem dla niej przywiązania, i głuchym być na głos miłości innej niż miłość obowiązku. Niestety! ten tak szczery powrót do dobrego zdawał się znaczyć mi inną dolę: ale śnać była ona zapisana już i rozpoczęta; i kiedy serce moje, pełne uczucia dla rzeczy dobrych i zacnych, chciało widzieć w życiu samą jeno niewinność i szczęście, właśnie zbliżałem się do złowrogiego momentu, który miał wleść jako następstwa długi łańcuch mych niedoli.

Niecierpliwość przybycia na miejsce sprawiła, iż wędrowałem większymi etapami niż zrazu myślałem. Z Vaud lence oznajmiłem mamusi dzień i godzinę przybycia, zajęte.

Zyskawszy pół dnia na moim rachunku, przeczekałem ten czas w Chaparillon, aby przybyć ściśle tak jak zapowiedziałem. Chciałem skosztować w całej słodczy urok powitania. Wołałem raczej opóźnić trochę tę chwilę, aby, w zamian, spotęgować jej rozkosz świadomością, iż jestem oczekiwanym. Zwykle, wychodziło mi to tylko na korzyść. Zawsze dotąd, każdy mój powrót był w domu prawdziwem świętem: tym razem również spodziewałem się tego; a wylewy radości drogiej mamusi, na które byłem tak czuły, warte były, aby na nie trochę poczekać.

Przybyłem tedy dokładnie w oznaczonej godzinie. Zdaleka wyglądałem, czy nie ujrzę jej na drodze; serce nie miało mi coraz mocniej w miarę jak się zbliżałem. Przy-

biegam zdyszany; pojazd bowiem zostawiłem w mieście: nie widzę nikogo na dziedzińcu, w bramie, w oknie; zaczynam się mięszać, lękam się jakiegoś wypadku. Wchodzę; wszędzie spokój: czeladź siedzi przy podwieczorku w kuchni; zresztą żadnych przygotowań. Służąca wydaje się zdziwiona moim widokiem; nie wiedziała, że mam wrócić. Wchodzę na górę, widzę wreszcie tę drogą mamusi, tak czule, tak żywo, tak czysto ukochaną; przybiegam, rzucam się do jej stóp. „Ach, jesteś, mały, rzekła ściskając mnie; dobrą miałaś drogę? jakże się miewasz?“ „O przyjęcie zmieszalo mnie trochę. Spytałem, czy otrzymała list. Odpowiedziała twierdząco. — Byłbym mniejszy, że nie, odparłem; i na tem ograniczyły się wyjaśnienia. W pokoju jej znajdował się młody człowiek. Znałem go, przed wyjazdem bowiem widywałem go czasem w domu; ale, tym razem, wydawał się zakwaterowany na do-ore; jakoż i tak było. Krótko mówiąc, zastałem miejsce zajęte.

Ten młody człowiek pochodził z Vaud; ojciec jego, nazwiskiem Vintzenried, był odźwiernym, lub, jak się nazywał, kapitanem zamku Chillon. Syn pana kapitała był czeladnikiem fryzjerskim, i w tym charakterze wędrował po świecie wówczas gdy się przedstawił pani Warens, która przyjęła go życzliwie, jak wszystkich podróżnych, zwłaszcza z jej stron. Był to duży blondyn młdejszej powierzchowności, dość dobrze zbudowany, o płaskiej twarzy i równie płaskim umyśle. Wysławiał się premedjonalnie, mięszając w rozmowie wszystkie tony, wszystkie nawyczki swego rzemiosła z długiem wyliczaniem jedynie połowę wszystkich margrabini z którymi

dzielił łóżko, twierdząc wszelako, iż nie zdarzyło mu się trefić głowy pięknej kobiecie, aby nie utrefił również i głowy męża piękną parą rogów; słowem próżny, głupi, ignorant, bezczelnik; „poza to, najlepszy chłopak w świecie“! Taki był zastępca, którego znaleziono w czasie mej obecności, a współpracownik, jakiego mi ofiarowano za powrotem.

Och! jeżeli dusze uwolnione od ziemskiej powłoki widzą jeszcze, z łona wiekuistej światłości, to co się dzieje wśród nas śmiertelnych, przebacz mi, drogi i czcigodny cieniu, jeśli nie więcej oszczędzam twoje błędy niż swoje własne; jeśli zarówno jedne jak i drugie odsłaniam oczom czytelnika. Powinienem, chcę być szczerym za ciebie, jak za siebie samego: stracisz na tem z pewnością o wiele mniej odemnie. Ach, ileż razy twój miły i słodki charakter, niewyczerpana dobroć serca, twoja szczerłość i wszystkie twe wyborne cnoty, ileż razy okupują one twe słabości, jeśli można tak nazwać zbląkania, płynące wyłącznie z omyłki rozumu! Byłaś podległa błędom, ale nie przywarom; postępowanie twoje było naganne, ale serce zostało zawsze czystem.

Nowy przybysz okazał się gorliwy, pilny, dokładny w drobnych zleceniach, których było zawsze mnóstwo; rozwinął całą energję aby się stać naganiaczem czeladzi. Był równie hałaśliwy, jak ja byłem cichy; widać go było a zwłaszcza słyhać wszędzie naraz; przy orce, przy sianie, w lesie, w stajni, na dziedzińcu. Ogród jedynie zaniedbywał, była to bowiem praca zbyt spokojna i nie dawała sposobności do hałasu. Jego największa przyjemność to było orać, ładować, piłować lub rąbać drzewo; wciaż się go widziało z siekierą lub motyką w dłoni. Sły-

chać go było, jak biega, rąbie; krzyczy na całe gardło. Nie wiem za ilu ludzi odwalał robotę, ale wrzasku robił za dziesięciu. Cały ten rozgardjasz imponował biednej mamusi; zdawało się jej, że ten młokos będzie opatrznościowym człowiekiem dla interesów. Chcąc go przywiązać do domu, użyła wszelkich środków które się jej wydały sposobne, i nie pominęła tego, na który zawsze liczyła najbardziej.

Sądzę, iż czytelnik poznał moje serce, jego najbardziej stałe, najbardziej szczerze uczucia, te zwłaszcza, które mnie w tej chwili sprowadzały ku niej. Cóż za nagły i zupełny przewrót w całej mej istocie! trzeba się postawić na nowym miejscu, aby to ocenić. W jednej chwili, uczulem, jak na zawsze rozwiewa się szczęśliwa przyszłość, którą sobie poilem. Wszystkie słodkie myśli, które pieściłem tak tkliwie, pierzchy. Ja, który, od dzieciństwa, nie byłem zdolny wyobrazić sobie egzystencji inaczej jak tylko z nią, ujrzałem się sam po raz pierwszy w życiu. Ta chwila była straszna: te, które nastąpiły, jeszcze bardziej posępne. Byłem jeszcze latami młody, ale te słodkie uczucia radości i nadziei które ożywiają młodość, na zawsze mnie opuściły. Od tej chwili, istota czująca nawpół we mnie obumarła. Widziałem przed sobą jedynie smutne resztki życia bez wartości i celu; jeśli niekiedy jeszcze obraz szczęścia poigrał z memi pragnieniami, szczęście to nie było tem, które dla mnie było stworzone; czulem, iż, zdobywszy je nawet, nie byłbym naprawdę szczęśliwszy. Byłem tak głupi i pełen ufności, że, mimo bezceremonialnego tonu przybysza (ton ten uważałem jedynie za wynik swobody obcowania mamusi, która całe swe otoczenie stawiała na bliskiej stopie), nie przyszłoby mi

na myśl domyślać się prawdziwych tego podstaw, gdyby ona sama nie objaśniła mnie w tej mierze. Uczyniła to wyznaniem bardzo skwapliwie, ze szczerością, zdolną, zaiste, podsyć mi wściekłość, gdyby me uczucia zwróciły się w tym kierunku. Co do niej, przedstawiła to jako rzecz całkiem prostą, wyrzucając mi niedbalstwo o sprawy domu, i wymawiając częste wyjazdy, tak jakgdyby temperament jej w istocie zdolny był odczuć te zaniedbania!

„Ach! mamusiu, rzekłem z sercem ściśniętem boleścią, jakieżż wiadomości ważyłaś się mi udzielić! cóż za nagroda mego przywiązania! Czyż tylko poto tyle razy ocaliłaś mi życie, aby mi odjąć wszystko, co mi je czyniło drogiem? Umrę z tego, ale będziesz mnie żałować“. Odpowiedziała tonem, którego spokój zdolny był doprowadzić mnie do szaleństwa, że jestem dzieckiem, że nie umieram się z takich rzeczy; że nic na tem nie tracę; że, mimo wszystko, pozostaniemy tak samo dobrymi przyjaciółmi i tak samo blisko w każdym rozumieniu; że jej tkliwe przywiązanie dla mnie nie może się zmniejszyć ani skończyć, chyba z nią samą. Jednem słowem, dała mi do zrozumienia, że wszystkie me prawa zostaną te same, i że, jakkolwiek dzieląc je z drugim, nie będę w nich uszczuplony.

Nigdy czystość, szczerość, siła mych uczuć dla niej nigdy prostota, uczciwość mej duszy, nie objawiły mi się lepiej niż w tej chwili. Rzuciłem się jej do stóp, obejmowałem kolana, wylewając potoki łez. „Nie, mamusiu, rzekłem z uniesieniem, nadto cię kocham, aby cię chciałem pokalać. Posiadanie ciebie jest mi zbyt drogie, bym się mógł niem dzielić. Zbyt wiele wycierpiałem wówczas, kiedy je zdobyłem, a drażliwość moja wzmożła się wraz

miłością; nie, nie chcę, nie mogę zachować tego szczęścia za tę samą cenę. Zawsze będziesz przedmiotem mego ubóstwienia; zostań go zawsze godną; bardziej jeszcze potrzebuję czcić ciebie, niż posiadać. Tobie samemu, mamusiu, ustępuję cię; dla związku naszych serc poświęcam wszystkie rozkosze. Obym raczej zginął tysiąc razy, niżbym miał ich kosztować poniżając tę, którą kocham!“

Dotrzymałem tego postanowienia ze stałością, godną, niemi powiedzieć, uczucia, które je natchnęło. Od tej chwili, miałem dla ukochanej mamusi jedynie oczy prawdziwego syna. Pośpieszam dodać, że, mimo iż moje postanowienie nie zyskało jej wewnętrzznego uznania, jak tem aż nadto się przekonałem, nigdy, dla odwrócenia nie odeń, nie uciekła się ani do zalotnych słówek, ani do eszczot, ani do żadnej z owych sztuczek, które kołoty, bez narażania swej godności, zawsze mają na załamanie i które rzadko chybiają celu. Zmuszony szukać dla siebie niezależnej od niej, a nie mogąc jej sobie nawet wyrazić, popadłem niebawem w przeciwną ostateczność, szukałem wszystkiego w niej samej! Szukałem tak skonale, że niemal zupełnie zapomniałem siebie. Gościłe pragnienie oglądania jej szczęśliwą za jakąbądź cenę, pochłaniało wszystkie me uczucia: napróżno odłączała moje szczęście od mego, ja, naprzekór jej, uważałem szczęście za własne.

Tak zaczęły kielkować, wraz z nieszczęściami, cnoty, których siew spoczywał zdawna w głębi mej duszy, które czekały, aby wyhodowała i które, aby zakwitnąć, czekały jedynie zaczynu przeciwności.

Pierwszym owocem tego tak bezinteresownego zwy-

ciężstwa nad sobą, było usunięcie z serca wszelkiego uczucia nienawiści i zazdrości względem intruza. Chciałem, przeciwnie, i szczerze chciałem, przywiązać się do tego młodzieńca, kształtować go, pracować nad jego wychowaniem, dać mu zrozumieć jego szczęście, sprawić, jeśli możebna, aby się go stał godnym: słowem, stać się dlań tem, czem Anet dla mnie w podobnych okolicznościach. Ale, po obu stronach, natury były zbyt różne. Posiadając więcej łagodności i wykształcenia, nie miałem wszem jako powagi i stanowczości Aneta, ani tej siły charakteru, która imponowała i która byłaby potrzebna w mem zadaniu. Jeszcze więcej brakło temu młodemu człowiekowi przymiotów, które Anet zastał u mnie: posłuszeństwa, przywiązania, wdzięczności, a zwłaszcza dobrej woli i gorącej chęci aby te starania wyszły na pożytek. Wszystem: co wszelako nie przeszkadzało mu popadać natychmiast w nowe ekstrawagancje. Zresztą, inteligencja jego była tak ograniczona, a upodobania tak poziome, że a w słowach mych puste brzęczenie. Przeciwnie, przedurdo było przemówić mu do rozsądku, a prawie niejęty był podziwem dla samego siebie, miał się za ważną figurę w domu, i, mierząc usługi, które w swem mniemaniu oddawał, wedle hałasu jaki przy nich robił, uważał swestkami ze starą służącą, rudą, bezzębną, której wstrętne motyki i łopaty jako coś nieskończenie użyteczniejszego usługi mamusia znosiła nadal cierpliwie, mimo że ją to od moich szpargałów. Pod pewnym względem, mógłby przysporzyć o mdłości. Spostrzegłem ten nowy wybryk mieć słuszość: ale, wychodząc z tego założenia, przynie posiadałem się z oburzenia; ale spostrzegłem i inną bierał tony takie, iż można było umrzeć ze śmiechu. Wobec chłopów, odgrywał rolę wiejskiego obywatela: wiej jeszcze, i wtrąciła w daleko większe zniechęcenie niebawem zaczął toż samo i ze mną, i wkońcu sam z mamusią. Ponieważ nazwisko Vintzenried wydawało mu się niedość szlachetne, porzucił je, przybierając miano pana de Courtilles; pod tem nazwiskiem znany był później w Chambéri i w Maurienne, gdzie się ożenił.

Wreszcie tyle dokazała ta znamienita osobistość, że stał się w domu wszystkim, a ja niczem. Co gorsze, kiedy miałem nieszczęście w czemś mu nie przypaść do maku, nie mnie lajał ale mamusię; z obawy tedy narażenia jej na tę brutalność, byłem powolny wszystkiemu czego żądał. Za każdym razem kiedy rąbał drzewo — czynność którą spełniał z nieopisaną dumą — musiałem znajdować się przytem jako bezczynny widz i zachwycony admirator jego dzielności. Nie był to wszelako gruntu zły chłopak: był przywiązany do mamusi, bo podobna było nie przywiązać się do niej; i do mnie nie miał nawet niechęci. Kiedy pauza w przejawach jego wywołności pozwoliła doń mówić, słuchał nas niekiedy potulnie, przyznając szczerze, że jest tylko cymba-kiem tego niestało tutaj. Ten, którego chciałem kształcić w nowe ekstrawagancje. Zresztą, inteligencja jego była tak ograniczona, a upodobania tak poziome, że trudno było przemówić mu do rozsądku, a prawie niepodobna znajdować przyjemność w jego towarzystwie. Posiadanie kobiety pełnej uroku zaprawił jeszcze mi-estkami ze starą służącą, rudą, bezzębną, której wstrętne usługi mamusia znosiła nadal cierpliwie, mimo że ją to od moich szpargałów. Pod pewnym względem, mógłby przysporzyć o mdłości. Spostrzegłem ten nowy wybryk mieć słuszość: ale, wychodząc z tego założenia, przynie posiadałem się z oburzenia; ale spostrzegłem i inną bierał tony takie, iż można było umrzeć ze śmiechu. Wobec chłopów, odgrywał rolę wiejskiego obywatela: wiej jeszcze, i wtrąciła w daleko większe zniechęcenie niebawem zaczął toż samo i ze mną, i wkońcu sam z mamusią. Ponieważ nazwisko Vintzenried wydawało mu się niedość szlachetne, porzucił je, przybierając miano pana de Courtilles; pod tem nazwiskiem znany był później w Chambéri i w Maurienne, gdzie się ożenił.

Wyrzeczenie, które sobie nakazałem i które, zdawać się mogło na pozór, zyskało jej uznanie, jest jedną z rzeczy, których kobiety, na dnie serca, nie przebaczą

nigdy; nietyle dla uszczerbku który same na tem ponoszą, ile stąd, iż widzą w tem obojętność dla swoich wdzięków. Weźcie kobietę najrozsądniejszą, najbardziej zdolną do filozoficznego myślenia, najmniej zmysłową z natury; otóż, najtrudniejszą do odpuszczenia zbrodnią, jakiej mężczyzna, choćby najobojętniejszy, może się względem niej dopuścić, jest móc ją posiadać a nie skorzystać z tego. Musi widocznie to prawo nie dopuszczać wyjątków, skoro tak naturalna i mocna sympatja mogła osłabnąć wskutek powściągliwości, czerpiącej pobudki w enocie, przywiązaniu i szacunku. Odtąd, przestałem znajdować w mamusi owe lube powinowactwo, które stanowiło zawsze najśłodsza radość mego serca. Wynurzała się przedemną jedynie wtedy, kiedy miała się z czem uskarżyć na nowego przybysza: skoro byli dobrze ze sobą, niewiele zostawało dla mnie miejsca w ich poufałości. Słowem, wchodziła stopniowo w tryb życia, w którym ja nie brałem udziału. Obecność moja robiła jej jeszcze przyjemność, ale nie była potrzebną; mógłbym trawić dnie całe nie pokazując się, ledwieby to zauważyła.

Nieznacznie, uczulem się odosobniony i samotny w tym domu, którego wprzód byłem duszą i w którym żyłem niejako zdwojonem życiem. Przyzwyczaiłem się powoli oddzielać od wszystkiego co się tam działo, od tych nawet którzy go zamieszkiwali. Aby sobie oszczędzić ciągłego rozdarcia serca, zamykałem się z książkami, albo szedłem swobodnie wzdychać i płakać w leśnem ustroniu. Życie to stało mi się niebawem zupełnie nie do zniesienia. Uczulem, iż obecność realna a oddalenie uczuciowe kobiety, która mi była tak drogą, zbyt drażniła boleść, i że, straciwszy ją z oczu, mniej będę czuł

okrucieństwo rozdziału. Powziąłem projekt opuszczenia domu. Zwierzyłem się z tem mamusi; nietylko że się nie sprzeciwiła, ale chwaliła zamiar. Miała w Grenobli przyjaciółkę, nazwiskiem pani Deybens, której mąż był przyjacielem pana de Mably, wielkiego profosa Lyonu. Pan Deybens zaproponował mi zajęcie się wychowaniem dzieci pana de Mably; przyjąłem i pojechałem do Lyonu, nie zostawiając za sobą, ani prawie nie odczuwając, najmniejszego żalu z powodu rozłąki o której wprzód sama myśl byłaby dla nas śmiertelną męczarnią.

Posiadałem, w przybliżeniu, wiadomości potrzebne do funkcji preceptora, a sądziłem że mam i talent potemu. W ciągu roku, który przebyłem u pana de Mably, miałem czas pozbyć się złudzeń. Łagodność mego charakteru dobrze godziła się z tym zawodem, gdyby nie przeżywały jej burzliwe wybuchy. Póki wszystko szło dobrze póki widziałem owoce starań i trudów, których wówczas nie szczydziłem, byłem aniołem; ale stawałem się diabełem, skoro tylko rzeczy szły na opak. Kiedy uczniowie nie pojmowali mnie, szalałem; kiedy płatali mi douczliwości, byłbym ich zabił: nie był to sposób napojenia ich umysłów rozsądkiem i wiedzą. Uczniów miałem dwóch, a usposobienia ich były bardzo rozmaite. Jeden, śmieszny czy dziesięcio-letni, nazwiskiem Sainte-Marie, był ładny chłopiec, dość bystry, żywy, roztrzepany, psotny, łosliwy, ale złośliwością wesoły. Młodszy, noszący miano Condillac, zdawał się prawie tępy, roztargniony, uparty jak muł i niezdolny cośkolwiek pojąć. Można sobie wyobrazić, że, przy takich dwóch uczniach, życie nie było łatwe. Przy cierpliwości i zimnej krwi, byłbym może obie dał radę; ale, nie posiadając tych cnót, nie umia-

lem dojść do niczego, i postępy mych uczniów przedstawiały się bardzo smutno. Nie brakło mi cierpliwości, ale brakło równowagi w usposobieniu, a zwłaszcza taktu. Pedagogja moja zażywała jedynie trzech instrumentów, zawsze nieużytecznych a często zgubnych u dzieci; mianowicie uczucia, rozumowania i gniewu. To roztkliwiałem się ze starszym aż do łez, pragnąc rozczulić i jego tak samo, jakgdyby dziecko było zdolnem do prawdziwego wzruszenia: to wysilałem się, aby mu przemówić do rozsądku, tak jakby mnie mógł zrozumieć; a ponieważ nieraz dawał mi argumenta bardzo subtelne, brałem tę zdolność rezonowania za objaw rozumu. Drugi mój błąd sprawiał mi jeszcze więcej kłopotu, ponieważ, nie rozumiejąc, nie odpowiadając, nie przejmując się niczem i rozwijając bezgraniczny upór, święcił nademną prawdziwe tryumfy, skoro mu się udało doprowadzić mnie do wściekłości; wówczas on był rozumną istotą, a ja dzieckiem. Widziałem wszystkie swoje błędy, czulem je; studjowałem charakter mych uczniów, przejrzałem go bardzo dobrze, i sądzę, że nigdy nie dałem się oszukać ich sztuczkom. Ale na co mi się zdało widzieć złe, skoro nie umiałem znaleźć lekarstwa? Przenikając wszystko, nie zapobiegałem niczemu, nie dochodziłem do niczego, i postępowałem ściśle tak, jak właśnie nie było trzeba.

Równie lichy jak osobami uczniów pokierowałem i własną osobą. Pani Deybens poleciła mnie osobliwie względem pani de Mably. Prosiła ją, aby się zechciała zająć ukształtowaniem mych manier i nadaniem mi światowego poloru. Pani de Mably próbowała mnie nieco w tym kierunku i chciała bym się nauczył robić honory domy; ale zabrałem się do tego tak niezręcznie, byłem

jak nieśmiały, tak niezdarny, że zraziła się i przestała mną zajmować. To nie przeszkodziło mi, wedle mego wyczaju, zakochać się w niej. Robiłem co mogłem aby o spostrzegła, ale nie chciałem się puścić na jawne wyznawanie. Nie okazała żadnej ochoty dopomożenia mi; miałem się ograniczyć do zerkań i westchnień, które sprzyjały mi, zresztą rychło, widząc że do niczego nie prowadziły.

Straciłem zupełnie u mamusi dawne łasownicze nawyki: ponieważ wszystko było moje, nie miałem potrzeby niczego ściągać. Zresztą, podniosłe zasady jakie sobie ukształtowałem, powinny były mnie odtąd uczynić wyższym nad takie podłostki. W istocie, zazwyczaj tak bywało: ale to nietylko dlatego, bym się nauczył wytrzymywać pokusy, jeno że podciąłem w sobie sam ich źródło; i bardzobym się lękał, czybym nie zaczął znów być jak w młodości, gdybym podlegał tym samym pokusom. Miałem tego dowód u p. de Mably. Otoczony mnóstwem rzeczy „ściąganych“, na które nawet nie zwracałem uwagi, zapalałem skłonnością do pewnego gatunku białego wina, nader smakowitego, którego w szklanek, pokoszowanych raz i drugi przy stole, wzbudziły we mnie wielką ochotę dalszej z nim znajomości. Było trochę mętne; miałem ambicję, że umiem dobrze klarować wino: pochwaliłem się tą sztuką i poręczono mi to zadanie. Sposobność skusiła mnie, iż, z czasu do czasu, zatajałem parę buteleczek, aby je rozszyć w spokojnem zaciszu. Na nieszczęście, gdy nie umiałem pić bez jedzenia. Skąd tu wydobycie? Niepodobna było zaopatrzyć się weń w domu. Zabrałem się do kupowania przez lokaja, to znaczyło zdradzić

się i niemal wyrzucić zniewagę gospodarzom. Kupić samemu, nie odważyłbym się nigdy. Czyż można sobie wyobrazić, aby piękny pan, ze szpadą przy boku, wchodził do piekarza kupować kawałek chleba? Wreszcie, przypomniałem sobie środek ratunku pewnej wielkiej księżniczki, która, usłyszawszy skargi iż chłopci nie mają chleba, odpowiedziała: „Czemuż nie jedzą biskoptów?“ A i ta zdobycz, ileż kosztowała mnie trudu! Wybierałem się sam w tym celu z domu, przebiegałem niekiedy całe miasto, mijałem trzydziestu cukierników, nim wstąpiłem wreszcie do jednego. Jedynie wówczas gdy sprawdziłem iż w sklepie znajduje się nie więcej niż jedna osoba i to o fizjonomji budzącej we mnie szczególne zaufanie, odważyłem się przestąpić próg. Ale zato, kiedy już raz miałem szacowne biskopty i kiedy, zamknawszy się w pokoju, wydobyłem butelkę ukrytą w głębi szafy, z jakąż rozkoszą popijałem w samotności, czytając przytem parę stronnic jakiego romansu! Czytać przy jedzeniu, to była zawsze moja namiętność w braku milego sam-na-sam: to surogat towarzystwa, którego mi brakuje. Pochłaniam kolejno stronicę i kasek: to tak, jakgdyby książka dzieliła ze mną posiłek.

Nigdy nie byłem rozpustnikiem ani opojem; nie upiłem się ani razu w życiu: dlatego kradzieże moje nie dochodziły znaczniejszych rozmiarów. Mimo to, wyszły na jaw; butelki zdradziły mnie. Nie pokazano mi tego, ale pod jakimś pozorem, odebrano opiekę nad piwnicą. W całej tej sprawie, p. de Mably postąpił sobie bardzo rozumnie i taktownie. Był to bardzo godny człowiek, który, po wyglądzie równie twardym jak jego urząd, posiadał prawdziwą słodycz charakteru i rzadką dobroć serca.

Był sprawiedliwy, wyrozumiały, czegoby się nie oczekiwało po urzędniku żandarmerji, nawet wyjątkowo ludzkim. Odczuwając jego pobłażliwość, przywiązałem się doń tem więcej i to sprawiło, że przeciągnąłem pobyt w jego domu dłużej niżby mi to było możebne w innym wypadku. Ale, wkońcu, zmierzony zawodem, w którym czułem się nie na swoim miejscu, i sytuacją bardzo dla mnie kłopotliwą i nieprzyjemną, po roku próby, w ciągu której nie oszczędzałem bynajmniej starań, postanowiłem rzucić swych uczniów, przekonany iż nigdy nie potrafiłbym dobrze ich wychować. Sam p. de Mably widział to wszystko równie dobrze jak ja. Mimo to, sądzę iż nigdy nie zdobyłby się na to aby mnie odprawić, gdybym mu nie oszczędził tej przykrości: słabość, posunięta, mem zdaniem, w tym wypadku o wiele za daleko.

Sytuację moją czyniło tem przykrejszą nieustanne porównywanie jej z życiem, które porzuciłem niedawno: wspomnienie drogich Charmettes, mego ogrodu, moich drzew, źródeł, sadu, a zwłaszcza tej dla której byłem zrodzony, która ożywiała duszą to wszystko! Ilekroć wspominałem o niej, o naszych uciechach, naszym niewinnem życiu, uczuwałem ściskania serca, dławienia, które odejmowały mi siły do pracy. Sto razy doznawałem najwłaściwszej pokusy aby rzucić wszystko i natychmiast, bodaj pieszo, pobiec ku niej. Była ją ujrzeć jeszcze raz, zgodziłbym się z radością umrzeć w tej samej chwili. Wkońcu, nie mogłem się oprzeć tkliwym wspomnieniom, które wołały mnie do niej wbrew wszystkiemu. Mówiłem sobie, że nie byłem dość cierpliwy, dość miły, dość decyzyjny, że, dokładając więcej starań, mogłem jeszcze

żyć szczęśliwie obok niej w słodyczach przyjaźni. Słowem, układałem sobie najpiękniejsze projekty, pełne cierpliwością aby je wykonać. Rzucam wszystko, zrękałem się wszystkiego, jadę, pędzę, przybywam w pełni wskrzeszonych uniesień pierwszej młodości, i znajduję się u jej stóp. Ach! byłbym umarł z radości, gdybym w jej przyjęciu, pieszczotach, słowem w jej sercu, odnalazł bodaj ćwierć tego, co znajdowałem dawniej i co sam przynosiłem jeszcze!

Straszliwe złudzenia rzeczy ludzkich! Przyjęła mnie zawsze ze swoim złotem sercem, które niezdolne było umrzeć aż z nią razem; ale ja przybiegłem szukać przeszłości, której już nie było i która nie mogła wskrzesnąć. Ledwie pobylem z mamusią pół godziny, uczulem, że dawne szczęście umarło na zawsze. Znalazłem się w tej samej oplakanej sytuacji, przed którą zmuszony byłem uciekać, i to bez możności przypisania komukolwiek winy; w gruncie bowiem Courtilles był niezły chłopak i zdawał się raczej ucieszony niż zmartwiony mem przybyciem. Ale jak przenieść uczucie, że jestem czymś nadliczbowym u tej, dla której byłem wszystkim i na którą nie umiałem patrzeć inaczej niż na moje wszystko? Jak żyć jako obcy w tym domu, którego byłem dzieckiem? Widok przedmiotów będących świadkami minionego szczęścia czynił mi porównanie tem okrutniejszym. Byłbym mniej cierpiał w innym mieszkaniu. Ale musieć sobie nieustannie przyprowadzić na pamięć tyle wspomnień, znaczyło wciąż na nowo jątrzyć poczucie straty. Trawiony próżnym żalem, wydany na pastwę najczarniejszej melancholji, znosiłem, jak wprzód, pędziłem dni w samotności, poza godzinami posiłku. Zamknięty z memi książkami, szuka-

łem w nich użytecznej rozrywki; czując coraz bliżej niebezpieczeństwo którego tyle się dawniej obawiałem, dostrzegałem tem bardziej wysiłków, aby w sobie samym znaleźć środki zaradzenia mu, wówczas gdy mamusi ich już zbraknie. Postawiłem tryb domu na tej stopie, iż mógł iść tą koleją ze względem bezpieczeństwa; ale, od tego czasu, wszystko się zmieniło. Nowy rządcą był człowiek bardzo nierządny. Chciał przede wszystkim błyszczeć; dobry konik, wykintne ubranko, to były dla niego rzeczy główne; lubił olśniewać wspaniałością ąsiadów; ciągle rzucał się w nowe przedsięwzięcia, w zakresie o którym nie miał żadnego pojęcia. Pensję jadło się zgóry; parę kwartałów było zastawionych, czynsz nie opłacony, a długi rosły bezustanku. Przewidywałem, iż pensję, prędzej czy później, mogą zająć, a nawet skasować. Słowem, widziałem samą ruinę i klęskę, a chwila zdawała mi się tak bliska, że odczuwałem już naprzód wszystkie jej okropności.

Mój drogi gabinet był mi jedyną pociechą. Dotąd szukałem w nim lekarstwa na zamęt duszy, obecnie postanowiłem ich szukać przeciw nieszczęściom które przeżywałem. I oto, wracając do dawnych pomysłów, zacząłem budować zamki na lodzie, aby wydobyć biedną mamusię z okrutnych nieszczęść, których widziałem ją tak bliską. Nie czulem się dość uczonym i nie przypisywałem sobie dość talentu, aby zabłysnąć w rzeczpospolitej literatury i zrobić karierę na tej drodze. Ale błysła mi nowa myśl i natchnęła mnie tą ufnością w siebie, której średnia miara mych talentów nie mogła we mnie obudzić. Mimo iż zaprzestałem uczyć muzyki, nie zaniedbałem jej sam; przeciwnie, posunąłem się w nauce teorii

dość daleko, aby się móc uważać za majstra w tym dziale. Odczuwając nieraz dotkliwie mozół z jakim mi przychodziło czytać nuty i jaki sprawia mi jeszcze dziś czytanie ich *à vista*, wpadłem na myśl, że trudności te mogą wynikać nie tylko z mej niezdatności ale i z samego przedmiotu; zwłaszcza, że wiedziałem, iż nauka teorii muzyki nikomu nie przychodzi z łatwością. Zastanawiając się nad rodzajami znaków, nieraz znajdowałem iż są źle skombinowane. Oddawna już nosiłem się z zamiarem notowania skali nutowej zapomocą cyfr, a to aby sobie oszczędzić kłopotu kreślenia linii i taktów dla zanotowania lada melodji. Natrafiałem w tem na trudności wynikające z oktav, jak również miary i wartości. Ta dawna idea odżyła mi w mózgu. Zagłębiwszy się w tem na nowo, doszedłem, że trudności nie są nie do przezwyciężenia. Zacząłem sobie łamać głowę, i z dobrym skutkiem; doszedłem do tego, iż, zapomocą swoich znaków, mogłem zanotować z łatwością każdą melodję. Od tej chwili, uwierzyłem święcie, iż fortuna moja jest zapewniona, i, w niecierpliwości podzielenia jej z tą której winien byłem wszystko, myślałem tylko o tem, aby jechać do Paryża. Nie wątpiłem, iż, przedłożywszy projekt Akademji, uczynię tam rewolucję. Przywiozłem z Lyonu nieco pieniędzy, sprzedałem książki. W dwa tygodnie, powziąłem i wykonałem postanowienie. Wreszcie, pełen wspaniałych pomysłów, zawsze taki sam we wszystkich czasach i okolicznościach, wyruszyłem z Sabaudji ze swoim systemem muzycznym, jak niegdyś z Turynu z ową sławną fontanną Herona.

Takie były błędy i przewinienia mej młodości. Opo-
wiedzialem ich dzieje z wiernością, dającą pełne zadowo-

lenie memu sercu. Jeśli, w dalszym ciągu, wiek mój dojrzały zabłysnął niejakiemi cnotami, zamiarem było moim skreślić je z równą szczerością. Ale trzeba mi za-
trzymać się tutaj. Czas może zdjąć wiele zasłon. Jeśli pamięć moja dojdzie do potomności, może dowie się ona kiedyś tego, co miałem do powiedzenia. Wówczas, stanie się zrozumiałem, dlaczego milczę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



525025

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0533699